

Jillian Hunter  
Złodziejka

## Rozdział 1

### Edynburg, Szkocja

Nie była to najlepsza noc na włamanie, zwłaszcza że chodziło o dom najpotężniejszego człowieka w Szkocji. Wszystko od samego początku sprzysięgło się przeciw niej. Burza z piorunami, niedoświadczony współnik i seria niemiłych niespodzianek, które można by odczytać jedynie jako zły omen. Maggie wciąż powtarzała sobie w duchu, że w grę wchodzi czyjeś życie. Myśl ta dodawała jej odwagi. Paraliżujące przerażenie częściowo ustąpiło.

- Nie mogę uwierzyć, że dałam się w to wplątać - szepnęła do chudego dryblasza, wiszącego niczym gargulec na gzymsie trzypiętrowej kamienicy. - Nigdy w życiu nie zrobiłam nic równie szalonego.

- Coś taka nerwowa? Mówiłem ci, że wiem, co robię.

- Omal nie skręciliśmy karku, wdrapując się na balkon, Hugonie.

- Trzask piorunu zagłuszył jej drżący głos. - A jeśli on nas nakryje?

- No to co? To tylko człowiek.

- Tak, tylko dziś w gazecie nazwano go najpotężniejszym człowiekiem w Szkocji. Nie jest taki jak wszyscy. On jest... jest...

- Potężniejszy?

- Właśnie.

- Potężny czy nie, na pewno nie rozszarpie nas na kawałki.

- Mógłby to zrobić, gdyby zechciał - powiedziała Maggie ponuro. - Ma takie wpływy, że nie poniósłby żadnych konsekwencji. Bez trudu przekonałby wszystkich, że jego życie było w niebezpieczeństwie i że działał w obronie własnej.

Była o tym absolutnie przekonana. Ten bezwzględny Szkot, którego miała zamiar obrabować, z pewnością nie okazałby jej litości. Może przed światem potrafił odgrywać szlachetnego człowieka, ale było powszechnie wiadomo, że w głębi duszy jest dzikim barbarzyńcą. Rozkoszował się karaniem ludzi. I na tym zbudował swoją karierę.

Jego rywale szemrali między sobą, że zasięg jego władzy przekroczył dopuszczalne granice. Prywatnie jednak ci sami ludzie twierdzili, że jest najlepszym specjalistą prawa karnego w Europie.

Mawiano, że jeśli uznał kogoś za winnego zbrodni, żaden adwokat nie był w stanie wybronić oskarżonego przed karą.

Ludzie opowiadali, że zawarł pakt z diabłem, oddając duszę w zamian za swój bezprzykładowy sukces. Kilku świadków, którzy za nic w świecie nie przyznałyby się do tego publicznie, przysięgało, że widzieli na własne oczy, jak siedem lat temu, w mglistą noc poprzedzającą dzień Wszystkich Świętych, na cmentarzu niedaleko Princes Street Buchanan dobijał targu z szatanem.

Pewna grupa młodych wtedy medyków do dziś wspomina, że gdy owej fatalnej nocy wracali do domu, wraz z wybiciem północy - w chwili przypieczętowania piekielnej umowy - wskazówki ich zegarków zatrzymały się w miejscu.

Chodziły słuchy, że przed rozpoczęciem każdego nowego procesu Buchanan uwodzi jakąś dziewczinę - przynosiło mu to podobno szczęście. Maggie uważała ten element za najbardziej bulwersujący.

Jednak mimo wszystkich tych strasznych plotek krążących na temat prokuratora, tłumy jego wielbicieli wypełniały salę sądową, by zobaczyć mistrza w akcji i nagrodzić go oklaskami w związku z niedawną nominacją na prokuratora generalnego Szkocji. Przestępczość wzrosła ostatnio na terenie całego kraju. Ludzie potrzebowali bohatera, a Connor Buchanan miał wszystkie cechy współczesnego wojownika.

Arogancki, a jednocześnie nieodparcie ujmujący, potrafił zdobyć bez reszty publiczność. Miał prawdziwy dar aktorski; jego słowa przetaczały się czasem po sali rozpraw jak druzgoczący grom, innym razem wzruszające argumenty doprowadzały ławę przysięgłych do łez.

W tej chwili młodociani rabusie, przyklejeni do ściany kamienicy jak nietoperze, usłyszeli zza półprzymkniętych drzwi balkonu głębokie brzmienie głosu Buchanana. Rozmowa dotyczyła dziedziny, w której, jak niosła wieść, prokurator również był mistrzem.

- Nikt nie uwierzy, że tak długo pomagałaś mi wybrać krawat, Ardath. Poza tym pantalony włożyłaś tyłem do przodu.

W rzeczy samej, ten człowiek miał więcej zwolenników niż przeciwników. Niektórzy twierdzili nawet, że jest bohaterem, i nazywali go Ostatnim Lwem. Jeszcze inni - głównie kobiety, stateczne matrony, młode panny i gospodynie domowe - nie dość, że nie odsądzały go od czci i wiary, to mówili, że dzięki niemu śpią w nocy spokojnie. W przeciwieństwie jednak do większości damskiej populacji Edynburga Maggie Saunders aż do wczoraj pozostawała w

blógiej niewiedzy na temat kontrowersyjnej postaci jego lordowskiej mości.

Obrońca uciśnionych czy bezlitosny kat? Kanalia czy księżę z bajki?

Niezależnie od tego, która wersja okazałaby się bardziej przekonująca - a Maggie miała powody, by wierzyć w najgorsze - teraz żałowała serdecznie, że dała się namówić na włamanie do domu tego człowieka.

Odetchnęła głęboko i przesunęła się odrobinę na krawędzi gzymsu. Starła się nie myśleć o tym, że wisi trzy piętra nad ziemią, a upadek z tej wysokości na bruk ulicy z pewnością skończyłby się złamaniem karku. Ani o tym, czy długo cierpiałyby męki, leżąc z pogruchotanymi kośćmi tuż obok powozów ustawionych rzędem przed wejściem do domu.

Zimna kropla deszczu spłynęła jej po czole i zawisła na koniuszku nosa. Dziewczyna nerwowo potrząsnęła głową.

- Ta przekłeta burza nie ułatwia nam sytuacji - szepnęła ze złością, starając się powstrzymać szczęknięcie zębów.

Sytuacji nie ułatwiała również kobieta, z którą lord Buchanan przekomarzał się w mrocznej sypialni, a tędy właśnie Maggie i Hugon zamierzali dostać się do domu. Słysząc było stłumiony śmiech Connora, który najwyraźniej miał kłopoty, by opanować niesforną towarzyszkę. Potem zapanowała dziwnie działająca na wyobraźnię cisza... Bóg jeden wie, jakie sprośności działy się za tymi kremowymi zasłonami z brokatu.

W trosce o cnotę młodego współnika Maggie powiedziała cicho:

- Nie powinieneś tego słuchać, Hugonie.
- Wcale nie słucham - skłamał.

Podmuch wiatru uderzył w mur kamienicy. Maggie chwyciła chłopaka za rękę. Spojrzała na furmankę z sianem, którą na wszelki wypadek ustawili pod oknem.

- Musimy skakać - stwierdziła z rezygnacją. - Oni zamierzają zostać tu chyba do rana.

- Może się tylko zdrzemnęli?

- Zdrzemnęli się! - Zirytowana dziewczyna podniosła głos. - Sądziś, że mieliby czelność zachowywać się tak nieprzyzwoicie w sypialni jego lordowskiej mości, kiedy w domu odbywa się przyjęcie?

- Jeżeli to jest lord Buchanan, to chyba tak - stwierdził Hugon. -  
Mężczyzna ma pewne prawa we własnym domu.

- W domu pełnym ludzi? To nieprzyzwoite.

Po wąskiej twarzy chłopaka przemknął grymas uśmiechu.

- To prawda. Ale jeśli się mylimy? Może oni po prostu sobie żartują.

- Żartują? Głuchy jesteś?

- Masz rację. Na pewno bawią się w chowanego. Maggie przygryzła wargę.

- Reporterzy z gazet wciąż czekali na niego na dziedzińcu, kiedy tamtędy przechodziliśmy. Ten człowiek ma najwidoczniej tylko jedno w głowie, i nie jest to związane z jego pracą.

Powstrzymała się od komentarza, że gdyby Hugon miał w głowie coś zamiast sieczki, nie byłiby teraz w tarapatkach.

Chłopak potarł uchem o ramię, żeby strząsnąć krople deszczu.

- Przepraszam, że upuściłem tę linę.

- Widocznie tak już musiało się stać - szepnęła Maggie z irytacją.

- Masz przynajmniej łom, więc wyważymy drzwi drugiego balkonu.

Hugon milczał.

Dziewczyna odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Masz łom, prawda?

- No... miałem, ale zapomniałem o dziurze w kieszeni. Przypuszczam, że się wyslizgnął, kiedy uciekaliśmy przed tym psem na wydmach.

- W takim razie uratować nas może jedynie twój wytrych. Hugo uśmiechnął się niepewnie. Maggie zamknęła oczy, błagając

Boga o cierpliwość.

- Wytrych też zgubiłeś?

- Ależ skąd! - Spojrzał w dół na furmankę pod domem. - Zostawiłem go na wozie, żeby nigdzie się nie zapodział.

- Co?! Do diabła, Hugonie, teraz będziemy musieli zeskoczyć na dół i wślizgnąć się przez pomieszczenia dla służby, jeśli, oczywiście, nie połamiemy sobie wcześniej kości. Stanę na czatach, a potem się spotkamy...

Chłopak drgnął niespokojnie.

- Słyszałaś? - szepnął.

Maggie przywarła mocniej gołymi stopami do gzymsu i spojrzała na ulicę. Jeszcze kilka minut temu miała na nogach białe atlasowe

pantofelki, lecz nagle mężczyzna z sypialni otworzył drzwi balkonowe, prawdopodobnie by ostudzić nieco gorącą atmosferę panującą w pokoju. Maggie i Hugon, jak wiewiórki, odskoczyli gwałtownie w bok za gałęzie drzewa.

Jeden z pantofelków dziewczyny wylądował dokładnie na środku balkonu. Drugi spadł na ulicę razem z liną. Musiała ściągnąć pończochy, żeby się nie ślizgać. Powiewały na jednym z niższych konarów kasztanowca rosnącego tuż przy kamienicy.

W napięciu patrzyła na potężnego lokaja w złoto - czarnej liberii, który wyszedł właśnie przed dom. Sądząc po jego ciężkich krokach i miotanych pod nosem przekleństwach, nie był w najlepszym nastroju.

Podniósł pantofel Maggie i z rozmachem cisnął go za bramę.

- Buty na ulicy... Czy ludzi obchodzi, że muszę zbierać to, co oni tam z góry wyrzucają? Czy ich obchodzi, że nie mogę w tym cholernym pancerzu złapać oddechu jak spętany noworoczny indyk? - Zatrzymał się nagle i wrzasnął: - A co to za idiota zostawił furmankę przed samym domem?!

Potężny grzmot przerwał szum ulewy. Wiatr uderzał w mury kamienicy. Ciemne włosy Maggie wysunęły się ze spinek i szarpane podmuchami fruwały wokół twarzy. Stan jej ducha bardzo pasował do tego obrazu - z największym wysiłkiem próbowała opanować niepokój i plątaninę sprzecznych uczuć.

- Boję się, Hugonie - powiedziała głośno. - Stanie się coś złego. Ta burza to znak od Boga.

- Wszystko w imię sprawiedliwości, Maggie.

- Sprawiedliwość... - Głos uwiązł jej w gardle. - Jestem teraz kryminalistką. Ja, córka księcia, która nigdy niczego nie ukradła.

Z jednym wyjątkiem. Zadrzała lekko na to żenujące wspomnienie sprzed lat. Dzisiejsza noc wyznaczy bez wątpienia kolejny krok milowy w jej życiu, które od długiego już czasu nie było łatwe. Miała tylko nadzieję, że rodzice, którzy byli dla niej zawsze uosobieniem szlachetności, spojrzą na nią z nieba ze zrozumieniem. Miała nadzieję, że wybaczą córce pomoc bezdomnemu staremu człowiekowi, któremu grozi kara śmierci, jeśli ona, Maggie, nie udowodni jego niewinności.

Rodzice wybaczyli jej jedenaście lat temu, że ukradła kolczyki starszej siostrze, Jeanette.

Cała rodzina spędzała wtedy Boże Narodzenie u krewnych w Szkocji. W kolejne święta niezbyt liczny, ale zwarty klan Szkotów i

Francuzów - Saundersów i Saint - Evremondów - planował wspólne spotkanie w zamku we Francji, gdzie Maggie mieszkała z najbliższą rodziną.

Niecałą godzinę po kradzieży kolczyków Maggie została przyłapana z nieszczęsnymi klejnotami i skazana na tymczasowy areszt na strychu, podczas gdy reszta rodziny świętowała na dole przy uroczystej kolacji.

Przyjęła wyrok ze stoickim spokojem godnym córki szlchetnego rodu. Nie był to pierwszy raz, gdy członek rodziny Saint - Evremondów uległ urokowi pięknego drobiazgu. Wśród przodków Maggie znalazło się kilka słynnych kurtyzan i królewskich faworyt.

Banicja na strychu byłaby z pewnością dotkliwą karą, gdyby starszy brat Maggie, Robert, nie ulitował się nad siostrą i nie przemycił na górę potężnej porcji świątecznego biszkoptu z kremem. Potem Jeanette poczuła się winna, że drażniła się z młodszą siostrą, przechwalając się kolczykami. W ramach zawarcia pokoju przyniosła na strych półmisek z pieczoną jagnięciną i ziemniakami.

Zanim Maggie się zorientowała, cała rodzina fetowała Boże Narodzenie na zimnym strychu i były to najwspanialsze święta, jakie razem spędzili.

Były też ostatnie.

Tak, kradzież to przestępstwo. Już wtedy zdawała sobie z tego sprawę i wiedziała, że słusznie ją ukarano.

Wiele lat później nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego odebrano jej wszystko i wszystkich, których kochała i potrzebowała. Dlaczego ją jedną skazano na przeżycie i trwanie ze świadomością tak okrutnej straty.

Demony, o których istnieniu nie miała wcześniej pojęcia, w ciągu jednego wieczoru zamieniły jej życie w koszmar.

To nie było sprawiedliwe.

Rodzice nauczyli ją odróżniać dobro od zła. Wpoili jej swoje szlchetne ideały i przekazali dobroć serca. Żałowała, że nie ostrzegli jej, iż sprawiedliwość nie zawsze triumfuje.

By ostatecznie zwyciężyła, trzeba czasem posunąć się do kradzieży.

Wrzaski majordomusa przywróciły ją do rzeczywistości. - Zabierzcie tę przeklętą furmankę z podjazdu! - krzyczał do lokai wezwanych z posterunku na schodach przed drzwiami. Lokaje

wykonali jego polecenie i wóz, kolebiąc się na boki, z gruchotem potoczył się w dół ulicy i zniknął w ciemnościach. Maggie straciła ostatnią nadzieję. Teraz nie pozostało im nic innego, jak włamać się do domu.

- Niech to diabli - powiedziała załamana. - Mamy dzisiaj prawdziwe szczęście.

Hugon zerknął w dół.

- I tak muszę zeskoczyć po linę.

- Zostań. Poczekamy, aż oni zrobią swoje w tym pokoju. Nie zajmie to chyba...

Zanim dokończyła myśl, z sypialni dobiegł kolejny wybuch śmiechu, drzwi gwałtownie się otworzyły i na balkon wybiegła kobieta. Miała rozwiane rude włosy i wysoko uniesione ręce, jakby chciała objąć ramionami deszcz.

- Popatrz! - krzyknęła przez ramię do mężczyzny w pokoju. - Jak wspaniale... Taka cudowna burza dla uczczenia twojego sukcesu!

Podniosła ręce do granatowego nieba jak pogańska bogini i wykonała piruet, z rozkoszą poddając swoje powabne ciało zacinającym strugom deszczu. Maggie nie wierzyła własnym oczom; właśnie zdała sobie sprawę, że ta szalona istota odstawia tańce w samej bieliźnie. A mężczyzna miał rację - pantalonów miała włożone tyłem do przodu.

Na miłość boską, Ardath, wracaj do środka, zanim ktoś cię zobaczy. - W głosie mężczyzny słychać było lekką irytację, ale i rozbawienie.

Słowa te nie zrobiły specjalnego wrażenia na jego rozentuzjasmowanej partnerce. Kobieta odprawiała teraz coś w rodzaju rytualnego tańca, klaskała, podskakiwała, zataczała kółka po całym balkonie i zawodziła śpiewnie ku niebiosom.

- Co ty, do licha, wyprawiasz, Ardath?

Maggie kątem oka dostrzegła przesuwający się potężny cień. Wtuliła twarz w poję płaszcza, zbyt przerażona, żeby oddychać. Czyżby to był ten podły Connor Buchanan we własnej osobie?

Cień przesunął się do przodu, dokładnie w pole widzenia Maggie. Mężczyzna był potężnie zbudowany i poruszał się z przykuwającą uwagę pewnością siebie. Długie jasne włosy powiewały na wietrze. Na szczęście był kompletnie ubrany. Miał na sobie czarne spodnie i białą płócienną koszulę. Próbował właśnie zawiązać pod szyją



batystowy fular. Maggie nie widziała twarzy mężczyzny, ale przemknęło jej przez myśl, że może to i lepiej. Biła od tej postaci taka niebezpieczna energia, że wolałaby uniknąć bezpośredniego starcia.

- Czy ty postradałaś zmysły, Ardath? - spytał spokojnie. Oparł się biodrem o balkon, wysuwając łokieć za balustradę.

Gdyby odwrócił głowę i popatrzył uważnie przez gałęzie drzewa, zobaczyłby dwie postacie przytulone do muru kamienicy.

W tej chwili końce jego powiewających na wietrze włosów dotykały płaszcza Maggie. Jedyńą - niepewną - barierę między nimi stanowiły liście na gałęzi. Ostry kontur profilu Buchanana rysował się złowieszczo na tle nocnego nieba.

Ach, więc to jest właśnie Connor Buchanan, człowiek, który w zamian za sukces sprzedał duszę diabłu. W rzeczywistości był bardziej przerażający, niż ludzie opowiadali.

Odprawiam pogański taniec zaklęcia deszczu, który zademonstrował nam w tym miesiącu profesor Macbean - powiedziała Ardath. - Mieszkał kiedyś przez prawie cały rok wśród tubylców na małej wulkanicznej wysepce.

- Ostatniego lata twój profesor wykladał na temat lwów i jednorożców. Spodziewam się, że z nimi też mieszkał? - skomentował ironicznie jej towarzysz.

- Jesteś cyniczny. W nic nie wierzysz. Nie psuj mi zabawy.

- Chodź do pokoju, Ardath - polecił stanowczo. - Jego wielebność biskup Abernathy zamęczy mnie wyrzekaniem, co też za dziwne rzeczy dzieją się w moim domu. Jak zwykle ja będę wszystkimu winien.

Maggie przywarła plecami do ściany. Głęboki, autorytatywny głos mężczyzny przyprawił ją o skurcz mięśni. Wczoraj po południu przed budynkiem sądu po raz pierwszy widziała z daleka słynnego Connora Buchanana. Wysoka, potężna sylwetka w czarnej todze i peruce przykuwała uwagę wszędzie, gdziekolwiek się pojawił, jakby to on stanowił prawo i sprawiedliwość.

Przy swoim niewielkim wzroście Maggie utonęła w tłumie, prawie nic nie widząc ponad ciżbą podekscytowanych adoraterek, reporterów z gazet i prawników, którzy podążali krok w krok za swoim charyzmatycznym idolem. Wciąż pamiętała to dziwne podniecenie, jakie wywoływała jego obecność. Dziewczyna prawie

zapomniała, że powinna go nienawidzić, była bowiem pod tak silnym wrażeniem.

W mieście grasował morderca, a niedawno mianowany oskarżyciel publiczny, lord Buchanan, wyciągnął zeznania z podejrzanego.

Podejrzany był, niestety, jeden z najserdeczniejszych przyjaciół Maggie, stary, trochę niesprawny umysłowo włóczęga. Pod wpływem emocji dziewczyna zgodziła się pomóc Hugonowi wykraść zeznanie staruszka z domu Buchanana. Niezadowolona ze służby u Connora pokojówka, znajoma Hugona, twierdziła, że dokument powinien się znajdować w prywatnym gabinecie jego lordowskiej mości.

- Pogańskie tańce mają na celu wywołanie deszczu - zauważył Connor, cofając się pod okap nad balkonem. - Już pada, a ty nie jesteś plemienną czarownicą. Poza tym oboje ociekamy wodą. Nie wspomnę już o nadjeżdżających gościach.

- Wcale tak strasznie nie pada - zaprotestowała Ardath, wywijając dłońmi dziwne esy - floresy nad głową.

Connor podniósł głos.

- Leje jak z cebra. Czego ty chcesz, potopu?

Jakby na jego życzenie, nagły grzmot przetoczył się po niebie w okolicy ciemnej bryły Zamku Edynburskiego, majaczącego na szczycie bazaltowej skały. Błyskawica bezlitośnie oświetliła ścianę kamienicy. Maggie wstrzymała oddech, kuląc się w przemoczonym płaszczu. Z każdą chwilą jej nerwy były coraz bardziej napięte.

Biały pantofelek zdradziecko zajaśniał na samym środku balkonu. Zaraz Connor albo jego przyjaciółka zorientują się, że w domu jest ktoś obcy. Maggie poczuła, że strach zaciska jej gardło. Dlaczego porwała się na tak szaleńczy pomysł?

- Spójrz na niebo! - zapiszczała w zachwycie Ardath. - Czy to nie cudowne?

Connor zamruczał coś pod nosem, obserwując podjeżdżający pod dom powóz. Goście przemykali do wejścia, starając się uratować wieczorowe kreacje przed strugami deszczu.

- Tylko tego mi potrzeba... - powiedział cicho. - Nie mam już prywatnego życia. Wrogowie czyhają na najmniejszą szansę, by mnie zniszczyć.

Zirytowany wyczynami swojej towarzyszki, wychylił się, żeby wciągnąć ją do pokoju.

Nie było to jednak łatwe zadanie.

Wczepiła się w niego jak ośmiornica, obłapując ramiona, tors, twarz i targając fular, który przed chwilą udało mu się porządnie zawiązać. W końcu Connor chwycił kobietę jedną dłonią za nadgarstki i przytrzymał nad jej głową.

Zamknęła oczy, drżąc w oczekiwaniu.

- Uwielbiam, kiedy tak robisz.
- Już nigdy nie pozwolę ci pić whisky na pusty żołądek.
- Ooch. Kobiety ubóstwiają, kiedy używasz tego nie znoszącego sprzeciwu tonu, żeby im pokazać, gdzie jest ich miejsce.

- Jutro rano głowa będzie ci pękała z bólu.

- Pokaż nam, gdzie nasze miejsce, ty bestio... mój nieposkromiony wikingu... Co ci się nagle stało? Toczysz wzrokiem jak dziki zwierz.

Zacisnął uścisk na jej dłoniach.

- Nie przyszło ci do głowy, że ktoś może nas obserwować?
- Ktoś? - Ardath znieruchomiała. - Ktoś niebezpieczny? Jak ten morderca, którego ścigasz?

- Nie. Ktoś bardziej przerażający, na przykład twoja matka albo któraś z moich sióstr.

Ardath uśmiechnęła się ironicznie i popchnęła go w drugi kraniec balkonu.

- Ta noc, kiedy mnie uwiodłeś, była zupełnie taka sama jak dziś.
- Ale to nie było na balkonie.
- Oczarowałeś mnie w deszczu.
- Chyba nie, Ardath. Z tego, co pamiętam, na niebie nie było tamtej nocy ani jednej chmurki.

- Gwiazdy rzuciły urok? Connor uniósł brew.

- Naprawdę mam nadzieję, że nikt z gości nie słyszy tej rozmowy.

- Kochałeś mnie jak burza?

Roześmiał się cicho. Ciepły ton w jego głosie kontrastował z surowością rysów twarzy.

- Wejdz do pokoju, ty szalona kobieto.
- Gazety nie znają nawet połowy prawdy. - Zniżyła prowokująco ton. - Jeśli im się wydaje, że w sali sądowej jesteś prawdziwym lwem, to powinni cię zobaczyć...

Connor gwałtownie podniósł głowę. Na jego twarzy nie było teraz ani śladu rozbawienia.

- Słyszałaś?

- Czy co słyszałam?

- Jakby ktoś zakaszłał. Przysięgłbym, że to kobieta.

Puścił dłonie Ardath i wychylił się na ulicę. Przesuwając się do barierki, nastąpił na biały pantofelek. Maggie skurczyła się przerażona, czekając na nieunikniony moment, kiedy Connor zacznie się zastanawiać, skąd też na jego balkonie znalazł się pantofel jakiejś obcej kobiety.

Ardath była tak zajęta chwytaniem kropli deszczu koniuszkiem języka, że niczego nie zauważyła. Connor natomiast, zgodnie z przewidywaniami Maggie, odwrócił się powoli od barierki i podszedł do miejsca, gdzie leżał pantofel. Jakimś cudem wciąż go nie widział.

Nagle spojrzał pod stopy i uniósł brwi. Maggie zeszywniała, oczekując najgorszego.

- Ardath - powiedział i od niechcienia wrzucił pantofel do pokoju

- wolałbym, żebyś nie zostawiała swoich rzeczy po całym domu, kiedy odwiedzają mnie siostry. Nora wciąż zrzędzi na temat twojego gorsetu znalezionego w wiadrze na węgiel. Nie ma wielkiego zrozumienia dla naszej przyjaźni.

- Nora to ograniczona umysłowo idiotka. Była zachwycona, kiedy jej powiedziałam, że nie jestem twoją kochanką prawie od...

- Cicho! - Głos przeciął ostro szum wiatru. - Przysięgam ci, że ktoś nas obserwuje.

Connor podszedł do przeciwnego krańca balkonu i na chwilę znieruchomiał. Potem, jakby za podszeptem szatana, podniósł wzrok na drzewo, którego targane wiatrem gałęzie ocierały się o mur kamienicy.

Maggie ogarnęło jakieś złe przeczucie, kiedy przez tańczące na wietrze liście spojrzała na jego twarz. Była naznaczona niewidzialnymi bliznami, jakby Connor stoczył setki bitew, z których tylko kilka przegrał. Ostre rysy, mocno widoczne kości policzkowe... Biła od niego zuchwała siła celtyckiego wojownika.

Taką twarz pamięta się do końca życia.

Trwało to ułamek sekundy. Buchanan odwrócił się równie niespodziewanie. Maggie odetchnęła, czując, że ledwie trzyma się na miękkich nogach. Nie spostrzegł jej. Mimo chwilowej ulgi nie mogła

się otrząsnąć z piorunującego wrażenia, jakie wywarł na niej ten mężczyzna.

Gazety okrzyknęły go najpotężniejszym człowiekiem w Szkocji. Miał nieograniczone wpływy w armii i wśród polityków. Jego błyskotliwa kariera opisywana była już w książkach. Lecz we wsławionych złą reputacją dzielnicach, gdzie Maggie znalazła dom, nazywano go Adwokatem Diabła.

I przeczuwała ze zgrozą, że dowie się dlaczego.

## Rozdział 2

Connor złapał Ardath za pantalony i pociągnął w głąb pokoju.

- Mam pomysł - powiedziała, przytulając się do jego piersi. - Zabawmy się jeszcze raz, ale teraz tylko w postaci z Szekspira. Przrzekam, że nie będę oszukiwać.

Westchnął, zamykając drzwi balkonu. Śmiech Ardath odbił się echem w sypialni.

- Jesteś kompletnie szaloną kobietą, Ardath Macmillan. Jestem przekonany, że ktoś nas tam obserwował.

- A może wolisz zabawić się w ciuciubabkę? Uśmiechnęła się zalotnie i sięgnęła po szklanę z whisky stojącą

na nocnym stoliku. Zanim zdążyła podnieść trunek, Connor chwycił ją w ramiona i delikatnie odciągnął pod zamknięte drzwi balkonu.

- Dziękuję, że dziś przyszedłeś - powiedział cicho. - Wiem, że razem ze swoim profesorem planujesz wyjazd na poszukiwanie praceltyckich zabytków po Piktach.

Przełknęła ślinę, starając się nie okazać poruszenia, i wplotła palce w niemodnie długie włosy Connora.

- Jakim okazałabym się przyjacielem, gdybym się nie stawiała na świętowanie twojego zwycięstwa? Zresztą Mateusz rozumie sytuację. Fakt, że nie jesteśmy już kochankami, nie musi oznaczać, że staniemy się wrogami.

- Czy on przyjdzie dziś wieczorem? - Connor uniósł brew.

- Zaprosiłam go, ale wiesz, jak myślę mu się daty i spotkania. Poza tym jest pochłonięty planowaniem naszej podróży po nawiedzanych przez duchy zamkach.

- Żałosny stary sukinsyn... - Connor wykrzywił się w ponurym uśmiechu. - Chociaż nie, ma szczęście, że zdobył twoją lojalność.

- On mnie naprawdę potrzebuje. - Ardath westchnęła. - Ten kochany człowiek jest tak oderwany od rzeczywistości, że czasem się boję, że kiedyś nie wróci z jakiejś wyprawy. Powinieneś z nami pojechać tym razem, Connor. Masz jeszcze dobry miesiąc wolnego przed objęciem urzędu.

- Nie - odpowiedział posepnie. - Od lata nie miałem żadnej wiadomości od Rebeki, a ostatni list, który raczyła napisać, brzmiał, jakby czuła się bardzo samotna. Chciałem pojechać do Kilcurrie, gdy tylko zapadnie wyrok w tej sprawie o gwałt. Mam nadzieję, że uda mi

się przekonać ją do powrotu tutaj, gdzie mogłaby przynajmniej spotkać ludzi w swoim wieku.

- Zapomniałam o Rebecce.

Ardath posmutniała. Rebeka była drugą ze starszych sióstr Connora. Na skutek upadku z konia od dzieciństwa była ułomna i mieszkała samotnie z całą sforą poranionych zwierząt. Opiekowała się nimi i przywracała je do zdrowia w chacie na odludnym krańcu górskiej posiadłości brata.

- Jest tam chyba bezpieczna ze swoimi ukochanymi stworzeniami. Twój sąsiedzi o niej nie zapominają, prawda?

- Tak, ale mimo to martwię się o nią - powiedział Connor marszcząc czoło. - To niezgodne z naturą, żeby młoda kobieta mieszkała sama w lesie. A teraz ubieraj się i nie odstawiaj czasem tego barbarzyńskiego tańca wokół stołu.

- Czy kiedykolwiek narobiłam ci wstydu przed ludźmi?

- Nie, jeśli nie liczyć tego razu, kiedy uszczypnęłaś w tyłek lokaja na pogrzebie prezesa sądu.

Ardath parsknęła śmiechem.

- Powinieneś się raczej martwić o Sheenę. Wspomnienie nieporozumień z najmłodszą siostrą ostatecznie odebrało Connorowi ochotę do żartów, Z pochmurną miną włożył czarną atlasową kamizelkę i podniósł z łóżka surdut.

- Dziś rano miała całkiem dobry nastrój - powiedział po chwili namysłu.

- W zeszłym tygodniu była strasznie przygnębiona. Naprawdę kochała tego mężczyznę.

Connor wzruszył ramionami. Wieczorowy strój podkreślał jego potężną męską sylwetkę i naturalną elegancję.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości. Jak, na miłość boską, moja własna siostra mogłaby się zakochać w oszuście? Wyłudzał od starszych kobiet oszczędności ich całego życia.

- Dopuścił się tego tylko dwa razy, Connor. Stara się spłacić dług wobec swoich ofiar. Zdarzyło ci się chyba zrobić w życiu coś, czego się wstydzisz, prawda?

Twarz Connora pociemniała ostrzegawczo, Ardath udawała jednak, że tego nie dostrzega. Zabronił jej wspominać o swojej przeszłości.

- Wiem, że miałeś swoje powody - dodała pojednawczo. - I wiem, że to nie to samo, ale ona naprawdę go kocha. Święcie wierzy w jego nawrócenie.

- Pokocha młodego wicehrabiego, którego zaprosiłem do nas dziś wieczorem. Sheena nie ma pojęcia, co jest dla niej dobre.

Ardath wstrzymała oddech, kiedy zaczął ściągać wiązanie z tyłu jej sukni.

- Niewielu z nas to wie - zauważyła.

- Już dawno temu poskromiłem zapędy, które prowadziły mnie jedynie na manowce - stwierdził Connor spokojnym tonem. - Wiem, że byłem surowy wobec siostr, ale tylko dla ich dobra.

- Przrzekłam sobie, że nie będę się dziś z tobą kłócić. - Powstrzymała westchnienie, kiedy odgarnął jej kosmyk włosów na karku. - I nie mówmy o tym więcej, bo zmarnujemy sobie przyjęcie.

- A mnie naprawdę będzie brakowało radosnych chwil spędzonych z tobą. Jesteś najuczciwszą kobietą, jaką znam, Ardath.

Zacisnęła wargi.

- Rozplacę się przez ciebie - szepnęła. - Nie widzimy się przecież ostatni raz. Ale najwyższy czas, żebyś znalazł kogoś miłego, z kim zechcesz się ustatkować... Ustaliliśmy to, prawda?

- Tak. Ustaliliśmy. - W jego głosie zabrzmiała nuta żalu.

Ardath pożyczyła mu pieniądze, kiedy nie miał grosza. Poznała go z wpływowymi ludźmi, gdy zaczynał budować swoją karierę. Pozostała u jego boku w momencie pierwszej zawodowej klęski.

On zaś opiekował się nią i chronił przed mężczyznami skłonnyimi wykorzystywać jej szlachetność. W wieku, gdy kobieta może się już cieszyć pewną swobodą, Ardath znalazła kompana, który potrafił docenić fantazję i inteligencję, a jej ekscentryczne czasem pomysły serdecznie go bawiły. Connor był przy niej również, kiedy pięć lat temu jedyny syn Ardath popełnił samobójstwo.

Łączyło ich zaufanie, seks i wzajemny szacunek. Nie byli w sobie zakochani, nawet nie spotykali się często, ale nic nie mogło zagrozić ich przyjaźni.

Poza tym Ardath miała swojego profesora i zajęcia związane z działalnością dobroczynną, co całkowicie wypełniało jej życie, i po dwudziestu latach związku pozbawionego miłości nie zamierzała powtórnie wychodzić za mąż.



Wielokrotnie powtarzała Connorowi, że powinien się ożenić i założyć rodzinę. On sam zaczął się niedawno zastanawiać, czy Ardath przypadkiem nie ma racji. Osiągnął sukces, zdobył władzę, praca dawała mu satysfakcję. Jednak w jego życiu brakowało czegoś bardzo ważnego. Nikt nie znał go takiego, jakim naprawdę był.

Owszem, słyszał plotki na swój temat. W kobietach wzbudzał fascynację albo przerażenie i, całkiem szczerze mówiąc, rozgłos wokół jego osoby wprawiał go w lekkie zażenowanie. W głębi serca był szkockim góralem o prostych potrzebach i kierowały nim zawsze emocje, choć z czasem nauczył się je skrywać.

Z kamienną twarzą czekał, aż Ardath upnie włosy na karku w kształt ósemki i zakryje kuszący dekolt koronkową chustą. Na koniec, by dopełnić przemiany, włożyła niezbyt twarzowe okulary w żelaznej oprawce i patrząc na swoje odbicie w lustrze, z zadowoleniem skinęła głową.

Connora zawsze zadziwiał kontrast między spontaniczną kobietą, jaką była prywatnie, i fasadą statecznej damy, którą prezentowała publicznie.

- Otóż i pani Ardath Macmillan - powiedziała lekkim tonem. - Bogata wdowa, dobrodziejka Towarzystwa Pomocy Sierotom i...

- Pogańska bogini deszczu - wtrącił Connor, potrząsając z rozbawieniem głową. - Mój Boże, jakże pozory mogą mylić. Czasem wydaje mi się, że jest was dwie.

Uszczypnęła go w pośladek, ruszając do drzwi.

- Wtedy to wcale nie był lokaj, tylko karawaniarz. Connor zatrzymał się na progu, żeby pocałować ją w policzek.

Ardath odchyliła się z rezerwą, pamiętając o gościach na dole. Mimo iż jeszcze przed chwilą zachowywała się tak frywolnie, zależało jej, by reputacja gospodarza domu pozostała bez zarzutu.

- Baw się dobrze - powiedziała czule, uwalniając się z jego ramion. - Zasłużyłeś na to.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się zalotnie, ale jego oczy pozostały chłodne. - Jesteś pewna, że nie chcesz za mnie wyjść za mąż?

- I zniszczyć mit o twoich bezceństwach? Ani mi się śni. Kiedy odeszła, cofnął się na chwilę do pokoju, by nie wzbudzając

niczyich podejrzeń, zdążyła zejść na dół. Rozejrzał się; gdy okno zatrzeszczało pod naporem wiatru, wróciło to niemiłe uczucie, które ogarnęło go na balkonie. Był gotów poświęcić część prywatnego życia

w imię kariery zawodowej, ale nie do tego stopnia. Czuł się szpiegowany.

Tak, matka Ardath mogła ich obserwować. Ta kobieta nie miała nic lepszego do roboty. Ale jeszcze bardziej prawdopodobne było, że to jedna z jego sześciu siostr szuka powodu do kolejnej zwady. Te czarownice od lat zamieniały życie Connora w udrękę. Przywykł już, że ma przez nie same kłopoty.

Tworzyli jednak mimo wszystko zżyłą rodzinę. Ich rodzice byli dumnymi Szkotami, kochającymi i prawymi ludźmi. Ojciec, prokurator okręgowy, poświęcił życie dla obrony porządku publicznego. Kochał swoją pracę i przekazał jednemu synowi głębokie poczucie odpowiedzialności. Jego przedwczesna śmierć z rąk ściganego przestępcy okazała się zbyt silnym ciosem dla matki Connora. Zmarła ze zgrzyoty siedem miesięcy po stracie męża.

Pierwsze lata opieki nad siostrami były dla niedoświadczonego młodzieńca, który sam wchodził dopiero w wiek męski, prawdziwym piekłem. Connor nie miał pojęcia, jak dawać sobie z nimi radę; niezbyt też dobrze radził sobie z własnymi emocjami. Przede wszystkim, oczywiście, starał się zapewnić rodzinie bezpieczeństwo.

Sięgnął dłonią do napiętych mięśni karku. Trudno uwierzyć, jak przetrwał wszystkie zmartwienia z dziewczętami. Ich spotkania z podejrzanymi młodzikami, kłamstwa, szachrajstwa, przepuszczanie tych niewielkich oszczędności, jakie Connorowi udało się zgromadzić, na perfumy i fatałaszki. Wypadek Rebeki, kiedy w wieku dwunastu lat spadła z nie ujeżdżonego konia i złamała biodro.

Nieźle ziółka były z tych dziewcząt, Connor zresztą też nie należał do świętych i swego czasu musiał się wyszumieć.

Cóż, z pomocą bożą, dziś się pozbędzie ostatniej siostry. Sheena, najmłodsza, była najbardziej zbuntowana i sprawiała najwięcej kłopotów. Jednak Connor nie zaszedłby tak daleko w życiu, gdyby nie miał cennej umiejętności perswazji. Dopuszczał się nawet czasem drobnych niedomówień, by osiągnąć cel. Przedstawił tak ujmujący obraz cnót siostry, że wicehrabia Lamond był już w niej prawie zakochany.

Connor miał nadzieję, że uda mu się wydać Sheenę za mąż przed końcem roku. Całkowicie pochłaniało go poszukiwanie mordercy, który siał postrach w mieście. Jego przyjaciele, zarówno prawnicy, jak ci, którym zdarzało się bywać po drugiej stronie bariery w sądzie,

pracowali bez wytchnienia, by wykryć sprawcę mordu popełnionego w zeszłym miesiącu w jednym z zaułków na starym bankierze i jego pomocniku.

Koledzy gratulowali mu już zeznań, które wczoraj wieczorem wyciągnął w areszcie od zapijaczzonego starego włóczęgi. Protokół leżał na biurku w gabinecie.

Zeznanie zeznaniem, ale ten biedny obdartus ani nikogo brutalnie nie obrabował, ani nie zamordował.

Connor był tego tak samo pewien, jak faktu, że ktoś obserwował jego i Ardath na balkonie.

Nie chciał jednak marnować uroczystego wieczoru na rozmyślanie o morderstwie i ściganiu przestępców. Walka w sądzie już niedługo zajmie wszystkie jego myśli, a dziś wieczorem, a właściwie przez cały nadchodzący miesiąc, miał zamiar cieszyć się swoim sukcesem i odpoczywać. Planował odwiedzić Rebekę i popolować w górach. Postanowił się dobrze bawić podczas dzisiejszego przyjęcia.

Kłopoty mogą poczekać.

Na ulicy pod balkonem prokuratora generalnego jakiś mężczyzna pochylił się, przyglądając się czemuś na mokrym bruku. Nadział na szpikulec laski połyskujący w rynsztoku biały przedmiot i uniósł go, by przypatrzeć się dokładniej w bladym świetle latarni.

Na pokierszowanym obcasie dyndał damski jedwabny pantofelek.

Mężczyzna oglądał go przez chwilę, po czym w zamyśleniu podniósł wzrok w stronę balkonu.

- Znalazłeś coś? - odezwał się głos z wnętrza stojącego obok powozu.

- Damski pantofel. Jeśli się nie mylę, z drzewa zwisają też jakieś pończochy. Chyba śmiało można wysnuć wniosek, że w domu jest kobieta.

### Rozdział 3

Sheena wciąż się nie pojawiała. Connor powinien się domyślać, że będą z nią dziś wieczorem kłopoty. Burzowe chmury zwiastujące nawałnicę zbierały się od kilku tygodni. Nie przebaczyła bratu, że zabronił jej widywać pewnego oszusta, a skandal towarzyski miał być jej zemstą.

Ruszył korytarzem oświetlonym gazowymi lampami. Służba milkła na widok jego pochmurnej, skupionej twarzy. Ardath zajmie się gośćmi podczas jego nieobecności; zostawił ją, gdy przymilnie namawiała generalnego radcę stanu do zadeklarowania dotacji na rzecz jednego z sierocińców. Matka Ardath, Bella, bezwstydnie flirtowała z wicehrabią, którego Connor upatrzył na męża dla Sheeny.

Dziewczyna prawdopodobnie gdzieś się ukryła, żeby go ukarać. Poirytowany zastanawiał się, jak siostra może oczekiwać, by traktowano ją jak dorosłą kobietę, skoro zachowuje się jak nieznośne dziecko. Wiedział, że zdarzało mu się być dla niej surowym, ale chodziło jedynie o jej dobro. Sama bowiem nie wykazywała ani odrobiny zdrowego rozsądku.

Zatrzymał się przed drzwiami jednego z małych pokoi. Jego uwagę przyciągnął cień w świetle świecy stojącej na kredensie. Po chwili zdał sobie sprawę, że to cień kobiecej postaci. Kobiety, której nigdy nie spotkał, był tego pewien. Samcze instynkty nagle dały o sobie znać. Było w niej coś niezwykle pociągającego. Wdzięcznego i delikatnego. Jakaś intrygująca aura. Kto to jest?

- Sheena? - spytał, mimo iż doskonale wiedział, że drobna postać, która odwróciła się zaskoczona, zupełnie nie przypomina posągowej figury jego jasnowłosej siostry. - Sheena? - powtórzył, wchodząc do pokoju. - To ty?

Stała sparaliżowana przy kredensie, jak sarna oślepiąca blaskiem pochodni myśliwego. Connor powstrzymał uśmiech, przyglądając się w blasku świecy jej twarzy; miała minę winowajcy przyłapanego na gorącym uczynku. Może ojciec zbeształ ją przed chwilą za jakąś towarzyską gafę. Wyraz bezradności dodawał jej jeszcze wdzięku.

Zauważył, że dziewczyna chowa rękę za plecami. Przesunął wzrok na kredens, gdzie ustawiono paterę z czekoladowymi ptysiami i butelki szampana w srebrnym kubelku z lodem. Znów powstrzymał uśmiech na myśl, że spotkanie z tą dziewczyną jest o wiele przyjemniejsze od kolejnej konfrontacji z czupurną siostrą.

W pierwszym momencie przyszło mu do głowy, że młoda nieznajoma, z regularnymi rysami i burzą ciemnych włosów spadających na plecy, wygląda jak średniowieczna księżniczka z francuskiej tapiserii. Było w niej coś nieskalanego. Wyjątkowego i zachwycającego. Connor naprawdę nie mógł się oprzeć wrażeniu.

Niesamowite. Młoda piękna kobieta przyłapana na pustoszeniu stołu z deserami. Był zafascynowany aurą tajemniczości, która się nad nią unosiła. Czyżby miała tu z kimś schadzkę? A może się przed kimś ukrywała? Oczywiście wyobraźni widział już młodych prawników, z którymi pracował, otaczających ją jak wataha wilków.

Uśmiechnął się pod nosem.

- Przepraszam. Najwidoczniej nie jest pani Sheena.

Nie odpowiedziała. Przyglądała mu się nieufnie. Connor zamknął drzwi na korytarz. W powietrzu unosiło się dziwne napięcie. Nie zważając na konwenanse, z przyjemnością przedłużał to niespodziewane spotkanie sam na sam. Zastanawiał się, skąd się tu wzięła. Może to córka Aarona Elliota, która podobno niedawno przyjechała ze szkoły w Marsylii. Aaron mówił, że przyprowadzi ją ze sobą. Zapomniał wspomnieć, że to prawdziwa piękność. Connor przyjrzał się uważnie delikatnym rysom jej twarzy.

- Nie ma pani nosa Elliota. Dziewczyna cofnęła się niepewnie.

- Doprawdy?

Zerknął na kredens i stwierdził ze zdumieniem, że musiała podwędzić co najmniej z tuzin ciastek i ukryć je gdzieś w fałdach ubrania. Na brodzie miała ślad po czekoladzie. Wyjął chusteczkę i delikatnie wytarł resztki ptysia.

Wstrzymała oddech, kiedy zbliżył dłoń do jej twarzy.

- Dowód rzeczowy - powiedział cicho, rozbawiony sytuacją, po czym niby mimochodem dotknął jej ramienia i spytał: - Czy próbowała pani szampana?

- Oczywiście, że nie. - Właściwie nie było to kłamstwo. Maggie rzeczywiście nie tknęła drogiego szampana, ale pod pachami, w specjalnie wszytych wewnętrznych kieszeniach płaszcza, ukryła dwie butelki.

Kradzież szampana była pierwszym przestępstwem, jakiego się do tej pory dopuściła. Chciała podarować go Hersztowi w Heaven's Court, mimo iż przywódca klanu wytrawnych kryminalistów, stary zbój Artur Ogilvie, nazywający odrapaną norę swoim domem, z

pewnością nie był wyrafinowanym znawcą francuskich win. Właściwie marzyła teraz, żeby się tu pojawił i zrobił coś z tym straszliwym zamieszaniem. Był równie świetny w swoim złodziejskim fachu, jak Connor Buchanan w ściganiu przestępców.

Maggie należała do tych nielicznych osób, które wiedziały, że Artur jest w gruncie rzeczy łagodnym olbrzymem, przyjacielem i podporą uciskanych. Na początku swego pobytu w mieście, po śmierci ciotki, pomogła mu, gdy podczas nadzorowania akcji niedoświadczonych kieszonkowców został potrącony przez omnibus. Złamał sobie wtedy nogę w kostce i zbił złoty zegarek. Tak przeraźliwie klął na całą ulicę, jakby miał wyzionąć ducha.

Wydała ostatnie pieniądze na dorożkę, żeby odwieźć go do domu, i od tamtej pory Artur stał się jej nieoficjalnym opiekunem.

Herszt zawsze odplacał zarówno za przysługi, jak i zniewagi. Zaoferował zagubionej, przestraszonej dziewczynie dom, opiekę, bezpieczeństwo i najdziwniejszą rodzinę, jaką kiedykolwiek widziała.

Głos Connora przerwał ciszę, przyprowadzając ją o ciarki na plecach.

- Na pewno nie chce pani skosztować szampana?

- Nie piję nic mocniejszego od herbaty - odpowiedziała, zastanawiając się w przerażeniu, co, do diabła, tak długo dzieje się z Hugonem i jak wydostać się z tej pułapki. Jakże ten diabeł wcielony ją tu znalazł?

Connor przyglądał jej się ciepło, z wyraźną satysfakcją, jakby był pewien zdobyczy.

- Doprawdy?

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Na Boga, on chyba nie próbuje z nią flirtować? Sytuacja stawała się nie do zniesienia.

- Owszem - odparła dobitnie i zacisnęła usta.

Zaśmiał się cicho i zanim się zorientowała, ta przystojna bestia obejmowała ją po przyjacielsku ramieniem.

- Proszę pozwolić mi wziąć pani płaszcz. Przy okazji, jestem Connor Buchanan, a pani musi być... nie, proszę nie mówić. Mam świetną pamięć do imion. Pani jest...

- Zmarznięta jak sople lodu. Proszę zostawić mój płaszcz. Brrr...

- Wydeła policzki i zatupała nogami, myśląc ze zgrozą, jak wytłumaczyłaby się nie tylko z ukrytego pod płaszczem szampana, ale i z czekoladowych ciastek, które pieczołowicie zawinęła w serwetki z

wyhaftowanymi monogramami Connora. Dzieci z Heaven's Court rzadko próbowały takich smakołyków. Tutaj nikt z pewnością nie odczuje braku kilku ptysiów.

Gospodarz ze zdziwieniem spojrział na buzujący w kominku ogień.

- Zmarznięta?

- Straszliwa dziś lodownia, prawda? Pewnie przez ten deszcz. Connor nie spuszczał z niej wzroku, z jednej strony zachwycony,

z drugiej trochę zdezorientowany. Była jak cudowna zjawą w świetle księżyca, która na zawsze rozpułnęłaby się w powietrzu, gdyby podszedł zbyt blisko albo spróbował jej dotknąć.

- Dlaczego nie spotkaliśmy się nigdy wcześniej? - zapytał z uśmiechem.

Maggie spojrziała na drzwi, unikając jego wzroku. Co ten Hugon tak się grzebie? Czy stało się coś złego? Miała za zadanie wywołać zamieszanie wśród gości, gdyby wpadł w jakieś tarapaty, ale było to zupełnie niemożliwe, bo jego lordowska mość krążył wokół niej jak nieustęplicy anioł stróż. Teraz nie wiedziała już nawet, jak uda jej się niepostrzeżenie wymknąć po schodach na dół.

- Nie bywam często w towarzystwie - odpowiedziała roztargnionym tonem, zdawszy sobie sprawę, że Connor czeka na odpowiedź. - Jestem... odludkiem.

- Ależ niemożliwe.

Uniosła brwi, powoli odwracając wzrok od drzwi.

- Nie lubię ludzi.

- Ale lubi pani czekoladowe ptysie.

Maggie zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Bała się własnej reakcji.

Piwnie oczy. Gęste brwi, głęboki rowek w brodzie. Doświadczenie starło z twarzy tego mężczyzny wszelkie ślady łagodności, ale w ostrych rysach była pewna elegancja. Mówiono, że to surowy człowiek. Nikt jednak nie wspominał nigdy o pobłażliwości i naturalnym cieple, które wyczuwało się pod maską tej surowości. Maggie zauważyła to już w sposobie, w jaki traktował i rozmawiał z tą kobietą na balkonie. Trzeba przyznać, że ma ludzkie odruchy, w końcu to taki sam człowiek jak każdy inny. Choć ani odrobinę mniej groźny, niż ją uprzedzano.

- Sądzę, że może pani wypić kieliszek szampana - powiedział wesoło. - Ten należy naprawdę do najlepszych.

- Clicquot - Ponsardin - stwierdziła z westchnieniem. - Ulubiony papy.

Ta uwaga zdziwiła Connora. Zawsze uważał Aarona Elliota za bęcwałę, który woli żłopać piwo z butelki i ma zwyczaj czekać Przy stole. Córka, ze swoją delikatnością i intrygującą nieśmiałością, nie bardzo do niego pasowała.

Postanowił rano wysłać dyspozycje do kwiaciarni. Każe wybrać dla niej jakiś niezwykły bukiet, frezje albo lilie, coś równie subtelnego jak ona.

- Proszę wypić za mój sukces - nalegał.

Maggie cicho jęknęła. Buchanan najwyraźniej nie należał do ludzi, którym się odmawia.

- Może po kolacji.

- Po kolacji nie będzie już po nim śladu. Goście nie zostawią ani kropelki.

Strach, żar bijący od kominka i dominująca obecność Connora przyprawiały ją o zawrót głowy. O zdjęciu płaszcza, oczywiście, nie było mowy bez wyjaśnień na temat skradzionego szampana i ciastek. Poza tym nie chciała, by ich spotkanie nabrało zbyt intymnego charakteru.

- Połowa butelek eksplodowała w drodze z Francji - swobodnie ciągnął Connor. Było mu zupełnie obojętne, o czym rozmawiają, dopóki mógł zatrzymać ją w pokoju. - To ten tajemniczy proces sedymentacji... stąd szampan musuje. Podobno korki strzelają czasem z taką siłą, że winiarze noszą maski, kiedy wchodzi do piwnic, gdzie leżakują butelki. Zupełnie nieprzewidywalne zjawisko.

Krew zaczęła uderzać Maggie do głowy. Na chwilę rozproszył ją lekki zapach wody kolońskiej gospodarza.

- Naprawdę nie powinnam... - Wyśle ją do kolonii karnej na Tasmanii, kiedy odkryje, że jest złodziejką. Herszt mówił, że są tam nietoperze - wampiry, które wysysają ludziom podczas snu krew przez palce u nóg.

Pomyślała o swoich palcach u nóg. Boże, a jeśli on zauważy, że jest boso?

- Ależ bardzo proszę - nalegał. - Wzniesiemy nasz prywatny toast. - Sięgnął po butelkę za plecami Maggie i wprawnie zdjął drucik



przytrzymujący korek. Dziwnie się czuł przy tej dziewczynie. Niepokoiło go trochę, że tak bardzo go zainteresowała. To zupełnie nowe doświadczenie, żeby kobieta zbijała go z tropu. Przez sekundę nie wiedział, co robić dalej.

Nagle szampan wystrzelił. Maggi odruchowo podskoczyła, ale opanowała się, kiedy podał jej kieliszek i go napełnił. Dziś toast, jutro Tasmania. Zdążyła niepewnie wypić jeden łyček, gdy Connor niespodziewanie odstawił kieliszek i chwycił ją za ramię.

- Była pani zmarznięta. Proszę podejść bliżej kominka. Chcę pani coś pokazać.

Jego dotknięcie wywołało u Maggie skurcz żołądka.

- Nie jest mi już zimno. Mówiłam, że zmarzłam? Strasznie mi gorąco. Prawdę mówiąc, czuję się ugotowana. - Powachlowała się wolną dłonią. - Oj... upał tu jak w piecu. Jak pan to wytrzymuje? Chyba wymknę się na chwileczkę zaczerpnąć świeżego powietrza...

Roześmiał się, zastępując jej drogę.

- A może po prostu zdejmie pani ten mokry płaszcz i dokończy szampana?

Maggie odwróciła wzrok i pociągnęła duży łyk. Trzeba przyznać, że ten szatan ma sporo uroku. Kiedy odkryje zniknięcie zeznania, rozpęta się piekło. Maggie z całego serca pragnęła zniknąć z jego pola widzenia, zanim do tego dojdzie.

- Goście z pewnością pana oczekują, milordzie - powiedziała z naciskiem.

Na gospodarzu nie zrobiło to żadnego wrażenia. Miała w sobie coś, co kompletnie mąciło mu myśli. Poza tym umierał z ciekawości, jak wygląda pod tym płaszczem. Była drobnej budowy, co mógł stwierdzić po dłoniach. Otaczająca ją tajemnica jeszcze bardziej go podniecała.

- Przyszła pani na przyjęcie, prawda?

Przełknęła ślinę, starając się nie zakrztusić. Nie skrywany żar jego spojrzenia odbierał jej oddech. I przerażał. Nagle poczuła się przytłoczona obecnością tego mężczyzny, potężną postacią, władzą, jaką dysponował.

- Pragnę, by wszyscy goście dobrze się bawili w moim domu - odezwał się łagodnie.

Maggie postanowiła wykorzystać jego kurtuazję.

- Z przyjemnością wysłabym na dwór, milordzie.

- W tę burzę?

Do diabła. Burza. Żaden detal mu nie umknie.

- Uwielbiam deszcz - palnęła. - Kocham po prostu spacerować w czasie burzy.

Przyjrzał jej się z zainteresowaniem. No i nic dziwnego, święty Boże, cytowała prawie dokładnie słowa Ardath. Maggie miała nadzieję, że Jamie doceni, co dla niego robi.

Jamie, oczywiście, nie byłby w stanie docenić jej heroicznego wysiłku; był tak bezradnym staruszkiem, że przyznałby się do zamordowania Juliusza Cezara, gdyby tego od niego zażądano.

- Pójdę z panią. - Connor sam był zdziwiony swoją propozycją.

- Ależ nie może pan opuścić własnego przyjęcia - nerwowo zaproponowała Maggie.

- Dlaczego? - Dotknął pleców dziewczyny, prowadząc ją w stronę kominka. - Proszę najpierw popatrzeć na to.

Maggie posłusznie spojrzała na starą tapiserię nad kominkiem, ale właściwie nic nie widziała. Jedyne, na czym była teraz w stanie się skoncentrować, to dotyk jego dłoni na plecach. Dziwne rzeczy działały się z jej ciałem. Nie mogła się oprzeć emanującej od niego sile.

- To tapiseria - wykrztusiła wreszcie.

Była to usiana tysiącami kwiatów tkanina z młodą kobietą i lwem trzymającym łeb na jej kolanach. Za drzewem ukrywał się jednorożec, a w tle stał myśliwy z łukiem napiętym do strzału.

- Ktoś z przyjaciół podarował mi ją, kiedy otrzymałem nominację - powiedział cicho Connor. - Jest zatytułowana „Księżniczka i lew”. Na kolejnej tkaninie z tej serii zwierzę rzuca się na myśliwego w obronie księżniczki. Podobno ostatnia tapiseria zaginęła, nie wiem więc, jak kończy się ta historia.

Mimo woli Maggie była pod wrażeniem erotycznej aury otaczającej kobietę i lwa.

- Pomyślałabym raczej, że to ona go obroni - odezwała się po chwili. - Wygląda, jakby była w nim zakochana.

- Ale to on gotów jest oddać za nią życie.

Nagle Connor się odwrócił, wyjął jej kieliszek z ręki i postawił go na obramowaniu kominka. Po jego twarzy błędził uśmiech, odrobinę kokieterystyczny, jakby czuł się zażenowany, że rozmawia o czymś tak nedorzecznym jak wydumany romans. Trudno było w tej chwili

uwierzyć, że ten uroczy mężczyzna potrafi być w sprawach publicznych bezwzględny i zimny jak kamień.

- Legenda głosi, że lew uległ czarowi jej dziewiczej czystości - ciągnął. - Jest trochę do pani podobna, nieprawdaż?

Maggie zamruwała.

- Uległ czarowi czego?

- To, co nietknięte, wydaje się niezmiernie. - Uśmiechnął się zawadiacko, widząc, że jest zaszokowana. - Tylko dziewczica mogła go zdobyć.

- Dziewica... To ciekawe.

- Pociąg seksualny doprowadził go do śmierci.

Maggie gwałtownie cofnęła się za stojący obok kominek podnózek. Cała ta opowieść o dziewicach i myśliwych w momencie, gdy popełniała właśnie pierwsze przestępstwo w życiu, przyprawiała ją o palpacje. Poza brzydkim zwyczajem przeklinania, którego nauczyła się w Heaven's Court, uważała się za dobrze wychowaną pannę.

- To naprawdę fascynująca historia, milordzie, ale... Odepchnął podnózek czubkiem buta.

- Pociąg seksualny to niezwykle potężna siła.

- Z pewnością.

- Na tyle potężna, by obracać w ruinę całe królestwa - ciągnął swobodnie.

Potęę tej siły poznało na przestrzeni dziejów kilka kobiet z rodziny Maggie, tych grzesznych istot, które odrzuciły tradycję, by pójść za głosem serca.

- Cóż, ogromnie mi było miło pana poznać, milordzie, ale muszę...

Gdzieś na górze trzasnęły drzwi, a potem rozległy się krzyki i odgłosy szamotaniny. Maggie wstrzymała oddech.

- To nic takiego. - Pogłaskał ją delikatnie po policzku. W głębi jego piwnych oczu obok rozbawienia malowała się zuchwała męska natarczywość. Pragnął jej i nawet nie próbował się z tym kryć. - Moim siostronom nie zdarza się cicho zamykać drzwi. Nadal ma pani ochotę na przechadzkę?

Maggie powstrzymała drżenie rąk. To nie jego siostry hałasowały na górze. Mogłaby mu to wytłumaczyć, ale nie była prawie w stanie myśleć, kiedy uwodził ją uśmiechami i przesuwając palce po policzku,

brodzie, szyi... Dreszcz przeszył ją do samych stóp. Gołych stóp, które z pewnością przyniosą jej śmierć na Tasmanii, kiedy Buchanan ją tam wyśle za włamanie.

- Chodźmy na spacer w deszczu - powiedział cicho. - Wymkniemy się...

- Connor! Connor!

Przerwał im dziki wrzask z korytarza. Niechętnie cofnął rękę od twarzy dziewczyny sekundę przed tym, jak do pokoju wtargnęła z hukiem jego siostra Nora. Była wysoka, atrakcyjna, jasnowłosa i straszliwie rozwścieczona.

- Connor, flirty w ciemnościach, na miłość boską! Zresztą, dlaczego ciągle mnie to zaskakuje? Chodź szybko! W domu jest kryminalista. Ardath z pokojówką złapała go w twoim gabinecie.

Maggie zrobiła się blada jak ściana. Connor, źle zrozumiałwszy jej reakcję, wyprostował się odruchowo, gotowy do walki. Prokurator generalny nie pozwoli, by byle hultaj panoszył się w jego domu.

- Proszę tu zostać - powiedział półgłosem. - To pewnie jakiś pijany gość pomylił pokoje. Proszę tu na mnie poczekać. Nie chcę, by cokolwiek się pani przydarzyło.

Pozostało jej jedynie skinąć głową na zgodę. Pod wpływem ulgi ugięły się pod nią nogi. Z trudem się opanowała, żeby nie wypchnąć go na korytarz. Zamknięta z gospodarzem w tym pokoju, nie mogła przecież w żaden sposób pomóc Hugonowi.

Już na progu Connor nagle odwrócił się i wbił w nią wzrok. Nora wyrzaskiwała za jego plecami jakieś polecenia dla służby.

- Wiem, kim pani jest - powiedział z uśmiechem satysfakcji. - Znam pani imię.

Maggie zamknęła oczy. Teraz to już koniec.

- Boże, proszę... - szepnęła. - Nie pozwól, by wysłał mnie na Tasmanię.

- Filomena. Zdumiona otworzyła oczy.

- Słucham?

- Filomena Elliot. Ojciec wciąż o pani opowiada. - Jego uśmiech zbladł, ustępując miejsca rozżaleniu, gdy Nora wyciągnęła go siłą na korytarz. - Wiedziałem, że sobie przypomnę... Proszę tu poczekać.

## Rozdział 4

Powinieneś się wstydzić. - Nora kroczyła przed nim jak sierżant prowadzący musztrę. Wymachiwała rękami i wyrzucała z siebie słownictwem komendy. - Szukaliśmy cię całe wieki. Wszyscy pytali, gdzie się podziewasz. Connor spochmurniał i zwolnił kroku, żeby poprawić fular.

- Żałuję, że mnie znalazłaś. Jak zwykle, nie masz krzty wycucia, kiedy wkroczyć na scenę.

- Rodzice tej młodej kobiety nie podzieliliby chyba twojej opinii - odparła Nora oschle.

Jej rodzice. Connor zmrużył oczy, spostrzegając w tłumie gości u stóp schodów Aarona Elliota. Aaron był w najlepszym wypadku przeciętnym prawnikiem. Connor zawsze w skrytości ducha miał go za głupawego gbura, ale teraz zamierzał przyjrzeć mu się o wiele uważniej.

- Chciałam od razu wezwać policję - powiedziała z irytacją Nora - ale Ardath, twoja dawna kochanka - podkreśliła to ostatnie słowo - nalegała, by zachować dyskrecję i najpierw odnaleźć ciebie.

- Ryczenie jak bawół na cały dom nie ma wiele wspólnego z dyskrecją. W każdym razie Ardath miała rację. Nie mamy przecież zamiaru stawiać w niezręcznej sytuacji gościa, który nadużył alkoholu. Ardath powinna lepiej pilnować prezesa sądu. Ten stary bęcwał jest ślepy jak kret. Pewnie szukał ustronnego miejsca.

Zszedł ze schodów, udając, że ze szczerą atencją słucha uwag zaniepokojonych gości.

- Niech pan będzie ostrożny, milordzie.

- Najlepiej zawiadomić natychmiast policję.

- Coś niesłychanego! Żeby wtargnąć do domu prokuratora generalnego...

- Ten nędzny opryszek wylądował na Tasmanii! Może powinien pan wziąć ze sobą broń?

Nikt nie ośmieliłby się włamać do jego domu podczas przyjęcia. Connor był tego pewien. Cała sprawa okaże się na pewno jakimś żenującym nieporozumieniem. Objął ramieniem Elliota i pociągnął go ze sobą na schody.

- Miło cię widzieć, Aaronie. Tak się cieszę, że mogłeś przyjść.

- Doprawdy, milordzie? - Elliot był wyraźnie zdumiony wyróżnieniem ze strony eminentnego gospodarza.

- Tak, i właśnie przed chwilą spotkałem Filomenę. Co za urocza młoda dama. Nie dziwię się, że ukrywałaś ją przez te wszystkie lata we Francji.

- Filomena? - Elliot z trudem nadązał za Connorem na krętych kamiennych schodach. - Urocza młoda dama?

- Nieśmiała i delikatna jak polny kwiatek, prawda? Domyślam się, że nieskazitelnym manier nauczyła się w szkole.

- Nieśmiała? - powtórzył jak echo Elliot, zwalniając kroku. - Nieskazitelne maniery? Moja Filomena?

- Ależ tak, jest również inteligentna i ma poczucie humoru. Czy zawsze była odludkiem, czy też to jakieś nowe utrapienie?

W tym momencie Elliot zatrzymał się nagle na schodach i sterczał tak, wgapiony w Connora. Na jego okrągłej spoconej twarzy malowała się konsternacja.

- Filomena odludkiem, milordzie?

Connor popatrzył na niego z góry, udając srogą minę.

- Co się z tobą dzieje, Elliot? Klepiesz za mną każde słowo jak papuga.

Zanim Elliot cokolwiek wydusił, z gabinetu Connora dobiegł krzyk Ardath:

- Idziesz nam pomóc, Connor, czy nie?

- Tak, tak. Już idę.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie Elliotowi - dobry Boże, to przechodziło granice wyobraźni, jak człowiek o tak nijakiej powierzchowności mógł spłodzić takie piękne dziecko - Connor wszedł na górę. Był wściekły na intruza w gabinecie, kimkolwiek był. Był wściekły na wszystkich dookoła, gdyż odciągnęli go od niej.

Zatrzymał się przed drzwiami sypialni. Słyszał wciąż wołanie Ardath i pokojówki, ale wyglądało na to, że panują nad sytuacją.

Do diabła, a jeśli wystraszył tę dziewczynę? Może był zbyt natarczywy? Nigdy nie zachowywał się w ten sposób wobec kobiety, którą dopiero co poznał. Prawdę mówiąc, zwykle nie musiał się specjalnie wysilać, by uwieść kobietę. Po prostu poddawał się instynktowi. A może nigdy dotąd nie zależało mu tak bardzo, żeby zrobić dobre wrażenie?

W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że ta dziewczyna ma w sobie coś, co wytrąciło go z równowagi. Na szczęście, nawet jeśli ją przepłoszył, wie już teraz, gdzie jej szukać. Filomena Elliot. Boże, cóż

za imię. Pewnie słyszała, jaką Connor ma reputację. Prywatna szkoła dla dziewcząt nie uczyła z pewnością, jak bronić się przed agresywnymi mężczyznami. Obiecał sobie, że następnym razem, kiedy się spotkają, będzie bardziej powściągliwy.

Zapatrzył się w drzwi sypialni.

Czyżby tracił zmysły? Nie miał ochoty uczestniczyć w przyjęciu, które sam wydawał. Chciał teraz spacerować w deszczu z kobietą, która wywołała jego uśmiech. Albo rozmawiać o francuskich tapiseriach i pić szampana w ciepłe kominka. Czym był sukces, jeśli nie miał go z kim dzielić? Kiedy zdobędzie jej zaufanie, postara się, by czuła się przy nim bezpieczna, a potem pocałuje te delikatne usta, szyję, ramiona,. Odkryje ze wszystkimi szczegółami, jak wygląda pod tym okropnym płaszczem.

A potem...

Ardath z rozmachem otworzyła drzwi sypialni. Jej rude włosy powiewały w lekkim nieładzie; okulary zwisały z czubka nosa.

- Co ty, na miłość boską, wyprawiasz, Connor? - spytała z wyrzutem.

Fantazuję o kobiecie podobnej do księżniczki z tapiserii, którą podarowałaś mi na urodziny. Sądzę, że spodobałaby ci się, Ardath. Zmarszczył czoło, pocierając ręką policzek.

- Właśnie przyszedłem wam pomóc. Czy całe to przedstawienie jest konieczne? Mam nadzieję, że nie zamknęłaś Huberta w mojej szafie.

- To jakiś chłopak.

Ardath pociągnęła go w głąb pokoju. Razem z pokojówką zabarykadowały drzwi do gabinetu wszystkimi meblami, jakie udało im się przesunąć - toaletką, biurkiem, krzesłami.

- Przesunęłyście też łóżko? - spytał zdumiony.

- Wyglądał na groźnego typa - odpowiedziała, poprawiając okulary. - Zapomniałam o naszyjniku i kiedy wróciłam na górę, przyłapałam go tu.

Connor rzucił okiem na uchylone drzwi na balkon. Brokatowe zasłony powiewały poruszane wiatrem. Przerażona pokojówka siedziała na podłodze pośrodku pokoju.

- Szukał biżuterii?

- Nie - odpowiedziała Ardath. - To najbardziej niepokojące. Złapałam go na przerzucaniu twoich dokumentów.

- Dokumentów? - Twarz Connora stężała. - Więc pewnie szukał pieniędzy.

Ardath zniżyła głos.

- Chodziło mu o teczkę z papierami na temat sprawy morderstwa Balfour. Do rękawów i spodni napakował tyle dokumentów, że wygląda jak strach na wróble. Wiedział, czego szuka. I nie chodziło mu o pieniądze.



## Rozdział 5

Maggie nie traciła ani chwili. Wymknęła się z pokoju zaraz po wyjściu Connora. Gdy biegła przez dom, czuła, jakby cudem wyrwała się z mocy jakiegoś groźnego, mrocznego uroku.

Connor Buchanan był nie tylko uroczym mężczyzną, był również bardzo spostrzegawczy i obdarzony tak niezwykłym magnetyzmem, że nawet Maggie trudno było się oprzeć jego sile. Nie miała wielu doświadczeń w tej dziedzinie. Większość mężczyzn bała się z nią flirtować. Herszt skutecznie odstraszał nielicznych śmiałków, którzy mieli odwagę zadeklarować poważne zamiary wobec Maggie. Nadopiekuńczy i podejrzliwy z natury, tak samo traktował swoją córkę, Janet. Maggie nigdy nie mogła pojąć, jak człowiek żyjący z rozboju może mieć jednocześnie tak żelazne zasady moralne.

Nagle ogarnęło ją niespodziewanie miłe wspomnienie, jak Connor przesunął dłoń po jej szyi. Oczywiście, jeśli kiedykolwiek go jeszcze spotka, lord Buchanan znów dotknie jej tymi mocnymi rękami, tym razem jednak po to, żeby skrócić jej kark. Nie wybaczy jej, że wystrychnęła go na dudka. Przerazenie zmroziło ją na myśl o ich następnym spotkaniu - w sądzie, gdzie ona będzie skazańcem, a on prokuratorem.

Nagle zatrzymała się, zdawszy sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest. Nigdy nie miała dobrej orientacji w terenie; Herszt zawsze wrzucał do jej koszyka kompas, kiedy szła na targ. Unikając gości, znalazła się w pewnym momencie na wewnętrznym dziedzińcu obok pokoju kredensowego.

Przez otwarte drzwi zobaczyła, że pomieszczenie jest zupełnie puste. Może na wieść o intruzie wszyscy pobiegli w poszukiwaniu innych włamywaczy?

Deszcz przestał padać i Maggie pomyślała ironicznie, że Ardath pewnie jest niepocieszona. Co właściwie łączy tę kobietę z lordem Buchananiem?

Powinna sprowokować jakieś zamieszanie, żeby umożliwić Hugonowi ucieczkę, ale poza myślą o podłożeniu ognia w piwnicy nie miała pojęcia, co robić. Nie było czasu, by biec do Heaven's Court po pomoc Herszta. Gdyby nie natknęła się na lorda Buchanana, zdążyłaby coś wymyślić.

Odwróciła się wyrwana z zadumy, kiedy na stopniach tarasu tuż obok niej nagle pojawiła się szczupła kobieta.

Zmierzyła Maggie badawczym spojrzeniem. Dziewczyna godnie wytrzymała jej wzrok, jak przystało na córkę Saint - Evremondów, mimo ponizającej świadomości, że jest tu jako włamywaczka z kradzionymi ciastkami i dwiema butelkami szampana pod płaszczem. Serce waliło jej jak oszalałe.

Było w tej kobiecie coś znajomego, niepokojącego... Ależ tak, wyglądała jak blejsza wersja Connora Buchanana. Sądząc po postawie i naturalnej elegancji, musiała być jedną z jego sióstr.

Nie robiła jednak wrażenia równie pewnej siebie jak Connor. Właściwie wyglądała na smutną i przestraszoną. Wyraźnie coś ją gnębiło.

- Kim pani jest? - spytała drżącym głosem, jakby była na granicy łez.

- Jestem... Jestem córką Elliota.

- Filomena?

- Tak. Filomena.

Kobieta ze zdziwieniem uniosła lekko brwi, ale po chwili znów pograżyła się w swoich myślach.

Z domu wyszła pokojówka z szalem dla swojej pani. Maggie popatrzyła na okna. Mogłaby rzucić kamieniem i stłuc szybę w pokoju Buchanana, ale to niewiele pomogłoby Hugonowi. Mogłaby...

Nagle odwróciła się na pięcie. Wielki czarny powóz, przechylając się i zawadzając prawie o bramę, skręcił ostro z ulicy i wjechał na dziedziniec. Maggie stała sparaliżowana lękiem. A jeśli lord Buchanan wezwał już policję, by zabrała Hugona?

Kobieta zerknęła na nią i odezwała się nienaturalnym, przenikliwie piszczącym głosem:

- Jak ten furman powozi? Nie pomyśli nawet, że mógłby zrobić komuś krzywdę.

Maggie przeszył lodowaty dreszcz. Widziała już kiedyś taki wielki czarny powóz. Należał do napoleońskiej milicji, która zjawiała się w środku nocy, żeby aresztować jej rodziców za zdradę.

Ojciec zmarł na atak serca na dziedzińcu zamku, kiedy próbował bronić matki, wywleczonej z domu w koszuli nocnej. Zabrali ją jednak, a ciało ojca wrzucili do powozu obok przerażonej kobiety. Maggie została przed domem ze starszym bratem Robertem. Jej siostra Jeanette była w domu z sekretarzem ojca; Maggie pobiegła ich ostrzec.

Resztę wydarzeń tej nocy zupełnie wytarła z pamięci, czasem wracały tylko jakieś zamglone, niewyraźne postacie i dobiegające z daleka głosy.

Ochmistrz rodziny Saint - Evremond, Claude Villiers, wywiózł ją z zamku jeszcze przed świtem do domu swego brata w Hawrze. Nigdy się nie dowiedziała, jaki los spotkał brata i siostrę. Zniknęli po prostu z jej życia. Claude przemycił potem Maggie z Francji pod pokładem statku wiozącego beczki brandy do Szkocji. Przyjęła ich stara ciotka Maggie, Flora, i zapewniła obojgu dach nad głową aż do swojej śmierci pięć lat temu. Zmieniła nazwisko Maggie i utrzymywała całą sprawę w tajemnicy, obawiając się, że przeciwnicy polityczni mogą poszukiwać dziewczyny. Maggie do tej pory nie rozumiała, dlaczego ktoś miałby ją ścigać. Nie miała nic wspólnego ze szpiegostwem. Właśnie w zeszłym roku postanowiła, że nie będzie dłużej ukrywać, kim jest naprawdę.

Zmusiła się do głębokiego oddechu. Nauczyła się tłumić smutek i złość, które ogarniały ją czasem jak potężna czarna fala. Nie chciała, żeby wspomnienia niesprawiedliwości, jakie ją spotkały, zatruwały teraźniejszość. Udało jej się ująć z życiem. Miała przyjaciół i starego wiernego Claude'a. Znalazła miłość i lojalność tam, gdzie najmniej można by się tego spodziewać.

Zdarzały się jednak chwile, gdy jakiś drobiazg wywoływał bolesne wspomnienia. Kobieta na ulicy w takim samym kapeluszu, jaki nosiła mama. Łudzaco podobny do Roberta chłopiec przed budynkiem jakiejś szkoły. Dziewczynka uśmiechająca się zupełnie jak Jeanette.

Gdzie podziewa się teraz jej rodzeństwo? Ból wywołany tym niepokojem stał się ostatnio nie do zniesienia. Czy myślą o niej, pamiętają? Czy w ogóle żyją? Co wieczór modliła się za nich. Kilka razy próbowała odnaleźć ich ślady, ale wydawało się, że po tamtej tragicznej nocy zniknęli z powierzchni ziemi. Czy oni też jej szukali?

Majątki rodzinne zostały skonfiskowane. Zamek był podobno nie zamieszkały i popadł w ruinę.

A teraz Maggie była złodziejką, mieszkała ze złodziejami i dawała lekcje dobrych manier, żeby zarobić na życie.

Powóz zatrzymał się na podwórzu. Drzwiczki otworzyły się z łoskotem i wyskoczył z nich mężczyzna w czarnym stroju maskaradowym. Przestraszona służąca zapiszczała i przywarła do

ramienia siostry Connora. Serce Maggie zaczęło walić jak młotem; stała skamieniała pod wrażeniem niespodziewanego uczucia déjà vu. To nie jest bal maskowy.

Działo się coś strasznego.

Furman też miał na twarzy maskę.

Przez sekundę mężczyzna przyglądał się badawczo trzem kobietom stojącym nieruchomo jak posągi na stopniach tarasu, po czym chwycił siostrę Connora i zaczął wlec ją przez dziedziniec.

Wyglądało to jakoś dziwnie teatralnie, ich ruchy przypominały taniec marionetek.

Nagle kobieta zaczęła krzyczeć, pokojówka też, a ich głosy odbijały się echem w ciszy po niedawnej burzy.

Maggie czuła, że ona również za chwilę zacznie krzyczeć o pomoc. Szal kobiety upadł w kałużę po deszczu. Zamaskowany mężczyzna miał najwyraźniej kłopoty z wciągnięciem ofiary do powozu. Była chyba cięższa, niż oczekiwał.

Maggie pomyślała o matce, drżącej w cienkiej koszuli nocnej i krzyczącej z przerażenia i wstydu, kiedy ją wyciągnęli z zamku. Zobaczyła znów ojca, który z ręką przyciśniętą do serca szarpał się z milicjantami. Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Nikt nie ruszył palcem, by ratować mu życie.

Pokojówka wydała z siebie ostatni pisk i padła zemdlona obok sadzawki. Drzwi powozu zatrzasnęły się. Okna były szczelnie zasłonięte. Woźnica strzelił z bata, żeby zawrócić konie w stronę ulicy.

Porwanie.

„W mieście grasuje morderca”.

„Moi wrogowie czekają tylko na okazję, żeby mnie zniszczyć”.

Lecz Connor Buchanan był również jej wrogiem.

Jeśli wplącze się teraz w porwanie jego siostry, będzie musiała wytłumaczyć swoją obecność na przyjęciu. Prokurator pewnie ze zdwojoną energią postara się o wyrok śmierci dla Jamiego, a potem wykorzysta swe niewątpliwe talenty, by ukarać ją i Hugona. Życie Maggie byłoby skończone.

Muszę coś zrobić. Nie pozwolę im jej skrzywdzić.

Nie miała pojęcia, skąd przyszła ta dziwna myśl ani nawet, co znaczyła. Wiedziała jedynie, że musi coś zrobić.

Rzuciła się w pogoń za powozem bez najmniejszego pomysłu, jak go zatrzymać. Ale musiała spróbować, nawet gdyby miała wylądować w więzieniu. Nawet gdyby miała spędzić resztę życia w kolonii karnej na Tasmanii wśród straszliwych zbirów. Tak bardzo bała się o tę kobietę. Była tak wściekła za to, co przydarzyło się jej rodzinie we Francji, że wstąpiła w nią jakaś niemal ponadnaturalna siła.

Woźnica zwolnił, żeby przejechać przez bramę. W tym momencie ze zdumieniem spostrzegł drobną kobietę, która wdrapuje się na kozioł obok niego. Na jej twarzy malowała się dzika wściekłość.

- Hej - rzucił groźnie. - Co ty wyprawiasz?

- Zatrzymaj powóz. - Wyciągnęła spod płaszcza butelkę szampana i uniosła ją nad głowę woźnicy. - Zatrzymaj powóz i wypuść tę kobietę albo rozwalę ci łeb, jak amen w pacierzu.

- Co się dzieje? - zawołał stłumionym głosem z wnętrza powozu drugi mężczyzna. - Jedź stąd w diabły, zanim pojawi się ten szarlatan Buchanan.

- Na koźle siedzi przy mnie dziewczyna z butelką szampana - odkrzyknął woźnica. - Co mam z nią zrobić?

Butelka spadła na jego głowę, ale cholerstwo nie rozbiło się, mimo że Maggie włożyła w cios całą swoją siłę. Furman zaklął, a kiedy zamachnęła się drugi raz, zasłonił się rękami, pociągając jednocześnie lejce. Konie posłusznie stanęły w miejscu i pod wpływem szarpnięcia butelka wyślizgnęła się Maggie z ręki.

Woźnica kątem oka widział, że dziewczyna wylatuje z kozła. Nie tracił czasu, żeby patrzeć, jak spada na ziemię. To szemrany interes, całe to porwanie. Od początku tak mówił. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego, a teraz na dodatek miał dziurę w czaszce. Na dziedzińcu leżała nieprzytomna kobieta i to była jego wina. Pokojówka ocknęła się z omdlenia i znowu wrzeszczała co sił w płucach. Z domu zaczęli wychodzić zaniepokojeni ludzie, a na ich czele maszerował ten bezlitosny łajdak Connor Buchanan.

Maggie w szoku patrzyła za oddalającym się powozem. Czowała się obolała i zdezorientowana. Nie mogła poruszyć lewym ramieniem i z trudem łapała powietrze. Pamiętając dziwny odgłos w momencie upadku, pomyślała, że może ją postrzelono. Woźnica mógł wyciągnąć pistolet i strzelić do niej po tym, jak zdzieliła go butelką w głowę. Poczwała gwałtowny skurcz żołądka na myśl o tej dziewczynie w powozie, zupełnie samej z porywaczami. Czy nie zrobili jej krzywdy?

Wydało jej się, że ziemia pod nią drży. Kątem oka spostrzegła potężnego szarego konia galopem przemierzającego dziedziniec w stronę bramy na ulicę. Natychmiast rozpoznała, że jeźdźcem jest lord Buchanan. Na jego stężałej twarzy nie było nic poza dziką determinacją. Z ulgą stwierdziła, że jej nie zauważył. Z całego serca pragnęła, żeby schwytał i ukarał ludzi, którzy porwali jego siostrę.

Nagle ogarnęła ją błoga mgła, zniknął lęk, przestała czuć ból. Przemknęło jej przez myśl, że może umiera. Te piskliwe wrzaski służącej... Cóż za niestosowne dźwięki w chwili przenosin do życia wiecznego... Mrok zaczął gęstnieć wokół Maggie. Nie próbowała nawet walczyć z zapadającą ciemnością.

Dźwięki mieszały się z wirującymi cieniami: głosy, kroki, szlochanie pokojówki opowiadającej o porwaniu swej pani i martwej kobiecie przy bramie, która próbowała ją ratować. Maggie nie miała pojęcia, ile czasu minęło, odkąd lord Buchanan ruszył w pościg za czarnym powozem.

Nagle otoczył ją tłum ludzi w wieczorowych strojach; lamentowali nad jej śmiercią, porwaniem Sheeny i okropnościami świata, które doprowadziły do zguby dwóch niewinnych kobiet.

- Jeszcze nie umarłam - odezwała się słabym głosem, ale goście tak byli zajęci omawianiem szczegółów ohydnej zbrodni, że nikt jej nie usłyszał.

- Morderca znów uderzył - powiedział jeden z mężczyzn z ponurą satysfakcją.

- Może to wcale nie on - wtrącił ktoś inny. - Tylko któryś z żądnych zemsty rywali Connora, a może chodziło o ostrzeżenie. Jest teraz prokuratorem generalnym i musi się liczyć z takimi sytuacjami.

- Czy jest jakiś list z żądaniem okupu?

- Wnieśmy do środka ciało tej biednej dziewczyny. Jaka ona drobniutka. Co za tragedia...

- Jeszcze żyję - odezwała się głośniejszym głosem Maggie, spoglądając na pochylone nad nią przejęte twarze.

- Kim ona właściwie jest?

- Czy pokojówka opisała napastników?

- Nora powiedziała, że to córka Elliota.

- To nie jest moja córka - odezwał się z tyłu tłumy Elliot. - Filomena jest w środku. Nadal próbuje odczyścić suknię z tego kawioru.

Maggie usiadła, tak zirytowana, że prawie nie czuła przeszywającego bólu w ramieniu.

- Jeszcze nie umarłam, do diabła, ale umrę, jeśli natychmiast ktoś mi nie pomoże.

Łazarz powstający z grobu prawdopodobnie nie wywołał takiego poruszenia. Goście gapili się na nią, jakby zobaczyli upiora. Wszyscy cofnęli się odruchowo o krok, potykając się i popychając nawzajem.

Oniemiali, przyglądali się Maggie z bezpiecznej odległości.

Znów opadła na ziemię z cichym jękiem; palący ból w ramieniu nie ustawał.

- Chyba zostałam postrzelona - odezwała się, krzywiąc twarz z bólu.

Goście wydali z siebie kolejne zbiorowe westchnienie.

- Mężczyzna w czarnej masce porwał siostrę lorda Buchanana - dodała.

- Dokąd ją wywiózł? - spytał ktoś niemądrze.

- Nie mówił. Próbowалам ich zatrzymać. Lord Buchanan ruszył za nimi w pościg.

- O Boże, Connor! - Postawna kobieta koło pięćdziesiątki o kasztanowych włosach przedarła się przez szpaler osłupiałych gości i uknęła przy Maggie. - Spokojnie, kochanie. Zajmiemy się tobą. Gdzie cię postrzelili?

Kobieta mocno pachniała pudrem i wodą pomarańczową, a w jej trochę chrapliwym głosie brzmiała prawdziwa troska. Wachlarz zwisający z jej nadgarstka uderzał Maggie w twarz, a jej boa łechtало dziewczynę w nos. Najgorsze jednak było to, że kobieta prawie całym ciężarem opierała się na obolałym lewym ramieniu Maggie.

- Co tam się dzieje, Bella? - spytał jeden z gości. Ardath również podeszła bliżej.

- Co się stało, mamó?

- Jedna z zaproszonych młodych dam została postrzelona, gdy próbowała zatrzymać porywaczy Sheeny - odpowiedziała szeptem kobieta.

Maggie westchnęła ciężko.

- Chyba na to zasłużyłam, włamując się do tego domu jak zwykła złodziejka, ale miałam czyste intencje. Myślę, że postrzelili mnie w ramię, choć nie jestem całkiem pewna. Strasznie kręci mi się w

głowie. Chyba mam zwidy, wydawało mi się, że słyszę jakiś anielski śpiew.

- To kot, którego w zamieszaniu ktoś zamknął w powozowni - wyjaśniła łagodnie Bella.

- Na miłość boską - odezwała się Ardath. - Niech sprowadzą tu natychmiast lorda Buchanana.

Starsza kobieta zbladła, gdy delikatnie odkryła połę płaszcza Maggie.

- O Boże, jakaż ona szczuplutka... Connor! - Jej głos zabrzmiał teraz alarmująco. Connor, który wraz z Norą wypytywał służącą przy sadzawce, odwrócił się w ich stronę. Najwidoczniej jego pogoń za siostrą spełzła na niczym i wrócił sam.

Ardath ze łzami w oczach wpatrywała się w Maggie.

- Czy z nią jest bardzo źle, mamo?

- Niech ktoś pośle po lekarza - rozkazała stanowczo Bella. - Postrzelono córkę Elliota. Nie wygląda to najlepiej.

- Wiedziałam, że tak będzie... - szepnęła Maggie i przymknęła oczy, kiedy otaczający ją ludzie zaczęli biegać tam i z powrotem.

Koniec jest bliski, pomyślała. Koniuszy lorda Buchanana przyniósł ze stajni ciepłą derkę i owinął nią dziewczynę. Poklepał ją po dłoni i cofnął się, potrząsając smutno głową.

Potem sam Connor ukląkł obok i pochylił się nad nią. Nawet w tej pokornej pozycji budził onieśmienie. Maggie poczuła się w cieniu jego potężnej sylwetki małeńka i bezpieczna, a jednocześnie przygwożdżona do ziemi siłą, która od niego emanowała.

Był poruszony i wściekły z powodu porwania siostry - Maggie nie była na tyle nieprzytomna, by nie zauważyć, jak napięte stały się rysy jego twarzy pod wpływem emocji. A gdy teraz nagle rozpoznał w niej dziewczynę, z którą niedawno rozmawiał, oczy rozbłysły mu dziką żądzą zemsty.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział cicho, dotykając szeroką dłonią jej czoła. - Dzielna z ciebie dziewczyna, zaopiekuję się tobą. Znajdę człowieka, który to zrobił. A teraz spróbuj odpocząć - obiecał, po czym dodał szeptem: - Och, dziewczyno, dlaczego nie zostałaś tam, gdzie cię zostawiłem?

Jego głos wywoływał u Maggie ciarki na plecach. Był tak cudownie ciepły jak błogi łyk whisky w zimową noc. Natomiast dłoń



była chłodna; delikatnie przesuwając palce po skroni dziewczyny, co działało jak rozkoszna pieszczota na jej rozdygotane nerwy.

- Gdybym wcześniej wiedziała, że to się stanie - zażartowała słabym głosem - wypiłabym z panem jeszcze jeden kieliszek szampana.

Z trudem przełknął ślinę.

- Cicho... Oszczędzaj siły, Filomeno.

- Nienawidzę tego imienia. - Maggie zmarszczyła czoło. - To jeszcze gorsze niż Małgorzata.

- Nic nie mów, dziewczyno... - Wyglądał tak, jakby nieczłowieckim wysiłkiem powstrzymywał rozpiekającą go wściekłość. - Zaopiekuję się tobą.

- Tak naprawdę nie jestem wcale odludkiem - wyznała.

- To nieważne.

- Też tak myślę. To nieważne, prawda?

- Zapytaj ją, jak wyglądał ten mężczyzna - odezwała się znad jego ramienia Nora.

Connor zawahał się, powstrzymując emocje. Nie dość, że Sheena zniknęła, to leży tu teraz ranna dziewczyna, która oczarowała go tak niedawno. Nie mógł zebrać myśli. W głowie mu się kręciło, a ciało wciąż pulsowało po dziwkiej pogoni przez Edynburg za tajemniczym powozem, który zniknął gdzieś w mroku nocy.

Nie odnalazł siostry. Czy jeszcze żyje? Miał ochotę odrzucić głowę do tyłu i z całych sił zaryczeć jak zranione zwierzę.

Musi coś zrobić, by wszystko było tak jak dawniej. Sheena jest jeszcze dzieckiem, najbardziej samowolnym dzieckiem w rodzinie. Nie umiałyby się bronić. Connor nie mógł znieść myśli, że ktoś ją skrzywdzi albo że on nigdy więcej jej nie zobaczy. Poczucie winy przeszło go boleśnie na wspomnienie, że zaledwie godzinę temu marzył o pozbyciu się jej z domu.

A jeśli zraniona i przestraszona błąka się w jakimś podłym zaułku? Czy ktoś przyszedłby jej z pomocą?

Ktoś próbował.

Spojrzał w zamyśleniu na leżącą przy nim nieruchomo dziewczynę. Czuł pod palcami, jak jest delikatna, zupełnie jak z porcelany. Jej skóra przypominała połyskujące światło księżyca, jakby uszło z niej całe ciepło. Ściągnął brwi i lekko dotknął kciukiem jej

dolnej wargi, pragnąc uciszyć kolejne westchnienie. Przedtem była tak pełna życia.

- Dlaczego? - spytał na głos.

Dlaczego to wszystko się zdarzyło? Zrozumiałby, że ktoś chce zaatakować jego, ale nie Sheenę. I ta dziewczyna, która umiała go rozbawić i onieśmielić - znalazł wreszcie kogoś, komu oddałby serce. A teraz, jakimś pokrętnym zrządzeniem losu, ją traci. Przez chwilę wierzył w plotki na swój temat. Czyżby rzeczywiście sprzedał gdzieś po drodze duszę diabłu? Czyżby dzisiejszej nocy, celebrując swój triumf, miał zrozumieć, jaka będzie cena tego sukcesu?

Zacisnął zęby, odpędzając irracjonalne myśli. Skoncentrował się na przepelniającej go wściekłości. Człowiek, który się tego dopuścił, zapłaci za swój postępek. Widok tej dziewczyny leżącej tu jak połamana lalka i myśl o tym, że Sheena może być w jeszcze gorszej sytuacji, sprawiły, że ogarnęła go ochota zabijania gołymi rękami. Mógł winić jedynie siebie; to przez niego zostało zagrożone życie dwóch niewinnych kobiet.

- Pamiętasz tego mężczyznę? - spytał cicho, odgarniając kosmyk ciemnych włosów z bladego policzka Maggie.

Zmarszczyła czoło, z wysiłkiem zbierając myśli.

- To był duży czarny powóz - powiedziała powoli. - Woźnica miał ciemne, siwawe włosy... Tak mi się zdaje. Ale nie widziałam mężczyzny, który uprowadził pana siostrę. Był w masce i...

Urwała w połowie, przygryzając wargę. Wszystko mieszało jej się w głowie, wróciły wspomnienia aresztowania rodziców, milicjantów otaczających ich dom niczym wysłannicy śmierci. A potem to dziwne zaćmienie, dziura w pamięci, obrazy nakładające się na siebie jak mroczne plamy.

- Nie pamiętam nic więcej, ale nie będę już kłamać, milordzie - szepnęła z wysiłkiem. - Nie jestem kryminalistką... musieliśmy zdobyć zeznanie. Jamie Munro to półgłówek, ale nie morderca, niezależnie od tego, co zeznał. Proszę, niech go pan wypuści. Prawdziwy morderca jest wciąż na wolności.

Dłoń Connora martwo znieruchomiała na jej policzku.

- Biedaczka, mówi od rzeczy. - Stary koniuszy potrząsnął ze współczuciem posiwiałą czupryną. - To pewnikiem od potłuczonej głowy. Napatrzyłem się na to na wojnie. Rozum szwankuje. Trzeba dać jej odpocząć.

Maggie zadrżała. Bardziej od perspektywy śmierci przeraził ją nagle lodowaty błysk w zmrużonych oczach Connora. Nie było w nich teraz ani cienia litości. Dokładnie zapamiętał każde słowo, które padło z jej ust. Czyżby wyobraziła sobie jedynie, że jego spojrzenie może być łagodne i czułe?

Nagle zrozumiała, jaką bronią Connor zwycięża wszystkich przeciwników w sądzie. Jego spojrzenie przenikało ją na wskroś, jakby potrafił wyrwać z duszy swej ofiary najgłębiej skrywany sekret. Wpatrywał się w nią zimno, niczym gotowy do skoku drapieżnik.

Lecz jeszcze gorszy od lodowatych błysków złości był w jego oczach cień rozczarowania, koniec marzenia, na które pozwolił sobie pochopnie. Ciepły urok, współczucie i delikatność zniknęły bez śladu, ustępując miejsca cynicznej podejrzliwości.

Nie widział w niej teraz księżniczki z tapiserii. Widział bezwstydną małą złodziejkę, kobietę niegodną ani zaufania, ani wyrozumiałości.

Wciąż milczał. Wpatrywał się w nią tylko, podczas gdy wszyscy wokół, pełni współczucia, utyskiwali na opieszałość lekarza i okrucieństwo porywaczy.

Maggie z nadzieją szukała w znieruchomiałej twarzy Connora choć odrobiny zrozumienia, ale jego groźne milczenie i skamieniałe rysy przekonały ją, że nie ma na co liczyć.

Nagle usiadła i odepchnęła jego rękę. Wirowało jej w głowie i przed oczami. Ból w ramieniu zelżał, ale żebra tak uciskały, że ledwie oddychała. Była jednak gotowa znieść wszystko, byle tylko uniknąć wybuchu złości tego człowieka.

- Muszę wracać do domu - powiedziała drżącym głosem. Pomyślała, że jeśli Hugon nie skorzystał z tego zamieszania, żeby uciec, nie może już nic dla niego zrobić. - Proszę mnie zostawić w spokoju.

Stary koniuszy zerknął na Connora i szepnął z troską:

- Niech pan jej się nie da ruszyć, milordzie.

Connor zmusił ją, żeby położyła się na derce. Nie było nic brutalnego w tym geście, lecz Maggie jasno zrozumiała, że nigdzie nie pójdzie bez jego pozwolenia.

- Leż spokojnie, panienko... - W jego głębokim głosie zabrzmiała nuta ironii. - Chyba nie dosłyszałem twego imienia.

- Mówiłeś przecież, że to córka Elliota. - Nora, która do tej pory nerwowo chodziła tam i z powrotem przy bramie, zatrzymała się i spojrzała w ich stronę. Po chwili dodała z ulgą: - Och, jest nareszcie Ardath z lekarzem.

Maggie zamknęła oczy. Udała, że nie jest zupełnie przytomna i nie słyszała groźby w tonie Connora. Cały czas miała przed sobą obraz jego surowej twarzy. Poczowała prawie litość dla tego człowieka, który porwał jego siostrę. Lord Buchanan wyglądał, jakby był gotów rozszarpać go na kawałki gołymi rękami.

- Przyszedł lekarz. - Ardath spojrzała na ranną i dodała: - Connor, odsuń się. Jak ta biedna dziewczyna ma złapać oddech, kiedy prawie ją przygniataasz do ziemi?

Maggie zerknęła na niego ukradkiem spod opuszczonych rzęs. Ociągając się, wstał i bez słowa wpatrywał się w nią, jakby miała rozpląnąć się w powietrzu, gdyby choć na moment spuścił z niej oko. Dziewczyna powoli uniosła powieki, przesuwając wzrok po jego nieskończone długich nogach, torsie, i spojrzała mu w oczy. Odpowiedział kamiennym, oskarżycielskim spojrzeniem. Maggie poczuła gęsią skórę na ramionach.

- No i cóż my tu mamy?

Ciepły ton w niskim głosie doktora przywołał w niej jakieś wspomnienie. Zaciekawiona, przyjrzała się lekarzowi, kiedy klękał obok, żeby zbadać jej ramię.

- Maggie? - Znieruchomiał zaskoczony i skinął na asystenta, żeby podał mu torbę z narzędziami. - To ty, dziewczyno? Skąd ty się wzięłaś pokieroszowana na dziedzińcu domu lorda Buchanana?

Z trudem zaczerpnęła powietrza i odpowiedziała z rezygnacją:

- Tak, to ja, doktorze Sinclair. Nie uwierzy pan, co zrobiłam.

- Znając cię, moja droga, nie może to być żadna straszna zbrodnia.

- A jednak...

- Wątpię - powiedział z uśmiechem i delikatnie zaczął badać jej ramiona. - Później będziemy się tym martwić, dobrze? Teraz najważniejsze jest twoje zdrowie. Nie mogę znaleźć miejsca, gdzie weszła kula.

Connor uniósł brwi, słysząc tę czułą wymianę zdań. Pochylił się nad nimi jak olbrzym z celtyckiej legendy.

- Pan zna tę kobietę, doktorze Sinclair?

- Oczywiście, że ją znam - burknął pod nosem lekarz.

W stosunku do Maggie miał chyba trochę ojcowską słabość, ale wszystkich innych pacjentów - biedaków czy książęta - traktował jednakowo: dość szorstko.

Ardath ze zdumieniem spojrzała na Connora.

- Dlaczego ją zaprosiłeś na przyjęcie, jeśli się nie znacie?

- Nie zapraszałem jej. - Connor zerknął na Maggie, czując znów tę dziwną magię przyciągania, która mieszała się teraz z troską o siostrę i nieufnością wobec tej podejrzanej dziewczyny. - Sądziłem, że to córka Elliota - dorzucił twardo.

- O, Boże, znowu to samo... - Maggie westchnęła ciężko i w tym momencie dostrzegła osłupienie na twarzy oglądającego jej ramię lekarza.

- Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem - stwierdził pod nosem.

Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę. Nie mogła znieść widoku ciemnych plam na bawełnianej gazie, którą lekarz delikatnie przetaił jej ramię.

- Czy rana jest poważna? Straciłam dużo krwi? - spytała szeptem.

Doktor Sinclair zniżył głos, tak że tylko ona mogła go słyszeć:

- Maggie, drogi głuptasie, masz dość paskudną ranę na głowie, ale te plamy to nie jest krew. To czekolada. Zgnieciona czekolada zmieszana z czymś, co przypomina bitą śmietaną.

- Czeka... Niech diabli wezmą te ciastka - szepnęła. - To najbardziej żenująca chwila w moim życiu. Wzięłam je dla dzieciaków... Złapali Hugona, wie pan? Włamaliśmy się do domu jego lordowskiej mości, żeby wykraść zeznanie Jamiego. A potem siostra prokuratora została porwana. Chciałam jej pomóc, a teraz pewnie pójde do więzienia.

Lekarz powoli podniósł wzrok na stojącą tuż obok nich wysoką postać i po chwili, pochylając się znów nad Maggie, powiedział cicho:

- Wybrałaś sobie prawdziwego szatana na wroga, dziecko.

Connor patrzył szeroko otwartymi oczami na poplamioną gazę, którą lekarz szybko schował do swojej torby. Myśl o tym, że ktoś zrobił krzywdę tej kobiecie, kimkolwiek, do diabła, była, budziła w nim prawdziwą furię... i strach, że Sheena też jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- O czym tak szepczecie? - spytał. - Czy ona z tego wyjdzie? Doktor Sinclair wyprostował pierś i rzucił Connorowi pochmurne spojrzenie.

- Ma poważną ranę na głowie, prawdopodobnie mocno poturbowany staw barkowy i kilka żeber. Ktoś musi przy niej czuwać przez noc. Wnieśmy ją do środka.

Twarz Connora stężała, kiedy spojrzał w oczy dziewczyny, która jeszcze godzinę temu wydawała mu się sennym marzeniem. Nie mógł uwierzyć, że pod tą urokliwą niewinnością kryją się nieczne zamiary. Nie był jednak na tyle naiwny, by nie zdawać sobie sprawy, co przed chwilą usłyszał na własne uszy.

Zeznanie. Mówiła o Jamiem Munro. Niech to piekło pochłonie! Niech piekło pochłonie te cholerne gazety. Połowa Szkocji skazała już tego żalostnego głupka, a to oznaczało, że prawdziwy morderca może nigdy nie zostać ujęty i osądzony.

Spojrzał na lekarza i spytał:

- Chwileczkę. Czy stwierdził pan właśnie, że nikt do niej nie strzelał?

- Nie, nie ma żadnej rany postrzałowej - odparł, ociągając się trochę lekarz. Pomyślał, że po włamaniu do tego właśnie domu byłoby chyba lepiej dla pacjentki, gdyby tę ranę miała. Connor Buchanan gotów był walczyć o sprawiedliwość jak lew. Był błyskotliwym prawnikiem, a wielu kolegów po fachu zauważyło, że jego zaciekłość w tej walce jest czasem tak skuteczna, jakby pomagał mu sam szatan. W starciu z człowiekiem jego pokroju młoda i niedoświadczona dziewczyna jak Maggie zostałaby po prostu rozszarpana na strzępy.

Doktor Sinclair zamknął torbę.

- Dlaczego wszyscy się tu tłoczą? Niech służba przygotowuje nosze, żeby wnieść ją do domu. Nie powiedziałem, że nic jej nie jest.

- Nie potrzeba żadnych noszy - zaproponował Connor. Wściekłość i podejrzenia zdominowało teraz tak silne uczucie ulgi, że zrobiło mu się przez sekundę słabo. Nie wiedział dlaczego, ale zupełnie irracjonalnie uczepił się myśli, że jeśli porywacze nie próbowali skrzywdzić tej kobiety, to nie skrzywdzą też Sheeny. - Jeśli jej nie postrzelili, to nie jest umierająca. Sam zaniosę ją do środka.

Zanim Maggie albo lekarz zdążyli zaproponować, ukląkł i wziął ją na ręce. Mimo że całkowicie stracił do niej zaufanie, nie chciał od niej

odstępować na krok. Jeżeli ta dziewczyna wie coś o Sheenie, już wkrótce to wyjawia.

Nic takiego nie zdarzyło się dotąd w jego życiu.

- Nie pogruchocz jej żeber, Connor - odezwała się za jego plecami Ardath. - Zmiażdżysz ją.

- Nic jej nie będzie - rzucił poirytowanym tonem i popatrzył na Maggie.

Miała mocno zaciśnięte powieki, z pewnością, by nie spotkać jego wzroku. Nie wiedział, czy cierpi z bólu, czy jest po prostu przerażona.

Tuż za nimi szła Nora.

- Dlaczego ludzie nie wrócili z Sheeną? A jeśli nie znaleźli tego powozu? Connor, spytaj ją jeszcze raz, jak wyglądali porywacze. Jest jedyną osobą, która widziała ich z bliska.

Connor w milczeniu niósł Maggie przez dziedziniec. Był zbyt pogrążony w myślach, żeby słuchać nerwowej paplaniny siostry. Nie powinien być zaskoczony tym, co się stało. Może przestał przywiązywać wagę do pogroźek, które zwykle do niczego nie prowadziły, oprócz jednego wypadku, gdy żona oskarżonego przez Connora podpalacza wbiła mu w czasie przyjęcia widelec w rękę.

Ale włamanie i porwanie jego siostry tej samej nocy? Czy te wydarzenia były jakoś powiązane? Z jakiego powodu ktoś porywałby Sheenę, jeśli nie po to, by go zniszczyć? Poczł skurcz w gardle. Kto nienawidził go aż tak, żeby krzywdzić niewinnych ludzi?

Znów zerknął na kobietę w swoich ramionach. Wyglądała na przestraszona, ale przecież sama przyznała się do winy. Connor czuł, że zamiast czułości, którą obudziła w nim ta dziewczyna, ma teraz w sercu tylko bolesne rozczarowanie i żal.

Kim ona była? Z pewnością nie córką Elliota.

Po co tu przyszła? Nie zamierzała przecież świętować jego sukcesu.

Poczł na dłoni muśnięcie kosmyka jej włosów. Nawet teraz, zgnieciona prawie w jego ramionach, miała w sobie coś urzekającego, ten sam delikatny wdzięk, jaki widział w księżniczce z tapiserii. Dobry Boże, od kiedy on wierzy w sentymentalne legendy o dziewczicach poskramiających bestie? Własna naiwność doprowadzała go do szału. Co się z nim działo?

Nagle zatrzymał się i wziął głęboki oddech.

- Dokąd, do diabła, mam ją zanieść? - zapytał z taką złością, że Maggie podniosła głowę wpatrzona w jego twarz.

- Zanieś ją na górę. Będzie tam miała spokój - powiedziała chłodno Ardath, która szła tuż za Norą razem z Bellą i doktorem Sinclairem.

- Spokój? - mruknął wściekle Connor. - Po moim trupie.

Kiedy zbliżyli się do wejścia, z pokoju kredensowego wypadł wuj Connor, wysoki, potężny mężczyzna koło sześćdziesiątki. Hrabia Glenbrodie spędził ostatnie dziesięć lat życia, podróżując po całym świecie jako botanik.

Przygotowywał w piwnicy ziołowe lekarstwo dla jednego z gości, gdy wybuchło zamieszanie. Connor już dawno zdał sobie sprawę, że wuj żyje w trochę innym wymiarze niż reszta ludzi.

- Właśnie powiedzieli mi o Sheenie. - Hrabia strzepnął grudkę ziemi z fartucha, który miał włożony na surdut; jego rumiane policzki kontrastowały z równo przyciętą białą brodą. Na widok dziewczyny w ramionach Connora z dezaprobatą zniżył głos: - Wszyscy krytykują moje zachowanie, ale muszę powiedzieć, że świetnie wybrałeś moment, by nosić po ogrodzie dziewczynę na rękach, kiedy w domu jest włamywacz, a twoją siostrę porwano.

Connor ściągnął brwi. Poczul dojmujący ból głowy w lewej skroni. We wszystkich oknach zobaczył przyglądających mu się gości.

- Dziewczyna została podobno ranna, kiedy próbowała ratować Sheenę - wycedził przez zęby. - Doktor kazał zanieść ją do domu.

- Próbowala ratować Sheenę? - Twarz hrabiego złagodniała. - Na miłość boską, nie sterczże więc na tym chłodzie. Rób, co kazał lekarz. A kto to jest?

Connor zerknął na Maggie. Kiedy ich oczy się spotkały, uderzyła go autentyczna niewinność w jej spojrzeniu.

- Zdaje się, że nikt nie wie - odpowiedział. - Jedno, czego jestem pewien, to to, że nie jest córką Elliota.

- Biedne dziecko, pewnie przeżyła szok. - Hrabia uśmiechnął się pocieszająco do Maggie. - Jak masz na imię, moja droga?

Dziewczyna westchnęła z rezygnacją. Ukrywanie prawdy nie miało najmniejszego sensu. I tak nic już nie zmieni rozczarowania lorda Buchanana. Mężczyźni z jego pozycją musi być trudno zaakceptować, że uległ intrydze.

- Mam na imię... - zaczęła odważnie.



- Maggie! - Z balkonu sypialni Connora rozległ się znajomy męski głos. - Ciebie też złapali? Przysięgam, że nie puściłem pary z ust, że to był twój pomysł. Powiedziałem, że sam się włamałem i że pantofel na balkonie był mój... że go ukradłem.

Wyznanie Hugona wybrzmiało do końca w absolutnej ciszy. Nikt nie śmiał się odezwać. Lord Buchanan wyglądał jak zahipnotyzowany. Maggie skurczyła się ze strachu, czując, że jego ramiona prawie ją miażdżą. Mimo maski opanowania była od niego taka furia, że dziewczyna nie miała odwagi podnieść oczu.

Dwóch służących pojawiło się na balkonie, żeby wciągnąć Hugona do pokoju.

- Uciekaj, Maggie! - krzyknął chłopak, dolewając jeszcze oliwy do ognia. - Pamiętaj, co o nim mówią: jesteś skończona, jeśli nie wyrwiesz się temu szatanowi!

Miał rację. Nic jej nie uratuje, kiedy znajdzie się w jego rękach.

- Sądzę, że powinien pan postawić mnie na ziemi, milordzie - powiedziała, sztywno odpychając się od Connora.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na jej słowa, spytał wściekłym, niskim głosem:

- Kim jesteś, do diabła?

Ardath szarpnęła poję jego surduta.

- Postaw ją, Connor. Sprawiasz jej ból. Nie zdajesz sobie sprawy ze swojej siły. Już ci to mówiłam.

- Dziewczyna może mieć jakieś wewnętrzne obrażenia, milordzie - odezwał się ostro lekarz. - Nie może jej pan tak szarpać. Wymaga delikatnej opieki.

- Postaw ją, Connor - stanowczo ujął się za Maggie hrabia. - Z tego, co słyszę, to jedyna osoba, która kiwnęła palcem, by ratować Sheenę. Rodzina ma wobec niej wielki dług wdzięczności.

Connor najwyraźniej nic sobie nie robił z dobrych rad rodziny i przyjaciół. Okrutne błyski w jego oczach nie zapowiadały, że zechce słuchać jakichkolwiek tłumaczeń. Nie uwierzy, że pragnęła jedynie pomóc przyjacielowi. Wszystkie straszne pogłoski na temat najpotężniejszego człowieka w Szkocji były prawdziwe. A ona była teraz na jego łasce.

Sytuacja wymagała natychmiastowego działania.

Szarpnęła się tak gwałtownie, że zaskoczony Connor wypuścił ją prawie z ramion. Przez sekundę wydało jej się, że ma szansę mu się

wyrwać, ale on w odpowiednim momencie zręcznie chwycił połą jej płaszcz.

Nie zdołała nawet dotknąć stopami ziemi. Connor podrzucił ją bez najmniejszego wysiłku i przytrzymał mocno w talii. Co gorsza, skradzione ciastka wysunęły się z kieszeni i spadły im pod nogi. Na szczęście w zamieszaniu nikt nie zwrócił na nie uwagi.

Niestety, gorzej było z szampanem ukrytym pod płaszczem. Jakimś cudem butelka przetrzymała w całości upadek Maggie.

Jego kochanka miała rację. Connor najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy ze swej siły.

Kiedy szarpnął dziewczynę i przyciągnął ją znów do siebie, butelka wysunęła się z kieszeni i po wystrzale korka spadła na kamienne płyty tarasu z hukiem pocisku artyleryjskiego.

Ardath wydała z siebie zduszony pisk.

- Boże, ktoś do nas strzela!

- Chłopak na balkonie! - krzyknęła Nora. - Chyba trzymał coś w ręce.

Hrabia otoczył ramionami matkę Ardath i zaczął ciągnąć ją w dół po schodach.

- Wszyscy na ziemię! Connor, zasłoń dziewczynę, potrzebujemy jej pomocy. Strzeż jej!

Stary koniuszy, zaalarmowany krzykami, nadbiegł z głębi podwórza.

- Co się stało? Porywacze wrócili?

- Ktoś strzela do Connora - bez tchu wyrzuciła z siebie Ardath. - Uciekaj, Jakubie!

Koniuszy potknął się na schodach, krzycząc do wybiegających z domu służących:

- Ktoś chce zamordować lorda Buchanana! Uciekajcie! Maggie nie miała nawet szansy wyjaśnić, co się stało. Nagle

poczuła, że leci do tyłu. Potężne ciało Connora zamortyzowało upadek, kiedy wylądowali na ziemi. Jego natychmiastowa reakcja i zręczność tak ją zaskoczyły, że nie mogąc wydusić słowa, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

Oslonił jej głowę ramieniem i tak mocno przycisnął do ziemi całą masą twardego jak stal ciała, że nie mogła prawie oddychać. Jego długie jasne włosy łaskotały ją w brodę, szeroka pierś wgniatała w ziemię, serca obojga biły w szaleńczej harmonii.

- Milordzie... - jęknęła, ledwie łapiąc oddech.

- Nic nie mów.

- Ale, nic się...

- Do diabła, milcz! To sprawa życia i śmierci, nie rozumiesz? Ktoś chce nas zabić.

Wszyscy pochowali się za przyszyżonymi na kształt zwierząt krzewami otaczającymi taras. Ardath wraz z matką przycupnęły pod skrzydlatym smokiem; Nora, hrabia i doktor Sinclair znaleźli schronienie pod krzakiem przypominającym kształtem parę minojskich byków.

Maggie skrzywiła się, słysząc, jak butelka stacza się w ich stronę po stopniach tarasu, gdzie z głośnym sykiem zaczęła kręcić się w kółko jak chiński fajerwerk. Kiedy strumień szampana wystrzelił w górę, Connor podniósł głowę i mruknął pod nosem:

- Co, do diabła...?

W tym momencie resztką szampana chlusnęła mu w twarz.

Zmartwiła z przerażenia Maggie patrzyła, jak napięcie w oczach Connora zamienia się w dziką wściekłość. Gdy zrozumiał, co się stało, uniósł się na łokciach, pozwalając jej w końcu odetchnąć, na ucieczkę jednak nie miała żadnej szansy. Ciarki przeszły jej po plecach, gdy bez słowa wbił w nią wzrok.

Czas jakby stanął w miejscu. Nawet gdyby Connor ją teraz puścił, nie ruszyłaby się pewnie z miejsca, zahipnotyzowana tym spojrzeniem.

Strużka szampana spłynęła po jego policzku na brodę. Maggie usłyszała z tyłu kroki gości, którzy odważyli się wyjść z kryjówek. Słyszała też chrapliwy oddech Connora. Wydawało się, że wściekłość odebrała mu mowę.

„Nie dajcie się zbić z tropu - król złodziei, Herszt, powtarzał to zawsze swoim uczniom. - Nigdy nie przyznawajcie się do winy, nawet jeśli złapią was na gorącym uczynku. Do końca udawajcie niewinnych”.

Tak więc, z determinacją godną podopiecznej Artura, wsunęła rękę do kieszeni surduta Connora, wyciągnęła chusteczkę i wytarła resztki Clicquot - Ponsardin z zaciśniętej szczęki prokuratora generalnego. Zesztywniał; mięśnie jego twarzy wydawały się pod jej palcami twarde, jak wykute z granitu.

- A to ci dopiero... - Ardath zanurzyła palec w musującej kałuży i oblizła go z wyrazem osłupienia na twarzy. - To szampan. Zdaje się, że właśnie zostałeś ochrzczony, Connor.

- Pomóż jej wstać! - krzyknął hrabia. - Nie jest wam chyba wygodnie w tej pozycji.

- Szampan? - spytała zdumiona Bella, wrywając piórko ze swojego boa. - Sądziś, że ktoś chciał zamordować Connora za pomocą butelki szampana? Co ci kryminaliści jeszcze wymyślą?

Connor wciąż milczał. Był przerażająco spokojny.

Maggie westchnęła. Jej wzrok padł na balkon, gdzie Hugon pękając ze śmiechu, zwisał przez barierkę. Dwaj służący, którzy mieli wciągnąć go do pokoju, sami z trudem powstrzymywali rozbawienie.

Connor nadal się nie poruszył. Przez ubranie dziewczyna czuła nacisk jego napiętego z wściekłości ciała. Zastanawiała się, czy spędzą resztę nocy w tej żenującej pozycji.

Koniuszką palca wytarła ostatnią kropelkę trunku z jego brody.

- No cóż, w jednym miał pan rację, milordzie - powiedziała porozumiewawczym tonem. - Szampan rzeczywiście czasem wybucha.

Po raz pierwszy od wielu lat Connor poczuł absolutny bezwład umysłowy. Wszystko, co wiedział o tej kobiecie, to to, że śmiała włamać się do jego domu, oczarowała go, oszukała i na dodatek odegrała anioła miłosierdzia wobec jego siostry. A teraz bez żenady wycierała mu krople skradzionego szampana z brody i, do stu piorunów, nie sprawiało mu to specjalnej przykrości.

Z lodowatym wyrazem twarzy wyjął chusteczkę z dłoni dziewczyny i postawił ją na nogi, zerkając groźnie na rozdeptane ciastka. Podniósł kawałek ptysia i przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- Na Boga Wszechmogącego... przecież to ciastka z mojego przyjęcia.

Hrabia podszedł bliżej i fuknął na Connora:

- Nie mogę uwierzyć, że interesują cię teraz jakieś ciastka. Naprawdę nie jesteś w stanie skupić się na niczym innym niż na własnych egoistycznych przyjemnościach?

Connor zaklął siarczyście.

Ardath wyprostowała się powoli i powiedziała łagodzącym tonem:

- Connor, to był tylko szampan.

Nie zwracał na nikogo uwagi, nie spuszczał wzroku z dziewczyny stojącej obok w świetle księżyca. Boże, zmiłuj się, jaka ona była śliczna z tymi wielkimi oczami, z tą delikatną twarzą. Powinien jednak być mądrzejszy. Życie nauczyło go przecież, że księżniczki z bajki to zbyt piękne, by było prawdziwe.

- Kim jesteś? - rzucił ostro. - Do diabła, odpowiesz mi, nawet gdybyśmy mieli stać tu do rana.

Maggie wysunęła dumnie brodę i popatrzyła na niego jak arystokratka na drobnego dorobkiewicza. Właśnie ta wyniosłość na przestrzeni kilku ostatnich dziesięcioleci zaprowadziła większość jej przodków na szafot.

- Jestem Małgorzata Maria - Antonina de Saint - Evremond. Ze względu na szkocką gałąź rodziny mam prawo używać nazwiska Saunders. Maggie Saunders. Ale - dodała na koniec - cóż to właściwie może pana obchodzić.

## Rozdział 6

Connor przywarł do poręczy, by przepuścić procesję służących, którzy mijali go na schodach. On, pan tego domu, przestał po prostu istnieć. Służba ledwie go zauważała. Wszyscy zajęci byli dogadzaniem dzielnej kobiecie, która samotnie stawiała czoło porwaczom. W całej dzielnicy, jeśli nie w mieście, mówiło się ostatnio tylko o tym wydarzeniu. Wyczyn Maggie nabrał już prawie wymiaru legendy.

Stery ręczników, sagany gorącej wody, bulion, herbata, nocna bielizna Nory... Niczego nie odmawiano tej podejrzanej bohaterce, która wbrew kompletnie zlekceważonym protestom Connora rezydowała w specjalnie dla niej wysprzątanym pokoju gościnnym.

- Och, milordzie, czy zechciałby pan je wziąć ode mnie? - spytała zza naręcza poduszek jedna z pokojówek i wepchnęła mu do ręki bukiet stokrotek. - Kwiaty rozweselą odrobinę tę biedną dziewczynę. Musi pan być z niej dumny, milordzie. Co za odwaga, by stanąć w obronie pana siostry.

Zaskoczony Connor wcisnął stokrotki pod pachę, kiedy pokojówka go minęła.

- Ta kobieta wprowadza prawdziwe zamieszanie w moim domu - odezwał się do dezorientowanego młodego Walińczyka, inspektora policji, który próbował przedrzeć się za Connorem na górę po zatłoczonych schodach. - Nie twierdę, by rodzina czy też służba przestała liczyć się z moimi życzeniami, ale obecność tej dziewczyny wprowadza straszny chaos.

- Właśnie widzę, milordzie. Czy pańska zaginiona siostra ją znała?

Connor zamyślił się na chwilę.

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale to istotne pytanie. Zastanawiałem się nad ewentualnym powiązaniem między włamaniem do domu i porwaniem Sheeny. Musi pan dokładnie przesłuchać tę dziewczynę. Niestety, moja pierwsza reakcja była impulsywna i niezbyt roztropna. Ruszyłem konno w pogoń za powozem, ale zdążył już zniknąć. Wypytywałem po drodze, lecz nikt go nie widział. Powinienem był zachować zimną krew i od razu wezwać pomoc.

- Niewielu z nas zachowałoby zimną krew w takich okolicznościach, milordzie.

Connor skrzywił się ponuro.

- Możliwe, lecz powinienem być mądrzejszy. Poprowadził inspektora Daviesa do luksusowego apartamentu

urządzonego z myślą o rodzinach przybywających z wizytą sędziów lub członków Parlamentu. Sądząc po poruszeniu, jakie zapanowało w całym domu, można by pomyśleć, że apartament gościnny jest teraz zajmowany przez jakąś zagraniczną księżniczkę. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, z pewnością ubawiłoby to Connora.

- Proszę być dobrej myśli, milordzie - zapewnił Davies. - Nasi ludzie obserwują wszystkie porty, a bramy miasta są zablokowane. Pański kolega Donaldson dostarczył nam już listę znanych przestępców, którzy mogliby żywić do pana jakąś urazę. Odnajdziemy pana siostrę.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli - powiedział Connor. - Gdzież ona może teraz być?

Zamyślony otworzył drzwi. To, co zobaczył, na moment przytłumiło wszystkie inne myśli.

Maggie spoczywała w morzu koronkowych poduszek na wielkim łóżu z kolumnkami rzeźbionymi w motywy roślinne i, jak Kleopatra na swej królewskiej barce, łaskawie poddawała się zabiegom krzątających się wokół niej osób. Wyglądała absolutnie naturalnie w tym luksusowym otoczeniu. Najwyraźniej czuła się jak w domu w przeładowanym ozdobami i złoceniami pokoju, wśród pasteczek i aniołków uśmiechających się z tapet na ścianach.

Wuj Connora siedział przy łóżku i opowiadał Maggie o swoich rozlicznych podróżach. Ardath zawiązywała różową jedwabną wstążkę na bandażu na głowie rannej bohaterki, a Bella i Nora dyskutowały, w którym szlafroku będzie jej najwygodniej. Uchowaj Boże, żeby jej nie zawiąło i nie zaczęła kichać w nocy. Doktor Sinclair z miną skupionego alchemika przygotowywał na toaletce lekarstwo uśmierzające ból głowy.

Natomiast Maggie zezowała pożądliwie w stronę pudełka czekoladek, które trzymała na kolanach. Jej błękitne oczy zwięzły się, kiedy Connor stanął w drzwiach, a potem rozszerzyły ze zdziwienia, gdy za jego plecami spostrzegła inspektora.

Connor pomyślał od razu, że nie jest to jej pierwsze spotkanie z przedstawicielami prawa. To zawodowa kryminalistka. Niech ją

diabli! Była dobra. Gotów był przysiąc, że pochodzi z dobrej rodziny. Zwykle trafnie oceniał ludzi już na pierwszy rzut oka.

- Mam wrażenie, że zna pani inspektora Daviesa, panno Saunders? - spytał, nie kryjąc drwiny w tonie.

Zanim Maggie odpowiedziała, Walijczyk podbiegł do łóżka.

- Co ten człowiek ci zrobił, Maggie? Skąd ten bandaż na głowie? Connor wyprostował się, nie wierząc własnym uszom.

- Czyżby coś umknęło mojej uwagi? - zwrócił się oschle do Ardath.

Maggie nadstawiła policzek, kiedy inspektor rzucił się, by serdecznie ją ucałować.

- Sądziłam, że wyjechałeś do Glasgow, Tomaszu. Jak mają się dzieci?

- Wracają niedługo z Gladys i okropnie za tobą tęsknią. Ale to teraz nieważne. - Popatrzył podejrzliwie przez ramię na Connora. - Rzeczywiście prawdziwa włamywaczka. Czego władza nie robi z niektórymi ludźmi. Co ci się stało w głowę, Maggie, kochanie?

Hrabia posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie.

- Poturbowała się, próbując ratować moją siostrzenicę z rąk porywaczy. Na szczęście nic jej nie będzie.

Connor podszedł bliżej.

- Chodzi o siostrzenicę, której porwaniem się pan zajmuje, inspektorze.

- Musisz ją jak najszybciej odnaleźć, Tomaszu - odezwała się z troską Maggie. - To było takie straszne... Nie mogłam przecież z czystym sumieniem patrzeć beczynn timer na to wszystko, prawda? Była zupełnie bezradna.

- Może opowie nam pani coś jeszcze o swoim sumieniu? - ironicznie poprosił Connor.

- O sumieniu? - Maggie zastanawiała się przez chwilę. - Zostałam wychowana w wierze rzymskokatolickiej. Czy to ma jakieś znaczenie?

Uśmiechnął się cynicznie.

- Chodzi mi o to, czy ma pani jeszcze jakieś przestępstwa na sumieniu.

- Jak pan śmie - oburzyła się. - Cóż za impertynencja. Inspektor Davies wyprostował szczupłe ramiona.



- Tak właśnie przypuszczałem, milordzie - powiedział z przekonaniem. - Maggie Saunders nie ma nic wspólnego z żadnym porwaniem.

Maggie uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Connor przyglądał się jej z pewnym podziwem. Starał się zrozumieć, co ta dziewczyna naprawdę ukrywa. Jak ona to robiła? Jak na kryminalistkę była taka łagodna i słodka z tymi ciemnymi puklami spływającymi na ramiona. Nic dziwnego, że go oczarowała. Najwidoczniej umiała oczarować każdego.

- Czy to dla mnie? - zapytała niespodziewanie, spoglądając na zmiętoszony bukiet pod jego pachą.

Spojrzał na biedne stokrotki i westchnął głośno. Zupełnie zapomniał, że wciąż je trzyma.

- Tak. Proszę.

Rzucił kwiaty na łóżko. Zmieszana Maggie przygryzła wargę. Po co zdobył się na tak miły gest jak przyniesienie kwiatów, skoro rzucał je teraz ze złością?

- Próbowałam wytłumaczyć jego lordowskiej mości, że jestem jedynie niewinnym świadkiem zdarzenia - odezwała się słabym głosem do inspektora. Wyprostowała jedną ze złamanych łodyżek w bukiecie. - Ale nie chce mi wierzyć.

- Mojemu bratu nie można niczego wytłumaczyć, jeśli podejmie już jakąś decyzję - wtrąciła Nora. - Zawsze twierdziłam, że łatwiej ruszyć górę z miejsca niż nakłonić Connora do zmiany zdania. Jest taki, odkąd pamiętam.

Maggie potrząsnęła głową ze zrozumieniem.

- Teraz jest pewnie za późno, by go zmienić. W jego wieku charakter jest już ukształtowany.

Connor, sztywny z napięcia, podszedł do okna. Zdażył już zdjąć surdut i kamizelkę. Przyjęcie dawno się skończyło. Poirytowany zmarszczył czoło. Co ona miała na myśli, mówiąc „w jego wieku”? I, na miłość boską, gdzie jest Sheena?

- Ilu ludzi szuka mojej siostry, inspektorze? - zapytał krótko.

- Wszyscy moi ludzie, milordzie, nie mówiąc o całej brygadzie ochotników.

- Przyłączę się do nich - mruknął Connor pod nosem.

- Prawdopodobnie roztropniej byłoby zostać tutaj - odparł Davies. - Może jakiś szaleniec chce się na pana zacząć. Poza tym,

przykro mi o tym wspominać, milordzie, ale porywacze przyślą pewnie do domu list z żądaniem okupu.

Connor odwrócił się niespokojnie. Na jego twarzy malował się cień ironii.

- A pan jest przekonany, że ta kobieta nie miała nic wspólnego z porwaniem Sheeny?

- Czy miałaś coś wspólnego z porwaniem, Maggie? - Inspektor Davies zwrócił się do niej z pobłażliwym uśmiechem, który świadczył o tym, jak śmieszne wydaje mu się to podejrzenie.

Dziewczyna wyprostowała się w łóżku i odpowiedziała z pełną powagą:

- Nie, nie miałam.

Inspektor zwrócił się znów do Connora:

- Zaprzecza jakimkolwiek związkowi z porwaniem pańskiej siostry, milordzie.

- Doskonale słyszałem, co powiedziała - odparł opryskliwie Connor. - Lecz nadal nie wiemy, dlaczego włamała się do mojego domu razem z tym swoim przyjacielem spod ciemnej gwiazdy. - Wbił wzrok w Maggie. - Czy może nam to pani wyjaśnić?

- Niech pani nie wierzy, że on może trzymać tu panią wbrew jej woli - poradziła szeptem Ardath, udając, że poprawia poduszki. - To się nazywa „bezpodstawne uwięzienie”.

Maggie spojrzała Connorowi prosto w oczy.

- Nie jestem ignorantką, milordzie. Wiem, do czego pan zmierza. To się nazywa „bezsensowne uwięzienie”.

Z gardła Connora wydobyło się coś pomiędzy charczeniem a śmiechem.

- Nie odpowiadaj na żadne inne pytania, moja droga - poradziła jej Ardath. - Przy tym musi być przedstawiciel prawa.

- Connor jest przedstawicielem prawa - oznajmił odkrywco hrabia. - Poza tym jest diabelnie dobry w swoim fachu, nawet jeśli ponosi go czasem temperament. Nie martw się o adwokata, dziecko. Jeśli zdrzesz z prawem, mój siostrzeniec jest człowiekiem, którego ci trzeba.

- Nie mam zamiaru reprezentować tej kobiety - natychmiast zareagował Connor. - Już prędzej będę jej oskarżycielem niż obrońcą.

- Oskarżycielem? - Maggie zbladła na samą myśl o tym; stokrotki wypadły jej z dłoni.

Hrabia ściągnął groźnie krzaczaste brwi.

- Jak możesz choćby wspominać o oskarżaniu jej po tym, co zrobiła dla Sheeny? To nie ty w obronie siostry zaatakowałeś woźnicę tego powozu.

- Nawet nie widziałem tego cholernego powozu - odparował Connor. - Sądysz, że porwaliby Sheenę, gdybym był wtedy na dziedzińcu?

- Tak czy siak - ciągnął hrabia - odwaga musi zostać nagrodzona. Lepiej skoncentrujmy się na poszukiwaniach Sheeny, zamiast molestować tę biedną dziewczynę. Chciała jedynie pomóc i musimy to docenić.

Connor potarł ręką twarz. Nie wygra w tej dyskusji. Bez względu na to, ile triumfów odniósł na sali sądowej i jak bardzo szanowany był w całej Szkocji, nigdy nie udawało mu się wygrać z własną rodziną. Taki już był jego krzyż pański. A teraz ta dziewczyna, ta arogancka księżniczka z zakazanej dzielnicy, o czarujących błękitnych oczach - co miał z nią począć? Pociągnął inspektora Daviesa do drzwi.

- Proszę powiedzieć, co mogę zrobić, by pomóc odnaleźć Sheenę. Nie zostanę w domu ani chwili dłużej.

- Teraz można tylko czekać, milordzie - z powagą odparł Davies.  
- Czy to możliwe, że pańska siostra знаła napastnika?

- Skąd mogę wiedzieć? - W tej chwili dotarła do niego straszna myśl. - Przepraszam... Rzeczywiście to zasadne pytanie. Sheena nie miała wielu przyjaciół, a ja nie lubiłem tych, których zapraszała do domu. Niedawno uparła się, by wyjść za pewnego oszusta, oczywiście wbrew mojej woli.

- Za oszusta? Boże drogi...

- Postarałem się, żeby wyjechał do Włoch dwa tygodnie temu. - Twarz Connora pociemniała na wspomnienie sceny, która się wówczas rozegrała. - Sheena widziała, jak jego statek odpływa. Od tamtej pory nie odezwała się do mnie ani słowem.

Davies zacisnął wargi.

- Rozumiem. No cóż, jest kilka osób, które, jeśli pozwoli pan to tak określić, nie życzą panu najlepiej, milordzie.

- Wiem o tym.

Connor nie mógł się pogodzić z myślą, że teraz jego własną siostrę można zaliczyć do tego grona. Ale ona wróci. Zrozumie jego decyzję i mu przebaczy. Jeśli... kiedy się odnajdzie. Zawsze była

smutnym dzieckiem, a on nie bardzo potrafił do niej dotrzeć. Czasem podejrzewał, że Sheena umyślnie go drażni, żeby się przekonać, czy brat naprawdę ją kocha.

Zerknął w stronę łóżka na bladą dziewczynę, która przyglądała mu się uważnie. Czy przysłał ją któryś z jego wrogów? Czy jej niewinność nie była subtelną bronią, która miałyby go powalić, gdy zawiodły brutalniejsze sposoby? Nie. Nie. To nie miało żadnego sensu. Ale żadnego sensu nie miała też cała ta sprawa z panną Saunders, jej rzekome arystokratyczne pochodzenie, powiązania ze światem kryminalnym, obecność w jego domu. Ta dziewczyna to jedna wielka zagadka. Jednak, na nieszczęście dla niej, rozwiązywanie tajemniczych zagadek było mocną stroną Connora.

Po chwili namysłu podszedł znów do łóżka. Nie zamierzał poddawać się wzruszeniu na widok bandaża na jej głowie ani skakać wokół cierpiącej bohaterki jak reszta domowników. Przyłapano ją na przestępstwie. Wiedział, jak się obchodzić z takimi przypadkami. Nagle, kiedy spotkał jej roziskrzone z przejęcia spojrzenie, ogarnęło go poczucie winy.

Nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia, że dziewczyna wzdrygnęła się lekko, kiedy pochylił się nad łóżkiem. Ku swemu niezadowoleniu, nie potrafił ocenić, czy jest bardziej wściekły dlatego, że włamała się do jego domu, czy dlatego, że zaczął fantazjować na jej temat po tym jednym absurdalnym spotkaniu.

- Proszę wybaczyć, panno Saunders... jeśli rzeczywiście tak się pani nazywa - odezwał się oschle. - Czy w przerwie między kolejnymi hołdami, które przyjmuje pani z takim wdziękiem, byłaby pani łaskawa przypomnieć sobie jakieś szczegóły porwania mojej siostry?

Dziewczyna poczułaby się urażona jego tonem, gdyby Ardath nie ujęła się natychmiast za nią. Maggie zupełnie zmieniła zdanie na temat tej kobiety. Może sprawiały jej przyjemność ekstrawagancje w stylu roznegliżowanych tańców w deszczu, lecz miała swoje zalety. Była bardzo inteligentna i opiekuńcza. I miała odwagę wypowiadać swoje opinie.

- Nie waż się dłużej jej męczyć - powiedziała, podchodząc z drugiej strony do łóżka. - Nie odświeżysz jej w ten sposób pamięci. Spójrz na nią tylko, Connor. Ma obandażowaną głowę. Nie uszanujesz nawet tego, że jest ranna?

- Nie wspominając o potłuczonych żebrach - dodał zatroskany hrabia.

Doktor Sinclair odwrócił się od toaletki, potrząsając fiolką z lekiem.

- Poza tym ma...

- Cholerny tupet! - głośno przerwał mu Connor, tracąc w końcu panowanie nad sobą.

Echo jego głosu odbiło się jak grom w ciszy, która zapanowała w pokoju. Pokojówka, poprawiająca właśnie kołdrę w nogach łóżka, z dezaprobatą trzepnęła ręką po pościeli. Ardath założyła ręce na piersi i patrzyła na niego z wyrzutem.

Maggie odsunęła na bok bukiet stokrotek. Przyglądała się Connorowi z mieszaniną sympatii i niepokoju. Miał w sobie coś wspaniałego, jeśli nie brać pod uwagę reputacji diabła wcielonego i upodobania do wsadzania ludzi za kratki. Niezaprzeczalnie umiał wzbudzać posłuch. Podobało jej się to u mężczyzn. Świadczyło o silnym charakterze, a z pewnością nie pokazał jeszcze wszystkich swoich możliwości.

- Miałem właśnie powiedzieć, że doznała wstrząsu - szorstkim tonem dokończył doktor Sinclair. - Ma na głowie guz wielkości pomarańczy. Nie zdziwiłbym się, gdyby miała zaburzenia pamięci.

Connor zacisnął zęby, wpatrując się w Maggie z nieskrywaną podejrzliwością.

- Włamała się do mojego domu, żeby ukraść dokument...

- Przepraszam, milordzie - Od drzwi rozległ się miły męski głos.

- Przyniesiono posiłek.

- Jaki posiłek? - Connor rzucił groźne spojrzenie ochmistrzowi. - Nie przypominam sobie, żebym prosił o jakieś jedzenie.

Ardath z uśmiechem skinęła na mężczyznę w drzwiach.

- Proszę to wnieść, Forbes.

Lokaj otworzył szeroko drzwi i ukazał się orszak służby z tacami oraz stolikiem na kółkach. Connor z niedowierzaniem przyglądał się, jak Forbes zręcznie go wymija i prezentuje Ardath srebrną paterę na stoliczku. Można by pomyśleć, że szykują tu królewskie przyjęcie. Nie miał pojęcia, że jego służba potrafi zachowywać się tak fachowo i elegancko. Sam musiał się prawie prosić o każdy herbatnik, ale właściwie już dawno temu pogodził się z faktem, że rodzina i służba niewiele sobie robi z powagi jego stanowiska.

- Kucharz polecił to danie, by wzmocnić siły naszej małej pacjentki - szepnął konspiracyjnie do Ardath ochmistrz.

Ta skinęła aprobująco głową.

- To bardzo miło z jego strony. Proszę przekazać moje podziękowanie.

Lokaj szerokim teatralnym gestem podniósł srebrną pokrywkę, po czym wbił nóż w przypieczonego na rumiano i polanego sosem indyka. Connor otrząsnął się z osłupienia. Tego już za wiele.

- Ardath, to przecież pieczony indyk. Uśmiechnęła się, potwierdzając skinieniem głowy.

- Jesteś niezwykle spostrzegawczy, Connor. - Zerknęła ciepło na Maggie. - Ciemne czy jasne mięso, moja droga?

Dziewczyna usiadła z szeroko otwartymi z wrażenia oczami. Czy udałoby się przemycić do Heaven's Court całego indyka?

- Och... Czy to sos kasztanowy? Connor podniósł głos:

- To pieczony indyk przygotowany na przyjęcie.

- No cóż, przyjęcie się skończyło. - Hrabia przesunął swój taboret, by Forbes mógł postawić tacę na kolanach Maggie. - Trudno się chyba dziwić po tych wydarzeniach. Wszyscy są pod wrażeniem porwania Sheeny, z wyjątkiem jej brata, który zresztą prawdopodobnie przyczynił się do tego, co ją spotkało.

Inspektor Davies wyjął pióro i notatnik.

- Sądzi pan, hrabio, że to porwanie z zemsty? Czy ktokolwiek słyszał już coś o liście z żądaniem okupu?

Dwie pokojówki obsługujące Maggie zmusiły Connora, by odsunął się od łóżka.

- Niech się panienka nie poparzy herbatą.

- Czy używa pani cukru, panno Saunders? A może woli pani, żeby zwracać się do niej lady Małgorzato?

Connor wyprostował się gwałtownie.

- Przepraszam... Lady Małgorzato?

- Panna Saunders jest córką francuskiego księcia, który pracował jako tajny agent przeciw Napoleonowi - spokojnie wyjaśniła Ardath. - Przez kilka lat mieszkała na wygnaniu u ciotki w Szkocji. Nie jest pierwszą lepszą osobą z ulicy.

- Doprawdy? - Connor udał, że jest pod wrażeniem. - Ciekawe, ilu włamywaczy w tym mieście jest naprawdę arystokratami i zagranicznymi szpiegami w przebraniu? A może powinienem

sprawdzić, czy nasz kominiarczyk, towarzysz włamania... rzekomej lady Małgorzaty, nie jest czasem królem Syjamu?

Maggie westchnęła, gdy doktor Sinclair podał jej szklaneczkę z brązowym lekarstwem.

- Sądzę, że jego lordowska mość mi nie wierzy. Nie ze złej woli. Przy okazji, milordzie, naprawdę nie spodziewam się specjalnego traktowania. Proszę zwracać się do mnie „panno Saunders”. Och, co za doskonały sos. Mam nadzieję, że wybaczą państwo, że jem tak łapczywie. Od lat nie widziałam nic tak wspaniałego. Musiało kosztować fortunę.

Hrabia i Ardath wymienili pełne sympatii spojrzenia.

- Niech pani je, ile dusza zapagnie, dziecko - powiedział hrabia.  
- Mojego siostrzeńca z pewnością na to stać.

Connor został znów popchnięty w stronę łóżka, gdy drzwi się otworzyły i pokojówka wniosła paterę z importowanymi owocami i serami. Mięśnie zadrgały na jego zaciśniętej szczęce, kiedy patrzył, jak Maggie robi miejsce na tacy i stawia na niej deser. Pochylając się nad nią pod pretekstem poprawienia serwetki rzekł cicho:

- Zbieramy się do snu zimowego?

Maggie milczała. Jak mogłaby odpowiedzieć, skoro wpychała właśnie do ust kawałek hiszpańskiej pomarańczy jak wygłodniała wiewiórka? Do diabła, Connor nie zdziwiłby się, gdyby łóżko zarwało się pod jej ciężarem. Nie mógł sobie wyobrazić, gdzie ta dziewczyna pakuje całą tę masę jedzenia, ale pochłonęła tyle, co armia szkockich górali w zimowym wymarszu.

Lecz nagle westchnęła z trudem i opadła na poduszki. Najwyraźniej zaspokoila apetyt po kilku kęsach owoców i sera. Drobne palce wciąż ścisnęły udko indyka, którego nie zdążyła dokończyć. Connor powoli się wyprostował. Ogarnęła go dziwna fala emocji - współczucie, oczarowanie, ciekawość, a wszystko zdominowała jedna myśl: ta dziewczyna jest bardzo sprytną, bardzo ładną oszustką, której pojawienie się w tym domu nie ma prawdopodobnie nic wspólnego z porwaniem Sheeny. Nieraz w życiu zdarzyło mu się być głodnym i właściwie doskonale ją rozumiał. Czy sam nie wykorzystałby takiej sytuacji?

- Niech wszyscy stąd wyjdą - powiedział niespodziewanie. Wolał stłumić zdradliwe uczucie sympatii, zanim odbierze mu zdolność logicznego myślenia. - Chcę zostać sam z panną Saunders.

Wszyscy jednocześnie zaczęli protestować. Jedyna Maggie nie zareagowała - była zbyt wyczerpana, żeby się zastanawiać, czy uda jej się przeżyć to przesłuchanie. Wyczuwała, że Connor podobnie jak ona nie znosi mactw i niedomówień. Jednak jakaś niekontrolowana siła splątała niebezpiecznie ich losy. Maggie przypominała sobie średniowieczną tapiserię, atmosferę zagrożenia i fizycznego przyciągania, lwa, jego damę i ich niebaczne zapatrzenie...

Czy ten obraz nie rzucał cienia na przyszłość?

- Nie sądzę, by to było rozsądne, Connor - spokojnie oświadczyła Ardath. - Nie teraz, kiedy jesteś wzburzony.

- Dziewczyna musi wydobrzej i odzyskać pamięć. - Hrabia wstał z taboretu, jakby chciał osłonić drobną postać na łóżku. - Nie widzisz, jak ją przerażasz?

Doktor Sinclair otworzył usta, żeby coś dodać, ale najwyraźniej zmienił zdanie na widok wyrazu twarzy Connora.

- Wyjdźcie. - Connor pokazał palcem drzwi. - Wszyscy. Natychmiast.

Nikt nie dyskutował z Connorem Buchananem, kiedy ten używał tego tonu, tonu prokuratora generalnego, który skazywał morderców i bronił niewinnych. Nawet Ardath nie śmiała wchodzić mu w drogę, gdy w jego głosie zaczynał pobrzmiwać gardłowy akcent szkockich górali. Nieliczni szaleńcy, którzy ośmielili się przeciwstawić mu w takim momencie, gorzko tego pożałowali.

Wszyscy chyłkiem opuścili pokój.

Connor powoli odwrócił się do Maggie.

Światło świec kładło się cieniem na jego zapadniętych policzkach, podkreślając męskie rysy. Niecierpliwym gestem rozpiął kołnierzyk i ściągnął fular. Całą wieczność stał w nogach łóżka, z jasnymi włosami spadającymi na szerokie ramiona, przesywając wzrokiem nieruchomą postać przed sobą. Znowu poczuł to niepokojące przyciąganie, magię erotyzmu i emocji, których nie potrafił wyjaśnić. Tym razem zdusił to w sobie, nie dopuszczając do świadomości, że ta kobieta wzbudza w nim coś niebezpiecznego.

Jego twarz nie zdradzała żadnego konfliktu wewnętrznego; dzięki wypracowanemu przez lata opanowaniu umiał zachować niewzruszoną twarz bez względu na to, co się z nim działo. Nauczył się zastraszać oskarżanych w sądzie przestępców milczeniem, spojrzeniem, kilkoma dobrze dobranymi słowami.



Złamanie tej dziewczyny będzie dziecinną igraszką.

Maggie z całego serca zapragnęła zniknąć z tego pokoju. W powietrzu czuło się iskrzące napięcie. Mroczna energia bijąca od tego mężczyzny działała na nią paralizująco. Widziała w jego oczach pogardę, kiedy wygłodniała rzuciła się na jedzenie, ale tak długo nie dojadła, że nie potrafiła opanować pokusy. Nie chciała przecież urazić niczyich uczuć. Cała rodzina była tak miła.

On nie był miły.

Wpatrywał się w Meggie tak intensywnie, jakby czytał w jej myślach. Starła się nie okazać słabości, ale ból głowy ledwie pozwalał jej skupić wzrok na jego twarzy. Miała ochotę zamknąć oczy i udać, że...

- Proszę na mnie patrzeć, kiedy do pani mówię, panno Saunders - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy zbliżył się do łóżka. Usiadł i dziewczyna nagle poczuła, że nie musi już walczyć z sennością. Przez głowę przelatywały jej błyski alarmujących myśli. Kim on naprawdę był? W krążących na jego temat plotkach musiało być przecież jakieś ziarno prawdy.

- Co zrobił pan z Hugonem? - spytała nagle, starając się niezdarnie przesunąć tacę i umknąć na drugi kraniec łóżka.

Connor oparł rękę na kołdrze, tak że nie mogła się poruszyć.

- Pani współnik jest na dole z mężem mojej siostry i posterunkowym. Jak słyszałem, próbował ich przekonać, że znalazł się w moim domu przez przypadek, szukał ponoć zaginionego kota.

- To najszczęśliwsza prawda - podchwyciła bez zmrużenia oka Maggie. - Ten niemądry kocur ciągle ucieka, a babcia jest tak bardzo przywiązana do tego łobuza. Musiał schować się w pana domu przed burzą.

- Jeśli dobrze pamiętam, pani współnik wyznał, iż była to spodziewająca się małych kotka, należąca do jego chromej siostry.

- Kotka jego siostry też uciekła? - spytała z udawanym zdziwieniem Maggie. - Kocur musiał wyciągnąć ją ze sobą. Kocury właśnie takie są, milordzie. Absolutnie amoralne i...

- Później pani współnik przyznał się, że nie było żadnego kota, ani moralnego, ani amoralnego. Chodziło o zeznanie Jamiego Munro.

Maggie skurczyła się pod miażdżącym spojrzeniem prokuratora.

- Wiedziałam od początku, że powinnam przyjść tu sama - szepnęła, spuszcżając wzrok.

Connor obserwował ją uważnie.

- Sama wspomniała pani o Munru na dziedzińcu.

- Chciałam wykraść zeznanie, które wymusił pan na bezradnym, stukniętym Jamie. - Jej oczy pociemniały z przejęcia, gdy podniosła znów głowę. - To niesprawiedliwe, zmuszać bezradnego starego człowieka do przyznania się do morderstwa, którego nigdy w życiu by nie popełnił.

- Co... - Connor cedził każde słowo - miała pani zrobić z tym zeznaniem?

Maggie zacisnęła palce na udku indyka. Uderzył ją znowu chłód spojrzenia prokuratora.

- No cóż, sama nie wiem... Sądzę, że plan polegał na tym, żeby przekonać jakiegoś uczciwego prawnika, by podjął się obrony Jamiego.

- A dlaczego na tak misternie zaplanowaną akcję wysłano kobietę? - spytał ironicznie.

Maggie znów poczuła przyływ energii.

- Ponieważ jestem jedyną osobą w Heaven's Court, która ma arystokratyczne pochodzenie, i umiałabym zachować się podczas pana przyjęcia, gdyby Hugon potrzebował wsparcia, to znaczy odwrócenia uwagi od jego osoby.

Connor wciąż wpatrywał się w nią intensywnie.

- Rzeczywiście potrafi pani odwrócić uwagę - przytaknął cierpko. - I zrobić z mężczyzny głupca. A jeśli chodzi o to zeznanie, to nie miałem najmniejszego zamiaru nikomu go pokazywać.

Maggie usiadła na łóżku wymachując udkiem indyka dla podkreślenia swoich słów.

- Proszę posłuchać. Nie dbam o to, że jest pan prokuratorem generalnym. Fakt, że Jamie został złapany na miejscu zbrodni z bronią mordercy, nie jest żadnym dowodem jego winy.

- Czy zechciałaby pani nie machać mi przed nosem tym indykiem, kiedy panią przesłuchuję, panno Saunders? Czuję się, jakbym rozmawiał z Henrykiem VIII.

- Indykiem... - Zażenowana, odłożyła udko na tacę. - Nie zdawałam sobie sprawy... Nie wiem, co się ze mną dzieje, nie jestem sobą.

W jego oczach zabłysła ironia.

- A kim pani jest... zazwyczaj?

- Mówiłam już panu.

- Utrzymuje pani, że jest Francuzką, lecz nie ma pani śladu akcentu. Jak to możliwe?

- Moja matka była Szkotką. Kiedy tu przyjechałam, ciotka, obawiając się, że ktoś mnie rozpozna, zabroniła mi mówić po francusku. - Jej głos zabrzmiał nagle słabo i nieprzekonująco.

Przy tym człowieku zaczynała wątpić we własną tożsamość. Czowała się onieśmielona jego bliskością i przyparta do muru pytaniami i lodowatym spojrzeniem, które zmiażdżyło tak wielu jego przeciwników w sądzie.

- Nazywam się Małgorzata Maria - Antonina de Saint - Evremond, ale wszyscy znają mnie jako Maggie Saunders. Saunders to nazwisko panińskie mojej matki. Pochodziła z Inverness.

Przez twarz Connora przemknął cyniczny uśmiech.

- Spróbujmy jeszcze raz. Jesteśmy tu całkiem sami. Nie mam zamiaru pani zjeść. Prawdopodobnie nie wniosę nawet oskarżenia, jeśli tylko dojdziemy do porozumienia. Potrafię być oddanym przyjacielem wobec tych, którzy obdarzą mnie zaufaniem.

- Słyszałam coś przeciwnego - powiedziała Maggie cicho, starając się wyszarpnąć kołdrę spod jego masywnego uda.

- Czy znała pani moją siostrę?

- Którą?

- Sheenę, tę, którą rzekomo próbowała pani uratować. Czy może pani zostawić w spokoju moją nogę, panno Saunders?

- Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Pana też wolałabym nigdy nie spotkać. To jakiś koszmar.

- Spróbujmy raz jeszcze - ciągnął cierpliwie Connor. - Co dokładnie powiedział do pani woźnica podczas porwania?

- Nie jestem zupełnie pewna... - Oparła się znów o poduszki, rezygnując z walki o kołdrę. - Wydaje mi się, że spytał mężczyznę w powozie, co ma ze mną zrobić. To wszystko potoczyło się tak szybko. Ten człowiek w powozie nazwał pana szatanem...

- Tak.

- Cóż, w takim razie chyba pana zna.

- Próba zemsty... - Connor niechętnie przyznał, że to możliwe.

- To bardzo prawdopodobne. Ogólnie wiadomo, że wielu ludzi nie darzy pana sympatią.

- Dziękuję, że mi to pani przypomniała, panno Saunders - rzeki cynicznie. - To jest nieodłącznie związane z moją pracą.

- Niektórzy naprawdę pana nienawidzą - dodała niewinnie.

- To oczywiste.

- Szczerze mówiąc, milordzie, jeśli traktuje pan innych tak jak mnie dziś wieczorem, to nic dziwnego.

- Wiem.

Rezygnacja w jego głosie obudziła w Maggie współczucie. Nagle zdała sobie sprawę, jak mu trudno przyznać, że jest bezradny.

- Czy porwanie może mieć jakiś związek z mordercą grasującym w mieście? - spytała cicho.

Zmarszczył czoło, jakby pożałował, że odsłonił choć odrobinę swoich emocji. Wbił wzrok w twarz Maggie, powtarzając sobie, że nie może jej ufać.

- To pani musi mi odpowiedzieć: czy porwanie mojej siostry miało jakiś związek z panią i Jamiem Munro?

Maggie patrzyła z rozbijającą szczerością spod zwoju bandaża na czole.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Jaki to mogłoby mieć związek?

Jamie złożył zeznanie, ale nie rozumiał, co mówi. Wszyscy wiedzą, że ma trochę poprzesztawiane klepki w głowie.

Koszula nocna pożyczona od Nory była o wiele za duża na drobną figurę Maggie. Connor bezwiednie zapatrzył się na linię ramienia dziewczyny w miejscu, gdzie koniec bandaża niknął w ciemnych włosach. Powstrzymał się, by nie przesunąć dłonią po delikatnej jasnej skórze. Jednak ta delikatność kryła zaskakująco silną osobowość. Czy kryła też zdradzieckie serce?

Zauważył cienką błękitną żyłkę pulsującą w zagłębieniu szyi. Pomyślał, że dziewczyna jest podniecona, że się go boi. Zafascynowany, przesunął wzrok na piersi. Jak na drobną kobietę miała dość obfite kształty. Była stworzona do miłości, a nie do złodziejstwa.

- Poprzesztawiane klepki? - spytał, niechętnie odrywając wzrok od wdzięcznych okrągłości.

Maggie zerknęła w dół, jakby się zastanawiała, cóż tak ciekawego tam dostrzegł.

- Jamie nie powinien być zeznawać, dopóki sąd nie wyznaczyłby mu obrońcy - powiedziała z przekonaniem. - Tak przynajmniej stwierdził Herszt, a Bóg świadkiem, jego podopieczni bywali w więzieniu za wszelkie możliwe przestępstwa.

Connor pochylił się odrobinę do przodu i oparł łokieć na tacy między nimi. Udko indyka potoczyło się po łóżku. Oboje udali, że tego nie widzą.

- Ach, Herszt... - Popatrzył z niedowierzaniem, nagle zdając sobie sprawę z tego, co powiedziała. - Chyba nie pracuje pani dla Artura Ogilvie?

Maggie zawahała się, niepewna, jak wytłumaczyć swoje szczególne powiązania z Arturem.

- Właściwie dla niego nie pracuję. Mieszkam u niego. To znaczy w jego domu. Należę do jego podopiecznych. Jest dla mnie jak ojciec chrzestny.

Connor nie wiedział, jak zareagować na myśl o powiązaniach między księżniczką z tapiserii i przywódcą kryminalistów, który zawiadywał całym przestępczym światem Edynburga. Jego królestwo w starej dzielnicy miasta, zwane Heaven's Court, było rzeczywiście rajem zarówno dla emerytowanych, jak i działających wciąż przestępców, którzy zadeklarowali mu lojalność i posłuszeństwo. Connor regularnie spotykał tego starego łotra w sądzie, gdzie odgrywali wciąż te same role - Connor prokuratora, a Artur nieprzychylnego oskarżeniu świadka; Herszt był zbyt cwany, by dać się złapać.

Obaj mężczyźni starali się zawsze przechytrzyć się nawzajem. Obaj byli najlepsi w swoim fachu, mieli ogromne wpływy i władzę we własnym środowisku - po przeciwnych stronach barykady. A teraz połączyła ich ta niezwykła dziewczyna, dziecko ulicy, które utrzymywało, że jest córką księcia. Na ustach Connora pojawił się złośliwy uśmiešek.

- Dobrze się pan czuje, milordzie? - Maggie przyglądała mu się nieufnie jak dzikiemu zwierzęciu, które może w każdej chwili zaatakować.

Potrząsnął tylko głową. Boże, spotkał tę kobietę zaledwie dwie godziny temu. Tak, od pierwszej chwili wzbudziła w nim pożądanie, mówiąc bez ogródek - chciał ją mieć w łóżku. Ale nie tak. Nie, kiedy leżała tu poturbowana, w aurze podejrzeń, a jego siostra pozostaje w

rękach porywaczy właśnie tej nocy, gdy miał świętować swój sukces z najbliższymi przyjaciółmi.

Przyjaciele.

Błysk świadomości wyrwał go z zamyślenia.

Przyjaciele. To przyjaciele, ci cholerni łajdacy, muszą za tym stać. Grożono mu od chwili, kiedy nominacja dotarła do publicznej wiadomości.

Ta myśl uderzyła go nagle jak grom z jasnego nieba, tak absurdalna i tak oczywista jednocześnie. Poczł się zażenowany, że nie wpadł na to wcześniej. Uśmiechnął się. Wgłębienia na policzkach zarysowały się wyraźniej, łagodząc wyraz twarzy. To jakiś dowcip. Cały wieczór musiał być jakimś wyrafinowanym dowcipem. Bo czymże innym? Poczł ulgę, wspominając wydarzenia ostatnich kilku godzin z humorystycznego punktu widzenia. Wystrychnęli go na dudka.

- Boże, powinienem był od razu się zorientować – odezwał się. - Wciąż powtarzam, że brakuje im poczucia humoru w sądzie. Udowodnili teraz, że się myliłem.

Maggie uśmiechnęła się z wysiłkiem, zastanawiając się, co się z nim właściwie dzieje. Była równie zaskoczona zmianą jego nastroju, co ciepłym tembrem śmiechu. Nagle zaczął odwijać bandaż z jej głowy. Zerknęła podejrzliwie na smukłą dłoń, którą położył na jej ramieniu. Potem spojrzała znów w jego twarz. Connor dotykał prawie brodą jej policzka.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. - Wyrwała się z jego uścisku, chcąc prześlizgnąć się na drugą stronę łóżka. - Lecz wiem, że nie może mnie pan tu przetrzymywać siłą. To wbrew prawu.

Connor chwycił ją za nadgarstek, zanim wyplątała się z kołdry.

- Świetna robota, panno Małgorzato Mario - Antonino Jakaśtam de Saint - Evremont Saunders. - Gardłowa szkocka wymowa znowu zabrzmiała w jego głosie. - Jestem pod wrażeniem.

- Jest pan nieco niezrównoważony, milordzie.

Gotowa się bronić, przywarła plecami do szczytu łóżka, kiedy upadł na jej kolana w paroksyzmie głębokiego, niekontrolowanego śmiechu. Szerokie ramiona podskakiwały, a właściwie całe łóżko trzęsło się w rytm tego niepohamowanego śmiechu. Przerazona Maggie przyglądała mu się bez słowa.

- Och... Jest pani naprawdę dobra. - Wciąż zanosił się śmiechem.  
- Czekoladowe eklery, zeznania, próba zamachu na prokuratora generalnego za pomocą korka od szampana. Musi być pani profesjonalistką.

- Słucham?

- Proszę tak groźnie nie patrzeć, dostanę kolejnego ataku śmiechu. - Otarł łzę pod okiem. - To naprawdę świetny pomysł. Zawodowa aktorka. Ardath i Donaldson panią do tego namówili, prawda?

Maggie wpatrywała się w drzwi oceniając odległość. Ten biedny człowiek oszalał na skutek szoku. Współczuła mu, ale kto mógł wiedzieć, co jeszcze przyjdzie mu do głowy?

- Powinniśmy chyba zawołać doktora Sinclaira - powiedziała ostrożnie.

Connor pomachał jej palcem przed nosem.

- Doktora Sinclaira... Niegrzeczna dziewczynka. Nie mogę uwierzyć, że udało ci się wciągnąć w to tego starego zrzędcę. Nie podejrzewałem go o cień poczucia humoru. Nic dziwnego, że udał, iż cię zna. No i ten inspektor.

- Oni naprawdę mnie znają.

- Ja też chcę cię poznać.

- Nie, to nieprawda.

- Najszersza prawda. - Jego głos zabrzmiał teraz jak głęboki baryton. - W każdym tego słowa znaczeniu...

Serce Maggie zaczęło walić w panice.

- Zdaje mi się, że siedzi pan na indyku - szepnęła.

- Zacznę od pocałunku - powiedział, dotykając kciukiem jej dolnej wargi.

Maggie zadrżała.

- Nie zrobi pan tego. Uśmiechnął się pod nosem.

- Ależ tak, zrobię...

## Rozdział 7

Chwycił jej drobne, opierające się ciało w ramiona.

- Chciałem cię pocałować, jeszcze zanim odkryłem twój talent aktorski, ale teraz to już obsesja. Cały czas o tobie myślałem. Masz najbardziej kuszące usta na świecie.

Maggie poczuła, że krew uderza jej do głowy.

- Proszę natychmiast przestać - szepnęła. - To nonsens, będę... Przesunął wargami po jej ustach. Jego długie włosy spadły na policzek dziewczyny. Kiedy rozchylił jej wargi, przeszył ją niespodziewany dreszcz rozkoszy. Ten mężczyzna wiedział dokładnie, co robi. Zaskakująca moc jego pocałunku odebrała Maggie oddech.

Myśli przebiegały przez jej umysł jak błyski. Grzech. Rozkosz. Miała ochotę się rozluźnić i poddać, lecz przyciągnął ją mocniej. Całowanie go byłoby jeszcze większym upadkiem niż kradzież ciastek i szampana. Przymknęła oczy pod wpływem burzy doznań, jakby unosiła się w powietrzu. Przez jedną niebezpieczną chwilę znieruchomiała pod wrażeniem pokusy.

Nagle znów powrócił strach. To niegodne, szepnął jakiś wewnętrzny głos. Adwokat Diabła.

Szarpnęła się, napierając na pierś Connora, ale dłonie natrafiły na niewzruszony mur. Ich włosy się splątały. Całował ją dopóty, dopóki nie poczuł, że pożądanie ogarnia go całkowicie i że Maggie nigdy nie zapomni, co znaczy być przez niego całowaną. Dotyk jej delikatnego ciała doprowadzał go do szału. Zmusił się, żeby oderwać od niej usta i powstrzymać rozpierającą go mieszaninę czułości i dzikiej żądzy.

- To była pierwsza rzecz, jaką miałem ochotę zrobić, gdy znalazłem cię w saloniku - powiedział, zaczerpnąwszy powietrza.

Uśmiechając się lekko na widok zdumionego spojrzenia dziewczyny, wypuścił ją z ramion i oparł z powrotem na poduszkach. Był pewien, że nikt jej wcześniej tak nie całował. Prawdę mówiąc, wzięwszy pod uwagę jego ściśnięty żołądek, można by sądzić, że to on całował po raz pierwszy. Nie spodziewał się, że zrobi to na nim takie wrażenie.

- Naprawdę świetny dowcip - rzekł rozbawiony. - Nie mogę uwierzyć, że Ardath i Donaldson zadali sobie aż taki trud. Mam nadzieję, że dobrze ci zapłacili za ten występ. W pełni na to zasłużyłaś.



Maggie usiadła sztywno. Czowała się ponizona i nie wiedziała, czy kiedykolwiek uda jej się zapomnieć o wydarzeniach ostatniej godziny.

- Nic mi nie zapłacili, ty idioto. Zejdź z moich pogruchotanych zeber. Nie jestem aktorką, tylko biedną pracującą dziewczyną, wplątana w niewłaściwe przyjaźnie.

- Ardath wybrała cię pewnie dlatego, że przypominasz księżniczkę z tapiserii. - Przyglądając jej się z podziwem, owinął sobie wokół palca wstążeczkę zwisającą luźno z kołnierzyka koszuli nocnej. - Masz bardzo delikatne kości - powiedział cicho. - Będę musiał być ostrożny, kiedy będziemy się kochać. Nie chcę zrobić ci krzywdy.

- Za chwilę poczuje się pan bardzo głupio... - szepnęła Maggie, drżąc pod jego dotknięciem.

- Zdejmij ten bandaż, nie jest ci chyba z nim wygodnie.

- Uraz głowy jest niewygodny, tak? - spytała z gniewem. Connor uniósł palcami jej brodę, zmuszając, by dziewczyna spojrzała mu w oczy.

- Przyszło mi właśnie do głowy... Czy nie pojechałabyś ze mną na miesiąc w góry?

- Słucham?

- Lubisz polowania? - zapytał zupełnie poważnie.

- Nienawidzę - wycedziła przez zęby.

- Dobrze. - Uśmiechnął się tak rozbijając, że serce Maggie zamarło. Przytulił twarz do jej karku i dodał: - W takim razie spędzimy cały czas w łóżku.

Po raz pierwszy w życiu Maggie odjęło mowę.

Otworzyła szeroko oczy, kiedy opuścił koszulę z jej ramienia, odsłaniając skrawek piersi. Zamruczał, pochylając głowę i muskając ustami delikatną skórę. Znieruchomiała jak zaczarowana. Boże, ależ ten mężczyzna miał grzeszne usta. Robił nimi cudowne rzeczy, jakich nie знаła. Bała się nawet pomyśleć, co się stanie, jeśli go nie powstrzyma.

Zupełnie nie rozumiała tego człowieka. Z jednej strony mu współczuła, z drugiej strasznie się go bała. Znów przypomniawszy sobie lwa na tapiserii, groźną bestię, która rzadko odkrywa przed światem swe uczucia. Stał przed jej oczami myśliwy w tle obrazu, aura zła unosząca się wokół niego. Czy to możliwe, że teraz ona, tak jak

księżniczka na tapiserii, uwodzi lorda Buchanana i wciąga go w niebezpieczeństwo?

Z początku nie wiedziała, dlaczego się odsunął. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z dziwnej ciszy, a potem poczuła, że Connor prostuje się i opiera na łokciu. Zmarszczył czoło na widok zakrwawionej gazy w swojej dłoni. Spojrzał Maggie głęboko w oczy.

- Nie... - odezwał się głucho.

Odgarnął kosmyk jej włosów i z przerażeniem utkwiał wzrok w olbrzymim guzie.

- Dobry Boże, ty naprawdę jesteś ranna.

- Oczywiście, że tak - odparła oburzona dziewczyna. - Upadłam na głowę.

Na chwilę zamilkł, a potem powiedział cicho:

- Więc to jednak nie był żart. Co za głupiec ze mnie. Odwrócił głowę; wyglądał na tak przybitego, że Maggie napłynęły łzy do oczu.

- Chciałabym, żeby to był żart - szepnęła. - Tak mi przykro.

- Ale to nie był żart. - W głosie Connora zabrzmiał żal; potrząsnął głową oszołomiony. - Och, dziewczyno, mnie też jest przykro.

Maggie otarła łzę z policzka.

- Przykro mi, że włamałam się do pana domu. Zdawałam sobie sprawę, że postępuję niewłaściwie. Lecz wiedziałam również, że Jamie nie jest mordercą i... i uwierzyłam w to, co o panu mówią.

Przesunął ręką po włosach. Powoli docierała do niego groza sytuacji, której musiał stawić czoło.

- W przyszłości przyjdź do mnie osobiście, zamiast wierzyć w to, co opowiadają za moimi plecami.

- Ma pan rację... - przytaknęła Maggie cicho. Najwidoczniej nie usatysfakcjonowany jej uległością, ciągnął z wyrzutem:

- Zaoszczędziłoby to nam wielu kłopotów, gdybyś, na przykład, zapukała wczoraj wieczorem do moich drzwi i poprosiła o rozmowę.

Maggie kiwnęła potulnie głową.

Popatrzył znów na nią i mruknął coś, kiedy otarła kolejną łzę. Nie mógł uwierzyć, że prawie uwiódł ranną, bezradną kobietę. Jeszcze chwila, a pozbawiłby ją niewinności. Ciarki przeszły go na myśl o skandalu, jaki by to wywołało.

- Nie płacz, do diabła - rzucił oschle.

Rozległo się pukanie do drzwi i głos doktora Sinclaira:

- Wszystko w porządku, Maggie?

- Wszystko jest w porządku - odpowiedział beznamiętnie Connor.

- Nieprawda... - szepnęła dziewczyna, podciągając kolana i chowając się w pościeli.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, po czym bezwiednie wyciągnął dłoń, żeby ją pocieszyć.

- No, już... cicho... - Poklepał ją niezdarnie, zdumiony, że taka pospolita mała złodziejka budzi w nim instynkt opiekuńczy. Niewinność czy naiwność? Ach, co to ma za znaczenie. Wyglądała na tak strasznie nieszczęśliwą, że nie mógł pozostać obojętny.

- Niech to piekło pochłonie... - odezwał się, jakby głośno myślał.

- Co za awantura i my oboje w to wplątani...

Znów kiwnęła głową.

- Włamałam się do pana domu tylko po to, żeby wykraść zeznanie. Przypuszczam, że może mnie pan za to wysłać do więzienia.

- Zawahała się i dodała: - Czy musi mnie pan tak mocno klepać? Wiem, że ma pan dobre intencje, ale stłukłam sobie ramię przy upadku.

Z westchnieniem cofnął rękę i wstał z łóżka.

- Nie pójdziesz do więzienia. - Boże, co on mówi? Jaki daje przykład? Cofnął się o krok, uderzając się w ramię o kolumnkę łóżka. Czy to wszystko działo się naprawdę? Kątem oka zobaczył swoje odbicie w lustrze; potargane włosy, rozwiązany fular, poły koszuli wyciągnięte ze spodni. To miał być człowiek, który podjął się zadania zapewnienia bezpieczeństwa całej Szkocji? Wyglądał jak barbarzyńca. I tak się czuł. Przestraszył się w tej chwili sam siebie.

Ardath zaczęła walić w drzwi.

- Connor? Co się tam dzieje, na miłość boską?

Odetchnął ciężko i zaczął poprawiać koszulę. Potem powoli się odwrócił i odsunął nogą poduszkę, która spadła na podłogę.

- Będiesz mi jeszcze potrzebna, panienko - powiedział zmęczonym głosem. - A przy okazji, jako starszy adwokat zostałem przydzielony jako doradca dla młodego prawnika, który ma bronić Jamiego Munro. To zeznanie nigdy nie miało być wykorzystane przeciwko niemu. Został zatrzymany dla własnego bezpieczeństwa. Pracowałem nad tym, jak go uwolnić.

## Rozdział 8

Maggie ze zdumienia otworzyła usta. Jej drobna twarz zrobiła się blada jak ściana. Boże, została przestępczynią, po raz pierwszy złamała prawo, i to bez powodu. Connor Buchanan próbował pomóc Jamiemu. Pomyślała, że udusi Herszta, gdy tylko wróci do Heaven's Court, jeśli w ogóle to nastąpi. Nieprzejednany wyraz twarzy lorda Buchanana nie wróżył nic dobrego. Jedno potknięcie, fałszywy krok, i jej życie legnie w gruzach.

- Dokąd pan idzie? - spytała, kiedy podszedł do drzwi. Wzruszył ramionami.

- Szukać siostry.

- A co będzie ze mną?

- Zajmie się pani pochłanianiem resztek zapasów żywności w moim domu, sądząc po tym, co widziałem niedawno.

Przycisnęła rękę do serca.

- Ale nie może mnie pan tu przecież trzymać? Rzucił jej bezlitosny uśmiezek przez ramię.

- Chyba że zmieniła pani zdanie na temat więzienia. Kradzież, włamanie, pijaństwo... No cóż, to zupełnie wystarczy, żeby wysłać panią na Tasmanię. Wziąwszy pod uwagę, jakim okrutnym potrafię być człowiekiem, woli pani chyba zostać w tym łóżku. Mylę się?

Przypomniała sobie te niezwykle odczucia, które przed chwilą w niej wzbudził. Mimo że ją onieśmiał i zachowywał się w absolutnie nieprzewidywalny sposób, Maggie bardziej bała się zostać sama.

- Ale w gazetach pisali, że będzie pan oskarżał Jamiego - powiedziała zmieszana.

- Dziennikarze się pomylili - odparł chłodno, wkładając surdut. - Nie rozgłaszam spraw, w których podejmuję się bronić biedaków.

- Dlaczego? Znowu rzucił jej cyniczny uśmiech i otworzył drzwi.

- Bo to źle wpływa na mój wizerunek.

Rozpacz malująca się na jej twarzy sprawiła mu pewną satysfakcję. Zamaszystym krokiem wyszedł z pokoju przeklinając w duchu swoją bezradność. Czuł się kompletnie odrętwiały. Zaniepokojone twarze, które przywitały go w korytarzu, rozwiały resztki nadziei, że dzisiejszy wieczór był jedynie dowcipem przyjaciół. Jeśli ktoś pragnął zadać mu ból, zrobił dobry początek. Mimo swoich wyrzekań, Connor kochał siostry bardziej, niż kiedykolwiek to przyznał.

Jako trzynastoletni chłopiec musiał przejąć odpowiedzialność za osieroconą rodzinę i zaopiekować się sześcioma siostrami. Sześć kapryśnych, niezdolnych i wciąż niespokojnych młodych kobiet, które potrafiły doprowadzić go do granic szaleństwa. Cztery, dzięki Bogu, się ustatkowały. Rebeka, mimo iż nie wyszła za mąż, twierdziła, że samotnicze życie daje jej szczęście. Lecz żadna z sióstr nie sprawiała mu nigdy tylu kłopotów co Sheena. Właściwie nie знаła rodziców i najboleśniej przeżyła ich śmierć. Doświadczenie to pozostawiło w niej bliznę i ogromny głód miłości.

Żeby tylko nic jej się nie stało. Nawet jeśli nigdy więcej się do mnie nie odezwie. Nawet jeśli zamieni moje życie w piekło, niech tylko wróci szczęśliwie do domu.

Potał spięte mięśnie na karku i zmarszczył czoło, próbując zrozumieć coś z potoku słów, którymi zarzuciła go Ardath i wuj. Mówili jednocześnie, tłumacząc mu, co ma robić. Zawsze chciał być prawnikiem. Podniósł się z nędzy po śmierci rodziców i osiągnął sukces. Lecz przedwczesna dojrzałość nie tylko umocniła jego charakter, ale zniszczyła też bezpowrotnie młodzieńczy idealizm. Dorósł szybko; nauczył się polegać zarówno na sile własnych pięści, jak i na rozumie. Już w dzieciństwie poznał, czym jest cynizm. Ardath podeszła bliżej, uważnie mu się przyglądając. Zaniepokoiona, wetknęła głowę do pokoju gościnnego, jakby chciała zbadać, czy Maggie uszła cało z bitwy.

- Wygląda na strasznie przygnębioną.
- Nie bez powodu - krótko odparł Connor.

Ardath odwróciła się do niego; jej spódnice zaszumiały w ciszy, która nagle zapadła.

- Co jej powiedziałaś? - szepnęła. - Ta dziewczyna płacze.
- Zostaw mnie w spokoju, próbuję myśleć.

Hrabia, ubrany wciąż w swój fartuch, zbliżył się do Connora i powiedział cicho:

- Inspektor chce podobno pokazać ci coś ciekawego.
- Gdzie on jest?
- Na dole z mężem Nory i dziewczętami.

Connor z kamienną twarzą skinął głową i ruszył do schodów. Na najwyższym stopniu wpadła na niego niska, tęgawa kobieta z jasnymi loczkami. Najwyraźniej podniecona, zapiszczała mu z wrażenia prosto

w ucho. Pohamował zniecierpliwienie i odsunął się uprzejmie, by ją przepuścić. Zupełnie zapomniał, że w domu nadal są goście.

- Papa wszystko mi powiedział - odezwała się blondynka dzieciennym głosem. - Muszę przyznać, że byłam trochę zaskoczona. Nie śmiałabym marzyć o tak silnych uczuciach z pana strony. - Zatrzepotała rzęsami. - Prawdziwy z pana demon...

Connor półprzytomnie kiwnął głową. Nie przypominał sobie, by ją znał, a wyglądała dość szczególnie. Jej słowa zrozumiał jako komentarz do porwania Sheeny.

- To bardzo trudna sytuacja - odrzekł wymijająco. - Przepraszam, jeśli pani pozwoli... panno...

Złapała go za ramię i trzymała kurczowo, kiedy próbował przejść obok.

- Proszę nazywać mnie Filomeną. - Jej rozłożyste biodra przelały się z boku na bok, kiedy wydała z siebie głębokie westchnienie. Zauważył plamę od kawioru na jej sukni. - Nie jestem odludkiem, milordzie - powiedziała, chichocząc z zadowoleniem. - Wręcz uwielbiam przyjęcia.

Connor prawie potknął się na stopniach, wymuszonym uśmiechem pokrywając wyraz nieprzyjemnego zaskoczenia.

- Nie wątpię. Filomeno... Przepraszam na chwilę, wybacz mi pani, prawda?

Co za odpychające stworzenie! Przywiodła mu na myśl pustą chińską lalkę. I on miał zamiar zainteresować się córką Elliota. Ta kobieta doprowadziłaby go do obłędu w ciągu kilku minut.

Uwolnił ramię i ruszył po schodach. Na dole spostrzegł Aarona, który przyglądał im się z idiotycznym uśmiechem aprobaty. Lecz nawet przerażająca wizja romansowania z Filomeną Elliot ulotniła się bez śladu, gdy zobaczył przepychających się wśród pozostałych jeszcze gości szwagra Charlesa i inspektora. Obok stały Nora, Karolina, Sara i Jennie. Wszystkie cztery siostry bezpieczne, przynajmniej na razie. Pomyślał o Rebecce. Wolałby, żeby tu była, czułby się spokojniejszy, gdyby przebywała pod jego okiem w domu, a nie sama w tej głuchej dzicy. Kobieta potrzebuje mężczyzny, który by ją chronił.

Zesztywniał na widok twarzy Charlesa. Zbiegł do końca schodów, nie widząc już praktycznie nic wokół siebie. Coś się stało, dostali jakieś wiadomości o Sheenie. Czuł to przez skórę.

- Co się stało?

Inspektor Davies podał mu złożoną kartkę. Serce zamarło Connorowi w piersi, kiedy rozpoznał złamaną pieczęć w kształcie róży. Ogarnęły go wspomnienia z przeszłości.

- Właśnie znaleziono to przed wejściem do domu - poinformował Davies. - Pozwoliłem sobie otworzyć, milordzie. Proszę przeczytać.

Mężczyzna zdjął maskę i odruchowo potarł dłonią szeroką bliznę na lewym policzku, jakby chciał złagodzić ból, którego zaznał w momencie zranienia. Wiedział, że jego wygląd odpycha niektóre kobiety, a z jakiejś niezrozumiałej przyczyny przyciąga inne. Zastanawiał się, czy ta, która twierdzi, że nazywa się Maggie Saunders, rozpoznałaby go pod maską.

Maggie Saunders. Zniekształcone blizną usta wykrzywił pogardliwy grymas. Co za pospolite nazwisko. Nauczycielka francuskiego za dnia i złodziejka amatorka nocą, zamieszana teraz w porwanie. Złodziejka obwołana bohaterką po tym, jak zaatakowała porywacza butelką szampana.

Spojrzał ponad wygaszonym paleniskiem na starszego mężczyznę siedzącego naprzeciwko.

- Jesteś pewien, że ona wciąż jest w domu Buchanana? Jego towarzysz szarpnął cienki wąs i powoli skinął głową.

- Oczywiście.

- Na co więc czekamy? Mówiłem ci, że chcę się wydostać z kraju.

- To nie takie proste - odparł starszy mężczyzna cierpliwie. - Buchanan ma teraz powody, by zachować ostrożność. Z tego, co wiem, jego rodzina się nią opiekuje. Będzie przestraszona i nieufna wobec obcych. Żywo pamięta porwanie. - Mówił z pewnością człowieka przyzwyczajonego do podstępów. - Ustaliliśmy przecież, że to musi być załatwione delikatnie.

Jakiś hałas za drzwiami cichej gospody przerwał rozmowę. Mężczyzna z blizną chwycił maskę i odruchowo zakrył twarz. Jego towarzysz westchnął i zerknął na zegarek.

- Jutro spotkam się z Buchananiem. Dowiem się, jakie ma plany. Ufa mi.

- A ja jemu nie ufam - powiedział gorzko ten w masce. - Im szybciej mu ją wykradniemy, tym lepiej.

Starszy mężczyzna wstał, włożył szare skórzane rękawiczki i sięgnął po laskę.

- Czekaleś dość długo. Kilka tygodni więcej nie zrobi żadnej różnicy.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Niebieskie oczy błysnęły zza maski z groźną determinacją. - Nie bez kozery nazywają go szatanem.



## Rozdział 9

Po zażyciu lekarstwa zawierającego opium Maggie zapadła w głęboki, narkotyczny sen. Obudziły ją straszliwe krzyki na ulicy. Nieprzytomna, drżąc na wspomnienie koszmarnego snu, z którego się wyrwała, zsunęła się z łóżka i ruszyła przez mroczny pokój w stronę okna. Pomyślała, że ma jeszcze dobrą godzinę, zanim trzeba będzie wstać do pracy.

Po raz pierwszy od lat zdarzyłoby jej się zasnąć.

Kiedy szarpała się, żeby otworzyć okno, zastanowiło ją, co za kretyn wyniósł nocą wszystkie jej meble. Część umysłu, która normalnie funkcjonowała, zarejestrowała fakt, że na dworze mży. Nigdy nie miała problemu z otwieraniem tego cholernego okna i, o Boże, czyżby w nocy spadła z łóżka? Czuła się cała połamana, a ból z tyłu głowy po prostu rozsadzał jej czaszkę.

Spojrzała w dół na zamgloną ulicę. Mrugając wpatrywała się w mrok w poszukiwaniu znajomych kątów Heaven's Court. Jej wzrok padł na mężczyznę w ciemnym płaszczu i koloratce, który stał przy bramie.

Maggie ściągnęła brwi i cofnęła się odrobinę. Kto, u licha, uporządkował w ciągu nocy cały bajzel, zniszczone powozy, połamane koła, barykadę beczulek po whisky? Dziwne, że Herszt na to pozwolił. Uważał, że przestępcy powinni podtrzymywać pozory degrengolady.

- Bądźcie czujni! - krzyczał mężczyzna. - Szatan, jak ryczący lew, czyha na was w ukryciu!

Kiedy zobaczył Maggie w oknie, zamilkł na chwilę, zadowolony, że wyrwał z łóżka choć jednego grzesznika. Podszedł tuż pod okno i zaczął walić pięścią w Biblię.

- Nie ma spokoju dla nikczemników!

Maggie popatrzyła ze zdumieniem na nie znaną jej koszulę nocną płaczącą jej się między nogami.

- Dobrą porę sobie wynalazłeś na kazania. Dla nikogo nie ma spokoju, ty stary gaduło! - odkrzyknęła z irytacją.

- Stańcie do walki! Wzywam was do boju!

Od strony domu poleciała w jego stronę cebula. Ktoś krzyknął wściekle:

- Zamknij się, stary nudziarzu!

Maggie z rozmachem zatrzasnęła okno, mrużąc pod nosem:

- Wzywam was do...

- Boju. - Z przeciwległego kąta pokoju rozległ się zmęczony i dziwnie znajomy głos. - Wielebny Abernathy nie poprzestaje w boju o moją nikczemną duszę.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła wysoką postać; mężczyzna podniosła się z fotela i ruszył w jej stronę. Wróciły mgliste wspomnienia poprzedniego wieczoru. To jednak wydarzyło się naprawdę.

Connor Buchanan, żywa legenda, jej prześladowca, jej ofiara. Nie chciany sojusznik w walce z przeciwnikiem, którego nawet nie znają. Cofnęła się o krok, przestraszona intensywnością jego spojrzenia.

Kątem oka zobaczyła swoje odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju. Na głowie miała bandaż. Wyglądała jak śmierć. Przymknęła na moment oczy w nadziei, że ten straszny obraz zniknie. Tak się jednak nie stało.

- Powinnaś chyba wrócić do łóżka - powiedział.

Maggie odwróciła się powoli. Migotało jej w oczach, zupełnie opadła z sił.

- Od kiedy pan tu jest? - spytała półprzytomnie. Przeciągnął potężne ramiona nad głową i stanął tuż obok

dziewczyny. Z kominka padało słabe światło dogasającego węgla. Maggie instynktownie cofnęła się jeszcze o krok. Nie ogolony, w wygniecionym wieczorowym stroju, Connor wyglądał, jakby większość nocy spędził na hulankach, w których - zgodnie z pogłoskami - podobno gustował.

- Sprawdzalem fałszywe tropy zniknięcia mej siostry. A potem czuwałem przy tobie. - Jego głos brzmiał ponuro. - Zmienialiśmy się z Ardath. Lekarz obawiał się, że możesz zapaść w śpiączkę.

Podniosła rękę do głowy, wciąż oszołomiona, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Nie odnalazł pan siostry? - spytała z wahaniem.

- Nie. Podobno w nocy widziano czarny powóz zmierzający w stronę gór.

- Ktoś zażądał okupu?

- Tak. Dostaliśmy dziesięć listów - odparł sucho. - I jeden anonim ostrzegający, że następną ofiarą będzie moja siostra Rebeka.

- Może to tylko puste pogrożki, milordzie?

- Może. Ale i tak nie miałem zamiaru zostawić jej teraz samej. Jadę tam.

Z kamienną twarzą przysunął się do okna. Maggie poczuła zapach whisky pomieszany z wodą kolońską. Mocny, ale dość przyjemny. Nawoływania wielebnego cichły w oddali. Jakaś służąca w wałkach na głowie przepędziła go miotłą sprzed domu.

Kiedy zapadła cisza, do świadomości Maggie dotarło, że spędziła całą noc w domu Buchanana. Znów zrobiło jej się słabo. Nie miała pojęcia, co robić.

Connor odwrócił się od okna; mgliste światło padało na jego zmęczoną twarz.

- Przypomniała sobie pani coś jeszcze?

Potarła stopą o kostkę drugiej bosej nogi, czując dreszcz przebiegający całe ciało.

- Nic istotnego. - Stwierdziła, że to jego spojrzenie tak ją mrozi. - Przysięgam, że powiedziałabym panu, gdybym tylko cokolwiek pamiętała.

- Doprawdy? - mruknął znużonym głosem.

- Oczywiście. Za kogo pan mnie ma?

- To właśnie bardzo mnie intryguje. Wszyscy dookoła opowiadają, jaki z pani anioł. Zadziwiające, jak wiele niesamowitych przygód można przeżyć w tak krótkim życiu. Ścigana arystokratka znajduje schronienie w przestępczym półświatku. To dopiero historia.

- Nadal mi pan nie wierzy? Wzruszył ramionami.

- Proszę nie brać sobie tego do serca, ale wszystko, co wiem, to to, że jest pani włamywaczką i złodziejką.

Niespodziewanie przemknęło mu przez myśl, że jest także piękna, szczególnie w tym przyćmionym świetle. Nawet prosta flanelowa koszula Nory nie była w stanie osłabić elektryzującego wrażenia, jakie robiły na nim powabne kształty dziewczyny. Była tak młoda i bezbronna, jej delikatne rysy ściągał teraz lęk. Connor współczułby jej z pewnością, gdyby się nie włamała akurat do jego domu. Nie pamiętał, kiedy jakaś kobieta bardziej go pociągała ani kiedy było to równie niestosowne.

- Nic mnie nie obchodzi, że jest pan wpływowym człowiekiem - powiedziała nagle Maggie, zaskakując go zuchwałym tonem. - Mam dwadzieścia trzy lata. Nie może mnie pan tu trzymać w nieskończoność.

- Ależ to poważny wiek... Mówiłem już, że mogę panią umieścić w więzieniu Carlton, jeśli pani woli. Ale coś mi się zdaje, że tam by pani nie rozpieszczali. Żadnych pieczonych indyków, kwiatów i szampana.

Parsknęła z oburzenia i podeszła do lustra.

- Gdzie jest moja sukienka?

Z obojętną miną Connor oparł łokieć o ramę okna.

- Wydaje mi się, że praczka próbuje usunąć z niej plamy czekolady po ciastkach, które pani ukradła. Jednym słowem, nie ma żadnych szans na wydostanie się z tego domu.

Przez twarz dziewczyny przemknął paniczny strach.

- Ale ja nie mam czasu. Właśnie sobie przypominałam... Wyprostował się natychmiast.

- Przypomniałaś sobie...

- Proszę mi pomóc! - krzyknęła piskliwie, szarpiąc bandaż. - Niech mi pan znajdzie jakieś ubranie. Już prawie świta. Nie ma czasu.

Connor zrozumiał, że Maggie przypomniała sobie coś związanego z porwaniem Sheeny, i zaczął biegać po pokoju, otwierając kolejne szafy w poszukiwaniu ubrania. Po chwili jednak oprzytomniał - szafy w tym pokoju były puste, a poza tym ta dziewczyna nigdzie stąd nie wyjdzie. Odwrócił się w strachu, że Maggie zapomni, co miała mu powiedzieć.

- Niczego tu nie znajdę - rzekł zniecierpliwiony. - Niechże pani usiądzie, na miłość boską, poproszę Ardath...

Urwał, widząc, że zamknęła oczy, a jej twarz zbladła jeszcze bardziej. Głowa powoli zaczęła opadać jej na pierś.

- Panno Saunders! - zawołał i chwycił ją w momencie, gdy osuwała się na podłogę.

## Rozdział 10

Przysięgam, że nie tknąłem jej palcem. Spokojnie rozmawialiśmy. Zdenerwowała się, ponieważ przypomniała sobie coś ważnego. Szukałem jakiegoś ubrania. A potem nagle zemdląłem.

- Wystraszyłeś ją, Connor - stwierdziła karcąco Ardath. - Zawsze tak traktujesz ludzi. Wyobraź sobie, co czuje córka księcia, kiedy słyszy, że chcesz ją posłać do więzienia. Szok mógłby ją zabić na miejscu.

Connor z powagą popatrzył na leżącą nieruchomo na łóżku dziewczynę. Prawie sam dostał ataku serca, kiedy upadła mu w ramiona. Mimo kłopotów, jakich mu przysporzyła, z jakichś irracjonalnych przyczyn czuł się za nią odpowiedzialny. Czuwanie przy niej w nocy było prawdziwą próbą. Sprawdzał kilkakrotnie, czy nie popadła w śpiączkę. Kiedy przykładął głowę do jej piersi, by posłuchać bicia serca, musiał staczać prawdziwą wewnętrzną bitwę. Słodki zapach skóry i bliskość jej ciała doprowadzały go do zawrotu głowy.

Długo patrzył na jej twarz o regularnych rysach, wiotką szyję i ramiona. Zastanawiał się, jaka naprawdę była jej przeszłość i jaką rolę odegra w jego przyszłości. Kusiło go, żeby jej dotknąć, nie tylko dlatego, że straszliwie jej pragnął, ale żeby się upewnić, że nie odchodzi. Z uśmiechem wspominał ich pierwszą rozmowę, zaledwie kilka godzin temu, gdy zaproponował jej spacer w deszczu.

- Sądziłem, że przypomniała sobie coś w związku z porwaniem - usprawiedliwiał się.

- Każdy by zemdlął w starciu z tobą. Wyglądasz jak... łajza. Musisz się ogolić i zmienić to ubranie.

W tym momencie Maggie otworzyła oczy i spoglądała to na Ardath, to na Connora.

- Co się stało? - wyszeptała.

- Spij, moja droga - powiedziała łagodnie Ardath.

- Nie mogę spać. - Przestraszonym wzrokiem dziewczyna wpatrywała się w potężną męską postać przed sobą. - Za pół godziny muszę iść do pracy. Nigdy się nie spóźnię.

- Do pracy? - Ardath z trudem wymówiła te słowa. - Słyszałeś, Connor? Po wszystkim, co przeszła, tej biednej dziewczynie wydaje się, że musi iść do pracy.

- Niektórym się to zdarza - odparował, krzyżując ręce na piersi. - Właśnie dlatego zemdląca. Wymyśliła sobie, że gdzieś się spóźni. Mówiłem, że to nie moja wina.

Ardath troskliwie poprawiała przykrycie Maggie.

- Ona jest zimna jak lód. Pomóż mi ją ułożyć i przestań zachowywać się jak dzikus.

Wyraźnie ożywiony Connor zbliżył się do łóżka.

- Nie mam czasu - stwierdził, podejrzanie energicznie otulając Maggie. - Muszę zbadać jeszcze dwa listy z żądaniem okupu, przejrzeć stertę dokumentów i przygotować się do jutrzejszej podróży do Rebeki.

Maggie zsunęła kołdrę z nosa, urażona jego obojętnością.

- Nie będę pana zatrzymywać - oświadczyła szorstko.

- Słyszałaś, Ardath? - podchwycił Connor. - Mimo rany, jej głowa pracuje bez najmniejszego szwanku.

- Uraziłaś ją - odpowiedziała teatralnym szeptem jego przyjaciółka. - Przestań w końcu. Traktujesz ludzi jak przestępców albo jakby byli niespełna rozumu.

- Niestety, moje doświadczenie dowodzi, że zazwyczaj mam rację.

- Posłuchaj tego, co wygadujesz. - Ardath westchnęła głośno. - Może rzeczywiście władza uderzyła ci do głowy. Nie wierzyłam matce, kiedy mnie przestrzegała.

- Czy z tobą rozmawiałem tak kiedykolwiek? - Connor zerknął na Maggie kątem oka. Cały czas uważnie go obserwowała, i to go denerwowało. Nigdy nie wiedział, co ta dziewczyna myśli, ale błysk w jej niebieskich oczach dowodził, że nic nie umyka jej uwagi.

- Czy kiedykolwiek rozmawiałeś ze mną inaczej? - rzuciła w odpowiedzi Ardath.

- Twój profesor traktuje cię pewnie jak doktora filozofii! - Connor był zły, że Maggie po raz kolejny jest świadkiem sceny z jego prywatnego życia. - Z pewnością cały czas spędzacie na grze w szachy i tłumaczeniu greckich tragedii na angielski.

Zaczęli się na dobre kłócić. Maggie westchnęła, przenosząc wzrok z jednego na drugie, jak podczas meczu tenisa. Czy zależało mu na tej kobiecie? Czy naprawdę nie lubił profesora, czy to tylko urażona męska duma? Nie rozumiała, jak Ardath mogła wybrać innego mężczyznę, a nie lorda Buchanana. Był niesamowicie

przystojny. Wczoraj wieczorem, zanim się zorientował, że Maggie jest włamywaczką, przez chwilę był nieodparcie czarujący.

Nie był też tak złym człowiekiem, jak o nim mówiono. W nocy, kiedy przy niej siedział, kilkakrotnie poczuła, że troskliwie głaszcząc ją po twarzy. Nie był to sen, jak z początku myślała. Wiedziała teraz, że wiele go kosztuje zniesienie sytuacji, nad którą nie ma kontroli, i że nie jest przyzwyczajony do okazywania słabości.

Kłótnię Connora i Ardath przerwał hrabia Glenbrodie, który z impetem wkroczył do pokoju.

- Jak się dziś czuje nasza mała pacjentka?

- Wydaje jej się, że musi iść do pracy - odpowiedziała z przejęciem Ardath. - Connor, oczywiście, nigdzie jej nie puści.

- Do pracy? Córka księcia miałyby pracować? - Hrabia nie mógł sobie wyobrazić tak przerażającej perspektywy. - Pewnie ma na myśli pracę dobroczynną. Doktor Sinclair mówił, że regularnie wspomaga sierociniec dla biednych dzieci. Dziwne, że nigdy dotąd się nie spotkałyście.

- Właśnie... - Maggie poderwała się pod kołdrą. - Daję lekcje francuskiego i etykiety starszym damom i niegrzecznym dzieciom. Nie jest to najlepiej płatne, ale przyzwoite zajęcie. Widzi pan, oszczędzam pieniądze, by odzyskać dobre imię rodziny i odbudować nasz zamek. Nie uwierzy pan, ile trudności prawnych trzeba pokonać, żeby załatwić sprawy majątkowe we Francji.

Zamilkła. Wszyscy troje spojrzeli na Connora, jakby poprzez swoje stanowisko był osobiście winien skomplikowanych przepisów prawnych obowiązujących między Anglią i Francją.

- Herszt pomaga mi, jak tylko może - dodała. - Ale nawet tak potężny mężczyzna jak on jest bezradny wobec biurokracji. Najgorsze jest to, że nie mogę odnaleźć śladu mego starszego brata i siostry. W Heaven's Court wszyscy muszą pracować, to naturalne.

Znowu zapadła cisza, jakby Maggie powiedziała coś niestosownego. Hrabia potrząsnął głową, usiadł obok i ujął ją serdecznie za rękę.

- Nie martw się, moja droga. Te straszne rzeczy masz już za sobą.

Zerknęła na Connora, jakby czekała na potwierdzenie, ale jego niewzruszona twarz nie dodawała otuchy.

- Czyżby? - rzucił krótko.

Ardath i hrabia wymienili znaczące spojrzenia, po czym hrabia zwrócił się do Maggie:

- To znaczy, że Connor nie wyjaśnił pani jeszcze planu?

- Nie. - Connor był poirytowany. - Connor nie wyjaśnił jej jeszcze planu. Nie miał okazji. Był zajęty badaniem listów w sprawie okupu. Nie zmrużył oka przez całą noc.

Hrabia z dezaprobatą uniósł krzaczaste brwi.

- Czy ta demonstracja złego humoru jest konieczna?

- Connor, opanuj się - powiedziała pod nosem Ardath. - Potwierdzasz tylko moje słowa.

Nie zadał sobie trudu, by kontynuować spór. Musiał oszczędzać siły na poszukiwanie siostry i wystąpienie w sądzie, gdzie miała się odbyć tego ranka głośna już na mieście rozprawa o gwałt młodej sprzątaczkii w jednym z teatrów.

Wina oskarżonego, popularnego aktora, była w świetle przedstawionych dowodów bezdyskusyjna. Ale ponieważ gwałt był przestępstwem zagrożonym karą śmierci, należało stoczyć prawdziwą bitwę, by przekonać ławę przysięgłych złożoną z samych mężczyzn.

- Jesteś w niebezpieczeństwie, moja droga - zwrócił się hrabia do Maggie. - W poważnym niebezpieczeństwie.

Przyglądając się twarzy Connora, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Jego ponure wejrzenie było przerażające.

- Czy mogłabym pożyczyć jakieś ubranie do pracy? - spytała cicho. - Bliźniaczki Kennedy jadą pod koniec tygodnia do Paryża, a ich francuski pozostawia wiele do życzenia.

- Dzieci mogą poczekać - powiedziała przygnębionym tonem Ardath. - Chodzi o pani życie. Connor nie może pozwolić, by opuściła pani ten dom bez ochrony.

Bliźniaczki Kennedy były koło dziewięćdziesiątki i prawdopodobnie nie mogły czekać. Maggie nie zamierzała jednak ciągnąć wątku w świetle tego, co przed chwilą usłyszała na temat własnej sytuacji.

- Jak to chodzi o moje życie? Przyznaję, że włamanie było karygodnym czynem...

- Ona nie mówi o włamaniu. - Connor ciężko usiadł na fotelu, włączając się do rozmowy. - Inspektor Davies przekonał wszystkich, że ponieważ jest pani jedynym świadkiem porwania mojej siostry, porywacze mogą wrócić po panią, żeby uniemożliwić identyfikację.



Ardath zniżyła głos.

- Żeby panią uciszyć.

- To znaczy...

- Tak. - Hrabia wykonał niedwuznaczny gest podcinania gardła.

Maggie w przerażeniu przeniosła wzrok na Connora, łudząc się, że źle zrozumiała.

- Ale ja nie pamiętam, jak oni wyglądali. Dlaczego mieliby robić mi krzywdę? Prawdopodobnie nie byłabym w stanie ich zidentyfikować.

- Ale oni tego nie wiedzą. - Connor wyciągnął długie nogi przed siebie. - Była pani bardzo blisko woźnicy, kiedy zaatakowała go pani butelką mojego najlepszego szampana.

- I dlatego chodzi o pani życie - ponuro dorzucił hrabia. - Nie wiemy, z jakimi zbirami mamy do czynienia. Connor przyczynił się ostatnio do skazania kilku bardzo groźnych morderców, podpalaczy, nożowników.

Maggie oparła się wyżej na poduszkach. Serce waliło jej o obolałe żebra. Jej życie nie tylko było w niebezpieczeństwie - znalazło się bezpośrednio w rękach lorda Buchanana. Niespodziewanie jego wrogowie stali się jej wrogami, a ona była teraz, podobnie jak jego siostra pionkiem w ich niebezpiecznej grze. Strach ścisnął jej gardło. Utkwiła wzrok w mężczyźnie po drugiej stronie pokoju, który nie chciał nawet na nią spojrzeć, a jej los zależał teraz od niego całkowicie.

Connor patrzył w ogień na kominku, bardziej poruszony rozmową, niż było to po nim widać. Mordercy, podpalacze, nożownicy. Wuj śmiertelnie przeraził tę dziewczynę. Connor nie mógł zaprzeczyć, że jej życie może rzeczywiście być w niebezpieczeństwie, w zależności od tego, kto i dlaczego porwał jego siostrę.

Intuicja podpowiadała mu, że Sheeny nie porwał ktoś, kto żywi do niego zadawnioną urazę. Jednak kiedyś, jeden jedyny raz, intuicja go zawiodła, a ceną tego było życie starej bezbronnej kobiety.

Wspomnienie tych wydarzeń prześladowało go nawet teraz, po ośmiu latach. Jak mógł tak strasznie się pomylić. Dzięki władzy można pomóc ludziom, ale też ich skrzywdzić.

Rzadko wspominał tamten bolesny okres życia, ale nigdy nie zapomniał szczegółów swej pierwszej i jedynej porażki.

W początkach kariery podjął się obrony znanego wydawcy prasowego Williama Montrose, oskarżonego o brutalne zamordowanie prostytutki. W opuszczonym magazynie, gdzie Montrose porzucił ciało kobiety, znaleziono różę. Connor zawzięcie walczył, by udowodnić, że wykształcony i kulturalny oskarżony jest niewinny.

Był dumny jak paw ze swego pierwszego zwycięstwa w sądzie.

Paradował publicznie w towarzystwie oczyszczonego z zarzutów klienta, a nawet zaprosił Montrose'a do domu i udzielił obszernego wywiadu do jego gazety. Sprawa wyjaśniła się ostatecznie pewnej nocy, gdy policja ujęła tego człowieka, kiedy dusił właścicielkę, od której wynajmował mieszkanie. Twierdził, że próbowała go oszukać.

Właścicielka, siedemdziesięcioletnia kobieta, umarła z czarną jedwabną różą w dłoni.

Przez następne lata ta róża stała się symbolem zemsty dla rywali Connora. Nigdy nie pozwoli mu zapomnieć o tym jedynym błędzie.

Sam też nigdy nie wymaże tego z pamięci. Nie wybaczy sobie tego, co przydarzyło się tej starej kobiecie. Zimny pot wystąpił mu na plecach na myśl, że siostrę mógłby spotkać podobny los.

Odetchnął głębiej, odsuwając ponure myśli. Kiedy spojrzął na drobną postać na łóżku, wstąpiła w niego jakaś nowa energia. Jakie to paradoksalne i niesprawiedliwe wobec panny Saunders, że z powodu swej odwagi i silnego charakteru stała się jedyną osobą mogącą zidentyfikować porywaczy.

Ich oczy się spotkały i poczuł nagle nieodpartą chęć, by przygarnąć to filigranowe ciało, które obejmował ostatniej nocy. Może jest złodziejką amatorką, ale nie miała żadnego doświadczenia w sprawach seksualnych. Connor był tego pewien. Jej reakcje były w tej mierze absolutnie niewinne i jakże podniecające.

Ale córka księcia? Raczej w to wątpił.

Może wyrosła w jakiejś dobrej rodzinie, jako dziecko ulubionej służącej, co tłumaczyłoby jej nienaganne maniery i wykształcenie. Brylant znaleziony w rynsztoku to dobry pomysł na baśń, ale historia ta niezbyt przekonywała Connora. Wszyscy wiedzieli, że Herszt czuwa nad swoim „klanem” przestępców, a ta dziewczyna najwidoczniej była pod jego opieką. Connor był zdziwiony, że Artur jeszcze się o nią nie upomniał.

Musiał jednak przyznać, że panna Saunders dzielnie stawia czoło wydarzeniom. Lepiej zniosła szok niż on. Zażenowanie na

wspomnienie swojego zachowania zeszłej nocy przyprawiało go o skurcz żołądka. Próbował zaimponować jej wykwinnym zagranicznym szampanem, podczas gdy ona miała już pod płaszczem dwie butelki. Jak łajdak chciał ją uwieść, kiedy ranna i bezbronna znalazła się pod jego rzekomą opieką. Nic dziwnego, że wpatrywała się w niego tymi wielkimi oczami, jak dziewczynka ścigana przez wilka.

Nagle przestał myśleć o uwodzeniu. Chodziło o przeżycie.

- Nic jeszcze nie wiemy - powiedział opanowanym tonem i podniósł się z fotela. - Wszystkie listy z żądaniem okupu okazały się fałszywe.

- Teraz należy się martwić o Rebeke - odezwał się cicho hrabia. - Nie mogę znieść myśli, że jest tam zupełnie sama, niezdolna obronić się przed jakimkolwiek napastnikiem.

- Ja też nie mogę znieść tej myśli. - Connor zdał sobie sprawę, że w tej chwili, nie może zrobić nic więcej.

A nawet jeśli list z groźbami pod adresem Rebeki był blefem, to przecież porywacze mogli ją sobie upatrzeć jako następną ofiarę. Widziano powóz zmierzający w góry. Czyżby jechali do domu Connora w Kilcurrie?

Kto za tym wszystkim stał?

Na szczęście po piekielnej nocy spędzonej na ślęczeniu nad listami pełnymi pogroźek i przepytywaniu zaufanych informatorów zarówno w dokach portowych, jak i w wyższych sferach, Connor upewnił się, że to nie duch z zaświatów powrócił, by się zemścić.

William Montrose, który go oszukał i zdradził, nie żył. Connor z wściekłą satysfakcją asystował przy złożeniu jego zwłok do grobu. Przeklął duszę Montrose'a wszelkimi plugastwami skazującymi go na wieczną pokutę.

Zacisnął szczęki. Nikt nie zauważył, co się z nim dzieje. Nikt, oprócz dziewczyny przyglądającej mu się uważnie smutnymi oczami. Nie był w stanie tego nie dostrzec.

Dobrze. Spróbuje być obiektywny. A jeśli panna Saunders upięknszyła swój życiorys? Jej ogromnym osiągnięciem pozostawał fakt, że przetrwała wśród najgroźniejszych przestępców, których Connor poprzysiągł wymieść z miasta jak śmiecie. Jej wielką zasługą było to, że udało jej się zachować tę absurdalną niewinność.

Poza tym wzruszał go jej spontaniczny odruch pomocy przyjacielowi w potrzebie. To była prawdziwa lojalność. I bez względu na to, jaki chaos wprowadziła w jego życie, nie chciał, by stało jej się coś złego.

Bez własnej winy została wciągnięta w tę straszną sytuację, a przynajmniej taką miał nadzieję. Ku swemu zdziwieniu, zauważył, że pragnie wierzyć w jej niewinność. Tak samo gorąco, jak pragnął, by Sheena wciąż żyła.

Głos Ardathe gwałtownie wyrwał go z zamyślenia.

- Powiedz jej, jaki jest plan, Connor, zanim wyjdiesz do sądu. Wy tłumacz, co musicie zrobić, by uchronić się przed porywaczami.

## Rozdział 11

Przez chwilę Maggie nie mogła się poruszyć, zahipnotyzowana nie skrywaną udręką w oczach Connora. Poczula się podle, zawstydzona, że znalazła się w tej nieszczęsnej sytuacji i to wyłącznie z własnej winy.

Może i zachowywał się jak łajdak bez serca, ale nawet ona widziała, że autentycznie martwi się o siostrę. Był mocnym człowiekiem, ale nie był nieludzki. Nawet jeśli założył na swą reputację, nie zasłużył na takie cierpienie.

Nagle zrozumiała, że powinna mu pomóc, by zadość uczynić temu, jak niesprawiedliwie go oceniała. Doskonale rozumiała, co się z nim dzieje na myśl o siostrze. Czy sama nie oddałaby wszystkiego, by się upewnić, że jej rodzeństwo jest całe i zdrowe?

Zmarszczyła czoło, nie bacząc na ból rozsadzający skronie. Musiała się za wszelką cenę skoncentrować, przypomnieć sobie. Spróbowała przywołać obraz dziedzińca i stojącej na tarasie Sheeny. Każdy szczegół mógł być istotny.

- Co się stało? - spytała z troską Ardath, lecz jej głos dobiegał jakby z tunelu. Mrocznego tunelu.

Maggie zanurzyła się po omacku w ten mrok. Obrazy stawały się coraz wyraźniejsze. Lecz nagle nie była już w domu lorda Buchanana ani na dziedzińcu. Miała dziesięć lat i biegła w górę szerokimi kamiennymi schodami starego zamku; wołała przeraźliwie siostrę, kiedy napoleońska milicja przewracała wszystko do góry nogami w komnatach na dole w poszukiwaniu dokumentów kompromitujących ojca.

Schody wydawały się nie mieć końca. Serce prawie rozsadzało jej pierś, gdy dotarła na szczyt; zauważyła, że ktoś za nią biegnie. Zawahała się, patrząc na drzwi pokoju Jeanette. Przez szparę nad podłogą widać było światło świecy. Maggie poczuła, że goniący ją mężczyzna chwyta za jej spódnicę.

Coś rozbłysło jak kula ognia w jej głowie, a potem zapanowała zupełna ciemność. Przeszył ją dziwny chłód.

- Na miłość boską! - Connor pochylił się zaniepokojony. Miał ochotę potrząsnąć dziewczyną, by wyrwała się z tego przerażającego transu. - Co się z nią dzieje? Dlaczego zrobiła się taka blada?

Jego głos przebił się przez mrok i wyrwał ją z lodowatych cieni. Wróciła do terażniejszości. Zatoczyła wzrokiem po pokoju, a potem spojrzała na wysoką postać stojącą w nogach łóżka.

Serce biło jej dziko; wciąż czuła przerażenie. Ogień i lód. Wspomnienie było tak straszne, że drżała nawet teraz, po przeszło dziesięciu latach.

- Coś sobie pani przypomniała? - spytał, prostując się, gdy kolory zaczęły powracać na jej twarz. - Coś o Sheenie?

Maggie z trudem przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło.

- Nie. Nic poza tym, co już mówiłam. Przepraszam. Naprawdę się starałam.

Sztywno kiwnął głową. Może nawet odczuł pewną ulgę. Nie chciał, by to przerażenie, które odmalowało się na jej twarzy, miało jakiś związek ze zniknięciem Sheeny. Zastanowiło go, co było tego przyczyną; przez moment miał ochotę dostać się do umysłu Maggie i obronić ją przed tym koszmarem.

Oczywiście, nic nie dał po sobie poznać. Poczucił się nawet zawstydzony, że przyszła mu do głowy tak niedorzeczna myśl.

- Muszę już wyjść do sądu - odezwał się cierpko. - Idę się przebrać.

Maggie pomyślała, że lord Buchanan wygląda w tej chwili całkiem dobrze, trochę niechlujnie, ale swojsko w porównaniu z mrozącym wspomnieniem, od którego właśnie uciekła. Była ciekawa, czy ogoli się przed wyjściem z domu. Ciemny zarost nadawał mu wygląd pirata, a nie prokuratora generalnego. Wyobraziała sobie wzdychające na jego widok kobiety w sali rozpraw. Bardziej niż ktokolwiek rozumiała wagę podtrzymywania pozorów. W rodzinie de Saint - Evremondów było to na porządku dziennym.

Ostatnia noc zupełnie zmieniła jej życie. Rzeczywistość stała się koszmarem.

W tej chwili powinna właśnie słać swoje własne łóżko. Jej pudełek ocierałby się o nogi, a stary lokaj, Claude, rozpalałby węgiel w kominku. Jak zwykle wmusiłby w nią filiżankę gorącej czekolady dla nabrania sił, zanim wybiegłaby z domu.

Żeby zaoszczędzić na dorożce, poszłaby pieszo do domu sióstr Kennedy, prawdziwego mauzoleum ubiegłego wieku. Nikt nie śmiałby jej zaczepić po drodze, gdyż była pod opieką Herszta.

Obie stare damy nalegałyby, żeby wypła herbatę. Ich sztuczne szczęki klekotałyby jak kastaniety przy powtarzaniu odmian francuskich czasowników. Stare suknie bliźniaczek pachniałyby, jak zwykle, kamforą i lawendą. Obie były nieco szalone, ale bardzo miłe, w przeciwieństwie do młodszych uczniów Maggie i ich wymagających rodziców, którzy traktowali ją jak służącą. Jednak zarabianie na życie nauczyło ją cierpliwości i pewnej pokory, cech, których z pewnością nie wyniosłaby z domu rodzinnego.

- Nie mogę tu zostać - powiedziała żałośnie. - Mam swoje obowiązki, muszę iść...

Hrabia natychmiast się zachnął.

- To wykluczone.

Ardath znalazła grzebień na toalecie i zaczęła rozczesywać splątane włosy Maggie. Zerknęła groźnie w stronę Connora, kiedy podszedł do krzesła, żeby zabrać swój wygnieciony wieczorowy surdut.

- Nie masz zamiaru jej powiedzieć, jaki plan ustaliliście z inspektorem Daviesem?

Odwrócił się niechętnie. Wyglądał, jakby cały świat się na niego zwałił, ale jeśli ktokolwiek mógłby utrzymać ten ciężar, to tylko on.

- Miałem nadzieję, że rano wróci pani pamięć albo że moja siostra odnajdzie się do tej pory. - Jego pełne niepokoju spojrzenie odebrało Maggie oddech. - Ale skoro tak się nie stało, będziemy prawdopodobnie zmuszeni się ukryć, panno Saunders. Jako jedyny świadek poważnego przestępstwa ma pani prawo do ochrony i obowiązek współpracy z wymiarem sprawiedliwości.

Ukrywanie się... Ochrona. Współpraca z wymiarem sprawiedliwości. Poczwała dreszcz grozy na dźwięk tych słów. Zastanawiała się, jakie znaczenie mogą mieć w praktyce, jak wpłyną na jej tak proste do tej pory życie. Wszystko to ją przerastało.

- Chce pan powiedzieć, że nie będę mogła zarabiać na życie lekcjami francuskiego? - wydusiła w końcu, starając się, by jej głos nie zabrzmiał zbyt żałośnie.

- Obawiam się, że nie - odparł sucho. - Oczywiście - dodał chłodno - zapewnimy pani pełną opiekę.

- Rozumiem... - powiedziała cicho, poruszając stopami pod jedwabną kołdrą.

Nie spała w jedwabnej pościeli od czasów dzieciństwa w zamku. Wątpiła, by jego lordowska mość uznał taki zbytek za podstawową potrzebę w ramach urzędowej „opieki”. Jak on miał zamiar ją chronić? Czy zamknie ją pod strażą w jakiejś wieży? Albo może w ciemnym lochu?

- Zdajemy sobie sprawę, że to ogromne poświęcenie - odezwał się hrabia. - Ale naprawdę potrzebuje pani ochrony, a my musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by Sheena szczęśliwie wróciła do domu.

- Czy lord Buchanan osobiście zajmie się moją ochroną? - spytała Maggie, zaintrygowana tą myślą.

Connor spojrzął na nią, jakby wolał raczej do końca życia harować w kamieniołomach.

- Niestety, nie ma innego wyjścia.

Dziewczyna zapatrzyła się w sufit, zastanawiając się nad swoją sytuacją. Może przyzwyczai się do takiego życia. W końcu przecież od dzieciństwa była wplątana w konspirację. Pomyślała znów o swoim drugim życiu i ludziach, którzy się nią opiekowali. Herszt o tej godzinie był najprawdopodobniej na innej orbicie, nieobecny dla świata, chyba że Claude obudził go, zaniepokojony jej nieobecnością. Lecz za taką bezczelność z pewnością zapłaciłby życiem. W Heaven's Court rozpętywało się prawdziwe piekło, gdy ktoś poważył się zakłócić sen Herszta po morzu whisky wypitej poprzedniego wieczoru. Czy ktoś zauważył jej zniknięcie?

- Czy będę musiała cały czas przebywać w tym domu z lordem Buchananem? - spytała w zamyśleniu.

- Oczywiście, że nie - odparł hrabia. - Connor ma wspaniałą posiadłość w górach, gdzie będzie pani bezpieczna i nie będzie się pani nudziło u jego boku.

Twarz Connora pociemniała.

- Mam jej zapewnić bezpieczeństwo, a nie rozrywki. Nie jestem wędrownym cyrkiem.

Maggie powoli spuściła wzrok. Serce jej zabiło na myśl o tym, że będzie z nim sam na sam. Przypomniała sobie scenę, która rozegrała się ostatniej nocy na tym łóżku. Zrobiło jej się gorąco na wspomnienie jego ust i potężnego ciała. Nigdy wcześniej nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie dotykać się w ten sposób. Czy nie byłaby bezpieczniejsza na ulicy niż w tym domu?



- Jego lordowska mość nie wygląda na uszczęśliwionego - powiedziała cicho.

- Trzeba robić to, co do nas należy - stwierdziła Ardath, ostatnim dotknięciem grzebienia poprawiając jej włosy. - Wiem, że to zburzy pani dotychczasowe życie, ale nawet Connor jest przekonany, że to najlepsze wyjście. Poza tym i tak wybierał się w góry.

Maggie zawahała się, czując rosnące w powietrzu napięcie. Zburzy jej życie. Jakże życie?

- Sama nie wiem... - szepnęła.

- Dobrze się zastanów, drogie dziecko - z powagą poradził hrabia.

- Och, tak, niech się pani, broń Boże, nie spieszy z podjęciem decyzji, panno Saunders - sarkastycznie rzucił Connor.

Zmarszczyła czoło, urażona ironią w jego głosie. Stał oparty o drzwi, powstrzymując niecierpliwość. Boże, co ona miała robić?

Wyjechałaby w góry pod opieką najpotężniejszego i prawdopodobnie najprzystojniejszego człowieka w Szkocji. Żadnych nieznośnych dzieciaków kaleczących francuską mowę. Koniec ze ściboleniem każdego grosza. Służba na jedno skinienie zamiast drobnych złodziejasków płaczących się po domu o każdej porze dnia i nocy. Czekoladowe eklery zamiast starych sucharów. Jedwabna pościel... Nawet w najtrudniejszej sytuacji można dostrzec dobre strony.

To nie potrwa długo. Tylko do czasu odnalezienia biednej siostry lorda Buchanana i schwywania porywaczy. Jakże marzyła o tym, by odpocząć od trudów codziennego życia. Westchnęła głęboko. Jakże to kuszące...

- To naturalne, że się pani waha - łagodnie powiedział hrabia. - Jak moglibyśmy panią upewnić, że to dla wszystkich najrozsądniejsza decyzja?

Connor groźnie patrzył na nią od drzwi. Najwyraźniej nie mógł się doczekać odpowiedzi. Maggie pomyślała, że teraz mniej się go boi niż ubiegłej nocy. Właściwie, gdyby nie to serce z kamienia, mogłaby go polubić.

Niezbitym faktem pozostawało, że była mu potrzebna, a ona z kolei potrzebowała jego ochrony. Wzdrygnęła się na myśl, że również mogłaby paść ofiarą mężczyzny, który porwał siostrę lorda Buchanana

i traktował ją jedynie jako narzędzie zemsty. Mimo ogromnego niebezpieczeństwa, na jakie się naraziła, Maggie nie żałowała, że starała się pomóc. Przynajmniej pod tym względem miała czyste sumienie.

- Wrócę dopiero przed wieczorem. - Connor otworzył drzwi, jakby chciał uciec jak najszybciej. - Panna Saunders wtedy da mi odpowiedź.

- Podjęłam już decyzję. - Przygryzła wargę; nie chciała, żeby się domyślił, jak bardzo jej na tym zależy.

- Co? - Odwrócił się zaskoczony i rzucił jej miażdżące spojrzenie. - Już pani zdecydowała? Cóż za niespodzianka.

Maggie nerwowo przełknęła ślinę. Zdała sobie sprawę, że będą skazani na swoje towarzystwo nie wiadomo przez jak długi czas, i to w bardzo trudnych okolicznościach.

- Czasami trzeba się poświęcić dla wyższego celu – stwierdziła ponuro. - Jeśli wszyscy są zdania, że tak będzie najlepiej, powinnam chyba pojechać z panem w góry.

Connor parsknął pod nosem. Powiedziała to takim tonem, jakby ciągnął ją na szafot.

- I oto królowa przemówiła - skomentował ze złośliwą ironią, po czym zwrócił się do Ardath i wuja: - Wychodzę. Jestem pewien, że nie pozwolicie, by włos spadł z głowy naszej uroczej podopiecznej.

Zamaszystym krokiem wyszedł z pokoju, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. W korytarzu odrobinę się uspokoił i pomyślał, że nie powinien wyładowywać na tej dziewczynie zdenerwowania. Przemknął mu znów przez myśl obraz jej przerażonej twarzy. Wspomnienie to nie dawało mu spokoju, czuł jakąś nieodpartą potrzebę pocieszenia jej, obronienia - ale właściwie przed czym?

Lecz nawet jeśli wszystko, co mu powiedziała, było kłamstwem, przeżyła kiedyś jakiś straszny szok i Connor nie mógł powstrzymać pragnienia, by zaoszczędzić jej wszelkiego cierpienia. Nie miał jednak zamiaru tego okazywać. Sama była sobie winna.

Ale on przecież też nie był bez skazy. W końcu dopiął tego, czego pragnął ostatniej nocy - będzie ją miał tylko dla siebie.

Mało tego, przebywanie z nią sam na sam stało się teraz jego oficjalnym obowiązkiem. I musiał się przyznać sam przed sobą, że podjął się tego z własnej woli.

## Rozdział 12

Maggie zapadła w lekką drzemkę, kiedy Ardath i hrabia na palcach wyszli z pokoju, by pozwolić jej odpocząć. Nagle ze snu wyrwał ją hałas otwieranych drzwi. Postawna młoda służąca w przekrzywionym czepeczku na głowie zbliżyła się do łóżka z filiżanką herbaty na tacy. Była to Emilia, „kontakt” Hugona w domu prokuratora.

- To ja, Maggie - szepnęła, nerwowo zerkając na drzwi. - Nie powinnam przychodzić na górę, ale pomyślałam, że może potrzebujesz pomocy.

Maggie szeroko otworzyła oczy.

- Jakiej pomocy?

- Żeby uciec jego lordowskiej mości, oczywiście. To taki pies na baby, że boję się o swoją cnotę prawie każdej nocy, którą spędzam pod tym dachem.

Maggie uniosła brew, przekonana, że cnota tej dziewczyny należy już do przeszłości.

- Nie powinnaś tu przychodzić, Emilio - powiedziała cicho. - Jego lordowska mość pomyśli, że planujemy jakąś kradzież, jeśli zobaczy nas razem.

Emilia upuściła tacę na łóżko, nie zwracając uwagi na to ostrzeżenie. Sześć miesięcy temu schwytano ją podczas napadu na powóz i lord Buchanan, wiedząc, że jej ojciec jest pastorem, dał jej szansę, proponując pracę w swoim domu. Emilia nie popełniła od tamtej pory żadnego przestępstwa, mimo że nadal miała przyjaciół w Heaven's Court.

- Do diabła, od wieków niczego nie podwędziłam - oświadczyła.

- Doniosłaś Hugonowi, gdzie lord Buchanan trzyma zeznanie - szepnęła Maggie. - Domyśli się, że byłaś w to zamieszana.

- No, byłam - przyznała uczciwie Emilia. - Ale nie o sobie przyszłam tu dyskutować, lecz o tobie.

Maggie położyła głowę na poduszce.

- Chodzi ci o porywaczy?

- O kogo? Och, nie. Mam na myśli coś gorszego. - Emilia odsunęła tacę i usadowiła swoje rozłożyste wdzięki na łóżku. - Mówię o jego lordowskiej mości. Powinnaś wiedzieć pewne rzeczy o tym człowieku, zwłaszcza że jesteś teraz w jego rękach.

Maggie uniosła brwi.

- Co ty pleciesz?

- Słyszałaś, że przed rozpoczęciem każdej sprawy sądowej musi uwieść jakąś dziewczinę?

- Tak, Emilio, słyszałam i byłam tym bardzo zaniepokojona, zanim go spotkałam. Ale muszę powiedzieć, że po namyśle wątpię, by w mieście było dość dziewczyn, aby tradycji stało się zadość. Poza tym, kiedy spotkałam go już osobiście, nie sądzę, by był taką straszną bestią.

- Chyba się spóźniłam... - powiedziała ze smutkiem w głosie Emilia. - Posłuchaj tego, co mówisz, przecież ty go bronisz. Wiesz, co ludzie mówią o pakcie, który zawarł z diabłem siedem lat temu, prawda?

- Chyba słyszałam jakieś bzdury, że sprzedał duszę diabłu. Emilia zniżyła głos do dramatycznego szeptu.

- To nie są bzdury. To święta prawda. W momencie zawarcia tego szatańskiego paktu na cmentarzu ludzie przechodzący w pobliżu zauważyli, że wskazówki ich zegarków zatrzymały się nagle. Jeden ze znajomych Hugona widział na własne oczy taki zegarek, kiedy Herszt miał straszliwy odcisk na palcu u nogi i musieli

sprowadzić do Heaven's Court młodego lekarza, żeby go zoperował. Doktor zachował go na pamiętkę.

Maggie napiła się łyk herbaty i spytała niewinnie:

- Odcisk?

- Nie, zegarek. - Emilia capnęła z tacy świeżo upieczony rożek i wepchnęła go sobie do ust, znacząco potrząsając głową. - Obie wskazówki zatrzymały się na północy, a kryształowe szkiełko było całkiem strzaskane.

- Przestań mnie faszerować takimi bredniami. I tak kosztuje mnie to wszystko wiele nerwów. Poza tym nie ma żadnego szatana.

- Jest, oczywiście, że jest - zaproponowała z przekonaniem Emilia.

- A przecież wiadomo, że nie ma dymu bez ognia.

- A tam gdzie czart, tam siarkę czuć - dodała bez zastanowienia Maggie.

Emilia kiwnęła głową, z lubością przeżuwając rożek.

- Mój ojciec miał kiedyś kazanie o demonach. Pamiętam, że radził dzwonić kościelnym dzwonkiem nad głową opętanego, kiedy ten spał. To podobno odpędza złe moce.

- Można by spróbować jakiejś mniej drastycznej metody - bąknęła pod nosem Maggie.

- Myślałam, żeby włożyć gwóźdź do skarpetki jego lordowskiej mości. Według profesora pani Macmillan, demony nie wytrzymują próby żelaza.

- Nie bardzo wyobrażam sobie, żeby ktoś chodził z gwoździem wbijającym się w stopę, Emilio. Nie ma jakiegoś lepszego sposobu?

- Jedyne, co pozostaje, to żebyś uciekła mu przez strumień. Szatan nigdy nie wejdzie do płynącej wody, tak przynajmniej słyszałam.

- To udowodniłoby jedynie, że lord Buchanan jest szatanem. Nie wypędziłoby z niego złych mocy.

Emilia zamyśliła się na chwilę.

- Może przekonałabym papę, żeby odprawił nad nim egzorcyzmy. Oczywiście, jeśli jego lordowska mość domyśliłby się czegokolwiek, prawdopodobnie natychmiast wyrzuciłby mnie ze służby.

- Sądzę, że...

Maggie urwała nagle na widok Connora, który niespodziewanie pojawił się w drzwiach. Jego gigantyczny cień położył się na

podłódze. Podejrzliwie wpatrywał się w nią przez kilka sekund, zanim wszedł do pokoju. Dziewczyna starała się ukryć poczucie winy. Jeszcze wczoraj była skłonna wierzyć w plotki na jego temat i musiała przyznać, że nadal wyczuwała w nim jakąś niepokojącą, mroczną stronę.

Ale czy zły człowiek czuwałby całą noc przy kimś, kto sprawił mu tyle kłopotów?

- Zapomniałem pewnych dokumentów - powiedział krótko. - Emilio, wydaje mi się, że kucharz cię szuka. Masz pokroić jakieś warzywa na zupę.

To powiedziawszy, podszedł do szafy, rzucając po drodze jeszcze jedno podejrzliwe spojrzenie w stronę dziewcząt. Po ciszy, która zapadła, i nerwowym poderwaniu się służącej musiał się domyślić, że o nim mówiły. Maggie z zachwytem patrzyła na jego szerokie ramiona. Przypomniała sobie, jak wyglądał w peruce i prokuratorowskiej todze. Bezwiednie westchnęła. Taki mężczyzna w każdym stroju wygląda wspaniale.

- Nie sądzę, żeby on był złym człowiekiem - szepnęła, gdy tylko wyszedł z pokoju.

Emilia cofnęła się do drzwi.

- W każdym razie, żebyś nie mówiła, że cię nie ostrzegałam.

- Ostrzegała przed czym? - Ardath wsunęła głowę przez drzwi i spoglądała ciekawie to na jedną, to na drugą z dziewcząt. - Nie plotkujesz chyba znowu na temat jego lordowskiej mości, Emilio?

- Oczywiście, że nie, psze pani - odparła z udanym oburzeniem służąca. - Ja nigdy nie plotkuję. Przepraszam, muszę iść do kuchni kroić warzywa.

Kiedy czmychnęła z pokoju, Ardath w rozbawieniu uniosła brew i podeszła do łóżka.

- Mam nadzieję, że nie nabiła ci głowy tymi nonsensami z gazet. Jeśli chcesz znać jakieś mroczne sekrety Connora, najlepiej zapytaj mnie.

- Lord Buchanan nie ma chyba zbyt wielu mrocznych sekretów, prawda?

- Obawiam się, że cokolwiek bym ci o nim powiedziała, zabrzmiałoby to banalnie w porównaniu z kuchennymi plotkami - zaczęła powoli Ardath. - Ale może rzeczywiście masz prawo wiedzieć.

Serce Maggie zabiło mocniej.

- Wiedzieć, o czym?

Ardath zapatrzyła się przed siebie.

- Connor nie jest mężczyzną, którego łatwo zrozumieć. Prawie przez całe życie walczył o przetrwanie. Jego ojciec był prokuratorem okręgowym w ich rodzinnych stronach i został zamordowany podczas pościgu za zabójcą dziecka. Connor i Nora znaleźli ciało ojca. On miał wtedy zaledwie jedenaście lat, a Nora dziewięć.

Maggie odstawiła filiżankę. Niełatwo było wyobrazić sobie tego silnego i pewnego siebie mężczyznę, który potrafił być równie okrutny, jak i czarujący, jako dziecko postawione wobec tak strasznej tragedii. Niestety, Maggie też знаła to uczucie.

- To okropne - powiedziała.

- Udawaj, że nic o tym nie wiesz. On nigdy sam mi o tym nie mówił. Wiem to od Nory. Widzisz, ich matka zmarła niedługo po śmierci męża. W wieku trzynastu lat Connor został sam z sześcioma małymi siostrami, które należało wychować.

- Jak sobie dał radę? - spytała Maggie.

- Kłamał, że jest starszy. Przenosili się z parafii do parafii, zanim władze mogły się zorientować, że jest nieletni.

- Rodzina zostałaby rozdzielona, prawda?

- Connor wiedział, jaki los czeka dzieci wychowujące się na ulicach i w przytułkach. Niewolnicza praca, przestępstwa, prostytutka...

- Dlaczego doszło do takiej sytuacji? - Maggie słuchała z przejęciem. - Czy jacyś krewni nie mogli się nimi zaopiekować?

- Tylko wuj, który był wtedy na kolejnej wyprawie w tropiki. Władze nigdy nie doszły prawdy, ponieważ Connor przeprowadzał się z siostrami, zanim ktokolwiek się zorientował, że nie mają rodziców. Wszelkimi możliwymi sposobami zarabiał na ich utrzymanie.

Ardath umilkła na chwilę i westchnęła głęboko.

- Nigdy nie pytałam dziewcząt, co dokładnie kryje się pod określeniem „wszelkimi możliwymi sposobami”. Jestem pewna, że by mi nie powiedziały. Podobno był zmuszony zrobić kilka rzeczy, które zraniły jego męską dumę. Nikomu nie wolno o tym wspominać.

Opowieść Ardath stawiała lorda Buchanana w zupełnie innym świetle.

- Więc nie był zawsze tak strasznie bezwzględny człowiekiem.

- Sądzę, że nie - powiedziała Ardath.

- Ale jak doszedł do tak wysokiej pozycji? To nie mogło być łatwe.

- Jego wuj wrócił ze swojej przyrodniczej wyprawy i spuścił mu straszliwe lanie za te „wszelkie możliwe sposoby” - ciągnęła Ardath. - Potem posłał go do szkoły. Resztę Connor osiągnął dzięki talentowi i determinacji.

- Cała ta historia ma przynajmniej szczęśliwe zakończenie - powiedziała z westchnieniem Maggie.

- To się jeszcze okaże. - W głosie Ardath zabrzmiała troska. - Martwię się o przyszłość Connora.

- Czy pani i on...

- Nie - stanowczo odparła Ardath. - Już nie. Właściwie sama go zachęcałam, żeby znalazł jakąś miłą dziewczynę i ustatkował się u jej boku. Kogoś takiego jak...

Przerwał jej zduszony krzyk z pokoju obok, gdzie sprzątała młoda irlandzka służąca. Ardath gwałtownie podniosła głowę, nasłuchując. Maggie wstrzymała oddech.

- Boże, ratunku! - wrzasnęła służąca.

Rozległ się głuchy łomot, a potem zapadła cisza. Kobiety w przerażeniu spojrzały na siebie, przypominając sobie porywaczy i mordercę grasującego po mieście.

- Pójdę po pomoc - szepnęła Ardath już od drzwi pokoju. - Maggie, szybko, schowaj się po łóżkiem. Porywacze musieli czekać, aż Connor wyjdzie z domu. Pewnie cię szukają.



## Rozdział 13

Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział Connor do szczupłego mężczyzny w średnim wieku, który usiadł po drugiej stronie biurka. - Nie byłem pewien, czy jesteś jeszcze w kraju.

- Pod koniec tygodnia mógłbyś już mnie nie zastać. - Mężczyzna oparł elegancką łaskę ze srebrną gałką o krzesło. Z nieporuszoną twarzą przeglądał plik listów, które Connor właśnie mu podał. - Wyglądasz na wyczerpanego.

- Zeszłej nocy moja siostra...

- Tak, słyszałem. Straszna sprawa.

Connor oparł się w fotelu, próbując zebrać myśli. Nie powinno go to dziwić. Dawny as wywiadu francuskiego, którego znał po prostu jako Sebastiana, zawsze jako jeden z pierwszych wiedział o wszystkim, co dzieje się w mieście.

- To trzynasty list z żądaniem okupu, jaki otrzymałem. Po twarzy Sebastiana przemknęło coś w rodzaju uśmiechu.

- Piszą już o tym w gazetach. A to dopiero początek, będą rozdrapywać wszystkie szczegóły, zanim skandal ucichnie. Jesteś teraz publiczną osobą.

Connor potrząsnął głową.

- Sądzę, że żaden z tych listów nie jest od porywaczy. Ostatni jest od złotnika, który wciąż ma pretensję do władz, że w zeszłym roku musiał zapłacić sporą grzywnę. Z naszego wstępnego dochodzenia wynika, że cała reszta to fałszywe tropy. Łącznie z listem opatrzonym pieczęcią w kształcie czarnej róży. - Connor zacisnął na chwilę usta. - Na chwilę prawie uwierzyłem w duchy.

- William Montrose - powoli powiedział Sebastian, uważnie przyglądając się Connorowi. - Słynny morderca nieżyjący od lat?

- Tak. Nie do uwierzenia, wiem. Boże, mózg odmawia mi już prawie posłuszeństwa. Dlaczego ktoś porwał akurat Sheenę? W dodatku mam w domu gościa, pewną kobietę. Ta niesamowita istota włamała się do mnie, żeby wykraść zeznanie starego włóczęgi, którego miałem bronić w tej ostatniej głośnej sprawie o morderstwo.

Cichy śmiech Sebastiana zaskoczył Connora.

- Małgorzata de Saint - Evremont, tak się przedstawia, prawda? Francuski kwiatusek wciągnięty w wir meandrów polityki.

- Ty też ją znasz? Dobry Boże, czyżbym był jedynym człowiekiem, na którego nie rzuciła jeszcze uroku?

- Może obracasz się w złych kręgach. - Sebastian zamilkł na chwilę. - Oczywiście nie wierzę w to, ale plotki głoszą, że przetrzymujesz ją siłą w swojej sypialni.

- Mojej brance podano dziś rano do łóżka na śniadanie grzanki z masłem, jajka i kiełbaski - skomentował cierpko Connor. - Wykorzystuje swoją rolę świadka bez żadnych skrupułów. Można by pomyśleć, że naprawdę wierzy w to, iż jest córką księcia.

Rozbawienie znikło z twarzy Sebastiana.

- Ten nonsens może być prawdą. Gdyby dać temu wiarę, to naprawdę tragiczna historia. Dziewczyna utrzymuje, że jej ojciec był zamieszany w popierany przez Brytyjczyków spisek przeciwko Napoleonowi. Musiałbym z nią sam porozmawiać.

Słowa rozmówcy zaintrygowały Connora.

- Co by to dało?

- Resztę ta młoda dama musiałaby nam powiedzieć osobiście. Być może niektóre szczegóły z jej przeszłości pomogłyby w rozwikłaniu tej sprawy.

Connor zasepił się. Nigdy nie pytał, w jaki sposób Sebastian zdobywa informacje. Wieść niosła, że jakieś dziesięć lat temu był podwójnym agentem Francji i Anglii. Został brytyjskim informatorem, by spłacić pewne moralne długi. Pojawił się w Edynburgu niespełna rok temu jako enigmatyczna postać, mająca powiązania zarówno w wyższych sferach, jak i przestępczym półświatku. Connor ufałby mu nawet bez osobistych listów polecających od premiera i z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Ale skąd całe to zamieszanie wokół tajemniczej Maggie Saunders? Jakim sposobem dziewczyna obracająca się wśród drobnych złodziei zwróciła uwagę słynnego szpiega?

- Ona jest jedynym świadkiem porwania Sheeny - przyznał niechętnie Connor. - A pamięta tylko, że moja siostra zniknęła w czarnym powozie. Woźnicą był starszy mężczyzna, który ma prawdopodobnie niezłego guza na głowie po uderzeniu butelką szampana.

- Jak...

- Nie pytaj. Panna Saunders twierdzi, że on mnie zna. Sebastian bawił się gałką laski.

- Coś mi tu nie pasuje, Connor. Co się stało z mężczyzną, za którego chciała wyjść Sheena?

- Zmusiłem go do wyjazdu do Wenecji. Ten chciwy łajdak wyjechał bez mrugnięcia okiem.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, nie zwracając uwagi na dobiegające z innych pomieszczeń odgłosy rozmów urzędników sądowych i pokrzykiwania handlarzy na ulicy.

- Sądzę, że porwanie Sheeny może mieć związek z zamordowaniem tych dwóch ludzi - w zamyśleniu powiedział Sebastian. - Lord Montgomery może nie życzyć sobie, żebyś wnosił oskarżenie.

- Tym bardziej trzeba kontynuować dochodzenie - powiedział cicho Connor.

- Nie chciałbym być na jego miejscu. - Sebastian wstał; jego zielone oczy błyszczały. - Dowiem się wszystkiego, co w mojej mocy, na temat twojej siostry. A tymczasem posłuchaj mojej rady i dobrze traktuj pannę Saunders. Nie chcesz chyba się narazić jej licznym przyjaciółom.

- Co ja mam z nią zrobić? - spytał ponuro Connor. Sebastian uśmiechnął się.

- Nazywają cię podobno obrońcą uciśnionych.

- Między innymi.

## Rozdział 14

Gdyby miała wybór, Maggie wolałaby wymknąć się z pokoju razem z Ardath, zamiast zostać w sypialni sam na sam z porywaczami. Ktoś, kto śmiał się wdrzeć do domu Connora Buchanana w biały dzień, musiał być zdesperowany, niebezpieczny i zdecydowany znaleźć ją za wszelką cenę.

Nie czując nawet bólu w ramieniu, wczołgała się pod łóżko. W tym momencie drzwi do pokoju obok powoli się otworzyły. W jej polu widzenia ukazała się para czarnych buciorów. Czyżby to był wynajęty przez porywaczy zabójca? Ktoś, kto miał ją uciszyć na zawsze?

Modliła się, żeby Ardath wróciła, zanim ten zbir ją znajdzie. Bez tchu przyglądała się, jak mężczyzna ostrożnie porusza się po pokoju. Co chwilę się zatrzymywał, postukując ciężką drewnianą pałką o udo.

Nagle mimo przerażenia Maggie zdała sobie sprawę, że skądś zna ten gest. Kiedy usłyszała mamrotane pod nosem przekleństwa, westchnęła z ulgą.

- Maggie? - Włamywacz zajrzał za mahoniowy parawan. - Gdzie jesteś, dziewczyno? Co ten łajdak ci zrobił?

- Co ty tu robisz, Arturze? - szepnęła, gramoląc się spod łóżka. - Myślisz, że nie mam już dość kłopotów?

Popatrzył na nią groźnie jak poirytowany ojciec, który musi wyciągać dziecko z kłopotów.

- Powinienem był przewidzieć, że wpadniesz w jakieś tarapaty.

- Czy to moja wina, że Hugon dał się złapać? - Wstała, patrząc mu prosto w oczy. - Czy to moja wina, że byłam świadkiem porwania tej kobiety? I że lord Buchanan chce bronić Jamiego?

- Porwanie porwaniem, ale nie musiałaś robić z siebie bohaterki. Jeszcze kilka takich dobrych uczynków i zrujnujesz złą sławę Heaven's Court.

Artur był ogromnym mężczyzną o potężnym i muskularnym ciele i nieproporcjonalnie długich ramionach. Był krótkowidzem, ale nie chciał, żeby ktokolwiek poza domem widział go w okularach. Twierdził, że to osłabiłoby wrażenie, jakie robi na wszystkich jego groźna postać.

Kilkadziesiąt lat temu Artur był szanowaną głową klanu w Caithness. Nadeszła jednak epidemia ospy i zabiła prawie wszystkich członków jego klanu i rodziny, ukochaną żonę, brata i synów. Wraz z

resztą zdziesiątkowanej rodziny - córeczką i siostrą - przeniósł się do Edynburga, gdzie zdesperowany, bez zawodu, wszedł na drogę przestępstwa. Po kilku latach wspiął się na tyle wysoko w hierarchii przestępczego podziemia, że miał już pod swoją komendą grupkę złodziejasków, włóczęgów i ludzi, którzy z takich lub innych powodów stracili dom.

- Chodźmy, Maggie. Przyszedłem zabrać cię do domu.

- To nie takie proste - szepnęła rozdygotana. - Nie mogę tak po prostu stąd odejść bez pozwolenia. Jestem teraz świadkiem, a ty musisz stąd zniknąć. Aresztują cię za włamanie tak jak Hugona.

- Hugon czeka na nas na dole, ale masz rację, nie mamy dużo czasu. - Herszt zdjął ciężki czarny płaszcz i zarzucił go dziewczynie na ramiona. - Nie mogę znieść, że półnaga leżysz w łóżku tego szatana i jeszcze go bronisz.

Maggie podskoczyła, zaalarmowana hałasami dochodzącymi z dołu.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało, Arturze. Posłuchaj, to powinno pozostać tajemnicą, ale lord Buchanan ma zamiar ukryć mnie w swoim domu w górach aż do chwili schwytania porywaczy jego siostry. Sądzi, że mogą mnie szukać, ponieważ jestem jedyną osobą, która byłaby w stanie ich zidentyfikować.

- A niech to diabli!... - Artur machnął dla wprawy maczugą. - Obronię cię, mała. Zawsze cię chroniłem.

- Moim moralnym obowiązkiem jest pomóc rodzinie lorda Buchanana.

- Myślałby kto! Moralny obowiązek... Nie daj się zastraszyć Connorowi, Maggie.

- Złapali mnie na włamaniu do jego domu - powiedziała, starając się zachować spokój. - Ma prawo wsadzić mnie do więzienia za...

Równocześnie spojrzeli na drzwi, zapominając o kłótni. Na korytarzu słychać było krzyki i dudniące po schodach kroki.

- Lepiej uciekaj stąd tą samą drogą, którą przyszedłeś - szepnęła Maggie i ściągnęła z ramion płaszcz Herszta. - Nigdy nie uwierzą, że nie miałeś nic wspólnego z porywaczami.

- Nie odejdę bez ciebie - oświadczył stanowczo Artur. - Po pierwsze, nie pozwolę nikomu przetrzymywać członka mojej rodziny jako zakładnika. Po drugie, ten twój stary lokaj nie przestaje mi suszyć głowy, odkąd zniknęłaś. Poza tym jest jeszcze to stworzenie, które

udaje psa. Żaden z chłopaków za nic w świecie nie będzie niańczył francuskiego pudła.

Maggie zaparło dech w piersi.

- Co ty mówisz?

- Przykro mi, Maggie. Ale obaj znajdą się dziś w nocy na ulicy, jeśli nie wrócisz. Nie prowadzę instytucji dobroczynnej.

Maggie odwróciła się przybita. Pomyślała o kochanym, lojalnym od lat lokaju, o jego gasnącym wzroku i wzmagających się z roku na rok bólach reumatycznych. Nigdy by go nie opuściła. Nikt nie zatrudniłby schorowanego starego człowieka. Wyrzucony na ulicę, nie przetrwałby nawet kilku dni. Żył przeszłością, w wymyślanym świecie dobrobytu i elegancji, który dla nich obojga legł w gruzach ponad dziesięć lat temu. Claude i jej piesek, Dafne, to wszystko, co zostało Maggie z dawnego życia.

- To szantaż, Arturze - powiedziała ze złością.

- Tak. To moja specjalność. - Rzucił jej beczelny uśmiešek, demonstrując dwa rzędy krzywych zębów. - Spuścisz się po linie przede mną czy za mną?

## Rozdział 15

Connor wielokrotnie podczas swej kariery zapuszczał się w ciemne zaułki Heaven's Court, by zasięgnąć języka u informatorów. W zatęchłych piwnicach spotykał się z mordercami, wypytywał świadków w opuszczonych ruinach.

Lecz nigdy dotąd nie szedł tam z taką determinacją w poszukiwaniu dziewczyny, której, właściwie wbrew sobie, zaproponował ochronę i która w zamian za to go zdradziła.

Kiedy wrócił do domu po ciężkim dniu w sądzie, znalazł Ardath, Norę i wuja w stanie hysterii. Przerażona pokojówka mówiła, że jakiś człowiek - potwór z bliznami na twarzy i nosem jak serdel - wykradł pannę Saunders w nocnej koszuli.

Connor wydedukował z tej absurdalnej opowieści, że zabrał ją Artur Ogilvie. Mimo ulgi, że nie dostała się w łapy porywaczy, nie mógł znieść myśli, że Artur wtargnął do jego domu. I że ona zniknęła.

Od porwania Sheeny minęła prawie doba. W sądzie Connor zachowywał się jak automat. Przez cały dzień, aż do momentu, kiedy opuścił budynek, łudził się, że jeden z urzędników powiadomi go o odnalezieniu Sheeny i że siostra cała i zdrowa jest już w domu.

Niestety.

Listy z żądaniami okupu przestały nadchodzić. Wszystkie drogi wyjazdowe z miasta zostały sprawdzone. Późnym popołudniem jakiś wieśniak przyszedł z wiadomością, że w nocy widział powóz zmierzający w stronę gór. Twierdził, że zobaczył w oknie pojazdu kobiecą twarz.

Informacje nie były precyzyjne, ale instynkt podpowiadał Connorowi, że porywacze uciekli z Edynburga. Jak ją odnaleźć? Mogła być w jednej z setek opuszczonych chat na prowincji. Młody protegowany Connora, Donaldson, zaczął już zawiadamiać o porwaniu wszystkich sędziów, szeryfów i urzędników miejskich od Dumfries do Dunnet Head. Lecz nadzieja na znalezienie Sheeny wydawała się nikła.

Cienie jakby ożyły, gdy skręcił w mroczny zaułek. Nagle poczuł, że jest śledzony. Idąc wąskimi, krętymi uliczkami, słyszał skrzypienie uchylanych okien, jakby zbudzona przez intruza bestia otwierała oczy. Przekroczył niewidzialną granicę i był teraz na ziemi niczyjej. Kiedy kilka cegieł spadających z jednego z dachów roztrzaskało się przed jego stopami, stwierdził, że nie jest chyba dobrze widzianym gościem.

Przyspieszył kroku.

Mówiono, że do domostwa Herszta można się dostać jedynie sekretnym tunelem, biegnącym poniżej poziomu piwnic. Connor nie mógł znieść myśli, że Maggie Saunders mieszka w jakiejś podziemnej norze i że Artur szkoli tę niewinną dziewczynę na kryminalistkę. Jak to się stało, że wpadła w takie środowisko?

Odgłos kroków za jego plecami był teraz bardzo wyraźny.

Connor nie nosił broni. Marzył teraz prawie, żeby ktoś go zaczepił; wyładowałby w bójce całe napięcie, które musiał dusić w sobie przez cały dzień.

Jego marzenie spełniło się szybciej, niż sądził.

Ledwie skręcił za róg, gdy trójka chłopaczków skoczyła na niego od tyłu; dwóch złapało go za ramiona, a trzeci uderzył go bykiem w plecy. Dostał pięścią w twarz. W świetle księżyca błysnęło ostrze sztyletu.

- Szlag by to trafił! - zaklął odskakując na bok. - Nie podrzyjcie mi czasem odświętnego ubrania - rzekł i z rozmachem rzucił wszystkich trzech na kamienny mur. Poczul się nieporównanie lepiej, kiedy popatrzyli na niego z rozdziawionymi gębami i czym prędzej, potykając się jeden o drugiego, uciekli gdzie pieprz rośnie.

Connor poprawił wytarמושzone mankiety wieczorowej koszuli. Tuż przed sobą dostrzegł zagradzającą przejście barykadę śmieci: połamane koła, puste beczki, sterty rupieci, pudło jakiegoś starego powozu.

Potem ktoś gwizdnął. Z mroku wyłoniły się niespodziewanie postacie ludzkie. Ktoś dźgnął go lufą pistoletu w żebra. Connor spojrział prosto w oczy dziewczynie ubranej w męską koszulę i spodnie, która wyskoczyła właśnie z dziury dachu pokierszowanego powozu jak diabeł z pudełka. Uśmiechała się od ucha do ucha. Dwa grube kasztanowate warkocze okalały jej pociągłą piegowatą twarz.

- Kto śmie przekraczać próg domostwa mego ojca? - spytała przyjacielskim tonem. - Odpowiadaj, zanim rozwalę ci łeb.

Connor oparł się o połamane taczki.

- Nie za późna godzina na spacer, Janet? Dzieci już chyba śpią o tej porze.

Dziewczyna uśmiechnęła się zawadiacko.



- Ach, to ty, Buchanan. Nie widywałam cię do tej pory bez peruki i tych długich czarnych szmat. Jak się miewa wymiar sprawiedliwości?

- Zobaczysz mnie wkrótce w todzie, jeśli nie pozwolisz mi przejść.

- Obowiązują mnie pewne zasady i nie wpuszczę cię do świątyni papy, jeżeli nie znasz hasła.

- To poważna sprawa, Janet, i jeśli nie pozwolisz mi wejść, wrócę tu z nakazem rewizji i całą policją Edynburga.

Przyglądała mu się przez chwilę podparta pod boki.

- Chciałabym zrobić dla ciebie wyjątek, Connor. Ale naprawdę nie mogę. Jakie jest hasło?

Tracąc cierpliwość, Connor ryknął:

- A skąd, do jasnej cholery, mam wiedzieć!?

Na jej figlarnej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

- No właśnie - powiedziała i wykonała szeroki gest ramieniem, jakby witała członka rodziny królewskiej. - Trzeba było od razu tak mówić. Załóżcie mu opaskę na oczy, chłopcy. Adwokat diabła zaszczycił nas wizytą.

Connor potykał się w ciemnościach, wściekły, że zmusili go do takiego upokorzenia. Spodnie miał uwalane szlamem i mokre po przejściu przez jakiś podziemny strumień. Kilka razy zobaczył gwiazdy przed oczami, uderzając głową o niskie belki; nikt nie zadał sobie trudu, by go przed nimi ostrzec. Janet cały czas poszturchiwała go pistoletem.

Cierpiał jednak w milczeniu, przekonany, że panna Saunders odpokutuje za wszystkie kłopoty, jakich mu przysporzyła, a poza tym, w głębi duszy był bardzo ciekaw, jak wygląda sanktuarium Herszta.

Żaden z jego współpracowników nigdy nie dotarł tak daleko. Mimo upokorzenia, które musiał teraz znieść z zaciśniętymi zębami, może uda mu się podczas tej wyprawy lepiej poznać przestępcze podziemie.

- Oto jesteśmy, wasza lordowska mość.

Dziewczyna zdarła mu opaskę i wskazała na schody. Poczował ciepło kominka i zapach świeżo upieczonych rogalików. Mrugając, potknął się o taboret obity tkaniną, na której wyhaftowany był cytat z Biblii: **BOŻE, BĄDŹ MIŁOŚCIW MNIE GRZESZNEMU.**

Stał pośrodku oświetlonej świecami sali. Herszt siedział w fotelu przy kominku i w skupieniu cerował lnianą koszulę. Tłusty rudy kot drzemał w koszyku u jego stóp. Gdy Artur rozpoznał Connora, zdjął okulary i zaklął siarczyście.

- Co ten człowiek tu, do diabła, robi, Janet? - spytał wściekle.

- Znał hasło, papo - odpowiedziała od drzwi, wycierając o spodnie dzikie jabłko.

Connor podszedł do kominka, stanął plecami do ognia i spojrzał z góry na Artura.

- Nie możesz wykradać mi świadka, Ogilvie. Herszt popatrzył spođe łba.

- Nikt nie powinien przekraczać granicy strzeżonej przez moje warty.

W pomieszczeniu były cztery inne osoby. Siedzieli przy stole, popijali herbatę i grali w wista. Przez chwilę przyglądali się ciekawie przybyszowi, a potem wrócili do gry. Connor rozpoznał trzech mężczyzn - jeden z nich był dawnym specem od defraudacji, drugi stręczycielem, a trzeci zwykłym złodziejem obrabiającym sklepy. Jedyną kobietą była wątłej postury staruszka o puszystych białych włosach. Jej przygarbione ramiona okrywał wełniany szal, spięty pod szyją broszką. Uśmiechnęła się do Connora.

Domyślił się, że jest to ciotka Herszta. Słyszał, że kobieta nie ma pojęcia o przestępczej działalności siostrzeńca, a Arturowi zależy, żeby tak zostało. Connor pomyślał, że mógłby wykorzystać ten sekret, gdyby Ogilvie za bardzo się stawiał.

Za stołem dostrzegł zasłonę, za którą z pewnością było wejście do pokoju Maggie. Może słyszała, co się tu teraz dzieje? Czy przyjdzie, by spojrzeć mu w oczy, czy może już ją ostrzeżono i uciekła? Nie przeżyłby, gdyby na mieście mówiono, że wymknął mu się naoczny świadek.

Starsza kobieta odłożyła karty, by lepiej przyjrzeć się Connorowi. Z aprobatą pokiwała głową.

- Mężczyzna z taką posturą... Pewnie pracujecie razem w dokach, Arturze?

- W dokach? - powtórzył zdumiony Connor.

- Przecież tam pracujemy, Connor. Co, już zapomniałeś? Ciotka Mabel wszystko o nas wie. - Herszt wbił igłę w materiał koszuli. -

Janet, idź na górę i połóż się spać. Musisz wstać wcześniej rano na lekcje tańca.

- Ale, papo... - zaprotestowała z ustami zapchanymi jabłkiem. - Ja nie biorę żadnych lekcji...

- Na górę, dziewczyno! Słuchaj ojca, chociaż przy ludziach. Ciotka Mabel znów popatrzyła na Connora, kiedy nadąsana

Janet wyszła z pokoju.

- Usiądź, młodzieńcze. Należę ci dobrej herbaty. - Wstała i podprowadziła go do drugiego fotela przy kominku. - Chyba nie czujesz się najlepiej.

Connor nie skomentował tej uwagi. W bójce na ulicy zgubił guzik od szarego wełnianego płaszcza i miał wrażenie, że nadszarpnął ścięgno w pachwinie, co będzie mu pewnie doskwierać przy grze w golfa, nie wspominając o bardziej intymnych zajęciach.

Usiadł, nie chcąc urazić kobiety.

- Przysuń się do ognia, chłopcze - powiedziała, podając mu filiżankę. - Zaparzę świeżej herbaty i przyniosę wam rogaliki.

- Czego chcesz, Buchanan? - spytał Herszt, gdy tylko wyszła.

- Panny Saunders - odparł bez ogródek Connor.

- Wniosłeś przeciw niej oskarżenie?

- Nie.

- Więc nie masz prawa jej przetrzymywać, szczególnie we własnym domu.

- Nie jest aresztowana. - Connor wpatrywał się w ogień. - Ale istnieje niebezpieczeństwo, że porywacze mojej siostry zechcą przeszkodzić jej w identyfikacji.

- Jestem w stanie ją ochronić - mruknął Herszt.

- Nie sądzę.

Artur pochylił się do przodu na ten ostentacyjny afront. W blasku ognia wyglądali jak para walczących gigantów. Zwąchawszy ostry konflikt, trzej mężczyźni przy stole cicho odsunęli krzesła i wymknęli się z pokoju.

Connor oderwał oczy od ognia i wbił wzrok w przeciwnika.

- Wiesz coś o porwaniu mojej siostry?

- Nigdy nie żeruję na kobietach i dzieciach. Powinieneś to wiedzieć. Żaden z moich ludzi nie miał z tym nic wspólnego.

Ciotka Mabel wróciła w tym momencie do pokoju. Na jej pomarszczonej twarzy malował się łagodny uśmiech.

- Serce się raduje, gdy przyjaciele siedzą sobie tak razem przy kominku. A może przyszedłeś odwiedzić Janet, Connor?

- On chce rozmawiać z Maggie - z westchnieniem powiedział Artur.

- Maggie? - Kobieta nalała gościowi herbaty. - Ta dziewczyna ma ostatnio powodzenie.

Connor oparł filiżankę na kolanie.

- Powodzenie?

- No, tak. - Mabel wróciła do stołu. - Dziś rano, kiedy byłam na targu, pytał o nią jakiś mężczyzna w wielkim czarnym powozie. Najwyraźniej bardzo mu na niej zależało.

- Co ty opowiadasz, Mabel? - Herszt zerknął na Connora.

- Jakiś mężczyzna dopytywał się o Maggie na targu, kiedy robiłam zakupy. Chciał wiedzieć, gdzie mieszka i o której godzinie wraca do domu.

Connor wziął głęboki oddech.

- Jak wyglądał?

- Nie wiem - w zamyśleniu odpowiedziała kobieta. - Pytał mnie z okna powozu, a w środku było ciemno. Poza tym Artur przestrzegł mnie, żeby nie rozmawiać z obcymi. Mówi, że w mieście pełno przestępców.

Connor odstawił filiżankę.

- A jak wyglądał ten powóz?

- Raczej elegancki. Czarny i... - Mabel umilkła, jakby wyczuła, że coś jest nie tak. - Boże, sama już nie wiem. Nie było jeszcze zupełnie jasno, a ja nie przyglądałam się uważnie. Czy to był jakiś zły człowiek?

- Proszę zawołać Maggie - powiedział Connor, zerkając na kotarę.

Herszt podniósł się z fotela, zasłaniając blask ognia potężnym ciałem.

- Znajdź Claude'a, Mabel. Connor poczuł, że pęka mu głowa.

- Kto to jest Claude, do diabła?

- To lokaj Maggie. Daj mi swój płaszcz - zwrócił się do niego Artur. - On po nią pójdzie.

Connor nie odpowiedział. Lokaj? U drobnej złodziejki? To było równie nedorzeczne jak fakt, że Maggie mieszka w tym domu.

- Zdejmij płaszcz - powtórzył Herszt. Connor poderwał się na równe nogi.

- Po co, do cholery?

- Żebym mógł ci przyszyć guzik, zanim ona cię zobaczy. Maggie zwraca uwagę na takie rzeczy. Możesz jeszcze spokojnie usiąść. Claude porusza się w takim tempie, że żółw by go przegonił.

Po dziesięciu minutach Connor stracił resztki cierpliwości i zaczął chodzić tam i z powrotem po sali niczym rozsierzony lew po klatce. Co chwilę przez pokój przewijały się, niby przypadkowo, jakieś typy spod ciemnej gwiazdy, żeby rzucić na niego okiem. Nie co dzień można było zobaczyć, jak Herszt przyszywa guziki do płaszcza prokuratora generalnego.

Artur popatrywał na Connora znad okularów.

- Idź już po nią sam - powiedział w końcu. - Denerwuje mnie to twoje łażenie w tę i we w tę.

Connor nie potrzebował specjalnego zaproszenia. Ruszył natychmiast do wąskiej drewnianej klatki schodowej. Zrobiłby z siebie głupca, gdyby dziewczyna się wymknęła, podczas gdy on przyglądał się spokojnie, jak Ogilvie przyszywa mu guziki.

Przeskakując po dwa stopnie, dotarł prawie na szczyt schodów, gdzie wpadł na starego mężczyznę, który z wysiłkiem wchodził na górę. Starannie ubrany siwowłosy staruszek miał w sobie godność i elegancję, która nie pasowała do tego miejsca. Czyżby był to „lokaj” Maggie?

- Przepraszam - odezwał się Connor. - Idzie pan na górę czy na dół?

Lokaj spojrzał na niego lekko pogardliwie i odparł z silnym francuskim akcentem:

- Na górę, monsieur. Jakiś mężczyzna pragnie widzieć moją panią. Podejrzewam, że to policjant w przebraniu. Jestem pewien, że będą przez niego kłopoty.

Connor zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu.

- Może pragnie pomóc twojej pani.

Niepokój pojawił się w wyblakłych błękitnych oczach staruszka.

- W przeszłości nie spotykała się z życzliwością ludzi tej profesji.

Mimo zdenerwowania Connor odczuł pewne zrozumienie. Czyżby lokaj miał na myśli tajną milicję napoleońską, która prześladowała kiedyś rojalistów? Zastanawiał się, czy w tej bajce,

którą słyszał, nie ma ziarna prawdy. Cóż mogło tak przerazić córkę księcia, by szukała schronienia w gnieździe kryminalistów?

Poklepał starszka po ramieniu.

- Proszę się nie niepokoić. Nie mam zamiaru jej skrzywdzić.

- Ale, monsieur...

- Zawoła, jeśli będzie cię potrzebować - powiedział Connor uspokajająco. Popatrzył uważnie w zmęczoną twarz lokaja i spytał łagodnie: - Dlaczego twoja pani tak się obawia policji?

Claude jednak potrząsnął tylko głową. Nie zamierzał wyjawiać żadnych sekretów obcemu.

- Zaczekam pod drzwiami - rzekł, jakby chciał ostrzec nieznanego, że Maggie jest pod jego opieką. - Zostanę na straży, dopóki pan nie odejdzie.

U szczytu schodów Connor usłyszał głos Maggie. Mówiła łagodnie, jakby tłumaczyła coś dziecku. Podszedł pod drzwi pokoju na końcu korytarza. Nie wiedział, jak dziewczyna zareaguje na jego niespodziewaną wizytę, ale z pewnością zrozumie tym razem, że nie należy się sprzeciwiać jego poleceniom. Już on jej pokaże, kto tu rządzi.

Otworzył drzwi do oświetlonego świecą pokoju. Zawahał się, gdy drobna postać wydała cichy okrzyk na jego widok. Maggie, w białej jedwabnej koszuli i koronkowych pantalonach, zrobiła na nim silniejsze wrażenie niż cała niebezpieczna przeprawa w drodze do Heaven's Court. Wyglądała jak marzenie. Świeża, czysta, kusząca...

Powoli odetchnął. Stres ostatnich godzin zamienił się w niespodziewane podniecenie seksualne. Czuł, że wszystkie mięśnie ma napięte jak postronki. Prawdopodobnie widać było po nim, że ledwie utrzymuje nad sobą kontrolę. Wydawało mu się, że za chwilę eksploduje. Ledwie trzymał się na nogach po całej nocy bezowocnych poszukiwań i nie mógł zrozumieć, skąd jeszcze to podniecenie.

- Panno Saunders... - Bezwiednie zacisnął szczęki i rozejrzał się po pokoju, zaintrygowany, do kogo tak czule przemawiała.

Maggie rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Jeśli pan nie zauważył, to chciałabym nadmienić, że jestem w bieliźnie.

Owszem, zauważył. Zauważył każdy detal, od różowych kokardek i falbanek po kuszący biust rysujący się pod koszulą.

Odwrócił się twarzą do ściany, powtarzając sobie w myśli, że ma się zachowywać jak cywilizowany człowiek.

Jego wzrok padł na skórzany kufer przy drzwiach. Był pełen damskich fatalaszków, jakby przygotowywała się do wyjazdu. Na myśl, że zamierzała uciec, ogarnęła go wściekłość.

- Znowu przyłapałem panią na gorącym uczynku - powiedział. - Widzę, że nie traciła pani czasu.

- Oczywiście, że nie - odparła stłumionym głosem spod szarego aksamitnego kubraczka, który wciągała właśnie przez głowę. - Przekonał mnie pan dziś rano, jak niebezpieczna jest sytuacja. Pomoże mi pan znieść ten kufer? Claude'owi zajęłoby całą noc zniesienie go na dół.

Odwrócił się zdumiony.

- Prosi mnie pani, bym pomógł w ucieczce własnemu świadkowi? Do diabła...

- O czym pan mówi? - Patrzyła na niego osłupiała. - Wróciłam tylko po to, by spakować kilka najpotrzebniejszych rzeczy i zabrać Claude'a i Dafne, oczywiście. Przecież nie mogę ich zostawić, prawda?

Kiedy przechodziła obok niego, zmierzając do toaletki, odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Owiał go unoszący się wokół niej różany zapach. Przez chwilę zapomniał o całym świecie, wpatrzony, z jakim wdziękiem upina włosy w węzeł na karku. Była taka wiotka... Zastanawiał się, czy doszła już do zdrowia po tym fatalnym upadku - Boże, czy to prawda, że znał tę kobietę zaledwie od dwudziestu czterech godzin? Czy to możliwe, że przewróciła jego życie do góry nogami w jeden dzień?

- Sądzi pani, że uwierzę, iż po linie uciekła pani z mojego domu po to, by wrócić?

Zobaczył w lustrze jej niewinne spojrzenie.

- To prawda.

Z cynicznym uśmiechem zatoczył wzrokiem po pokoju. Na łóżku, wśród rozrzuconych czepków, pończoch i baletek, spał zwinięty w kłębek biały pudel.

- Jest pani tancerką? - spytał, z ulgą stwierdzając, że mówiła tak czule do psa, a nie do kochanka.

- Lubię tańczyć, ale nie jest to mój zawód. Papie by się to nie spodobało. Robert umarłby ze wstydu, gdybym występowała na scenie.

Zaintrygowany jej czułym tonem, uniósł brew.

- Robert?

- Mój brat. Świętoszek. Och, Dafne, nie ułożyłaś się chyba na moim kapeluszu?

Connor zmarszczył czoło, żeby ukryć swoje emocje. Balerina... Przyglądał jej się bacznie spod oka. To tłumaczy grację jej ruchów. Jedna zagadka rozwiązana. Wyobraził sobie, jak Maggie ćwiczy w jego piętnastowiecznym domu w górach. Releve. Plie. Tendu. Torturą byłoby przyglądać się jej i nie móc dotknąć. W ciele tańczącej kobiety jest coś nieodparcie erotycznego. Nie licząc czworga służących, którzy zajmują się niewielką posiadłością, prawie cały czas będą sami.

Maggie zerknęła na niego przez ramię. Wyglądała jeszcze bardziej uroczo z upiętymi włosami i błyszczącymi wielkimi oczami. Złość powoli go opuszczała.

- Mogę go zabrać, prawda? - spytała z niepokojem.

- Tego świętoszka... To znaczy brata?

- Mojego lokaja.

Nie będą więc całkiem sami. Dlaczego tak trudno mu się skupić na rozmowie?

- To chyba nie ten stary człowiek, którego spotkałem na schodach? - spytał z niedowierzaniem. - Nie wytrzyma trudów podróży. Nie mam zamiaru nikogo niańczyć.

- Nie wątpię... - odparła Maggie. - Claude nie zniósłby, gdyby go pan rozpieszczał. Jest jednak stary i nie znajdzie nigdzie pracy, milordzie. Nie przeżyje, pozostawiony sam sobie. Musimy go zabrać. Musimy.

Była tak przekonująca w swej lojalności wobec starego sługi, że Connor nie miał serca odmówić. Z rezygnacją potrząsnął głową. Nie powinien dłużej przebywać z tą dziewczyną - mieszała mu w głowie.

- Mamy duże kłopoty, panno Saunders. Muszę zmienić nasz plan. Powinien się tym zająć jeden z moich asystentów. Młody prawnik, Donaldson, będzie najlepszy. Ma zamężną siostrę w Aberdeen. Może tam pani zostać, jak długo będzie trzeba.



Nie dodał, że Donaldson nie zwróciłby uwagi, nawet gdyby nago tańczyła na stole. Był całkowicie pochłonięty pracą; w jego świecie nie było miejsca dla kobiet.

- Donaldson zapewni pani pełne bezpieczeństwo - podsumował, myśląc, że on sam nie może ręczyć za siebie w jej obecności.

Maggie podeszła do swojego kufra.

- Nie - powiedziała.

Connor wyczuł, że nie pójdzie mu łatwo.

- Nie rozumiem. Co to znaczy „nie”?

- Nigdzie nie pojedę z kimś zupełnie obcym. Uśmiechnął się ironicznie.

- To ja jestem dla pani zupełnie obcy, panno Saunders. Proszę łaskawie zauważyć, że przy okazji włamania do czyjegoś domu nie zawiera się przyjaźni.

Zdeterminowana usiadła na kufrze.

- Jest pan mniej obcy niż ktoś, kogo nigdy nie widziałam - argumentowała z przekonaniem. - Poza tym wiem, że pan jest w stanie mnie ochronić. Oprócz kilku oczywistych wad, jak potworna arogancja i słabość do kobiet, mam wrażenie, że jest pan szlachetnym człowiekiem.

Szlachetność to ostatnie słowo, którego użyłby dla określenia swojego stosunku do tej dziewczyny. Lepiej pasowałoby: dzikie pożądanie. Prawdopodobnie śmiertelnie by się przeraziła, gdyby mogła czytać w jego myślach. Ta jej naiwność... Powinna dostać nauczkę. Śmiała wdrzeć się do jego domu, by pomóc bezdomnemu staremu włóczędze.

Popatrzyła mu w oczy z niezachwianym zaufaniem.

- Nie ufam nikomu poza panem.

- Mimo mojej potwornej arogancji i słabości do kobiet?

- No cóż, nikt nie jest doskonały.

Connor parsknął śmiechem. Bawiła go ta pewność siebie. Miał coraz większą ochotę pokazać jej, kto jest panem sytuacji. I drażniło go, że nie może otrząsnąć się z tego niesamowitego uroku, jaki na niego rzuciła.

Zrobił groźną minę, by ukryć to żenujące uczucie.

- Podróż w tak wyjątkowych okolicznościach nie będzie łatwa. Nie mam zamiaru przerywać poszukiwań siostry. Poza tym, bardzo niewiele o sobie wiemy.

- Wiem o panu więcej, niż pan sądzi - stwierdziła ze spokojem. Zacisnął wargi.

- Brukowe plotki. Wiem, że nie powinienem był sprowadzać Emilii do domu. Mam nadzieję, że nie będzie między nami więcej nieporozumień w związku z tym, co ludzie opowiadają za moimi plecami.

- Ja też mam taką nadzieję, milordzie. - Wygładziła fałdy sukni. - Skoro doszliśmy do porozumienia, możemy już chyba jechać.

Connor nie miał wrażenia, że doszli do jakiegokolwiek porozumienia. Nie wiedział, co robić. Najchętniej wyszedłby stąd i udawał, że nigdy się nie spotkali. Ale nagle przypomniał sobie nieznanego, który pytał o Maggie na targu, mężczyznę, który zrzucił ją zeszłej nocy z powozu, tragedię z dzieciństwa, o której wspominali Sebastian i Claude. Może w tej chwili nie mógł wiele zrobić dla Sheeny, ale z pewnością mógł pomóc tej kobiecie. Potrzebowała ochrony. Gdyby cokolwiek jej się stało, on byłby temu winien.

Dla jednej drobnej kobiety zamienił swoje życie w kompletny chaos. Odwrócił się do drzwi.

- Proszę się pospieszyć - rzucił sucho. Maggie wyglądała na zmartwioną.

- Nie odpowiedział pan, czy mogę zabrać Claude'a i Dafne.

- A kim, do cholery, jest ta Dafne? - wrzasnął, po czym w osłupieniu utkwiał wzrok w pudelku, który właśnie zeskoczył z łóżka i zaczął ocierać się o jego nogę, entuzjastycznie machając ogonkiem w przyływie wielkiej przyjaźni.

Maggie klasnęła w ręce, uśmiechając się z ulgą.

- Lubi pana. To bardzo dobry znak. Dafne zna się na ludziach. Ma to po swoich rodzicach. Tym lepiej, że zdecydowałam się z panem jechać.

Skonsternowany, gapił się na psa, jeśli tak można by nazwać to stworzenie; wyglądało raczej na podskakującą kulkę puchatej sierści i nie przestawało lizać mu dłoni.

Connor cofnął się, żeby otworzyć drzwi. Claude popatrzył na niego z powagą.

- Mademoiselle - odezwał się słabym głosem, najwidoczniej zmęczony. - Na dole jest jakiś mężczyzna, który pragnie panią widzieć. Podejrzewam, że to policjant.

- W porządku, Claude. - Wróciła do toaletki, by umieścić na głowie jakiś monstrualny przedmiot. - Czy ten kapelusz będzie pasował, milordzie? - spytała niepewnie.

Connor spojrział w jej stronę - twarz Maggie ukryta była pod ciężkim welonem spadającym z czoła jak kurtyna.

- Pasował do czego?

- To świetny sposób, by pozostać incognito. Nie chcę, by ktokolwiek mnie rozpoznał.

Pomyślał, że nie przyciągnęłaby więcej uwagi, gdyby na jej głowie wylądował pelikan. Zaszokowany, nie mógł wydusić z siebie słowa. Nagle dotarło do niego jasno, w co się wpakował. Pies przypominający wypudrowaną perukę na czterech łapach, wrogo usposobiony staruszek i bezbronna, całkowicie od niego uzależniona kobieta, która w dodatku spodziewa się, że będzie odgrywał bohatera. Stwierdził niedawno, że nie zamierza nikogo zabawiać... To był naprawdę wędrowny cyrk.

- Mam wziąć ze sobą strój do kąpieli? - spytała w skupieniu Maggie.

Connor wznosił oczy do nieba. Strój do kąpieli...

- Nie wyjeżdżamy na wakacje nad Morze Śródziemne, dziewczyno. Będziemy się ukrywać.

- Chciałam tylko być przygotowana na wypadek, gdyby zaproponował pan kąpiel.

- Panno Saunders, moim zadaniem jest chronić panią przed kryminalistami, a nie pluskać się w strumyczkach. Poza tym jesień w górach może być nie dość, że zimna, to wręcz niebezpieczna.

- Zupełnie jak mieszkańcy tamtych okolic - powiedziała smutno.

- Nie wiem, dlaczego jest pan taki niemący. Jeśli już jesteśmy na siebie skazani, moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Szczególnie po ostatniej nocy.

- Zaprzyjaźnić? - wykrzyknął. - Próbowала mnie pani okraść. Nie spędziliśmy uroczego wieczoru w operze, starając się poznać wzajemnie.

Twarz Maggie pojaśniała.

- Pan także lubi operę? Nigdy bym nie pomyślała. No cóż, przynajmniej to nas łączy.

Connor potrząsnął tylko głową.

- Wezmę parasolkę - stwierdziła po chwili. - I niech pan nie mówi, że w górach nigdy nie świeci słońce. Nie zamierzam się poddać pańskiemu czarnowidztwu.

- Niech pani weźmie parasolkę. - Connor ciężko westchnął. - Co za różnica...

- W popielate paski czy koronkową? Och, nieważne, zabiorę obydwie. Zniesie pan kufer na dół czy wyślemy go do pana domu? - spytała uprzejmie, wpychając mu w ręce kolejne pudło na kapelusze.

Mruknął coś pod nosem, starając się wyrzeć zza rosnącej sterty pudeł.

- Przyślę kogoś jutro rano przed naszym wyjazdem. Czy musi pani zabierać ze sobą to wszystko?

- To tylko najpotrzebniejsze rzeczy, powinnam przecież przyzwoicie wyglądać w pana obecności.

Connor uniósł brwi.

- Te kapelusze musiały kosztować fortunę. Jak kobietę w pani sytuacji na to stać? A może są kradzione?

- Artur okropnie mnie rozpieszczał. Zależy mu, by jego najbliżsi byli dobrze ubrani.

- Kradzione - z westchnieniem stwierdził Connor. - Wiedziałem. Maggie uśmiechnęła się nieśmiało.

- A co z psem?

Dafne zamachała ogonkiem.

- No tak, pies...

Maggie schowała parę baletek do czarnego aksamitnego woreczka.

- Claude też może jechać?

Connor zacisnął szczęki, kiedy wepchnęła mu pod pachę parasolkę. Poczul się jak wieszak. Boże, zmiłuj się...

- Claude też może jechać.

U podnóża schodów czekał na nich mały tłumek. Herszt, Janet, ciotka Mabel, Charlie Cameron - słynny złodziej klejnotów, który rok temu wyszedł z więzienia - Hugon i jego wuj, Ronald MacTavish, dawny specjalista od napadów na powozy na drogach, który stracił oko w wojnie z Francuzami.

Maggie poczuła na ich widok ucisk w gardle; była to jej jedyna rodzina. Pamiętała, jak Charlie przynosił jej napar rumiankowy, kiedy się zaziębiła, jak Ronald wychodził po nią zawsze, gdy spóźniała się

choć kilka minut z pracy, jak Janet stawiała jej domowe pantofle przy kominku, żeby były ciepłe, gdy wróci do domu. I Artur, ich rozmowy w cztery oczy do późnej nocy, kiedy opowiadali sobie o swoich ukochanych i utraconych tragicznie domach.

Connor, stojący za plecami dziewczyny, z rezerwą przyglądał się jej przyjaciółom. Teraz jej potrzebował, ale co się z nią stanie po odnalezieniu jego siostry? A może traciła coś bezpowrotnie, odchodząc z tym człowiekiem?

Głos Herszta przerwał ciszę.

- Będziesz potrzebowała eskorty w drodze do jego domu.

- Damy sobie radę - powiedział stanowczo Connor. - Prokurator generalny nie powinien raczej przechadzać się w towarzystwie najgorszych przestępców w mieście.

- Oni są najlepsi - wtrąciła urażona Maggie.

- To prawda. - Herszt podszedł powoli do Connora, aż stanęli twarzą w twarz. - Ostrzegam cię - odezwał się cicho - jeśli cokolwiek stanie się tej dziewczynie, długo nie pociągniesz.

- Nikt jej nie skrzywdzi.

- I jeszcze jedno. - Głos Herszta zabrzmiał odrobinę głośniejszy. - Żeby nikt na mieście nie gadał czasem, że ślęcę nad szmatami z igłą w ręce i okularami na nosie.

Connor powstrzymał uśmiech.

- Sądzę, że ta informacja mi się przyda, jeśli kiedyś będę potrzebował od ciebie jakiejś drobnej przysługi.

- Nie igraj z ogniem, Connor. Dotąd miałeś szczęście.

Szczęście? Connor spojrzał na przyczynę całego tego zamieszania. Musiał jednak przyznać w duchu, że są gorsze rzeczy na świecie niż opiekowanie się piękną kobietą.

- Jesteś gotowa? - spytał.

Skinęła głową, a potem pociągnęła nosem i uniosła welon, żeby otrzeć policzek chusteczką.

- To wszystko stało się tak nagle. Jestem taka zdenerwowana, milordzie. Proszę pozwolić mi się pożegnać z przyjaciółmi.

Connor rozejrzył się z niedowierzaniem. Zatwardziali kryminaliści chrząkali ze wzruszenia, pociągali nosami i podchodzili po kolei, by uściskać Maggie. Poczul się jak wilk, który wykrada ze stada niewinną owieczkę.

- Na miłość boską - powiedział. - Przecież ona nie znika na zawsze. Sam muszę wrócić do Edynburga przed końcem miesiąca.

Z jakiegoś powodu słowa te sprawiły, że Maggie zaczęła głośniejsze pociągać nosem. Herszt popatrzył na niego ponuro.

- Przez pięć lat kochałem Maggie jak własną córkę, ale nie mogę łamać zasad. Gdy ktoś raz opuści klan Heaven's Court, nie ma już tu powrotu. Od momentu, gdy ją stąd zabierzesz, staje się dla nas kimś z zewnątrz. A teraz zostaw nas samych na kilka minut, żebyśmy mogli się spokojnie pożegnać. Wyjdź stąd, Connor.

Czekał na nie oświetlonym progu jak kot wyrzucony na noc z domu. Zastanawiał się, czy odprawiają jakiś specjalny rytuał, kiedy ktoś odchodzi z klanu.

Poirytowany, odłożył parasolkę Maggie i podszedł do rogu budynku, mając nadzieję, że może uda mu się zajrzeć do środka. Nie mógł się doczekać powrotu do domu. Możliwe są jakieś wiadomości o Sheenie?

Nagle jego uwagę zwrócił odgłos szeleszczących liści i ciche przekleństwo. Minął zarośnięty chwastami warzywnik i podszedł na tyły domu.

Na czarno ubrany mężczyzna wspinał się do okna na pierwszym piętrze po kracie obrośniętej dzikim winem.

Connor zeszywniał. Mężczyzna próbował dostać się do sypialni Maggie, jakby mieli potajemną randkę. A może nie był to sekretny kochanek, tylko ktoś o złych zamiarach?

A może to któryś z porywaczy Sheeny?

Zrzucił płaszcz, podkradł się do kraty i wypróbował, czy drewniana konstrukcja wytrzyma jego ciężar. Jak się spodziewał, drewno było tak spróchniałe, że dziwne, jak intruzowi udało się zabrać tak wysoko. Connor mocno potrząsnął kratą.

Kolejne przekleństwo przerwało ciszę, a na głowę Connora posypały się suche liście. Mężczyzna na górze zaczął nagle wymachiwać ramionami w powietrzu i w końcu zleciał jak dojrzałe jabłko strząśnięte z gałęzi.

Głośno przeklinając, zaplątany w resztki połamanej kraty, wylądował u stóp Connora. Był to młody przystojny chłopak. Przyciskał do piersi wymiętoszony bukiet kwiatów. W zasadzie nie wyglądał zbyt groźnie.

- A niech to piekło pochłonie! - Usiadł zdezorientowany i wściekły. - Cholerna krata.

- Powinieneś użyć drabiny - odezwał się Connor. Młodzieniec poderwał się na równe nogi, zaskoczony jego obecnością.

- Kim jesteś, do diabła? - spytał ze złością. Connor podszedł bliżej i popatrzył na niego z góry.

- To ja powinienem cię o to spytać.

Chłopak zmierzył intruza od stóp do głów, po czym najwyraźniej zdecydował się na współpracę.

- Liam MacDougall - odarł niechętnie, pocierając zadrapane czoło. - A kim ty, do stu piorunów, jesteś? Nie należysz do klanu.

Connor wahał się przez chwilę, czy podjąć dyskusję na ten temat, czy po prostu zdzielić tego kretyna w pysk.

- Dlaczego chciałeś wdrzeć się do sypialni panny Saunders?

- A dlaczego miałbym się przed tobą tłumaczyć? Connor wykrzywił się w sarkastycznym uśmiechu.

- Bo inaczej twoje nędzne szczątki legną w tych chwastach.

- Nie chciałem się włamywać. - Liam zrozumiał, że z tym nieznanym nie ma żartów. - Chciałem wykraść Maggie. Herszt nie pozwala mi się do niej zalecać, a ludzie plotkują, że przetrzymuje ją jakiś mężczyzna i że musi wyjechać z kraju, bo wpakowała się w jakieś kłopoty.

Connor spojrział na ciemne okno ponad nimi.

- Jakie kłopoty?

- Nie mogę powiedzieć. - Chłopak wyprężył się i zrobił ważną minę. - Mogę jedynie wyjawić, że ma to związek z siatką francuskich szpiegów.

- I zdecydowałeś się uchronić ją przed tą międzynarodową intrygą?

- Tak - odparł Liam niepewnie. Connor zmrużył oczy.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, nadstawiłeś karku, żeby uratować pannę Saunders przed groźnymi szpiegami, używając... - wskazał na lewą rękę chłopaka - bukietu kwiatów jako broni?

- Niezupełnie - rzucił obrażonym tonem Liam. - Kwiaty były na ślub. Miałem nadzieję, że uda nam się razem uciec. Dostałem właśnie posadę w Gwardii Konnej i myślałem, że Maggie zamieszka z moją rodziną w Glasgow. Mama będzie się, oczywiście, krzywić na początku, ale to się zmieni po narodzinach dziecka.

- Dziecka? - spytał oszołomiony Connor. Liam wyglądał na speszzonego.

- Po miodowym miesiącu zwykle pojawiają się dzieci, nie?

- Czasem wcześniej.

- No tak... Pomyślałem sobie, że jak zostawię Maggie z dzieckiem, którym będzie musiała się opiekować, to wywietrzeją jej z głowy inne bzdury.

- Takie jak siatka francuskich szpiegów?

- Właśnie, nie będzie nawet miała czasu za mną tęsknić. Connor pokręcił głową.

- No, no... Romeo by tego lepiej nie załatwił. Tylko z tą spróchniałą kratą nie miałeś szczęścia.

Liam znowu zaklął pod nosem.

- No i, niestety, spóźniłeś się z odsieczą - dodał Connor.

- Jak to? Mówisz, że ona wyjechała? - spytał przerażony młodzieniec.

- Wyjeżdża właśnie w tej chwili.

- O mój Boże... - Liam oparł się o zdezelowaną kratę. - Co ja teraz zrobię?

- Przypuszczam, że musisz znaleźć sobie nowy obiekt uczuć.

- Nie o to mi chodziło. - Liam był blady jak ściana. - Nie wydam się stąd bez pomocy Maggie. No, to już po mnie. Kwiaty przydadzą się na mój grób.

Connor uniósł brew.

- A jak się tu dostałeś?

- Janet. Ta mała czarownica wyciągnęła ode mnie za to dwadzieścia funtów.

- Czego się nie robi dla miłości, prawda? W każdym razie posłuchaj mojej rady, Liam, i zmykaj stąd jak najszybciej. Lepiej, żeby Herszt cię tu nie widział.

- Tyle to ja wiem. Do stu diabłów, chciałbym dostać w swoje ręce tego łajdaka, który ją zabiera! - Machnął tym, co zostało z bukietu. - Masz, mnie już nie będą potrzebne.

Przeklinając, ruszył w stronę tylnej furtki. Connor patrzył za nim rozbawiony i, prawdę mówiąc, trochę zazdrosny. Co za nedorzecznosc? Do diabła, potrzebne mu jeszcze jakieś głupie dyskusje z zakochanymi młodzikami.



- Czy to pan, milordzie? - Za plecami usłyszał cichy szept. Odwrócił się i zobaczył Maggie, idącą ostrożnie przez ogródek.

- Z kim pan rozmawia? - spytała, unosząc welon.

Złapał ją za ramię, żeby się nie potknęła o resztki kraty. Miał zamiar powiedzieć jej prawdę.

- Och... - Podniosła dłonie do twarzy na widok rozrzuconych na ziemi kawałków drewna. - Schwycił pan kogoś, prawda?

- No cóż...

- Ktoś chciał się dostać po kracie do mojego okna i pan mu przeszkodził. - Z wdzięcznością uścisnęła go za ramię. - Gdyby nie pan, włamałby się do mojej sypialni i Bóg jeden wie, co jeszcze.

Jej błękitne oczy błyszczały w świetle księżyca, kiedy wpatrywała się w niego z podziwem. Gdy przytuliła się do niego, przypomniał sobie, jak niewiele brakowało ostatniej nocy, by ją posiadł, i jak bardzo nadal tego pragnął.

- Nie było pani w pokoju - powiedział powoli. - Nie zastałby nikogo.

- Ale nie wiedział o tym, kiedy pan go zaatakował. Proszę spojrzeć na tę kratę. Tu musiała mieć miejsce jakaś straszna walka. Czy nic się panu nie stało?

Connor schował kwiaty za plecami, zastanawiając się, czy nie pozostawić dziewczyny w tym przekonaniu.

- Prawdę mówiąc, nie było żadnej strasznej walki. Potrząsnąłem kratą, zleciał na dół, a potem uciekł.

- Ależ to pan go wypłoszył, uciekł na sam pana widok. Connor z trudem przełknął ślinę, zły w głębi ducha, że zachwyt w jej głosie sprawia mu przyjemność. Był przyzwyczajony do pochlebstw, ale komplement za dobry uczynek, który nie miał miejsca, to była nowość. Nagle przypomniał sobie, że ten chłopak chciał potajemnie się z nią ożenić. A może jej zależało na tym Liamie MacDougallu?

- Panno Saunders, muszę być z panią szczery.

- Oczywiście - przytaknęła zgodnie. - Taki mężczyzna jak pan zawsze jest szczery.

- Włamywaczem był...

Usłyszeli głośnie kroki, a potem wrzask Herszta.

- Twoja eskorta jest gotowa, Connor. Zabierasz ją czy nie? Connor niechętnie się odwrócił w stronę domu.

- Tak, zabieram ją.

Wzrok Maggie padł na połamane kwiaty w jego ręce.

- Jeszcze jeden bukiet dla mnie? - spytała cicho, podnosząc na niego oczy. - Musiał pan sam je zrywać w tych ciemnościach. Jakie to miłe!

- No, niezupełnie...

- Jest pan stanowczo zbyt skromny - powiedziała Maggie. - Powinnam była uwierzyć od początku, że dobrze się pan mną zaopiekuje, choć muszę przyznać, że do tej pory miałam pewne wątpliwości na temat całej tej sytuacji.

- Ja też mam pewne wątpliwości, panno Saunders.

- Nigdy nie wątpiłam, że jest pan odpowiedzialnym człowiekiem - dodała, jakby się bała, że go uraziła. - Wątpiłam raczej w pana dobrą wolę.

Herszt znowu głośno ich zawołał.

- Czy powiemy mu o włamywaczu? - szepnęła Maggie. Connor popchnął Maggie lekko w stronę domu. Ostatnia rzecz,

o jakiej teraz marzył, to pogoń za jakimś nawiedzonym adoratorem.

- Nie sądzę, żeby nadal panią nękał. Chodźmy stąd. Muszę się jeszcze spakować, zanim wyruszymy w góry.

- Czy zdołał mu się pan przyjrzeć? - spytała z niepokojem. - Sądzi pan, że był to jeden z porywaczy?

- To nie był porywacz. To był Liam MacDougall. - Connor czekał na jej reakcję i musiał przyznać, że odczuł ulgę, kiedy spytała:

- Kto? Och, Liam... Co ten idiota tu robił? Connor uśmiechnął się pod nosem.

- Nie jest pani zbyt łaskawa dla mężczyzny, który nadstawiał karku, żeby potajemnie panią poślubić.

- Poślubić mnie? - Maggie wyglądała na zaszokowaną. - Ale ja go ledwie znam. Spotkałam go tylko dwa razy podczas lekcji z jego siostrzenicą.

- W takim razie nie będzie pani żałowała, że nie spełnią się jego plany, cudowne macierzyństwo i życie u boku jego matki.

Maggie zerknęła na niego podejrzliwie.

- Ale nie zrobił mu pan krzywdy, prawda?

- Nie tknąłem go nawet. Możemy już iść?

Dziewczyna nie dyskutowała dłużej. Spojrzała jeszcze przez ramię na resztki kraty pod murem. Jego lordowska mość miał

najwidoczniej pełną kontrolę nad sytuacją i wziął sobie naprawdę do serca obietnicę chronienia jej. Poczwała się trochę lepiej w jego obecności.

Lecz nadal niepokoiło ją to dziwne przyciąganie między nimi, jakiś rodzaj iskrzenia za każdym razem, kiedy patrzyła mu w oczy. Nie zapomniała, że ten mężczyzna może być niebezpieczny i że od początku nie ukrywał seksualnego zainteresowania jej osobą. Jego zawodowy sukces nie wynikał tylko z wiedzy i wykształcenia, ale również z niezwyklej umiejętności wpływania na ludzi i manipulowania nimi. Było w tym coś ze zwierzęcego instynktu.

Będzie musiała mieć się na baczności, mimo wszystko.

Connor nagle się zatrzymał.

- Od tej chwili będzie pani robiła wszystko, co każe. Maggie spojrzwała na jego surową twarz.

- Wszystko?

- Tak - powiedział. - Widzi pani, jestem przyzwyczajony do posłuszeństwa. To jeden z przywilejów władzy.

- Lubi pan rozkazywać.

- Owszem. - W jego oczach błysnęło rozbawienie. - Ja będę rozkazywał, a pani będzie posłuszna. Tak właśnie lubię.

Herszt zsunął okulary na koniec nosa, patrząc za nimi przez okno. Oboje, Connor i Maggie, mieli na oczach opaski, które zostaną zdjęte dopiero poza granicami jego terytorium.

Jego kochana Maggie nie należała już do rodziny. Odeszła z klanu.

Odwrócił się od okna.

- Adwokat Diabła zabrał naszego aniołka - powiedział cicho, pocierając palcem kącik oka. - Nigdy nie sądziłem, że dożyję tej chwili.

Dziewczyna siedząca przy kominku podskoczyła i rzuciła mu się w ramiona.

- Nie bądź smutny, papo. Nadal masz mnie.

- Tak, dziecko - powiedział wzruszony. - Ale czy to jakaś pociecha?

## Rozdział 16

Maggie nie przewidziała jednak wszystkiego.

Podróż w góry w towarzystwie Connora Buchanana obfitowała w wiele niespodzianek. Kiedy ruszyli w drogę, jego lordowska mość zrzucił maskę eleganckiego światowca, zapominając zupełnie o drobnych grzecznościach, do których Maggie przyzwyczajona była od dzieciństwa. Nie podtrzymywał uprzejmej konwersacji ani nie obdarowywał jej bukietami kwiatów.

Prawie się nie golił i nie dbał o długie włosy spadające luźno na ramiona. Odzywał się rzadko, rzucając tylko od czasu do czasu coś burkliwie pod nosem. Kiedy wydawało mu się, że na niego nie patrzy, przyglądał jej się ponuro, co przyprawiało ją o dreszcze.

Kiedy się zatrzymywali, to nie po to, by odpocząć czy podziwiać krajobraz albo ruiny jakiegoś zamku, lecz po to, żeby Connor mógł wypytać o siostrę miejscowych urzędników albo szynkarzy. Wykorzystywał swoją władzę bez skrępulów.

Maggie zastanawiała się, jak długo to wytrzyma. Connora wprost rozpierała energia. Rzucał się po powozie, jego muskularne nogi były wszędzie, co chwilę obijała się o jego twarde jak kamień ramię. Miała wrażenie, że cała jest posiniaczona.

Pogoda pogłębiała jeszcze ponurą atmosferę podróży. Było zimno i mglisto. Woźnica zdecydował się jechać „skrótami”, jakąś straszną boczną drogą, co miało rzekomo przyspieszyć dotarcie na miejsce.

Powóz podskakiwał bez przerwy na korzeniach, skałach i zwalonych pniach.

Ale najgorsze było to, że Maggie wiedziała, iż ktoś ich śledzi, a Connor udawał zupełną obojętność, mimo że przypominała mu o tym co najmniej trzy razy na godzinę.

- Może pan to nazwać szóstym zmysłem, milordzie, ale ten pastuch na wzgórzu wydał mi się dziwnie znajomy.

Claude spał, pochrapując na siedzeniu naprzeciwko. Dafne zwinęła się w kłębek obok Connora, co najwyraźniej nie polepszało mu nastroju. Nic nie odpowiadał zaniepokojonej Maggie, udając że czyta gazetę. Wiedziała jednak, że udaje, bo przez cały dzień nie przełożył strony.

To był prawdziwy afront. Pomyślała, że jako szanująca się córka de Saint - Evremondów nie powinna sobie pozwolić na takie traktowanie.

- Przepraszam. - Zastukała lekko w gazetę. - Czy nie niepokoi pana ten pastuch? W jego oczach było coś bardzo podejrzanego.

Connor bez słowa wcisnął nos w gazetę. Nagle podskoczył, kiedy powozem zatrzęśło w jakiejś koleinie. Maggie poleciała do przodu na przeciwne siedzenie, po czym odrzuciło ją znowu do tyłu wprost na kolana Connora.

Jęknął jak śmiertelnie ugodzony. Ale kiedy powóz znowu się zatrząśł, objął ją w talii, żeby przytrzymać.

Maggie ze zdumieniem odkryła, jakie to miłe uczucie oprzeć się o jego pierś. Poza tym, mimo pozornej oschłości, dbał o nią - nie chciał, żeby się uderzyła. W końcu to nieważne, co ktoś mówi. Ważne jest tylko to, co robi.

- Dziękuję - powiedziała zażenowana. - Nie zapomnę tego. Connor nigdy właściwie nie wiedział, o czym ta dziewczyna

mówi, pewien był jedynie tego, że mówi zbyt wiele i że jeśli jeszcze raz wyląduje na jego kolanach, nie ręczy za siebie. Była zdecydowanie zbyt kobieca. Jej zapach zupełnie go rozpraszał.

Powóz gwałtownie się zatrzymał. Connor zacisnął mocniej ramię wokół jej talii, tłumiąc w sobie wrażenie, jakie robiła na nim jej bliskość.

Woźnica podszedł do drzwiczek, zanim Connor zdążył posadzić ją obok. Dafne zaczęła się wiercić, a Claude nadal chrapał.

- Przykro mi, milordzie! - krzyknął woźnica. - Wpadliśmy w koleinę. To ta cholerna mgła. Gęsta jak mleko. Człowiek nie widzi na odległość wyciągniętego ramienia.

Connor wyszarpnął gazetę, na której Maggie przysiadła, rozrywając ją prawie na kawałki.

- Pospiesz się - zwrócił się do woźnicy. - Nie mam zamiaru siedzieć tu do zmroku.

- Oczywiście, że nie, milordzie. Ale prosiłbym, żeby państwo wyszli z powozu. Wyciągnę go z tej dziury.

Odsuwając Maggie, Connor poczuł zalatujący od woźnicy zapach whisky.

- Cholerny pijaczyna - mruknął do siebie, zastanawiając się, jakie jeszcze atrakcje ich czekają. - Nie powinienem był słuchać Ardath, kiedy się upierała, żebym go wynajął. Niech wszyscy wysiadają!

Maggie podniosła rękę, żeby poprawić włosy. Wzrok Connora przykuły pełne kształty jej biustu i wąska talia. Nie mógł się

powstrzymać od myśli, jak wygląda pod tym skromnym szarym kubraczkiem. Ale miał ją przecież chronić, a nie pożerać wzrokiem jak wygłodniały zwierz.

- Zabierzcie swoje rzeczy! - odezwał się zrezygnowany. - Nie wiadomo, jak długo będzie się z tym męczył.

Maggie zebrała fałdy sukni i powiedziała:

- Dobry służący jest wart tyle złota co sam waży, ale ogromnie trudno teraz takiego znaleźć. To chyba znak czasów. Dlatego tak cenię sobie Claude'a.

Delikatnie potrząsnęła ramieniem staruszka. Była tak przekonująca w roli księżniczki na wygnaniu, że pomyślała, iż bez większego trudu owinęłaby go sobie wokół małego palca, tak jak wszystkich innych, gdyby nie miał się cały czas na baczności.

- Niech pani włoży płaszcz - burknął, by pokryć zażenowanie, bo znowu się na nią zagapił. - Przemarznie pani do kości.

Zdumiona tym tonem, Maggie wzięła na ręce psa i odwróciła głowę, żeby coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle na widok spojrzenia Connora. Po raz któryś już poczuła ciarki na plecach. Miała ochotę mu powiedzieć, że nawet gdyby rozpełtała się śnieżycą, w jego oczach jest dość żaru, żeby rozpalić ogień.

Connor wszedł na skarpę przy drodze i usiadł na dużym pniu. Przyglądał się spokojnie, kiedy Maggie, Claude i woźnica debatowali, jak wyciągnąć koło z wyrwy w drodze. Woźnica wyłopał tyle whisky, że prawdopodobnie ledwie widział na oczy.

Connor zastanowił się, czy alkohol nie pozwoliłby mu łatwiej znieść kuszącej bliskości tej dziewczyny. A może wprost przeciwnie - pewnie jeszcze trudniej byłoby mu się kontrolować. Wyobraził sobie, że tuli ją w ramionach w swoim łóżku. Ta gładka cera, krągłe piersi... Był przerażony, jak bardzo podnieca go myśl o kochaniu się z tą kobietą.

Podróżowanie z nią doprowadzało go do szaleństwa. Za każdym razem, kiedy go dotykała, podskakiwał jak oparzony. Brzmienie jej słodkiego głosu wywoływało ciarki na plecach. No i jeszcze ten pies i staruszek.

- Dafne musi wyjść, milordzie. - Maggie powtarzała to zdanie co najmniej piętnaście razy na godzinę.

Na co Connor odpowiedział w pewnym momencie:

- Dobrze, niech ją pani wypuści. Niech idzie gdzie pieprz rośnie.

- Mam na myśli, że potrzebuje... no cóż... jak by to powiedzieć, potrzebuje pójść na stronę.

- Na stronę? Dobry Boże. Nie będziemy się znów zatrzymywać, żeby ten zwierzak przez godzinę obwąchał każdy krzak w okolicy.

Claude odważył się w pewnej chwili spytać:

- Wiem, że to nie moja sprawa, milordzie, ale moglibyśmy chyba zatrzymać się na krótką chwilę, by rzucić okiem na ten piękny dziki krajobraz?

- Nie, nie moglibyśmy. - Connor stwierdził, że najwyższy czas pokazać, kto tu podejmuje decyzje. - Moim zadaniem jest ochrona świadka, a nie spacerowanie po górach z psem. Nie zatrzymamy się. Teraz, kiedy to już wyjaśniliśmy, proszę mi nie przeszkadzać.

Chciałbym zasnąć... Mam nadzieję, że ta straszna podróż niedługo się skończy.

Pudelek nie pozwolił jednak o sobie zapomnieć.

- Och, Dafne - szepnęła Maggie. - Nie, nie zrobiłaś tego... Nie na dokumenty jego lordowskiej mości. Claude, otwórz okno, póki jego lordowska mość jeszcze śpi, i wystaw te ważne papiery na zewnątrz, żeby obeschły. Ależ będzie wściekły, kiedy to zauważy!

- Już to zauważył, panno Saunders.

- Och, Boże... - Łobuzerski uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Mam nadzieję, że te dokumenty nie były bardzo ważne.

- Oczywiście, że nie! - huknął Connor. - Były zaledwie wynikiem kilkumiesięcznej ciężkiej pracy nad sprawą Balfour. Nic nie szkodzi. Sąd zrozumie, że koronne dowody w procesie stulecia zostały zniszczone, ponieważ jakiś pudel użył ich zamiast nocnika.

Westchnął zniecierpliwiony i spojrzał na niebo. Zapadała noc. W tym tempie nigdy nie dotrą do Kilcurrie. Troska o Sheenę, zagadkowe powiązania tej dziewczyny i niepewność, co ma właściwie robić, wyprowadzały go z równowagi.

Skąd przyszło jej do głowy, że ktoś ich śledzi? Prawdopodobnie w promieniu wielu mil nie było żywej duszy, a nawet gdyby porywacze podążali za nimi, jeśli mieliby choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie paradowaliby po wzgórzach w przebraniu pastuchów.

Lecz Maggie Saunders trudno było cokolwiek wytłumaczyć. Żyła w jakimś nierealnym świecie ściganych książąt, francuskich zamków i przestępców o gołębim sercu. Wszyscy wokół niej wydawali się dopasowywać do tej bajki. On nie miał najmniejszego zamiaru tego

robić. To, że wobec społeczeństwa miał grać rolę bohatera, nie znaczyło, że ulegnie fikcji w życiu prywatnym.

Tylko że ich związek nie powinien mieć nic wspólnego z życiem prywatnym.

Zmrużył oczy, a potem roześmiał się głośno. Echo odbiło się od wzgórz. Co oni tam wyprawiają?

Woźnica wyprzągnął konie, pod zablokowane koło wepchnął deskę i z całej siły napierał na powóz. Maggie i Claude, czerwoni z wysiłku, dzielnie mu pomagali.

Z miejsca, gdzie siedział, wyglądało to tak, jakby każdy z nich pchał w inną stronę. Tak czy inaczej rezultat był taki, że koło coraz bardziej grzęzło w rozpadlinie, bryzgając dookoła błotem.

Z politowaniem potrząsnął głową. Zakrył twarz rękami, żeby ukryć uśmiech. Nie mógł na to patrzeć. Bał się, że stary lokaj dostanie zaraz ataku serca, a Maggie padnie z wysiłku w bajoro błota.

Wstał i rzucił płaszcz na pień.

- Dobrze. Zejdźcie mi z drogi. - Podwinął rękawy koszuli i ześlizgnął się ze skarpy. - Panno Saunders, proszę trzymać tę namiastkę psa z dala od powozu.

Maggie z ulgą wygramoliła się z błota.

- Co chce pan zrobić?

- Ostrożnie, milordzie - powiedział woźnica. - Prawie skręciłem sobie kark, próbując wyciągnąć to koło.

Connor zbliżył się do powozu.

- Odsuńcie się!

- Dobrze nieba... - Maggie przyłożyła rękę do ust, kiedy chwycił od dołu powóz. - Niechże pan uważa, milordzie!

Nie zwracał na nią uwagi. Skoncentrowany, zacisnął mocno zęby. Długie jasne włosy opadły mu na twarz. Pod białą koszulą zarysowały się napięte mięśnie. Kiedy jęknął głucho pod wpływem wysiłku, Maggie zamknęła oczy, modląc się głośno, żeby nic sobie nie zrobił. Z pewnością roześmiałby się na to, gdyby mógł w tej chwili złapać oddech.

Kiedy po chwili otworzyła oczy, powóz stał już normalnie na drodze, kolebiąc się lekko po tym, jak Connor postawił go z powrotem na ziemi. Maggie, Claude i woźnica uprzejmiem zaklaskali.

- To było coś, milordzie - odezwał się z podziwem woźnica. - Ma pan siłę pięciu ludzi.



Connor spuścił rękawy i wzruszył ramionami.

- Możecie już wsiadać. Jeśli nam się poszczęści, nie będzie więcej przestojów.

Woźnica zdjął czapkę i uśmiechnął się niepewnie.

- Mamy jeszcze jeden mały problem.

- Co takiego?

- Konie, milordzie. Kiedy je wyprzągłem, pies je przestraszył i pognały na wrzosowisko. Ale proszę się nie martwić, nie odeszły daleko. Przeprowadzimy je z Claude'em za godzinkę lub dwie.

Maggie potknęła się o kępę wrzosu, starając się dotrzymać kroku Connorowi.

- Czy mi się wydaje, że pan kuleje, milordzie?

- Tak, kuleję.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę stanąć na jednej nodze, dlatego. Zupełnie jakby gwóźdź wbijał mi się w stopę. - Zatrzymał się przy pniu, gdzie zostawił płaszcz, i usiadł, żeby ściągnąć but. - Tutaj jest jakiś cholerny gwóźdź - stwierdził, podnosząc na nią ponure spojrzenie. - Jak pani sądzi, skąd się tu wziął?

Maggie mocniej otuliła się płaszczem i przeniosła wzrok na wzgórze. Nie umiała jednak ukryć poczucia winy. Connor wstał i groźnie popatrzył na nią z góry.

- Dlaczego włożyła mi pani gwóźdź do buta?

- Nic takiego nie zrobiłam.

- Pani kłamie - powiedział. - Zawsze poznaję, kiedy ktoś kłamie.

Zrobiła obrażoną minę.

- Nie włożyłam tego gwoździa do pańskiego buta. Przysunął się jeszcze bliżej, przesywając ją wzrokiem.

- Prawdopodobnie umrę na tęzec. Aresztują panią za zabójstwo drugiego stopnia.

Jego bliskość była dla Maggie bardziej zagrażająca niż perspektywa jakiegokolwiek kary. Podniosła na niego wzrok, czując znowu napięcie unoszące się między nimi w powietrzu.

- Zrobiła to Emilia, jeśli musi pan wiedzieć - wyznała słabym głosem.

- Emilia? Emilia... ta służąca?

Cofnęła się o krok. Mgła otaczała ich niczym kokon, jakby zostali zupełnie sami. Claude i woźnica zniknęli z pola widzenia. Maggie

odchrząknęła; działo się z nią coś dziwnego, to była właśnie jedna z takich chwil, kiedy czuła się zupełnie we władzy lorda Buchanana.

- Ona... ona chciała się upewnić, że nie jest pan szatanem - szepnęła.

Patrząc teraz w jego oczy, przestała się dziwić, dlaczego ludzie opowiadają o nim takie historie.

Zapadło milczenie. Connor nie spuszczał z niej wzroku. Pomyślała, że nie zaprzeczył jednak tej plotce. Stali tak blisko, że czuła jego oddech na twarzy.

- Jesteśmy sami na pełnym pustkowiu - mruknął. - Gdybym był szatanem... - Rozbawiony potrząsnął głową, pozwalając dziewczynie domyślić się reszty.

Maggie zacisnęła dłonie na połach płaszcza.

- Co by pan zrobił? - spytała cicho.

- Same grzeszne rzeczy, panno Saunders. Oblizwała wargi, poważnie mu się przyglądając.

- Jak bardzo grzeszne?

Chwycił ją za łokieć, żeby nie potknęła się o pień. Poczowała mrowienie w całym ramieniu. Powinna była wiedzieć, jak niebezpiecznie jest drażnić dziką bestię, ale z drugiej strony zawsze uważała, że lepiej od razu stawiać sprawy jasno. Jego spojrzenie paliło ją jak płomień.

- W pierwszym demonicznym odruchu zdjąłbym z ciebie całe ubranie.

Coś przypominającego stłumiony chichot wyrwało się z jej gardła.

- Nie zrobiłby pan tego.

Przyciągnął ją trochę bliżej, zaciskając lekko palce na ramieniu.

- Tak, dziewczyno, wszystkie fatałaszkę po kolei, razem z jedwabnymi falbankami i haftowanymi różyczkami. Aż dotarłbym do pieprzyka na twojej lewej piersi.

Poczowała żar w całym ciele.

- A potem? Rozejrzał się.

- Popatrzmy... Tam bym cię uwiódł, pod tym nawisem skalnym. Mgła otulałaby nasze nagie ciała. Pewnie przez wiele dni leczylibyśmy zadrapania.

Dziewczyna uniosła brew i spokojnie podeszła do skały. Udała, że uważnie ogląda to miejsce, cały czas zastanawiając się, jak

właściwie się zachować w tej sytuacji. Connor z roziskrzonym wzrokiem szedł tuż za nią.

- I cóż? Może być, czy mam zaciągnąć cię za włosy do jakiejś przytulnej jaskini?

Odwróciła się i zmusiła do uśmiechu.

- Czy uwiódł pan już tutaj jakąś kobietę? Jego cichy śmiech wywołał u niej gęsią skórkę.

- Jeśli mieszkało się tyle lat w górach, wszystkie wzgórza wydają się podobne.

Jego pocałunek był jak płomień. Maggie zapomniała o całym świecie. Nie mogła już się dłużej oszukiwać. Po tamtej nocy miała nadzieję, że Connor jeszcze ją kiedyś pocałuje. Oczywiście, miała również nadzieję, że znajdzie siły, by go odepchnąć. Tak się jednak nie stało. Po grzesznych przodkach rodzaju żeńskiego odziedziczyła słabość do silnych mężczyzn.

Zamiast się wyrywać, przywarła do niego całym drżącym ciałem. Nigdy wcześniej nie знаła takich cudownych odczuć. Jego pocałunek był mocny, jakby chciał ją całkowicie ovladnąć. Jęknęła z rozkoszy.

Connor przyciągnął ją mocniej. Westchnęła, kiedy lekko ugryzł jej dolną wargę. Jego silne ręce wślizgnęły się pod płaszcz i objęły jej pośladki.

Wydawało jej się, że coś powiedział, ale nie zwróciła uwagi na słowa, myśląc cały czas o tym, co ręce Connora robią na jej pośladkach i jakim sposobem jej dłonie wślizgnęły się pod jego płaszcz. Przywarła palcami do muskularnej piersi. Był jak opoka, do której zawsze się można przytulić, znaleźć schronienie.

- Maggie... - Zdała sobie sprawę, że nią potrząsa, kiedy wyrwał ją z tego cudownego transu. - Panno Saunders!

Otworzyła oczy i spojrzała na niego zdumiona. Poczwała chłód mgły na rozpalonej twarzy.

- Jeśli natychmiast mnie pani nie puści - powiedział z uśmiechem w oczach - obydwójce tego pożałujemy.

Wyciągnęła ręce spod jego płaszcza, jakby poczuła rozpalony węgiel.

- Co pan powiedział?

- Powiedziałem, że oprócz dystansu wobec idiotycznych plotek powinna się pani nauczyć większej samokontroli. Może nie jestem

szatanem, lecz zwykłym śmiertelnikiem, mężczyzną, który nie umie się oprzeć tak wielkiej pokusie.

Włożył leżący obok but i ruszył w dół wzgórza, cicho pogwizdując. Zaśmiał się pod nosem, słysząc, jak Maggie, potykając się, próbuje za nim nadążyć. Miał ochotę się odwrócić, ale nie zrobił tego. Ciągle miał przed oczami wyraz jej twarzy. Bezwiedna reakcja Maggie omal zupełnie nie pozbawiła go kontroli nad sobą, ale tym razem wygrał.

Kiedy, spokojniejszy już, podszedł do powozu, zdał sobie sprawę, że to chyba nie on będzie się śmiał ostatni. Biorąc pod uwagę piorunujące wrażenie, jakie robiła na nim ta dziewczyna, wiedział już, że reszta podróży będzie dla niego istnym piekłem.

## Rozdział 17

Kiedy coś go nagle obudziło, pomyślał, że woźnica znów wpadł w jakąś dziurę w drodze. W powozie panował całkowity mrok i dopiero po chwili Connor zdał sobie sprawę, że zbudziło go niespokojne pojękiwanie.

Pochylił się nad drugim siedzeniem. Maggie spała zwinięta w kulkę ze stopami dyndającymi nad podłogą.

- Panno Saunders? - spytał cicho. Był cały obolały; wykrzywił się, prostując kości. Dotknął jej ramienia. - Maggie, obudź się. Co się stało?

Męski głos... Obcy, ale jakże ciepły. Maggie chciała za nim pójść, lecz nie mogła odnaleźć go w swoim śnie. Dobiegał z tak daleka...

Panika. Strach. Oślepiający błysk w samym środku słońca. Wiedziała, że jeśli znajdzie siły, by spojrzeć w to światło, stawi w końcu czoło koszmarowi, który prześladowa ją od jedenastu lat.

- Panno Saunders?

Connor był już zupełnie wybudzony i czuł, że Maggie przeżywa coś strasznego. Chciał jej pomóc, ale nie był pewien, czy lepiej zostawić ją w spokoju, czy przerwać koszmar. Przypomniał sobie, że Sheeny nie wolno było budzić, gdy nawiedzały ją powtarzające się złe sny.

- Wszystko w porządku, milordzie - powiedział Claude, sztywno pochylając się, żeby poprawić Maggie koc. - Ona tylko śni.

- Co to za sen?

- Wracają sprawy, o których lepiej zapomnieć.

Staruszek pochylił się i zaczął łagodnie szeptać dziewczynie coś do ucha po francusku. Connor zrozumiał, że to ich ustalony od dawna rytuał. Po chwili Maggie ucichła, jej ciało rozluźniło się i spała już spokojnie.

Connor nie mógł po tym zasnąć. Tajemnicze koszmary Maggie Saunders nie miały nic wspólnego z porwaniem. Ku własnemu zdziwieniu, stwierdził, że musi rozwiązać zagadkę jej przeszłości nie dlatego, że jej nie ufa, ale ponieważ chce jej pomóc.

Maggie otworzyła oczy, gdy zbliżali się do zajazdu. Udając, że sam też przed chwilą się obudził, Connor przyglądał jej się z troską. Nie było po niej widać, że stoczyła niedawno walkę z prześladowającymi ją demonami. Umysł ludzki jest nieodgadniony. A może dziewczyna nie pamiętała nawet swojego snu?

- Gdzie jesteśmy? - spytała, ziewając delikatnie i przeciągając ramiona.

Znów poczuł podniecenie na widok zmysłowego wdzięku jej ruchów. Spojrzał w okno i odparł obojętnie:

- Zajazd Pod Złotym Suwerenem. Znam właściciela. Trochę zboczyliśmy z drogi, ale w nocy nie znajdziemy nic innego.

Spojrzała przez okno na bezkresne łańcuchy wzgórz i wrzosowiska.

- Boże jedyny... Jest siódma rano, a ciemno jak o północy. W zasięgu wzroku nie ma zupełnie nic. To musi być kraniec świata.

- I dlatego kazałem tu przyjechać. Gdyby ktoś chciał uniknąć ludzkich oczu, jechałby właśnie tędy.

Otworzył drzwiczki powozu, zerknął na osnute mgłą podwórze. Maggie narzuciła płaszcz, mrużąc do siebie:

- Co za dzikie, odludne miejsce...

Poczuła zimny dreszcz na myśl o porwanej kobiecie, która mogłaby się tu znaleźć z obcym mężczyzną. Ale, zerknąwszy na Connora, zastanowiła się, czy sama jest teraz naprawdę bezpieczna.

- Czy mógłby pan zabrać pudła z moimi kapeluszami, milordzie?

- Jesteś w górach, dziewczyno. Po co masz nosić któryś z tych strasznych kapeluszy?

- Czy będzie pan tak niegrzeczny do końca podróży?

- Panno Saunders, jestem zmęczony. Przez panią i pani psa nie zmrużyłem oka. Proszę wybaczyć, jeśli moje maniery nie są dość dworskie.

- Nie sądzę, by pańskie złe maniery miały związek z brakiem snu - odparła nie zbita z tropu. - Poza tym człowiek, który znalazł się w dziczy, nie musi wcale zachowywać się jak dzikus. Ani zapominać o przyzwoitym wyglądzie. Proszę uprzejmie podać mi to pudło.

Córka właściciela zajazdu, ładna brunetka o imieniu Izabela, była zachwycona na widok Connora.

- Co za niespodzianka! - wykrzyknęła, zbiegając ze schodów. - Ojciec jest w Caithness. Evan, dopilnuj, by nam nie przeszkadzano, dobrze? Lekarz do pani Gloag powinien pojawić się za kilka minut.

Mężczyzna o surowej twarzy, który wycierał szkła za barem, wpatrywał się w Maggie. Stała z Claude'em i Dafne na środku gospody, zażenowana, że nagle zupełnie o niej zapomniano. Connor

rzucił jej przez ramię bezradne spojrzenie, kiedy Izabela pociągnęła go do prywatnej części domostwa.

- Dostałam wiadomość o twojej siostrze - powiedziała zaniepokojonym tonem Izabela. - Rozesłałeś obwieszczenia, ale tutaj od miesiący nie pokazał się żaden powóz.

Człowiek za barem popatrzył na Maggie zdziwiony.

- Usiądź przy ogniu, dziewczyno, i napij się ciepłej whisky na koszt gospodarza. Nie wiadomo, jak długo ci dwoje tam zabawią.

Maggie zmarszczyła czoło.

- Ciekawa jestem, cóż to za tajemnice ich łączą. Brodata twarz mężczyzny rozciągnęła się w uśmiechu.

- A w rzeczy samej, te tajemnice lepiej pozostawić im samym. - Zerknął ciekawie na Claude'a i Dafne. - Oni są z panią?

- Tak. - Maggie westchnęła, podchodząc do kominka. - Są ze mną.

Claude dotknął jej ramienia. Artretyzm dawał mu się we znaki, nie wspominając o zmęczeniu po pogoni za końmi na wrzosowisku.

- Usiądź przy ogniu i ogrzej sobie stopy, milady.

- Sam ogrzej sobie stopy, Claude - odpowiedziała z niespodziewaną irytacją, patrząc w stronę prywatnych pokoi. - Jesteś bardziej zmęczony niż ja.

Nie mogę jednocześnie trzymać szklanki z whisky i ciebie na kolanie, Izabelo - uskarżał się Connor. - Coś polecisz na podłogę.

Dziewczyna uśmiechnęła się i upadła na kanapę, przytulając się do niego jak kociak.

- Kim jest dziewczyna w tym okropnym kapeluszu? Pociągnął łyk whisky.

- Jest pod moją opieką.

- Myślałam, że to może jedna z twoich sióstr.

- Nie, nie jest moją siostrą. - Rozejrzał się po dusznym pokoju, a potem zamknął oczy na wspomnienie żalostnej miny Maggie, kiedy ją zostawił. - O czym chciałaś ze mną porozmawiać? - spytał znużonym tonem.

- Napisałam wiersz o moim tragicznie krótkotrwałym romansie z panem Donaldsonem.

- Z pewnością poczuje się zaszczycony - skłamał Connor. - Izabelo, czy możesz się na chwilkę odsunąć? Naciągnąłem sobie ścięgno w pachwinie.

Położyła mu głowę na ramieniu.

- Obiecałeś, że zabierzesz mnie na polowanie z Donaldsonem w tym roku. Zapomniałeś, Connor?

- W tym roku będziemy polować z Tomaszem tylko na mordercę i porywaczy - stwierdził posepnie.

Dziewczyna wzdrygnęła się i podciągnęła nogi na kanapę.

- Wiecie, kim oni są?

- Wiemy, kim jest morderca, ale nie zidentyfikowaliśmy jeszcze porywaczy.

- Ta dziewczyna, którą przywiozłeś, jest w to zamieszana? - szeptała Izabela. - Masz ją ochronić przed porywaczami?

- Tak. - Westchnął ciężko. - Mam zapewnić jej bezpieczeństwo. Przypuszczam, że nie miałaś ostatnio żadnych wiadomości od Rebeki?

- Od Rebeki? Widuję ją raz do roku na targu bydła. Wspomniałam ci, że w styczniu wychodzę za mąż?

- Doprawdy?

Connor starał się okazać zainteresowanie, ale czuł się winny, że zostawił Maggie samą w gospodzie. Co prawda nic nie powinno jej grozić w zajeździe na takim odludziu, ale... Czy miał poświęcać jej cały swój czas? Czy ma skakać wokół niej jak niańka, by czasem nie pobrudziła sobie rąbka sukni?

Nie, powiedział sobie w myślach.

A jednak myślał o niej.

- Bardzo się cieszę, Izabelo - powiedział, wracając do jej wątku. - Opowiesz mi wszystko, gdy wstanie dzień, ale teraz...

- Poczekaj. - Uniosła się na kolanach, żeby go zatrzymać. - Najpierw muszę wyrecytować ci mój wiersz. Napisałam go, żeby uwiecznić noc, gdy pan Donaldson omal mnie nie uwiódł w powozowni.

Według relacji Tomasza, wyglądało to zupełnie inaczej. Connor podniósł wzrok.

- Ktoś puka do drzwi.

- Nieważne. - Machnęła ręką i głośniejszym głosem rzuciła w stronę drzwi: - Za chwilę!

Connor spoważniał.

- Sądzę, że powinnaś otworzyć drzwi.

- Jak skończę ci recytować.



Zastanawiał się, czy to Maggie pukała, czego chciała i dlaczego uważała, że ma prawo przerywać mu rozmowę.

- Pospiesz się, Izabelo.

- Dobrze. - Dziewczyna wzięła głęboki oddech i przymknęła w skupieniu oczy. - Jest zatytułowany „Zerwanie pięknej róży w powozowni”.

- To dopiero tytuł...

Connor wypił kolejny łyk whisky i oparł głowę o oparcie kanapy. Był oto w górach, w jedynym miejscu, gdzie mógł być naprawdę sobą, a mimo to nie udawało mu się rozluźnić. Tak wiele zważyło mu się na głowę. Zerknął na okno.

- Czy to jacyś ludzie biegają po podwórzu?

- Może lekarz przyjechał albo zaczyna padać. Bądź cicho, Connor. „Och, piękny pączuszu - zaczęła - niewinny pączuszu, różowy ty mój...” Dlaczego ta dziewczyna machała wstążką w oknie?

Odstawił szklanekę.

- Albo ta whisky jest mocniejsza, niż sądziłem, albo przeskoczyłaś jakiś werset. To nie trzyma się kupy.

Wpatrzona w okno Izabela, przesunęła się na koniec kanapy.

- O mój Boże, ta dziewczyna... To nie jest wstążka, tylko podwiązka. Macha do nas podwiązką.

- Donaldson nigdy nie zdjął ci żadnych podwiązek w powozowni, Izabelo, i nie opowiadaj nikomu, że tak było. - Stłumił ziewnięcie. - Nie znam się na poezji, ale wydaje mi się, że powinnaś jeszcze trochę popracować nad...

Nie dokończył. Zobaczył w oknie znajomą postać machającą do nich podwiązką. Zerwał się z kanapy i ruszył do okna.

- Co się tu dzieje, na miłość boską? Otworzył okno i wychylił się na zewnątrz.

- Dlaczego macha mi pani przed nosem podwiązką, panno Saunders?

- Staralam się przyciągnąć pana uwagę - szepnęła w odpowiedzi.

Connor nie miał zamiaru przyznać, że wybawiła go z rąk upartej Izabeli.

- Czy to nie mogło poczekać?

Maggie spojrzała na dziewczynę za jego plecami.

- Pewne sprawy są ważniejsze od popijania whisky z kobietą.

- Co pani powie? - ostro rzucił Connor. Maggie zmarszczyła czoło.

- Podczas gdy pan się zabawiał, zaniedbując swoje obowiązki, Claude, Evan i ja schwytaliśmy mężczyznę, który nas śledził.

- Jakiego mężczyznę? - spytała Izabela, podchodząc bliżej. Maggie zrobiła efektowną pauzę.

- Tego w czarnym płaszczu, który kazał mi się rozebrać. Connor nie wierzył własnym uszom.

- Że co?

- W naszym zajeździe? - dorzuciła słabym głosem Izabela. Maggie kiwnęła głową, zadowolona z ich reakcji.

- Dobrze państwo słyszeli. Milordzie, muszę przyznać, że było to straszne przeżycie, kiedy siedziałam tam bezbronna, a...

Connor odwrócił się z twarzą tak zmienioną z wściekłości, że obie kobiety umilkły.

- Niech pani wraca do środka - rozkazał Maggie, biegnąc do drzwi. - Izabelo, poślij natychmiast kogoś ze służby po miejscowego sędziego. Macie obydwie zostać w domu, dopóki nie wrócę.

Izabela potulnie skinęła głową. Maggie natomiast odzyskała głos.

- Claude i Evan zamknęli go w stajni! - zawołała za Connorem - Niech pan będzie ostrożny! To szalowiec!

Działając teraz wyłącznie pod wpływem emocji, nie miał czasu myśleć. Gdyby się zastanowił, może nie postąpiłby tak impulsywnie.

I uniknąłby katastrofy.

## Rozdział 18

Oparł głowę wyżej na poduszce i przyglądał się, jak Maggie na palcach chodzi tam i z powrotem po pokoju. Deszcz padający na pokryty wrzosem dach domu tłumiał odgłos jej kroków. Poruszała się z niezwykłym wdziękiem baletnicy. Jak komuś może tak straszliwie podobać się kobieta, która zaledwie przed godziną kompletnie go skompromitowała?

- Czego tym razem pani chce, panno Saunders? Podskoczyła, przykładając rękę do serca.

- Och!... Przestraszył mnie pan. Nie wiedziałam, że pan nie śpi. Connor przyglądał jej się ze wzburzeniem.

- Sądzi pani, że mógłbym spokojnie spać po tym, jak zrobiłem z siebie kompletnego idiotę przed całym tłumem ludzi?

- Nie musi pan używać takiego tonu... To była po prostu pomyłka. Ponadto ten mężczyzna naprawdę chciał, żebym Poszła z nim na górę i się rozebrała.

- Bo to był ten cholerny doktor, wezwany do kobiety z bólami brzucha. - Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, zauważył jednak, jak uroczo wygląda w jasnej, obszytej koronkami koszuli nocnej. Ciemne włosy opadały jej na ramiona. - Czego pani chce ode mnie w środku nocy?

- Jest dopiero jedenasta.

- Wszyscy położyli się już godzinę temu.

Maggie podeszła do łóżka. Wydało mu się, że widzi zarys jej piersi pod cienkim batystem. Ostatnio niewiele było mu potrzeba, żeby się podniecił.

- Chcę tu zostać do rana - powiedziała Maggie. - Przed chwilą jakiś mężczyzna pukał do moich drzwi.

Bez zaproszenia usiadła na łóżku, ocierając się o niego biodrem. Connor pochylił się do przodu z dziwnym pomrukiem i powiedział:

- Znowu coś sobie pani wymyśla. Prawdopodobnie ktoś pomylił pokoje.

Zamknęła oczy, kiedy kołdra opadła mu na biodra odsłaniając szerokie ramiona i pierś.

- Niczego sobie nie wymyślam. Ten mężczyzna powiedział przez drzwi, że ktoś ważny chce ze mną rozmawiać, że jestem w niebezpieczeństwie i że gdybym wiedziała, co jest dla mnie dobre, natychmiast bym z nim wyjechała.

Connor musiał przyznać, że obawa w głosie dziewczyny brzmi przekonująco. Wstał z łóżka, owijając się w pasie prześcieradłem i szybko ubrał się w rogu pokoju.

- Nigdy nie słyszałem o porywaczu, który zadałby sobie trud pukania do drzwi. Pewnie go pani nie widziała?

- Oczywiście, że nie. - Szeroko otworzyła oczy, ale bała się spojrzeć w jego stronę. - Widziałam natomiast pański tors i mimo iż zdaję sobie sprawę, że większość prawdziwych mężczyzn woli spać w stroju Adama, nie jest to jednak, według mnie, godne polecenia. A gdyby w zajeździe wybuchł pożar i musiałby pan natychmiast uciekać? - W skupieniu patrzyła na swoje kolana. - Ubrał się pan już?

- Tak, ubrałem się. - Usiadł na stołku obok, przeklinając pod nosem. - Sądziła pani, że będę prowadził oficjalne przesłuchanie nago?

- Biorąc pod uwagę pana ostatnie wyczyny, nie byłam całkowicie pewna. Mam wrażenie, że nie jest pan ostatnio sobą.

Uwaga ta wydała mu się absurdalna - ta dziewczyna prawie w ogóle go przecież nie знаła.

- Podejrzewam, że nikt poza panią nie słyszał tego tajemniczego mężczyzny pod drzwiami?

- Nie mam pojęcia. Poczekalam, aż odejdzie, i jak najszybciej przybiegłam do pana pokoju. Powinien pan chyba zamykać drzwi na klucz. Dla bezpieczeństwa.

Ta dobra rada nie zrobiła najwyraźniej wrażenia na Connorze. W zamyśleniu przesunął rękami po włosach.

- Będę musiał powiadomić Izabelę. Nie spodoba jej się to.

- Czy możemy tu zostać z Dafne, dopóki pan nie wróci? - spytała Maggie nerwowo.

Connor dopiero teraz zauważył przy drzwiach psa. Dafne zaczęła przyjaźnie machać ogonem, gdy tylko odwrócił się w jej stronę. Czy to jakiś zły sen? Czy naprawdę miał teraz budzić wszystkich podróżnych w poszukiwaniu anonimowego mężczyzny, podczas gdy ta dziewczyna i jej nieznośny pudel smacznie zasną w jego łóżku?

- Zamknij za mną drzwi - rzucił ostro. - I nie otwieraj nikomu poza mną.

Maggie usadowiła się już w pościeli i zrobiła miejsce dla Dafne.

- Jak pana rozpoznam?

- Po głosie, panno Saunders.

- Może powinniśmy ustalić sekretne hasło. Herszt zawsze... Connor rzucił siarczyste przekleństwo.

- No cóż, to zdanie z pewnością zapamiętam - powiedziała do siebie Maggie, kiedy wypadł z pokoju, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Niech się pani obudzi, panno Saunders. Niechże się pani ruszy.

Maggie uniosła głowę i odwróciła się na bok, zastanawiając się, czy mocne klepięcie w pupę nie było wytworem jej wyobraźni. Dafne znów zamachała ogonem, rozpoznając ponurą twarz mężczyzny, pochylającego się nad łóżkiem. Pies najwidoczniej nie zwracał uwagi na fakt, że lord Buchanan zmienił się w ostatnich dniach w prawdziwego dzikusa. A może suczka i Connor zaczęli się porozumiewać na jakimś nieuchwytnym dla Maggie poziomie. On rzeczywiście wykazywał pewne zwierzęce skłonności.

- Znalazł pan tego mężczyznę? - szepnęła.

Connor wpatrywał się w nią przez kilka sekund. W końcu na jego ustach pojawił się dziwny uśmiech. To naprawdę było już ponad jego możliwości - miał przez nią tyle kłopotów, a teraz jeszcze wpakowała mu się do łóżka.

- No cóż - odezwał się powoli. - Po tym, jak pani lokaj prawie urwał mi głowę w korytarzu, ponieważ niedowidzi i mnie nie rozpoznał, zacząłem budzić po kolei wszystkich gości zajazdu. Nie dość, że godzinę temu pobiłem tego nieszczęsnego lekarza, to teraz już wszyscy mnie tu nienawidzą.

Maggie usiadła, otulając się kołdrą.

- Jest pan zdenerwowany, bo udało mu się uciec, prawda? Podjął się pan mnie chronić i nie może pan znieść faktu, że ten mężczyzna tak bardzo się do mnie zbliżył. Wiem, że nie lubi się pan przyznawać do porażek, ale to wcale nie jest wada. To cecha wielkości.

Pochylił się jeszcze niżej i mruknął groźnie:

- Niech pani zabiera swój śliczny tyłeczek z mojego łóżka, panno Saunders.

Maggie przełknęła ślinę, starając się uspokoić Dafne, która cały czas podskakiwała i lizała zaciśniętą szczękę jego lordowskiej mości.

- Wiem, że chciał pan jak najlepiej. Nie powinien się pan winić, jeśli on uciekł. Kryminaliści bywają tak pokrętni...

Twarz Connora drgnęła nerwowo. Dafne wyrwała się z ramion Maggie i zaczęła biegać do drzwi i z powrotem, ujadając wesoło. Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

- Myśli, że wychodzimy.

- Bo zaraz wychodzimy. - Connor uśmiechnął się zimno i sięgnął do kołdry, którą Maggie przyciskała do piersi.

- Ależ jest prawie północ...

- Tak. Zauważyłem.

- I pada deszcz.

Szarpnął kołdrę i rzucił ją na podłogę, nie spuszczać wzroku z drżącej postaci dziewczyny.

- To właśnie powiedziałem ojcu Izabeli, kiedy niespodziewanie wrócił z Caithness i spytał, co ja, do cholery, wyprawiam, budząc i wypytyując wszystkich gości.

- Co za niemądry człowiek - stwierdziła Maggie. - Mam nadzieję, że pokaże mu pan, gdzie jest jego miejsce. Czyżby nie wiedział, że jest pan prokuratorem generalnym Szkocji?

- To szkocki góral, panno Saunders. Nie zrobiłoby na nim wrażenia, nawet gdybym był samym Panem Bogiem.

- Nie może nas przecież wyrzucić w środku nocy.

Connor popatrzył na nią bezradnie. Działała na niego tak podniecająco, że chwilami nie wiedział już, co ze sobą zrobić. A przy tym wystawiała go na pośmiewisko i z niewinną minką udawała, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Już nas wyrzucił. Woźnica właśnie wyprowadza nasz powóz. Pokazano nam drzwi, panno Saunders.

Maggie zerwała się z łóżka. Deszcz kaskadami bił w dach zajazdu. Connora opanowała niebezpieczna żądza, żeby pchnąć ją z powrotem na łóżko i dać upust gorączce, która wrzała w całym jego ciele.

- Czy chce pan, żebym porozmawiała z ojcem Izabeli? - spytała cicho. - Mam wrażenie, że nie potrafił pan tego należycie załatwić. Przekonam tego człowieka, by pozwolił nam zostać do rana. Umiem postępować z ludźmi, a przynajmniej tak mi mówiono.

Boże, ależ ona jest arogancka, a przy tym naiwna! Wydaje jej się, że może zapanować nad sytuacją lepiej niż on.

- Jest pani śmieszna - powiedział.

Tak, była śmieszna, ale jakże pociągająca. Deszcz walił o dach w rytm jego rozszalałego pulsu. Czuł żar drobnego kobiecego ciała. Zanim zdążył pomyśleć, przyciągnął ją do siebie i przywarł wargami do jej ust w dzikim, żarłocznym pocałunku.

Ku jego zdumieniu, objęła go w talii, zamiast się wyrwać. Ta reakcja przyprawiła go o zawrót głowy. Przesunął ręce po jej plecach, rozkoszując się kształtami wiotkiego drżącego ciała.

- Dprowadzasz mnie do szaleństwa - szepnął ochryple.

- Wiem - odszepnęła. - Nie robię tego umyślnie. Przesunął rękę na jej pierś i mruknął, kiedy wygięła się w jego ramionach, niewinnie poddając się pieścizocie. Chciał dotykać jej całej, ocierać się o nią, przewrócić na podłogę. Przyciągnął ją jeszcze mocniej. Była tak lekka i delikatna jak piórko. Pożerając jej usta, położył ją znów na łóżku.

Maggie pomyślała, że gdyby nie trzymał jej tak mocno, pewnie osunęłaby się na ziemię pod wrażeniem tego pocałunku. Nie miała siły oprzeć się rozkoszy, nawet jeśli miałoby to być coś grzesznego.

- Chyba dobrze, że nie zostaniemy tu całą noc - odezwał się Connor niskim głosem, odrywając wargi od jej ust.

Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na niego bez tchu.

- Dlaczego? - szepnęła. - Coś się panu stało?

- Czy coś mi się stało? - powtórzył zduszonym głosem. Maggie przyjrzała mu się z troską.

- Mam nadzieję, że się pan nie przeziębził. Może powinien się pan położyć.

Zdjął jej ręce ze swojej szyi.

- Z pewnością nie powinienem się kłaść. A pani... Przerwało im energiczne pukanie do drzwi.

- Tu ojciec Izabeli, milordzie - usłyszeli. - Jeden z gości powiedział mi właśnie, że widział jakąś kobietę, jak wślizguje się do pana pokoju, ale powiedziałem mu, że to niemożliwe.

- Zajmę się tym. - Maggie ruszyła do drzwi, zanim Connor zdołał ją zatrzymać. - Tego człowieka trzeba doprowadzić do porządku.

Connor, wciąż pod wrażeniem tego, co między nimi przed chwilą zaszło, wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Co pani robi?

Zerknęła na niego przez ramię, sięgając do zamka u drzwi.

- Może jest pan słynnym prawnikiem, milordzie, ale z pewnością brakuje panu doświadczenia w codziennym obcowaniu z ludźmi.

Pewnych granic nie należy przekraczać. Temu człowiekowi trzeba przypomnieć, gdzie jest jego miejsce w hierarchii społecznej.

Connor popatrzył na nią przerażony.

- Jest pani w bieliźnie. Proszę nie otwierać.

Maggie otworzyła drzwi z miną księżniczki, której naprzykrza się jakiś wieśniak.

- Nie wie pani, co robi - wydusił z siebie Connor spoglądając na Dafne. - Jesteśmy w Szkocji, a nie na francuskim dworze królewskim. Wylecimy stąd na kopniakach.

Maggie potrząsnęła głową i uśmiechnęła się słodko do rozzłoszczonego mężczyzny stojącego w korytarzu.

- Co ma znaczyć to najście? - spytała tym samym tonem, jakim karciała Dafne. - Czy zdajesz sobie sprawę, dobry człowieku, komu się naprzykrzasz?

Connor jęknął cicho i zwałił się na łóżko, zakrywając rękami oczy. Ojciec Izabeli był zbyt zaskoczony, by coś odpowiedzieć. Connor zresztą nie miał chyba ochoty usłyszeć tej odpowiedzi. Upokorzenia, których tego dnia doznał, wystarczą mu prawdopodobnie na całe życie.



## Rozdział 19

Tomasz Donaldson, młody adwokat, miał ochotę wywijać hołubce z radości. Podśpiewywał prawie pod nosem, czego jednak nikt nie zauważył w tawernie, pełnej pijących i rozprawiających głośno ludzi. Nareszcie. W końcu udało mu się samodzielnie odkryć bardzo poważny dowód. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o tym lordowi Buchananowi. Największym marzeniem Tomasza byłoby donieść przełożonemu, że znalazł jego siostrę.

Lecz Sheena Buchanan zniknęła bez śladu. Donaldson dałby sobie uciąć rękę, byleby ją tylko znaleźć. Nie było dla niego ważniejszej rzeczy niż aprobatą lorda Buchanana.

Skończył piwo i rzucił kilka monet na stół. Dwaj informatorzy, z którymi właśnie rozmawiał, wtopili się już w tłum. Nie dziwiło go to. W tej części miasta nie należało demonstrować konszachtów z asystentem prokuratora.

Wyszedł z tawerny zbyt rozradowany, by poczuć chłód panujący na dworze. Ani by zauważyć przesuwające się tuż za nim cienie.

Nie miał ochoty wzywać dorożki. Wolał iść pieszo. Matka, która niedawno do niego przyjechała, będzie czekać do późna, by wspólnie z synem uczcić jego urodziny. Chciał побыć trochę sam, żeby nacieszyć się sukcesem.

Motyw.

Odkrył motyw mordercy w sprawie Balfour. Connor od dawna się domyślał, kim jest ten człowiek, a teraz Donaldson dowiedział się, że podejrzany, arystokrata w średnim wieku, był szantażowany za straszną zbrodnię, którą popełnił w przeszłości na dziecku. Lord Montgomery, filar dobrego towarzystwa, oddany mąż, przyjaciel rodziny królewskiej. W rzeczywistości hazardzista, prześladowca dzieci i zabójca. Tak desperacko potrzebował pieniędzy, że zamordował własnego bankiera i jego urzędnika, po czym wrobił w to nieświadomego niczego włóczęgę, który w niewłaściwym momencie znalazł się w niewłaściwym miejscu.

Mimo bogactwa i rozlicznych powiązań Montgomery nie będzie miał żadnej szansy, jeśli Connorowi uda się postawić go w stan oskarżenia.

Donaldson zaczął pogwizdywać pod nosem. Było później, niż sądził, lecz nigdy nie czuł się tak świeżo, nigdy z taką wiarą nie patrzył w przyszłość.

Usłyszał za sobą kroki zaledwie kilka sekund przed tym, jak na jego głowę spadł cios zadany potężną pałką. Zatonął się na stojący przy krawężniku powóz. Pałka znów spadła na głowę adwokata.

- To za mieszanie się w cudze sprawy.

Skronie rozsadzał mu potworny ból. Chciał coś powiedzieć, ale zaczął się zapadać w czarną pustkę. Jeszcze jeden błysk. Tym razem prawie nic nie poczuł. Ktoś szyderczym głosem szepnął mu wprost do ucha:

- A to dla Buchanana.

Tomasz pogrzył się w mroku. Nie usłyszał już stukotu kół na bruku. Nie widział też ogromnego mężczyzny, który znalazł go kilka minut później w rynsztoku i wziął na ręce.

Młoda dziewczyna w spodniach zbliżyła się i spytała cicho:

- Kto to jest, tato?

- Sądzę, że to Donaldson, ten głupkowaty pomocnik Connora. Ktoś prawie rozwalił mu głowę.

- To przyjaciel Connora? - Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- Myślisz, że jemu też może grozić niebezpieczeństwo?

- Nie wiem, Janet, ale Connor sam umie o sobie zadbać. Powinniśmy raczej martwić się o Maggie.

## Rozdział 20

w powozie panowały egipskie ciemności, lecz Maggie nie potrzebowała oświetlenia, by widzieć kamienny wyraz twarzy jego lordowskiej mości. Jego piwne oczy rzucały błyskawice. Myślała, że trafi go apopleksja, kiedy ojciec Izabeli zaproponował, by spędziła noc w zajeździe.

A Connorowi powiedział, żeby poszukał sobie noclegu gdzie indziej.

Pochyliła się do przodu. Prawdopodobnie, wzięwszy pod uwagę okoliczności, powinna zachować swoje myśli dla siebie, musiała jednak przerwać to napięcie rosnące między nią a lordem Buchananem.

- Niech pan spróbuje popatrzeć na to z dobrej strony, milordzie.

- Z dobrej strony. - Jego głos był ostry jak sztylet. - Spodziewam się, że przez „dobrą stronę” rozumie pani podróżowanie podczas rozszalałej burzy ciekącym powozem, z półprzytomnym z opilstwa woźnicą, po nie zaznaczonych na żadnej mapie drogach, w towarzystwie pudła, lokaja i nieobliczalnej kobiety, która miewa zwidy. To nie da się porównać z przytulnym pokojem w zajeździe, prawda?

Maggie z podziwem potrząsnęła głową.

- Mam pan wspaniały dar wymowy. Jednak miałam na myśli to, że wcześniej dotrzemy do domu pańskiej siostry. Proszę pomyśleć, ile czasu zaoszczędzimy.

Zamruczał pod nosem i odwrócił się do okna, najwidoczniej nie w humorze do dyskusji. Maggie oparła się na siedzeniu i westchnęła, gdy Claude otulił jej nogi pledem w szkocką kratę.

- Jeszcze trochę sera, milady? - spytał troskliwie.

- Tak, poproszę. Jestem głodna jak wilk. Co za noc...

- Może kawałek pieczeni i łyk wina? Ojciec Izabeli nalegał, by pani coś zjadła przed odjazdem. Martwił się o pani zdrowie.

Maggie zerknęła na Connora.

- Jeśli jego lordowska mość nie ma ochoty...

Connor zupełnie ją ignorował. Zamknął oczy, skrzyżował ręce na piersi i zapadł w głucho milczenie.

- Nie przeszkadzaj mu, Claude - powiedziała głośnym szeptem. - Jego lordowska mość jest nadąsany. Wyobrażasz sobie? Mężczyzna w jego wieku.

Connor otworzył oczy.

- Nie jestem nadąsany. Jestem w czarnej rozpacz. - Odsunął Dafne łokciem. - Przestań, do cholery, lizać mi twarz.

Maggie wydała z siebie cichy okrzyk.

- A teraz przeklina pan z powodu mojego psa. Naprawdę jest pan bez serca. Proszę spojrzeć, zranił pan jej uczucia. Ma w oczach ogromne łzy. Proszę na nią tylko spojrzeć.

- Na miłość boską... - Connor odwrócił wzrok na psa. Czuł się jak kompletny idiota. - Nic jej nie jest.

Claude pochylił się do Dafne.

- Wiem, że to nie moja sprawa, milordzie, ale znam tego psa od ponad dziesięciu lat; ona ma łzy w oczach.

- Niech pan ją przeprosi, milordzie - powiedziała Maggie.

- Przepraszać pudła? Nigdy.

- Bardzo proszę, milordzie - dodał łagodnym tonem Claude. - Jeśli nie dla tego zwierzązka ze złamanym sercem, to dla świętego spokoju w powozie.

- Zwierzązka ze złamanym sercem? - Connor nie mógł wyjść z podziwu. - Macha tym cholernym ogonem jak oszałała.

- Znowu przeklina! - Maggie obronnym gestem porwała psa na rękę. - Nie bój się, maleńka. - Pogłaskała wilgotny czarny nosek Dafne. - Czy mamy poprosić Claude'a, żeby przetrzepał skórę temu niegodziwcowi, co, malutka? Connor przyłożył dłonie do twarzy.

- Jezu Chryste...

- Duma nie pozwala panu przyznać się do błędu? - spytała z wyrzutem Maggie. - Niech ją pan przeprosi i zapomnimy o całym tym niemiłym incydencie. Dafne jest tak przyjacielska w stosunku do wszystkich.

Connor opadł na oparcie z rezygnacją.

- Przyjmij, proszę, moje przeprosiny, Dafne - burknął ponuro.

- Niech pan ją pocałuje - powiedziała Maggie.

Zapadła cisza. Maggie z nieśmiałym uśmiechem podstawiała mu psa pod nos. Claude bez tchu przyglądał się scenie. Connor uśmiechnął się z przekąsem.

- Prędzej pocałowałbym zadek hipopotama niż tego pudła. Maggie opuściła psa na kolana.

- Chyba tego nie robi - szepnęła do Claude'a. Staruszek smutno pokiwał głową.

- Gorzej, ona znowu przez niego płacze.

Zastanawiała się, jak długo jeszcze lord Buchanan będzie ją ignorował. Przechyliła się przez jego kolana, żeby odsunąć skórzaną zasłonkę i wyrzucić na zewnątrz. Za oknem prawie nic nie było widać w ciemnościach i lejącym deszczu.

Nagle Maggie wydało się, że dostrzega podążający za nimi czarny powóz.

A może to tylko majaczące w strugach deszczu skały na poboczu drogi? Poczula, że cierpnie jej skóra. Po omacku sięgnęła za Connora i chwyciła za lornetkę.

- Niech się pan obudzi, milordzie - powiedziała alarmująco. - Niech pan spojrzy przez okno.

Nie musiała go budzić. Wszystkie nerwy i mięśnie miał napięte do granic wytrzymałości od chwili, gdy się przez niego przechyliła, a potem otarła o pierś sięgając po lornetkę. Czuł się jak wulkan żądry gotowy do erupcji.

- Jest druga nad ranem, panno Saunders.

- Wiem - odparła Maggie, wypinając jeszcze bardziej pupę i przyciskając nos do szyby. - Ktoś za nami jedzie. Niech pan sam zobaczy.

Szturchnęła go lornetką w brodę. Z ciężkim westchnieniem odsunął pupę dziewczyny ze swojego pola widzenia i spojrział przez lornetkę. Potem zaczął nagle przeklinać.

Maggie poczuła ulgę. Teraz w końcu jej uwierzy. Poważniej potraktuje obowiązek chronienia jej.

- Widzi pan, prawda? - Starła się, by nie usłyszał nuty triumfu w jej głosie. Do tej pory zupełnie ignorował jej ostrzeżenia. - Rozumie pan teraz, że cały czas miałam rację.

Zacisnął usta.

- Rozumiem jedynie - burknął w końcu, odrzucając lornetkę na siedzenie - że ten idiota woźnica zбочzył z drogi. Jedziemy prosto na moczary McGonigle. Boże, ten głupek nas zabije.

- Milordzie - odezwał się Claude - wiem, że to nie moja sprawa, ale muszę nadmienić, że nie jadł pan nic cały wieczór. Może teraz ma pan ochotę na kawałek pieczeni?

Connor zaczął z całej siły walić w dach powozu. Woźnica zwolnił i nagle poczuli, że zaczynają się powoli zapadać. Powóz tonął w bagnie.

Żona farmera zeszła z drewnianych schodów, zamasyżuje wycierając ręce o spódnicę.

- Szkoda, że nie wiedziałam o pańskim przyjeździe, milordzie. Wyszukowałabym pokoje, ale dzieciaki są ciągle zaziębione, a mąż pojechał kupić owce.

Connor uśmiechnął się do niej ciepło.

- To my powinniśmy przeproszać, pani Pringle. Pojawiamy się jak Cyganie w środku nocy. A to jest... - Zerknął na Maggie, niepewny, jak powinien ją właściwie przedstawić.

- Nie ma powodu robić tajemnic - powiedziała cicho Maggie. - Taka kobieta jak pani Pringle powinna wiedzieć, kogo gości pod swoim dachem.

- Czy należy pani do rodziny królewskiej? - spytała gospodyni, z podziwem przyglądając się utyłanej błotem Maggie.

- Niezupełnie - rzucił sucho Connor. - Jest córką francuskiego księcia.

Kobieta wpatrywała się w Maggie z niedowierzaniem.

- Patrzcie, patrzcie, córka księcia umazana po kolana śmierdzącym błotem. Co tak urocza i niewinna panienka zrobiła, by zasłużyć na tak straszny los?

Connor otworzył usta, żeby to wyjaśnić, ale nie zdążył jeszcze nic powiedzieć, kiedy u szczytu schodów pojawił się chłopczyk w koszuli nocnej.

- Peggy znowu mnie kopie, mamó. Nie mogę spać.

- Wracaj do łóżka - z zażenowaniem powiedziała kobieta. - Przyjdę do was, jak tylko obsłużę milady. - Odwróciła się do Maggie, najwyraźniej zachwycona, że francuska arystokratka spędzi noc w jej skromnym domu. - Pobiegnę tylko na górę, sprawdzić, czy w pokoju gościnnym wszystko jest sprzątnięte. Na pewno jest tam zimno jak w lodowni. Zaraz pójdę po węgiel do piwnicy. I ręczniki... Osoba tak wysokiego stanu z pewnością lubi, żeby były czyste.

- Zajmę się węglem, pani Pringle - zaofiarował się Connor - proszę nie wychodzić z domu.

Kobieta weszła na schody, potrząsając głową.

- To nie przystoi, milordzie, żeby spał pan w stajni razem ze zwierzętami. Każę dzieciakom, żeby przyszły spać na dół.

- Nie może pani tego zrobić - gwałtownie zaprotestowała Maggie. - Są przecież zaziębione. Dostaną zapalenia płuc.

Connor zgodnie skinął głową.

- Jestem tak zmęczony, że zasnę wszędzie.

Słaniając się ze zmęczenia, Maggie weszła za gospodynią na schody.

- Nie wiem, milordzie - powiedziała, odwróciwszy się do Connora. - Może ona ma rację. Przy tej pogodzie w stajni będzie strasznie wilgotno. Może ja powinnam tam spać.

Za oknami błysnęło. Jaskrawe światło padło na jej zmęczoną twarz. Connor poczuł się wzruszony tą propozycją, mimo że w głębi duszy miał do dziewczyny pretensje, że znaleźli się w tej sytuacji. Nie mógł jednak pozwolić, żeby spała na zgniłej słomie. Czuł się zobowiązany, żeby ją chronić. A ona troszczyła się o jego wygodę. Wydało mu się to miłe.

- Spałem w gorszych miejscach.

Była to prawda. Pewnego razu w dzieciństwie ukrył swoją rodzinę w górskiej jaskini na całe lato. Dziewczęta traktowały to jako przygodę, zupełnie jak teraz panna Saunders. Pomyślał, że kobiety rzadko trzeźwo oceniają rzeczywistość, co zresztą było jedną z cech, które mu się w nich podobały.

Maggie nie chciała, żeby zmarł. To było naprawdę miłe, zwłaszcza że jeszcze kilka minut temu miał ochotę urwać jej głowę. To absurd, jak pozwalał wodzić się za nos. Wystarczyło jedno cieplejsze słowo i gotów był prawie rzucić się jej do nóg.

- Doskonale damy sobie we trójkę radę w stajni przez te kilka godzin do rana - szarmancko zakończył dyskusję.

Maggie zawahała się.

- Właściwie chodziło o Claude'a i jego artretyzm. Wiem, że mężczyzna tak silny jak pan nie odczuje tej niewygody. Przy okazji... To zdumiewające, jak udało się panu wyciągnąć konie z mokradła. Dawno nic nie zrobiło na mnie takiego wrażenia.

Szczękając zębami, myślała się za drewnianym parawanem w niewielkim pokoju gościnnym. Kiedy zaczęła się wycierać, drzwi się otworzyły i usłyszała, że ktoś wchodzi.

- Czy to pan, milordzie?

- Tak - odparł poirytowany. - Przyniosłem węgiel, żeby milady mogła ogrzać sobie nieco swoje arystokratyczne stópki przez te kilka minut do świtu. W końcu jest już piąta.

- Jak to miło... Gdyby tylko troszkę mniej pan hałasował. - Wzdrygnęła się, mocno pocierając ręcznikiem skórę. - Czy mógłby mi pan rzucić koszulę nocną? Leży na łóżku.

- Jestem na czworakach i w dodatku nic nie widzę w tych ciemnościach. Próbuję zapalić ten cholerny węgiel. Niech sobie pani sama weźmie koszulę.

- Dobrze, tylko pytałam. Zresztą nie chcę, żeby umorusał ją pan węglem. Niech pan uważa. Mężczyźni nie przyzwyczajeni do prac domowych często robią sobie krzywdę, rozpalając w kominku. Mój wuj spalił brodę, próbując rozpaćlić węgiel. Był hrabią i równie błyskotliwym mężczyzną jak pan. Chyba nawet opalił sobie brwi. Może jest jakiś związek między inteligencją i niezdarnością. Proszę teraz nie patrzeć.

Przemknęła za jego plecami w stronę łóżka, przyciskając wilgotny ręcznik do piersi. Connor, który cały czas udawał, że nie zwraca na nią uwagi, zerknął ukradkiem akurat w momencie, kiedy jej białe pośladki znikwały pod pościelą.

Z jego piersi wyrwało się ciężkie westchnienie. Uśmiechnął się w poczuciu winy. Wyciągnął rękę w stronę rozpalającego się powoli ognia. Płomyczki dosięgnęły rękawa surduta. Rysy twarzy Connora nagle ściągnęły się pod wpływem ostrego bólu. Podskoczył, przeklinając tak głośno, że z pewnością postawił na nogi cały dom.

Maggie odrzuciła kołdrę, szarpiąc się z zaplątaną między nogami koszulą nocną.

- Podglądał pan, tak?

- Psiakrew! - wrzasnął. - Maggie, daj tu wodę. Palę się! Cofnęła się odruchowo, kiedy podskoczył i zanurzył ramię w misce.

- No cóż, dziękuję za pomoc - powiedział obrażonym tonem. - Pewnie dawno tak serdecznie się pani nie śmiała. Trudno. Mogę służyć nawet za żywą pochodnię, jeśli tylko milady sobie tego życzy.

Odwrócił się zirytowany, potrząsając mokrym rękawem. Maggie przywarła do ściany. Nie śmiała się jednak, jak sądził. Na jej twarzy malował się paniczny strach, taki sam jak tego ranka, kiedy zemdląła w jego domu.

- Maggie... - Zaniepokojony podszedł bliżej, zapominając o bólu. To i tak nieważne. Większe wrażenie zrobił na nim widok jej ciała niż oparzenie. - Maggie, co się stało?



Postąpił jeszcze krok do przodu. Zatrzymał się jednak instynktownie, kiedy wzdrygnęła się, potrząsając głową, jakby się broniła przed jakimś niewidzialnym zagrożeniem. Dafne przywarła do jego nogi, popiskując, jakby wyczuła coś złego.

- Nie zrobię ci krzywdy, Maggie - powiedział Connor łagodnie. - Co się stało? Czego się boisz?

Jego głos przedarł się chyba przez mur strachu dziewczyny.

- Nie zrobisz mi krzywdy? - Zamrugła, patrząc na niego nieobecny wzrokiem. - Oczywiście, że nie zrobisz mi krzywdy. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Pokaż rękę, niech ją obejrzę. To przecież nie może być nic poważnego.

Connor pomyślał, że wyczerpanie ostatnimi wydarzeniami doprowadza go do obłędu.

- Nic mi nie jest. Ale jeśli się nie wyśpię, odejdę od zmysłów.

- Obudzi pan cały dom. - Maggie doszła już całkiem do siebie. - To nie moja wina, że się pan oparzył. Ostrzegałam pana.

## Rozdział 21

Obudziła się po niecałej godzinie niespokojnego snu. Znowu nawiedził ją koszmar - strasznie ją męczyło, że nie rozumie, co powoduje te sny i jakie jest ich znaczenie. Ostatnio zdarzały się częściej. Może to dlatego, że ktoś ją śledził?

Serce waliło jej jak młot. Ogień i lód. Na wspomnienie koszmaru przeszył ją zimny dreszcz, miała poczucie straty i dojmującego smutku. Spojrzała na okno; strugi deszczu spływały po szybie. Pokój był ciepły i przytulny, dzięki temu, że Connor rozpałił ogień. Mężczyźni musieli cierpieć w lodowatej stajni, podczas gdy ona leżała tu sobie w cieple. Miała nadzieję, że pośpią choć trochę do śniadania.

Wstała z łóżka i włożyła płaszcz schnący przy kominku. Podniosła z łóżka dwie dodatkowe pierzyny, które pani Pringle przyniosła na wypadek, gdyby Maggie zmarzła.

Cicho zeszła po schodach na dół do kuchennego wyjścia i w ulewnym deszczu rzuciła się pędem przez podwórze. Świtało.

Intensywny zapach siana i parującej sierści zwierząt przypomniawszy jej wakacje z dzieciństwa. Nagle poczuła spływające po policzkach łzy. Stało jej przed oczami, jak bawi się z Robertem i Jeanette w opuszczonej stajni... Chowają się przed opiekunką w jakimś ciemnym kącie, a potem wyskakują nagle, przyprawiając biedną kobietę prawie o atak serca.

Już nigdy nie będą trzema muszkieterami.

Otarła z twarzy krople deszczu zmieszane ze łzami, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości. Claude spał spokojnie w jednym z pustych boksów. Przykryła go jedną z pierzyn i delikatnie uniosła szpadę, którą położył sobie na piersi. Cicho umieściła ją obok. Wyglądał jak alabastrowy rycerz z królewskiego nagrobka.

Jesteś nadal przy mnie, stary przyjacielu, pomyślała, ale pewnie już niedługo. A potem, zapominając o żelaznych zasadach, co dogłębnie oburzyłoby Claude'a, pochyliła się i pocałowała go w zapadnięty policzek. Był uosobieniem miłości i lojalności. Ojcem, którego straciła.

Jego lordowska mość spał na poddaszu. Maggie z wysiłkiem wciągnęła pierzynę po drabinie, ale w stajni panowała tak straszliwa wilgoć, iż uznała, że jest to warte wysiłku. Connor byłby pewnie wściekły, gdyby się obudził, ale w skrytości ducha liczyła, że doceni ten gest.

Uklękła na słomie, przyglądając się uważnie jego twarzy. Nawet we śnie miała surowy wyraz. Maggie zastanawiała się, jak wyglądał jako chłopiec, czy jego rysy były kiedykolwiek łagodniejsze. Czy tak twardego mężczyznę było stać na czułość?

Nie poruszył się, kiedy nakryła go pierzyną. Spał jak zabity. Nic dziwnego, że był wyczerpany, wyciągnął przecież własnymi rękami konie z bagna i cały czas walczył ze sobą, by trzymać emocje na wodzy.

Co naprawdę o niej myślał? Co czuł? Oczywiście, oprócz pociągu fizycznego. Czy były w jego życiu jakieś inne kobiety oprócz Ardath? Maggie nie sądziła, by tak było, ale z takim mężczyzną jak on nigdy nic nie wiadomo.

Chciała już wstać, kiedy pod jego głową zamiast poduszki zauważyła zwinięty byle jak płaszcz. Sięgnęła dłonią, żeby go poprawić, i nagle wyczuła, że w kieszeni jest pistolet. A gdyby postrzelił się w skroń podczas snu? Może był tak zmęczony, że zapomniał, gdzie włożył broń. Dlaczego człowiek, który wziął na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo całego kraju, nie umiał zadbać o siebie?

Connor obudził się, czując, lufę pistoletu przytkniętą do nosa.

Powoli nabrał do płuc powietrza i patrząc Maggie prosto w oczy powiedział:

- Panno Saunders... - Jego głos brzmiał spokojnie, nie zdradzając, jakim przerażeniem napawa go myśl, że dziewczyna może w każdej chwili pociągnąć za cyngiel. - Chciałem z panią porozmawiać... i przeprosić - improwizował. - Byłem ostatnio niegrzeczny wobec pani.

- To prawda - zgodziła się Maggie. Przesunął rękę pod pierzyną.

- Chwilami moje zachowanie było niedopuszczalne. Straciłem kontrolę nad sobą.

- Bywał pan trudny do zniesienia, ale ma pan chociaż odwagę się do tego przyznać.

Connor spał się, czekając na najlepszy moment. Nadszedł, kiedy pochyliła głowę, żeby strzepnąć słomę z płaszcza, i ze zdumieniem stwierdziła, że wciąż trzyma w ręce pistolet.

Chwycił ją błyskawicznym ruchem za nadgarstek.

- Oddaj mi pistolet, Maggie - powiedział w napięciu. - Przemoc nie jest sposobem na rozwiązywanie problemów. Znajdziemy inną drogę, by dojść do porozumienia.

Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

- To boli - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Daj mi pistolet, dziewczyno.

- Niech pan puści moją rękę.

Powoli usiadł i kiedy chciała się odsunąć, mocniej zacisnął dłoń na jej nadgarstku. Maggie straciła czucie w palcach; nagle pistolet wysunął się jej z ręki i wypalił.

Jednocześnie spojrzeli w górę, zbyt zaszokowani, by cokolwiek powiedzieć. Przez niewielką dziurę w dachu po kuli połała się woda. Na ich głowy zaczęły spadać kawałki rozmokłego na deszczu wrzosu i łupki z poszycia dachu.

- Boże... - szepnęła Maggie, zakrywając usta drugą dłonią. - Co pan zrobił? Dlaczego?

Connor wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Co zrobiłem? Miałem pozwolić, żebyś mnie zastrzeliła?

Z dołu dobiegł odgłos kroków, po czym odezwał się Claude:

- Czy wszystko u pana w porządku, milordzie?

- Doskonale - odparł Connor, miażdżąc Maggie wzrokiem. - Cóż mogłoby się stać?

- Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas, milordzie. Jakby cichy wybuch.

- Niech mu pan nie mówi, że tu jestem - szepnęła Maggie. - Wyzwie pana na pojedynek w obronie mego honoru.

- To był piorun - odkrzyknął Connor, nie spuszczając z dziewczyny oka. - Idź spać, Claude.

- Tak jest, milordzie. I dziękuję za dodatkowe przykrycie. To bardzo uprzejme z pana strony.

Zapadła cisza, jakby Claude poczuł się zażenowany tą rozmową. Kiedy wrócił do swojego legowiska, Connor odłożył pistolet.

- Nawet jeśli chciałaś mnie tylko postraszyć, bo nie sądzę, byś była zdolna zabić człowieka, to było bardzo niebezpieczne. Nie masz pojęcia o obchodzeniu się z bronią. Ten pistolet mógł wystrzelić i mnie zabić. Jak byś się wtedy czuła?

Maggie przysunęła się do niego i odpowiedziała z przejęciem:

- Właśnie dlatego wyjęłam pistolet z płaszcza, żeby nie wystrzelił prosto w pańską głowę.

Spojrzał w jej niewiarygodnie niebieskie oczy. Poczuł, że znowu ma przyspieszony puls i serce wali jak oszalałe. Różany zapach bił

mocniej od jej wilgotnej po deszczu skóry. Fala gorąca ogarnęła całe jego ciało. Miał ochotę wciągnąć Maggie na siebie i przytulić twarz do jej piersi.

- Przyszłaś tu w tę ulewę i wyjechałaś mi z płaszcza pistolet po to, żebym nie zrobił sobie krzywdy? - spytał z niedowierzaniem.

Uniosła brodę na widok jego zdezorientowanej miny.

- Przyniosłam pierzynę, żeby pan nie zmarł.

Zerknął na ciężkie nakrycie, wahając się, czy skapitulować. W końcu spytał:

- Co byś pomyślała, gdybym zbudził cię, przytykając pistolet do twarzy?

- Gdybym była tak wyczerpana, żeby zasnąć jak kamień z nabita bronią pod głową, byłabym panu bezmiernie wdzięczna za uratowanie mi życia. Wyraziłabym wdzięczność z pewnością w inny sposób, nie skakałabym panu do gardła i nie przestrzeliłabym dachu.

- Wdzięczność? - Connor prychnął drwiąco. - Masz naprawdę szczególny sposób interpretowania wydarzeń. W takim razie wyrażę wdzięczność.

Nie spodziewała się pocałunku. Nie miała czasu się bronić. Poczowała siłę Connora każdą cząstką ciała. Poddała się, rozchylając usta pod jego wargami.

Chwycił ją za włosy i odchylił głowę do tyłu, nie przerywając gwałtownego pocałunku. Rozkosz rozlała się po całym ciele Maggie jak lawa. Bez tchu upadła na słomę, czując, jak potężne ciało przygniata ją całym ciężarem.

- Boże miłosierny... - szepnęła.

Całował jej szyję, drażnił koniuszkiem języka ucho. Przesuwał ręce po jej ciele, jakby do niego należało, jakby wiedział, gdzie znaleźć najwrażliwsze miejsca. Każde muśnięcie jego warg przyprawiało ją o drżenie. Kiedy odchylił koszulę nocną i dotknął ustami sutka, wygięła się pod wpływem rozkoszy, a potem znów bezsilnie opadła.

- Proszę... - powiedział cicho. - Oto moja wdzięczność i jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, uciekaj do swego pokoju, zanim zupełnie się zatracę.

Maggie usiadła półprzytomnie.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego się o pana martwiłam - powiedziała, wyszarpując spod niego swój płaszcz. - Powinnam pozwolić panu zamarznąć.

Ciężko oddychając, przymknął oczy. Usłyszał, jak dziewczyna zbiega po drabinie i zatrzaskuje za sobą drzwi stajni. Sekundę później lodowaty strumień wody z dachu chlusnął mu na pierś i spłynął do spodni. Jeszcze jedno upokorzenie, pomyślał, uśmiechając się do siebie ironicznie.

Następnym razem nie pozwoli jej tak szybko odejść.

Maggie ochłonęła zupełnie na widok ubranego na czarno mężczyzny stojącego przy murku okalającym farmę. W pierwszym odruchu, wciąż pod wrażeniem tego, co stało się na strychu, chciała po prostu przejść obok niego. Było już po świcie, ale nadal panował mrok i wszystko rozmazywało się w strugach deszczu. Jego wysoka postać ledwie rysowała się w tle drzew na skraju pola.

Nagle dziewczyna znieruchomiała. Lodowaty deszcz przyklejał jej włosy do twarzy. Instynkt podpowiadał jej, że ten mężczyzna nie jest stąd.

Cofnęła się o krok. Była zbyt przerażona, żeby uciekać albo krzyczeć o pomoc. Zresztą, kto by ją usłyszał w tej ulewie.

- Małgorzato, tak masz na imię, prawda? - odezwał się zduszonym głosem. - Czekałem na odpowiedni moment, by z tobą porozmawiać. Connor Buchanan to niebezpieczny człowiek.

Uznała, że musi uciekać. Dom jest zbyt daleko. Jeszcze jeden krok do tyłu, w stronę stajni. Mężczyzna postąpił naprzód.

- Uciekaj od niego, Małgorzato. Ten człowiek cię skrzywdzi. Przeszył ją lodowaty dreszcz. Małgorzato... Tak swobodnie

używał jej prawdziwego imienia. Czyżby go skądś znała? Czarny kapelusz, czarny płaszcz, czarne bryczesy, ocieniona twarz. To mógł być morderca, którego ściga Connor. Albo porywacz Sheeny. Nawet jeśli go kiedyś widziała, z pewnością nie znała go dobrze.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać - powiedział łagodnie. - Nie w tej ulewie. Potrzebujesz przyjaciela, Małgorzato. Tak wiele przeszłaś.

Postąpił jeszcze krok naprzód. Wtedy rzuciła się do ucieczki, grzęznąc i potykając się w błocie. Płaszcz spadł jej z ramion. Jakoś udało jej się dotrzeć do stajni i nawet wdrapać na stromą drabinę.

Connor leżał z jedną ręką pod głową. Niezdolna wydusić słowa, przyczołgała się do niego po słomie, wciąż słysząc ten dziwny głos.

Ten człowiek cię skrzywdzi.

Miał zamknięte oczy, ale nie mógł zasnąć. Wciąż myślał o Maggie w swoich ramionach. O tym, jak niewinnie poddawała się jego pieścizom. O tym słodkim cieple i zmysłowości, z której dziewczyna nie zdawała sobie sprawy. Na myśl o kochaniu się z nią czuł tak ogromne podniecenie, że pękały mu spodnie.

Po chwili marzenie się spełniło. No cóż, może tylko częściowo. Upadła na jego pierś jak kula armatnia. Na sekundę ich ciała przywarły do siebie, niestety, nie było w tym jednak nic erotycznego.

- Co się znowu stało?

- Pomocy, milordzie - wykrztusiła z przerażeniem. Zerwała pierzynę i drząc na całym ciele, przywarła do niego

z całej siły. Uniósł jej głowę i marzenie o wszelkich rozkoszach rozwiało się, kiedy spojrzał jej w oczy.

- Co się stało? - spytał poważnie.

- Ten mężczyzna... - Maggie szczykała zębami. - W czerni. Zna moje prawdziwe imię... i powiedział, że mnie pan skrzywdzi.

Connor wiedział, że powinien ją teraz uspokoić, ale ogarnęła go taka wściekłość, że chwycił płaszcz i narzucił go na gołe ramiona. Podniósł pistolet. Męża pani Pringle nie było na farmie. Woźnica i Claude spokojnie chrapali na dole. Kogóż więc mogła widzieć na podwórzu?

I kto chciał jej wmówić, że on, Connor, zrobi jej krzywdę?

Maggie wybiegła ze stajni, obawiając się, że straci go z oczu. Była pewna, że tym razem jej uwierzy. Jeśli chciał ją chronić, powinien w końcu potraktować to poważnie.

Deszcz lał jak z cebra. Potykając się, próbowała dotrzymać mu kroku. Na niebie pojawiło się mławe światło dnia.

Przy murze nie było nikogo. Miała ochotę krzyczeć ze złości, kiedy Connor spojrzał na nią z wyrzutem.

- Tutaj stał - powiedziała, podchodząc bliżej. - Przysięgam. Stał właśnie tutaj. Niech pan popatrzy na ślady stóp, jeśli mi pan nie wierzy.

- Ślady stóp... W tym morzu błota.

- Miał tu czekać na pana? - krzyknęła.

Connor spojrzął za mur w stronę drzew i pola. Nagle zmrużył oczy. Maggie poczuła ciarki na plecach, podążając za jego wzrokiem. Dzięki Bogu - zauważył go.

Sylwetka była prawie niewidoczna w mglistym świetle poranka. Ciemny kapelusz, ciemny płaszcz. Wydawało się, że mężczyzna, uciekając, walczy z podmuchami wiatru. A może wpadł w bagno?

Connor odwrócił się przez ramię.

- Powiedziałem, żebyś została w stajni.

- Czy teraz mi pan wierzy? - Stała tuż za jego plecami. Milczał; zacisnął usta i odsunął się od niej, wyciągając pistolet zza pasa. Wyglądał groźnie w tym deszczu, z płaszczem na nagich ramionach. Ścisnęło ją w żołądku, kiedy pomyślała, że może zabić tego człowieka albo, co jeszcze straszniejsze, sam dać się zabić. Przerazona zrobiła krok w jego stronę. Connor obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Jak mam go ścigać, kiedy cały czas się boję, żeby coś ci się nie stało. Ukryj się za murem. - Znów popatrzył na ciemną postać na polu.

- I nie wychodź stamtąd, dopóki nie wrócę. On chyba na mnie czeka.

- Wygląda, jakby do pana machał - szepnęła. - Niech pan będzie ostrożny.

Zastanawiała się, czy nie wysłała właśnie lorda Buchanana na pewną śmierć. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, żeby obudzić woźnicę? Żałowała teraz, że w ogóle wyszła ze swojego pokoju.

W mglistym powietrzu niewyraźnie widziała, jak Connor przedziera się przez pole. On z pewnością też niewiele widział w tym strasznym deszczu, parł jednak niestrudzenie do przodu.

Nagle wiatr powiał jeszcze silniej. Człowiek na środku pola zaczął wymachiwać ramionami, najwyraźniej starając się sprowokować Connora. Maggie wyprostowała się, przyciskając dłoń do ust. Wydało jej się, że mężczyzna celuje w stronę Connora z jakiegoś długiego brązowego przedmiotu. Wyglądało to na muszkiet.

Przeskoczyła przez murek. Musiała zatrzymać Connora. Wiatr wył w jej uszach, lecz biegła tak szybko, jak tylko mogła. Nagle potknęła się i upadła.

Przejmujący ból przeszył całą stopę, wyciskając łzy z jej oczu. Przeturlała się po ziemi, wściekle przeklinając po francusku. Nie zauważyła, że Connor zawrócił i się nad nią pochyla.

- Co się stało, dziewczyno? Jesteś ranna?



- Tak - jęknęła.

- Postrzelił cię? - Wydało jej się, że o to właśnie pyta; była zbyt pochłonięta bólem w stopie, żeby skupić się na czymkolwiek innym.

- Zabiję go - ryknął Connor. - Zabiję tego łajdaka własnymi rękami!

Maggie pociągnęła nosem. Chyba złamała mały palec u nogi. Ze środka pola dobiegł ją bojowy okrzyk Buchanana, potem huk wystrzału, a potem już tylko monotony szum deszczu i wiatru.

Podniosła głowę. Connor szedł w jej stronę przemoczony do suchej nitki. Długie włosy oblepiały mu twarz i kark, pistolet trzymał opuszczony. Przerazona, popatrzyła w stronę sylwetki na polu. Postać straciła głowę.

- Wielkie nieba - szepnęła, szeroko otwierając oczy. - Zmasakrował pan...

- Stracha na wróble. Podeszedł do muru.

- Dziękuję - powiedział. - Już bardziej nie mogłem się poniżyć. Dałem się zwieść kupie słomy.

- Ale ja widziałam mężczyznę przy tym murze - upierała się Maggie. - Znał moje imię. Powiedział, że mnie pan skrzywdzi.

- Może i miał rację - mruknął pod nosem.

Dziewczyna przygryzła wargę, patrząc na pole, a potem odwróciła znów wzrok na Connora.

- Wygląda pan, jakby miał pan zemdleć - powiedziała zaniepokojona.

Poderwał głowę.

- Dziwi się pani? Sądziłem, że to porywacz. Myślałem, że postrzelił panią w nogę. Chciałem go zabić.

Podprowadził ją jeszcze bliżej muru. Jego oczy płonęły ze złości.

- I wie pani, co się stało, kiedy wystrzeliłem? Maggie pokręciła głową, przyciskając rękę do szyi.

- Jego głowa eksplodowała i wylądowała u moich stóp! Ramiona wyleciały w powietrze. - Mówił coraz głośniej, przekrzykując wiatr. - Złapałem jego nos, zanim upadł na ziemię. To była marchew. Marchew.

Maggie przymknęła oczy.

Connor przysunął się jeszcze o krok, dotykając prawie zaciśniętą szczęką jej czoła.

- To, co wziąłem za człowieka, rozprysło się na moich oczach na kawałki. Potknąłem się o jego głowę, zanim zrozumiałem, co zrobiłem. Zamordowałem w pani obronie snopek siana, panno Saunders. Więc proszę wybaczyć, jeśli mam dziwną minę.

- Może panu przejdzie, kiedy włoży pan głowę między nogi - szepnęła z wahaniem.

Ta sugestia jeszcze bardziej go rozwścieczyła. Nie mogła mieć do niego pretensji, mimo iż przecież wiedziała doskonale, co widziała i słyszała po wyjściu ze stajni. Mężczyzna przy murze był tu naprawdę.

Była również pewna, że od początku miała rację co do Connora Buchanana.

Nie był żadnym demonem.

Nie był też zwykłym bohaterem. Był pogromcą strachów na wróble. Mężczyznę, którego mogłaby pokochać na całe życie.

## Rozdział 22

Za dużo mi pan zapłacił za dziurę w dachu, milordzie - powiedziała pani Pringle, spoglądając z szacunkiem na ponurą postać na koniu. - I nie trzeba było płacić za stracha na wróble. To były tylko stare szmaty Daniela. Zresztą wrony i tak cały czas wyjadały marchew.

- Jedynie to mogłem zrobić - powiedział Connor, unikając wzroku Maggie, która siedziała obok na drugim, pożyczonym od gospodyni, wierzchowcu. - Jest pani gotowa, panno Saunders? - spytał lodowatym tonem.

- Tak - odpowiedziała i uśmiechnęła się ciepło do pani Pringle. - Prowadź, milordzie. Cieszę się, że nie musimy się już tłoczyć w tym ciasnym powozie.

- Nie zapomnijcie o posiłku, który wam przywiązałam do siodeł! - zawołała za nimi pani Pringle. - I dziękuję za pomoc przy dzieciach, lady Małgorzato. Te pani zioła działały cuda na kaszel.

- To raczej cud, że nie otruła tych biednych dzieciaków - mruknął pod nosem Connor. - Albo nie spaliła farmy. Albo nie powystrzelała dziur we wszystkich oknach. Mogłem zabić przez nią niewinnego człowieka.

- Niepotrzebnie się pan unosi.

Connor zawzięcie milczał. Nigdy jej nie wybaczy, że wzięła stracha na wróble za żywego człowieka.

- Nie ma się pan czego wstydzić, milordzie. To tylko potwierdza, że jest pan w stanie należycie mnie chronić, jeśli zajdzie taka potrzeba. Herszt zawsze mówi, że człowieka poznaje się w trudnej sytuacji. Jestem pewna, że ten incydent pogłębi jedynie naszą przyjaźń.

Zatrzymał konia przy murze okalającym farmę i zerknął na nią ironicznie. Maggie podjechała bliżej.

- Stał właśnie tu w strugach deszczu. Widziałam go równie wyraźnie jak teraz pański nos. - Szelmowski uśmiech błysnął w jej oczach. - Czy może powinnam powiedzieć marchewkę?

Nie docenił jej poczucia humoru. Dźgnął obcasem konia i ruszył, nie odwracając się za siebie. Maggie pognęła za nim.

- Pańska męska duma została urażona - powiedziała po chwili ze zrozumieniem. - Ale nie powinien się pan czuć wobec mnie zażenowany. W mojej rodzinie zdarzały się takie historie, że nikogo

nie osądzam pochopnie. Mój pradziadek lubił się przebierać za pastereczkę. Wuj pisał potajemnie wiersze. Wszyscy mamy swoje małe sekrety.

Ruszył galopem, żeby się od niej oddalić. Maggie dogoniła go dopiero na skraju bagna. Utyłany błotem powóz sterczał w wysokiej trawie, gdzie Connor i woźnica zostawili go, żeby wysechł. Maggie podjęła kolejną próbę wciągnięcia go do rozmowy.

- Wygląda dość śmiesznie w tych chaszczach, prawda? Connor nie odezwał się słowem i milczał przez następne siedem

mil, mimo że Maggie cały czas coś paplała. Przyglądała się też ciekawie błękitnym zamglonym wzgórzom, kurhanom i ruinom, które od czasu do czasu mijali. Wrzosowiska rozciągały się przed nimi po horyzont.

Przed wyjazdem Connor wspomniał, że jeśli mgła opadnie, powinni dotrzeć do Kilcurrie przed nocą. Claude i woźnica mieli przywieźć resztę jej rzeczy pożyczonym od pani Pringle wozem.

- Mam nadzieję, że się nie zgubią - odezwała się znowu. - Oboje z Claude'em nie mamy zbyt dobrej orientacji w terenie.

Tym razem nie oczekiwała od Connora żadnej odpowiedzi.

Rozumiała, że musi minąć trochę czasu, zanim jej wybaczy. Jednak w połowie drogi w dół wzgórza zdała sobie sprawę, że może mieć poważniejszy problem.

Po wydarzeniach ostatniej nocy Connor nie będzie się tak szybko rwał do działania. Jeśli mężczyzna w czerni znów się do niej zbliży, będzie musiała bronić się sama.

Woźnica ziewnął głośno nad parującą herbatą, którą postawiła przed nim pani Pringle.

- Boże... - jęknął. - Co za noc!

- Co ty masz za pojęcie, co tu się działo w nocy? - powiedziała sucho gospodyni. - Prawie godzinę szarpaliśmy cię z tym dobrym człowiekiem, żeby cię wyrwać z pijackiego snu.

Dobry człowiek, czyli Claude, zdejmował właśnie z patelni świeżo usmażone placki. Woźnica zmarszczył czoło.

- No tak, może i mocno spałem, ale jestem pewien, że słyszałem huk wystrzału.

- To nie był żaden wystrzał - stwierdził krzątający się koło pieca Claude. - To był piorun. Jego lordowska mość powiedział, że to był piorun.

Pani Pringle skinęła głową.

- Jeśli jego lordowska mość powiedział, że to był piorun, to tak właśnie było. Nie należy podważać słów prokuratora generalnego Szkocji - stwierdziła z przekonaniem, tym większym, że w kieszeni fartucha miała gruby zwitek czeków bankowych, które Connor zostawił jej na naprawę dachu po uderzeniu pioruna.

Woźnica podniósł do ust herbatę, tępo patrząc przed siebie. Pijany czy nie, wiedział, co słyszał. I widział. Na przykład, tę dziewczynę w koszuli nocnej i na czarno ubranego mężczyznę, który zagadywał ją przy murze. Wydało mu się to trochę dziwne, ale ponieważ załatwiał właśnie potrzebę, nie bardzo mógł wkroczyć do akcji. Ale pewnie i tak nikt by mu nie uwierzył. Nikt nie traktował poważnie woźnicy, który wpakował swój własny powóz w bagno.

## Rozdział 23

Przynajmniej mój dom stoi na swoim miejscu - powiedział Connor, spoglądając na swoją posiadłość ze szczytu wzgórza, kiedy zwolnili, żeby pozwolić odpocząć koniom. - Wszystko w moim życiu przewróciło się do góry nogami. Teraz chyba już nic by mnie nie zaskoczyło.

Maggie powstrzymała uśmiech. Connor znowu się nad sobą użalał. Lecz w końcu odezwał się do niej po całym dniu i pomyślała, że jeśli nadal będzie miły, jest gotowa do ugody.

- To piękne miejsce - powiedziała. - Oczywiście, dom jest mały w porównaniu z zamkiem, ale ma to swój urok, prawda?

Connor obrzucił ją chłodnym spojrzeniem, jakby stwierdził właśnie, że szkoda, iż nie zgubił jej gdzieś po drodze.

- Z jakim zamkiem? - spytał podejrzliwie.

- Tym, gdzie się wychowałam, milordzie. To był renesansowy zamek nad piękną rzeką w Normandii.

Potrząsnął głową i popędził konia w dół wzgórza w stronę lasu.

- Nie wierzy mi pan, prawda? - spytała poirytowana.

- Już sam nie wiem, w co mam wierzyć.

- Niech mi pan odpowie: po co wymyślałabym te historie, gdyby to nie była prawda?

- A po co ludzie zmyślają niestworzone historie, panno Saunders?

- Ależ z pana cyniczny człowiek.

- Jeśli pracuje się z przestępcami, przestaje się wierzyć w różne opowieści. - Zerknął na nią przez ramię. - Na pani miejscu patrzyłbym, gdzie prowadzę konia. Ten las jest bardzo gęsty.

Nagle zatrzymał się i rozejrzał po zaroślach.

- Słyszała pani?

- To pewnie Dafne buszuje w trawie.

- Słyszałem kroki - powiedział, marszcząc czoło.

- Ależ skąd...

Zamierzała mu udowodnić, że ani nie jest histeryczką, ani nie ma halucynacji. Przysięgła sobie, że nie piśnie, nawet jeśli żbik wskoczy jej na kark.

Connor popatrzył na nią z politowaniem.

- Może zdjęłaby pani ten kapelusz. Ktoś mógłby pomyśleć, że to pióra jakiegoś ptaka i wziąć panią na cel.

- Przecież to strusie pióra - odparła urażona. - Kiedy ostatnio widział pan strusie biegające po szkockich górach?

W pobliżu wyraźnie rozległy się czyjeś kroki. Connor zmrużył oczy, dając jej znak, żeby się nie ruszała.

- To jakiś człowiek - powiedział cicho. - Zejdź z konia i ukryj się.

- Nie słyszałam żadnych kroków - upierała się Maggie, starając się nie okazać niepokoju.

- Kłusownicy - zabrzmiało groźnie za drzewami. - Przeklećci kłusownicy kręcą się tu teraz nawet w dzień. Dam im nauczkę. Daj strzelbę.

Connor zsunął się z konia i ignorując piskliwe protesty Maggie, ściągnął ją na ziemię.

- Tego pewnie też pani nie słyszała - szepnął jej wprost do ucha.

- Czego?

Przerwał im głośny trzask, a po chwili kula przeleciała nad ich głowami. Na polanę posypały się połamane gałązki i suche liście. Maggie udało się jakoś powstrzymać odruch ucieczki. Nie miała zamiaru utwierdzać go w przekonaniu, że jest histeryczką.

Następny strzał złamał gałąź na pobliskim drzewie.

- Połóż się. - Connor popchnął dziewczynę na ziemię za swoimi plecami. - Ktoś do nas strzela.

- Jest pan pewien? - szepnęła Maggie.

- Tak, jestem...

Umilkł, kiedy zza krzaków wynurzyła się potargana siwowłosa kobieta. Miała na sobie skórzane boty do ud i szkockie myśliwskie spodnie pod tuniką. Trzymała na smyczy sforę wyrrywających się psów i pistolety w obu rękach. Była równie wysoka jak Connor.

- O mój Boże - powiedział, rozsuwając gałęzie, za którymi się ukryli. - To księżna Kincarden do nas strzelała, moja szalona sąsiadka.

- To ty, Buchanan? - spytała ze zdumieniem starsza kobieta, odciągając psy i uważnie patrząc w ich stronę. - Dobre nieba, to znowu ty z jakąś kobietą w krzakach. Ani na jotę się nie zmieniłeś.

- Strzelała pani do nas - ze złością rzucił Connor. - Nie przyszło pani do głowy, że to może być niebezpieczne, że mogłaby pani kogoś zabić?

- Właśnie zamierzałam kogoś zabić - przyznała księżna. - Jesteś na mojej ziemi. Sądziłam, że to kłusownicy. Ktoś musi chronić niewinne zwierzęta.

Connor wyciągnął suchą gałązkę z włosów.

- Mimo wszystko nie może pani sama stanowić prawa. Po to mamy szeryfów i sędziów.

W zaroślach za księżną pojawiła się młoda jasnowłosa kobieta z muszkietem opartym na ramieniu. Patrzyła na nich oszołomiona.

- Connor! - wykrzyknęła. Popatrzył na nią z dezaprobatą. Rebeka, mój Boże...

- O mało cię nie zastrzeliłam - powiedziała, powstrzymując lekki uśmiech. Był w nim ten sam urok co w uśmiechu Connora. - Mogłeś nas uprzedzić o swoim przyjeździe.

Zdjął muszkiet z jej ramienia i postawił go ostrożnie przy drzewie.

- Nie dostałaś moich listów? Pisałem, że przyjeżdżam. Zaciekawiona, zwróciła jasne błękitne oczy na Maggie.

- Owszem, dostałam je, Connor, nie będę cię okłamywać. Ale ich nie czytałam.

- Dlaczego, do diabła?

- Bo zawsze piszesz to samo. Jesteś jak stara baba i ciągle mnie namawiasz, żebym wróciła do miasta i poszukała sobie męża. Twoje listy mnie nudzą.

Skrzyżował ręce na piersi.

- Jeśli nie czytałaś moich listów, to nie wiesz, że twoja siostra Sheena została porwana i że porywacze grożą, że będziesz ich następną ofiarą.

Rebeka wpatrywała się w niego zaskoczona.

- Dlaczego ktoś miałby porywać Sheenę?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie ma to jakiś związek z moją nominacją na prokuratora generalnego. - Connor odwrócił się do Maggie. - Mam powody podejrzewać, że porywacze pojawią się tu, żeby cię odnaleźć, Rebeko. Ta młoda kobieta jest jedynym świadkiem porwania Sheeny i pozostaje pod moją oficjalną ochroną.

Rozbawienie znikło z twarzy dziewczyny.

- Jeśli żartujesz sobie ze mnie, Connor, to masz okrutne poczucie humoru. A jeśli chcesz mnie wystraszyć i zmusić do wyjazdu do miasta, to nic nie wskórasz.



Maggie poprawiła suknię i postąpiła do przodu, z sympatią przyglądając się Rebecce.

- Pani brat, niestety, mówi prawdę, mimo że nie wspomniał o kilku ważnych szczegółach. Nie dość, że jestem świadkiem porwania pani siostry, to próbowałam również ją ratować, rozbijając na głowie woźnicy butelkę szampana. Zostałam wtedy ranna.

- Butelką szampana... To dopiero pomysłowa głowa - stwierdziła z podziwem księżna. - Jestem zaszczycona, mogąc panią poznać. Nazywam się Morna Mainwaring, księżna Kincarden.

Maggie wykonała głęboki ukłon.

- Jestem Małgorzata de Saint - Evremond, córka zmarłego księcia i księżnej de Saint - Evremond. To ja jestem zaszczycona, wasza łaskawość. Proszę wybaczyć, że weszliśmy na teren pani posiadłości. Sądziłam, że ta ziemia należy do jego lordowskiej mości. Ma pani rację, ostro traktując kłusowników.

Księżna przyglądała jej się z wyraźną przyjemnością. Nagle zauważyła białego pieska, przytulonego do nóg Maggie. Pomarszczona twarz kobiety złagodniała. Włożyła pistolety za pas i wyciągnęła rękę do psa.

- Jaki śliczny - powiedziała.

- To jest pudel - cicho stwierdziła Rebeka i z niedowierzaniem podniosła wzrok na Connora, jakby miała nadzieję, że żartował, mówiąc o Sheenie.

- Dobry piesek - powiedziała księżna. - Nie pozwolisz zrobić krzywdy swojej pani, prawda? Bardzo dobrze, tak powinno być. Spojrzała znów na Connora. Pies wie, co robi, broniąc tej dzielnej dziewczyny, Buchanan. Dlaczego wciągnąłeś ją do lasu, gdzie płaczą się niebezpieczni kłusownicy?

- Nie wspominając o niebezpiecznych sąsiadach - rzucił sucho. Księżna położyła dłoń na ramieniu Maggie.

- Wyglądasz na zmęczoną, moja droga, ale po tym, co przeszłaś, nie dziwi mnie to. Chodź z nami do domu, napijemy się brandy. De Saint - Evremond, powiadasz? Nie miałaś czasem na myśli Simona de Saint - Evremond?

- Tak, to mój ojciec.

- Dobry Boże... - Księżna w zamyśleniu przypatrzyła się twarzy Maggie. - To właśnie Simon przedstawił mnie memu zmarłemu mężowi podczas balu dobroczynnego w Londynie wiele lat temu.

Oboje z Williamem straciliśmy z nim kontakt, kiedy przeprowadziliśmy się do Szkocji, by hodować psy gończe. Ludzie mówili, że twój ojciec był zamieszany w spisek przeciw temu małemu dyktatorowi, Napoleonowi.

Maggie z dumą skinęła głową.

- Papa był rojalistą aż do śmierci, madame.

Księżna westchnęła głęboko i pokręciła głową, nagle nie znajdując słów, by wyrazić sympatię. Connor nie wierzył własnym oczom. Przysięgłby, że ta wiedźma nie zna współczucia dla nikogo z wyjątkiem sfory swoich zwierząt.

Nie mógł już dłużej wątpić w historię Maggie. To musiała być prawda. Nadal jednak dziewczyna pozostawała dla niego tajemnicą, skarbem powierzonym jego opiece i sam nie wiedział, kiedy poczucie obowiązku zmieszało się z osobistymi odczuciami. Pewnie było tak od początku, a teraz było już za późno, by cokolwiek zmienić.

Jego myśli przerwał zaniepokojony głos Rebeki.

- No cóż, Connor, ona chyba jest inna niż te kobiety, które przywoziłeś do domu, prawda? Mam wrażenie, że to coś poważnego. Chodź, opowiesz mi wszystko o Sheenie.

Skinął głową i poszedł za siostrą. Maggie i księżna przedzierały się ramię w ramię przez las, zatopione we własnym świecie. Świecie wielkich spraw, gdzie szlachetni ludzie oddają życie dla pokoju, a kobiety o dzielnych sercach strzelają do kłusowników krzywdzących bezbronne zwierzęta.

## Rozdział 24

Wieczór już zapadł, kiedy dotarli do dworu z epoki Tudorów. Przywiozła ich szalona kobieta woźnica księżnej, Frances. Przed odjazdem Maggie, Rebeka i księżna zegnały się jak odnalezione po latach krewne, obiecując sobie, że zobaczą się następnego dnia na herbacie. Connor, nie mogąc się doczekać końca tych czułości, niecierpliwie wyglądał z powozu, cały w psiej sierści.

Przyjaźń między trzema kobietami stała się tym silniejsza, że w drodze powrotnej przez las do powozu pudel Maggie uratował jednego ze szczeniaków księżnej od utonięcia w rozpadlinie pełnej wody po ulewie. Księżna kazała posłać dla Dafne kosz smakowitych kości do ogryzania. Connor pomyślał w pewnej chwili, że dwie sprawy łączą te damy: on oraz miłość do zwierząt. Nie miał ochoty się zastanawiać, czy jest w tym jakiś głębszy sens.

- Dobrze opiekuj się tą dziewczyną, Buchanan - ostrzegła go przed swoim odjazdem księżna, po czym wyciągnęła pistolet i wystrzeliła w powietrze. - Gdyby pokazał się jakiś porywacz, przyślij go do mnie. Już ja się nim zajmę.

Connor przymknął oczy na samą myśl o tym.

Powóz z księżną, Rebeką i sforą psów zniknął w ciemnościach. Connor nie ruszył jeszcze w stronę domu, kiedy gromada służby wysypała się z szarego kamiennego dworu.

- Boże, to pan? - krzyknął ktoś. - Na szczęście. W końcu.

- No cóż, przynajmniej pańska służba do nas nie strzela - stwierdziła pod nosem Maggie, tłumiąc ziewnięcie. - To niezmiernie miłe z ich strony.

Connor zmrużył oczy.

- Coś mi tu nie pasuje. Nie mam tak licznej służby. Tylko rządcę, gospodynię i lokaja. Co tu się, do diabła, dzieje?

Rządca, niski siwowłosy góral z brodą prawie do pasa, jako pierwszy zbliżył się do Connora. Bez tchu szarpał się z rękawami sfatygowanej tweedowej kurtki, którą właśnie próbował na siebie wciągnąć.

- Czekamy już tyle dni, milordzie. Bałem się, że w ogóle pan nie przyjedzie.

- Coś się stało? - spytał Connor.

- Wszystko co najgorsze, milordzie - odparł rządca.

- Co to ma, do diaska, znaczyć?

Schludna ciemnowłosa kobieta w brązowej sukni podeszła bliżej i powiedziała:

- Panie mają pierwszeństwo, Dougie. Jego lordowska mość wysłucha mojej wersji, zanim naopowiadasz mu kłamstw.

Connor parsknął zniecierpliwiony.

- Kim są ci wszyscy ludzie na podjeździe, panno Urquhart?

- Niestety, nie jestem już panną Urquhart - odparła gospodyni. Wskazała palcem na rządcę. - Dwa miesiące temu poślubiłam tego okropnego człowieka.

- I moje życie zamieniło się od tamtej pory w piekło - ponuro stwierdził Dougie. - Ta nieznośna kobieta zaczęła rządzić się w domu, milordzie. Jestem wyrzutkiem na własnym gospodarstwie.

Connor spojrzął na podjazd, gdzie tłumek służby kłaniał mu się i dygał jak nakręcone lalki.

- Kim są ci ludzie? - spytał sucho.

- To nowo przyjęta służba, milordzie, jak przystoi najpotężniejszemu człowiekowi w Szkocji - odparła z dumą gospodyni.

Connor zacisnął usta.

- Najpotężniejszy nie oznacza, że najbogatszy.

- No cóż, należy dbać o pozory - odezwała się Maggie, popierając gospodynię. - Szczególnie, jeśli osiągnie się tak wysoką pozycję jak pan.

- Wątpię, czy ktokolwiek zechciałby się ze mną zamienić, panno Saunders - stwierdził z przekąsem.

Dougie był najwyraźniej wzburzony.

- Moja żona, jeśli w ogóle nadal nią jest, zmieniła się nie do poznania po swojej wizycie u kuzynki w Londynie. Mówi, że my, górale, jesteśmy barbarzyńcami i nie znamy się na najnowszej modzie, milordzie. Twierdzi, że powinienem zgolić brodę.

Maggie, która zawsze lubiła zająć jasne stanowisko w sporze, popatrzyła na zmierzwioną brodę rządcy z niesmakiem.

- Ma rację. Szczury bardziej dbają o swoje gniazda. Connor potarł szczecinę na własnej brodzie.

- Lepiej niech się pani nie wtrąca - powiedział zmęczonym tonem. - Te trywialne domowe spory należy zostawić swojemu biegowi.

- Wprost przeciwnie. - Maggie poczuła nagle sposobność odwzięczenia się Connorowi za jego opiekę. Miała dość doświadczenia, by wprowadzić porządek do jego domu. - Takie sprawy trzeba zgnieść w zarodku, by nie wybuchła rebelia.

- Zgnieść w zarodku?

Connor popatrzył na nią z góry. Kiedy stała tu w tym śmiesznym kapeluszu ze strusimi piórami, zapragnął nagle złapać ją w ramiona i pocałować przy wszystkich. Problem polegał na tym, że pocałunek by mu nie wystarczył. Najchętniej zaniósłby ją do swego pokoju, rzucił na łóżko i powoli zdjął z niej całe ubranie, delektując się każdym skrawkiem odkrywanej gładkiej skóry. A potem, z butelką whisky pod ręką, przy rozpalonym kominku, kochałby się z nią nieprzytomnie. Mocno i żarliwie. Powoli i delikatnie. Poczuł, że mięśnie tężeją mu na myśl, że jej zgrabne nogi tancerki rozsunięłyby się pod nim...

Wyrwał się z marzenia, pocierając brodę. Maggie uważnie mu się przyglądała.

- Niechże pani da spokój, panno Saunders. A teraz idę utopić swoje smutki w ostrej góralskiej whisky. Potem pojedę porozmawiać z szeryfem na temat Sheeny. Ani mi w głowie godzenie zwaśnionej służby.

No cóż... - Maggie odwróciła się do pani Urquhart, gdy Connor szybkim krokiem ruszył do domu, ignorując narzekania męskiej części służby. - Zdaje się, że sytuacja zrobiła się napięta.

Pani Urquhart wyjęła chusteczkę do nosa i otarła zupełnie suche oczy.

- Chcę jedynie dobrze prowadzić dom jego lordowskiej mości. Czy to zbrodnia?

- Absolutnie nie - powiedziała Maggie. - Mężczyźni nigdy nie daliby sobie bez nas rady, pani Urquhart. Zachowywaliby się jak zwierzęta, gdyby im na to pozwolić. Proszę nie tracić ducha. Może pani liczyć na moje pełne wsparcie w tej sytuacji. Proszę mi wierzyć, pewne niecodzienne okoliczności zmusiły mnie i jego lordowską mość do zadzierzgnięcia dość zażyłej przyjaźni.

- Och... rozumiem.

Maggie uśmiechnęła się z mądrą miną.

- Mam na niego pewien wpływ. Jeśli wie pani, co mam na myśli.

- Niech panią Bóg błogosławi, panienko. Sądzę, że wiem.

- W takim razie bitwa jest już w połowie wygrana - stwierdziła Maggie, prostując szczupłe ramiona jak generał przed walką. - A członek rodu de Saint - Evremond może być potężnym sprzymierzeńcem.

## Rozdział 25

Maggie z filiżanką w dłoniach chodziła tam i z powrotem po mrocznym, wyłożonym sosnową boazerią pokoju. Czuła się bezpiecznie w tym starym domu, a nie zdarzyło jej się to od wyjazdu z Francji. Wiedziała, że Connor śpi w pokoju obok. Zrobiło jej się gorąco, kiedy przypomniała sobie, jak leżała pod nim na sianie w stajni. Nigdy dotąd nie czuła się tak bezbronna i tak pożądana.

Napiła się wywaru z rumianku i podeszła do okna. Porośnięte lasami, otulone teraz mgłą i poświatą księżyca wzgórze wydawały się tworzyć bezpieczny mur wokół domu.

A może właśnie tam czaiło się niebezpieczeństwo? Może tam kryli się wrogowie Connora, zaciskając teraz wokół nich morderczy pierścień?

Nie mogła przypomnieć sobie nic więcej o mężczyźnie, który porwał Sheenę. Nawet gdyby miała wtedy więcej czasu na przyjrzenie się, cóż mogłaby powiedzieć o zamaskowanych twarzach i niczym nie wyróżniającym się ubraniu? To mógł być każdy.

A jednak było coś dziwnie znajomego w postaci przy murze i w głosie mężczyzny, który pukał do jej pokoju w zajeździe. Czy ten sam człowiek był na dziedzińcu domu Connora w Edynburgu? A może tej nocy stało się coś tak wstrząsającego, że wytarła to z pamięci, podobnie jak wiele szczegółów ze swojej przeszłości?

Pod wpływem impulsu odstawiła filiżankę, odwróciła się od okna i poszła korytarzem do pokoju Connora. Otworzyła drzwi. Nie miała zamiaru go budzić. Chciała tylko na niego popatrzeć, zanim sama się położy.

Wiedziała już teraz, że ten mężczyzna zaryzykuje życie, by ją chronić.

Ale czy ona zrobiłaby dla niego to samo?

Na wpół pijany, leżał rozwalony na łóżku, starając się wymyślić kolejny pretekst, by wejść do jej pokoju. Mógł przestrzec ją, że okna są wypaczone. Mógł powiedzieć, jak trafić w środku nocy do wygodki. Mógł udać, że słyszał jakiś hałas, i musi sprawdzić, czy, na przykład, w szafie nie ukrywa się napastnik.

Pragnął jej. Chciał zasnąć przytulony do jej drobnego ciała. Chciał się obudzić w środku nocy i się z nią kochać, wdychać jej czarowny zapach, zaznać ukojenia. Miał na jej punkcie obsesję.

Spotkanie z szeryfem podziało na niego przygnębiająco. Tak, obaj - szeryf i jego zastępca - dostali jego listy. Rozesłali obwieszczenia z obietnicą nagrody za pomoc w odnalezieniu Sheeny po całej okolicy. Tak, mieli oko na Rebeke, ale ta uparta kobieta nie zgadzała się na opuszczenie swej chaty na odludziu. Szeryf obiecał, że następnego ranka przejrzy dokładnie raporty o obcych przebywających w tym rejonie. Jakiś nieznany nikomu człowiek wziął w dzierżawę stary zamek jakobitów na wzgórzu. Miał tu prawdopodobnie zamiar polować. Connor nie mógł znieść myśli, że obcy zaczynają przejmować w tych stronach majątki, ale teraz nie miał czasu o tym myśleć.

Poza tym najwidoczniej ani szeryf, ani jego zastępca nie mieli wielkiej nadziei na odnalezienie Sheeny żywej. Oczywiście, nie powiedzieli mu tego wprost, umiał jednak czytać w ich twarzach. Nie przepadali za nim, ale go szanowali. A Connor nie godził się z najgorszą możliwością. Siostra na pewno żyła. Wierzył w to całym sercem.

Maggie wciąż nie spała.

Słyszał, jak chodzi po swoim pokoju. Wyobraził sobie, jak się rozbiera do spania. Zobaczył jej doskonałe ciało oświetlone ogniem z kominka, ciemne włosy wijące się na ramionach. Delikatne ciało stworzone do miłości. Stworzone dla niego. Pomieszane uczucia samotności i tęsknoty wydały mu się teraz trudniejsze do zniesienia niż najbardziej skomplikowane sprawy w sądzie. Był kompletnie bezbronny. I czuł się winny, że ją kocha.

Było mu już wszystko jedno, czy kłamała na temat swojej przeszłości; mogła być nawet córką śmieciarza, nie robiło mu to żadnej różnicy. Oboje chyba oszaleli. Miał wrażenie, że stracił już umiejętność rozsądnego myślenia. Od tej poniżającej nocy, kiedy w ulewie zamordował stracha na wróble, wiedział, jakby zareagował, gdyby ktokolwiek próbował ją skrzywdzić. Na samą myśl o tym ogarniała go dzika furia.

Jego rywale mieli rację. Za wizerunkiem opanowanego, cywilizowanego człowieka kryło się mroczne serce barbarzyńcy. Człowiek, który decydował o skazaniu lub uniewinnieniu innych, sam zdolny był do popełnienia morderstwa. Zabiłby każdego, kto by jej tknął.



Maggie cicho weszła do pokoju i zatrzymała się na środku; przez uchylone zasłony przy łóżku zobaczyła Connora. Ujęła kołdrę, żeby go przykryć. Zupełnie nie dbał o swoje zdrowie. W pierwszej chwili wzruszył ją widok jego ciała, wyglądał jak mały chłopiec. Jednak po bliższym przyjrzeniu się musiała przyznać, że nie ma w nim nic małego. I nie spał - wpatrywał się w nią intensywnie. Był zupełnie nagi i bezwstydnie nie zrobił żadnego gestu, żeby się przykryć.

- Jeśli mnie dotkniesz, nie ręczę za siebie - powiedział niskim głosem, opierając się na ramieniu.

Opuściła kołdrę na łóżko.

- Nie będzie pan chyba straszył mnie pistoletem? Nagle usiadł i spytał:

- Co robisz w moim pokoju? Czy w domu jest jakiś niebezpieczny strach na wróble?

- Ten sarkazm jest zupełnie niepotrzebny. Chciałam po prostu się upewnić, że wrócił pan ze spotkania z szeryfem i wszystko jest w porządku.

Błysnął zębami w uśmiechu. Pomyślała, że Connor ma w sobie coś z groźnego lwa, dzikiego i nieprzewidywalnego w reakcjach. Pokój pasował do jego osobowości, było tu tylko kilka prostych mebli i skórzana tarcza herbowa na ścianie.

- U mnie wszystko w porządku - powiedział. - A u pani?

- Czuję się dość głupio, jeśli musi pan wiedzieć - przyznała, odwracając się od niego. - Nie wiem, dlaczego w ogóle się o pana niepokoiłam.

- Co miałyby mi się stać? - spytał rozbawionym tonem. Zerknęła na niego poirytowana.

- Zostałam wychowana przez niekonwencjonalnych rodziców o liberalnych przekonaniach. Mimo to trudno mi podtrzymać konwersację z nagim mężczyzną w jego sypialni. Mógłby pan okazać trochę przyzwoitości.

Connor parsknął po nosem.

- Czy mogę spytać, kto przyszedł do sypialni nagiego mężczyzny?

- To nie ma żadnego znaczenia.

Przeturlał się na brzuch, uśmiechając się do siebie z samczą satysfakcją.

- Wydaje mi się, że nie tylko troskliwość sprowadziła cię do mojego pokoju.

Maggie pomyślała, że powinna odsunąć się od łóżka, ale jakaś perwersyjna ciekawość trzymała ją w miejscu.

- Mianowicie cóż takiego? Szerzej się uśmiechnął.

- Pociąg seksualny, przed którym kiedyś cię przestrzegałem. Zmarszczyła czoło, starając się oderwać wzrok od jego nagiego torsu. Co za wspaniały mężczyzna.

- Nie mówi pan chyba o tej dziecinnej historii z dziewicą i lwem?

- Właśnie o tym mówię. - Pochylił się do przodu, niedbale obwiązując się w pasie prześcieradłem. - Pociąg seksualny to ogromna siła. Sprawia, że ludzie zupełnie tracą rozum.

Maggie odchrząknęła, kiedy wstał z łóżka i stanął obok, przeciągając ręce nad głową. Jego pierś i ramiona były tak potężne. A biodra tak wąskie, że przy głębszym oddechu zgubiły to prześcieradło.

- Dobranoc, milordzie - powiedziała zdecydowanym tonem. - Przepraszam, że panu przeszkodziłam. Wychodzę, zanim któreś z nas straci rozum.

Nie zdążyła jeszcze podejść do drzwi, kiedy poczuła, że Connor stoi tuż za nią. Bił od niego taki żar, że gdyby się teraz odwróciła, niechybnie osunęłaby się w jego ramiona. Jego przesycony zapachem whisky oddech muskał jej włosy. Pokusa była coraz silniejsza.

- Nie słyszałam, żeby się pan ubrał - powiedziała zaczepnie.

- Wcale się nie ubrałem.

- W takim razie oprócz tego prześcieradła, jest pan...

- Goły jak nowo narodzone dziecko.

- Tylko trochę większy.

- Tak... - Usłyszała w jego głosie nutę rozbawienia. - Prawdę mówiąc, dużo większy.

- Może mi pan oszczędzić szczegółów.

Delikatnym gestem odgarnął kosmyk włosów z jej ramienia.

- Zimno tu przy drzwiach. Chodź ze mną do łóżka. Ogrzejemy się...

Maggie zupełnie nie czuła zimna. Szczególnie kiedy musnął ustami jej kark, a potem zaczął całować ramię. Jeśli natychmiast stąd nie wyjdzie, będzie zgubiona.

- Nadal chcesz otulić mnie do snu? - zapytał, tłumiąc śmiech. - Maggie, kochanie, następnym razem, kiedy zapragniesz wślizgnąć się do mojego łóżka, nie musisz używać tak patetycznych wymówek. Nie potrzebujesz zaproszenia, moje drzwi są zawsze otwarte. Wiem, że mnie pragniesz, dziewczyno. Ja też cię pragnę.

Maggie z trudem przełknęła ślinę, zdawszy sobie sprawę, że jej intencje zostały sprowadzone do najbardziej niskich pobudek, jakie mogła sobie wyobrazić. Jego samcza arogancja była wprost okropna. Kopnęłaby go teraz, gdyby miała odwagę się odwrócić.

- Mam wrażenie, że doszło między nami do nieporozumienia, milordzie.

- Och, z pewnością. - Najwidoczniej bawiło go drażnienie się z nią. Czuła, że uśmiecha się jak satyr, pewny swojej męskiej atrakcyjności. - Proszę, otul mnie jednak do snu. - Przesunął ręce po jej tali i położył dłonie na piersiach. - Nie zasnę, dopóki tego nie zrobisz.

Uśmiechnęła się, zdając sobie sprawę, jak bardzo go pragnie.

- Chce pan, żeby otulić pana do snu, tak?

Zaparło jej dech, kiedy przycisnął ją do siebie, delikatnie pieszcząc piersi.

- Tak, bardzo cię proszę - szepnął, całując ją w szyję.

W tym momencie wyraźnie poczuła, jak bardzo jest podniecony.

- Czy może pan poczekać chwilę? - spytała w zamyśleniu.

Connor przesunął koniuszkiem języka po jej uchu i powiedział ochryplym z podniecenia głosem:

- Nie każ mi długo czekać. Jestem niecierpliwy.

Maggie oparła się o ścianę, przygryzając wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem. W korytarzu rozbrzmiewały dzikie wrzaski. Nigdy jej nie wybaczy, że poprosiła o pomoc gospodynię, ale nie mogła sobie odmówić przyjemności tej drobnej zemsty. Czy jego rozbuchana męska próżność nie prosiła się wprost o upomnienie? „Wiem, że mnie pragniesz, dziewczyno”. Rzeczywiście...

- Doprawdy, milordzie! Kompletnie nagi. Nie wierzę własnym oczom.

- To niech pani, do cholery, zamknie oczy, pani Urquhart, albo ma przynajmniej przyzwoitość, żeby się odwrócić. Kto kazał pani wtargnąć bez zaproszenia do mojego pokoju w środku nocy?

Gospodyni podniosła ton do wibrującego sopranu.

- Sądziłam, że jest panu zimno i trzeba pana przykryć.  
- Czy ja wyglądam na dziecko, pani Urquhart?  
- Przyzwoitość nie pozwala mi przyjrzeć się na tyle dokładnie, żeby odpowiedzieć na to pytanie, milordzie.

- Panna Saunders mi za to zapłaci. - Jego głos jak grzmot dudnił w całym domu. - Mam nadzieję, że mnie teraz słyszy.

Maggie zachichotała i szepnęła do siebie w ciemnościach:

- O tak, doskonale pana słyszę.  
- Ta troskliwa młoda dama wypełniła jedynie pana polecenie. - Gospodyni nie dawała za wygraną. - Bardzo dziwne polecenie.  
- Na pewno... Chciała mnie po prostu skompromitować.  
- Proszę wybaczyć, milordzie, ale sam się pan kompromituje, przyjmując kobiety w swoim pokoju niekompletnie ubrany, jeśli tak to można nazwać.

- Nikogo nie wołałem, tępa kobieto.  
- A teraz mnie pan obraża. Wiedziałam, że tak będzie. Ale proszę mi odpowiedzieć, czy chciał pan, żeby pana otulić, czy nie?

Connor podszedł do szafy i z rozmachem otworzył jej drzwi.

- Niechże pani przestanie używać tego idiotycznego określenia. I kto, do wszystkich diabłów, wyniósł stąd moje rzeczy? Co robią tu te cholerne suknie?

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, milordzie. Maggie drgnęła, słysząc huk zamykanej z trzaskiem szafy.

Prawie jednocześnie rozległ się cichy okrzyk pani Urquhart. Czyżby paradował zupełnie nago przed tą biedną kobietą?

- Nie jesteśmy na sali sądowej, pani Urquhart - powiedział Connor. - Przypominam pani, że to mój dom. Pracuje pani u mnie, a ja nie jestem tu oskarżonym. Nie muszę odpowiadać na pani głupie pytania. Psiakrew, gdzie są moje spodnie?

- Lady Małgorzata zaniósła je do prania, milordzie.

- Co zrobiła?

Gospodyni zaczęła się wycofywać na korytarz. Maggie błyskawicznie odwróciła się, żeby na palcach uciec do swego pokoju. Za późno. Connor stał w drzwiach, przesywając ją wściekłym wzrokiem. Jedną ręką podpierał się pod bok, a drugą przytrzymywał przed sobą ogromną tarczę herbową z wspartym na tylnych łapach lwem Buchananów.

- Dobrze się pani bawiła, panno Saunders?

- Czy dobrze się bawiłam? - spytała, udając niewiniątko. Zatrzasnął jej przed nosem drzwi. Z pokoju nadal dobiegały głośne pomruki. Hałasy wyciągnęły z łóżek służbę, która z zaciekawieniem spoglądała w górę schodów.

- Dlaczego lord Buchanan nosi przed sobą tarczę herbową? - spytała jedna ze zdumionych służących.

- Ten chłopak ma krzepę - z dumą stwierdził Dougie. - Drzwi prawie wyleciały z zawiasów, kiedy nimi walnął.

Pani Urquhart zbiegła po schodach, mrużąc coś pod nosem.

- Może i ma krzepę, ale chyba coś mu się pomieszało w głowie.

- Otuliłaś go na noc? - spytał Dougie.

- Nie! I daj mi spokój! Dougie wyglądał na zdziwionego.

- Dlaczego?

- Bo był całkiem goły, ty stary idioto. Leżał w łóżku jak... jak...

- Grecki posąg. - Maggie podeszła do szczytu schodów i spojrzała na tłumek na dole. Ktoś musiał wprowadzić trochę porządku w tym domu albo ogarnie ich całkowity chaos. Sprawy wymknęły się Connorowi zupełnie spod kontroli. Na szczęście Maggie będzie mogła pomóc mu w tej sprawie.

- Wszyscy do łóżek - powiedziała, klaszcząc w dłonie, żeby przyciągnąć uwagę służby. - Styl ubierania się jego lordowskiej mości nie powinien nikogo obchodzić, a jeśli ma ochotę wyrywać drzwi z zawiasów w swoim własnym domu, to wyłącznie jego sprawa. Najwyraźniej zmienił zdanie i stwierdził, że niepotrzebne mu dziś w nocy dodatkowe przykrycie. To również jego prawo. Pilnujcie lepiej swoich obowiązków. Zrozumiano?

Męska część służby rozchodziła się z niezadowoleniem, mamrocząc pod nosem, że muszą słuchać tej nieznośnej dziewczyny, która wyprowadza z równowagi ich pana. Natomiast kobiety z wyraźną ulgą przyjęły to jako znak, że ktoś nareszcie weźmie w tym domu sprawy w swoje ręce.

Maggie kiwnęła głową z zadowoleniem i odwróciła się od schodów. Z pokoju Connora dochodziły odgłosy, świadczące o tym, że wciąż miota się wściekle jak zwierzę po klatce. Pomyślała, że jego lordowska mość nie daje domownikom najlepszego przykładu. No cóż, ale przynajmniej jej udało się zapanować nad sytuacją.

Jutro zajmie się oswojeniem dzikiej bestii.

## Rozdział 26

List od Sheeny nadszedł następnego ranka. Connor usiadł na schodach i czytał go w ponurym milczeniu. Wuj przysłał list z Edynburga za pośrednictwem umyślnego. Treść była krótka, ale podtrzymująca na duchu. Westchnął z ulgą rozpoznając od razu pismo siostry.

Connorze,

wiesz już pewnie, że zostałam porwana. Żyję. Porywacz traktuje mnie dobrze. Właściwie to jest sympatyczniejszy dla mnie, niż ty kiedykolwiek byłeś.

Twoja cierpiąca siostra, Sheena PS Mam nadzieję, że czujesz się winny za moje zrujnowane życie.

- Może ten list jest sfalszowany - powiedziała Maggie, pozwoliwszy sobie przeczytać treść przez ramię Connora.

- To Sheena.

Oparł rękę o balustradę schodów i zapatrzył się przed siebie. Nie miał zamiaru ukrywać przed Maggie ani listu, ani tego, że jego stosunki z siostrą nie zawsze układały się najlepiej. Jego osobiste życie przewróciło się ostatnio zupełnie do góry nogami, a Maggie była teraz jego częścią. Dzięki Bogu, że Sheena żyła.

- Przynajmniej jest cała i zdrowa - powiedziała cicho Maggie.

- Tak.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Niech się pan nie martwi. Wszystko dobrze się skończy.

- Mam nadzieję. Z listu nie wynika, żeby była przerażona, nie sądzi pani?

Maggie popatrzyła na niego z troską w oczach.

- Wiem, że ten list sprawił panu ból i pewnie wolałby pan nie brać za to wszystko odpowiedzialności, ale, moim zdaniem, jest pan szczęściarzem.

- Szczęściarzem? Z taką rodziną jak moja? Milczała przez chwilę.

- Chciałabym mieć rodzinę, o którą musiałabym się martwić. Connor przyjrzał jej się uważnie.

- Czy nie wystarczy, że jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem? Musi pani być jeszcze tak cholernie współczująca?

- Wgląda pan na zmęczonego - powiedziała Maggie łagodnie. - Chyba nie spał pan dobrze.

Zmrużył oczy. Znowu przez całą noc nie spał, starając się sobie przypomnieć nazwiska wszystkich przestępców, którym się naraził. Może któryś z nich porwał Sheenę.

Poza tym czekał na Maggie, aż wróci do jego pokoju. Marzył o tym, żeby go rozweseliła teraz, kiedy miał ochotę płakać, chciał poczuć się przy niej silny, bo naprawdę był zupełnie bezradny.

- Spodziewała się pani, że zasnę po tej kompromitacji przed całą służbą? - spytał ponuro.

- Ach... - Pochyliła się, żeby rozwiązać baletki. - Wciąż pamięta pan o tym śmiesznym incydencie.

Connor zmarszczył czoło, wpatrując się w jej krągłe pośladki. Pracował w gabinecie, kiedy nadjechał posłaniec. Maggie ćwiczyła baletowe figury na galeryjce tuż za drzwiami gabinetu, używając poręczy zamiast drążka. Nie był w stanie na niczym się skupić.

Jej ciemne włosy związane były luźno różową wstążeczką, a kilka kosmyków wiło się wokół twarzy. Muślinowy kostium do ćwiczeń baletowych podkreślał wszystkie szczegóły jej ciała, od piersi po cudownie proporcjonalną pupę. Było w tym coś prowokującego i ogromnie erotycznego.

- Idę na spacer do lasu - powiedział. - Nie mogę teraz pracować. Niech pani powie gospodyni, że wrócę po zmroku.

Maggie wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

- Sam, do lasu? A jeśli ktoś będzie pana śledził?

- Doskonale dam sobie radę.

Podeszła bliżej i powiedziała z przekonaniem:

- Nie powinien pan być sam w takiej chwili.

- W jakiej chwili?

- Idę z panem - powiedziała zdecydowanym tonem. Sam z nią w lesie. Ogarnęła go straszliwa pokusa.

- Nie może pani iść ze mną. Lasy są zbyt niebezpieczne.

- Niebezpieczne?

- Pełno tam dzikich zwierząt. - Zerknął tęsknie na wgłębienie jej ramienia. Prawie czuł smak jej skóry. - Bestie... - dodał. - Kłusownicy i szalone kobiety ze strzelbami. Ale najbardziej obawiam się dzikiego zwierza. Kryją się za drzewami i czekają tylko na okazję, żeby pożreć niewinne młode kobiety.

Maggie podniosła na niego oczy, spokojnie przyjmując wyzwanie.

- Nie boję się dzikich zwierząt. Martwię się natomiast o Claude'a. Już dawno powinien być w domu. A jeśli zgubili się gdzieś z tym zapijaczonym woźnicą? Poza tym razem będziemy bezpieczniejsi. Niech pan zaczeka. Pójdę się przebrać.

Connor westchnął ciężko, przyglądając się, jak dziewczyna wbiega na górę w tym prowokującym stroju. Boże, ależ ona miała cudowne ciało. Nic dziwnego, że ojciec zabronił jej tańczyć.

- Ostrzegam panią! - zawołał. - Nie będę miłym towarzyszem. Nie odezwę się ani słowem.

1 rudno było ignorować Małgorzatę Marię Antoninę de Saint - Evremond, kiedy sobie tego nie życzyła. Usta jej się nie zamykały. Zarzuciła go mnóstwem rad na tematy, które zupełnie go nie interesowały, na przykład, jak dawać sobie radę ze służbą i kłusownikami albo jakie grzyby są trujące. Podskakując, szła za nim w błękitnej bawełnianej sukience i kapeluszu. Connor zataczał koła i wchodził w najgęstsze zarośla, mając nadzieję, że ją zmęczy albo przynajmniej uciszy.

- Uwielbiam spacerować po lesie - powiedziała, z trudem za nim nadążając.

- Ja również - odezwał się półgębkiem. - Samotne.

- Codziennie, bez względu na pogodę, bawiliśmy się w lasach koło zamku. Jeanette była zawsze księżniczką, a Robert rycerzem, który ją ratuje.

- A kim pani była?

- Czarownicą albo smokiem, który ją więził. Zerknął na nią z ciekawością.

- Smokiem?

- Podkradałam wujowi fajkę i puszczałam nosem dym... Och, niech pan uważa.

Z taką determinacją krążył po największych chaszczach, żeby ją zmęczyć, że teraz o mało nie przewrócił się o sterczącą płataninę korzeni. W ostatniej chwili złapał równowagę i podał Maggie rękę, żeby bezpiecznie przeszła przez przeszkodę.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Jest pan całkiem miłym mężczyzną, jeśli pan zechce.

- A pani jest naiwna, panno Saunders.

- To nieprawda.



- Ależ tak. Wierzy pani, że dobroć jest nawet w najgorszych kryminalistach Edynburga. Zaryzykowała pani życie i reputację, aby ratować stukniętego staruszka, który nie pamięta nawet pani imienia. W rzeczywistości nikt nie jest dla nikogo dobry, chyba że oczekuje z tego jakiejś korzyści. To podstawowa życiowa zasada.

- Nie jest pan pierwszą osobą, która mi to mówi - odparła. - Jednak przez ponad dwadzieścia lat byłam dość szczęśliwa i nie mam teraz zamiaru się zmieniać. A przy okazji, czego pan ode mnie oczekuje? Czy jest pan może wyjątkiem od tej zasady?

- Oczekuję, że pomoże mi pani odnaleźć siostrę. Maggie zatrzymała się wzburzona.

- Każdy przyzwoity człowiek by to zrobił.

- Właściwie oczekuję czegoś więcej - dodał cicho. Maggie podniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Odjęło

jej mowę. Connor ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Serce zabiło jej mocniej na widok jego roznamiętnionego spojrzenia.

Spuściła wzrok.

- Czy prosi pan o pozwolenie, żeby się do mnie zalecać?

- Właśnie się do ciebie zalecam, dziewczyno - powiedział z rozbawieniem.

Dotknął wargami jej ust i przyciągnął ją mocniej. Maggie przywarła do jego piersi, przymykając oczy. Mogłaby zostać w jego ramionach na całą wieczność.

- Powinien pan chyba wiedzieć, że Herszt nie pozwoliłby żadnemu mężczyźnie dotykać mnie w nieprzyzwoity sposób - szepnęła.

- Ja też bym nie pozwolił.

Zaniknął oczy i przesunął dłonie po jej biodrach. Potem pocałował ją mocniej, na co zareagowała tak rozkosznie, że zakreśliło mu się w głowie. Zamiast się wyrywać, przywierała do niego coraz namiętniej. Connor bał się, że poślizgnie się na tych cholernych korzeniach i za chwilę oboje na nich wylądują.

- Czuję się strasznie, gdyby Herszt zrobił panu coś złego za zalecanie się do mnie - powiedziała Maggie cicho.

- Ja też. Boże, jaka jesteś słodka. Ukląkł i pociągnął ją za sobą na ziemię, na mech, który, na szczęście, dostrzegł tuż obok przeklętych korzeni. Pochylił się nad nią i szepnął rozgorączkowany: - Tak bardzo

cię pragnę, że nie mogę spać w nocy. Nie mogę pracować ani nawet rozsądnie myśleć.

Szczenie zabłysło w jej oczach.

- Jakże mi przykro z tego powodu.

- Tak, właśnie widzę, jak ogromnie ci przykro.

- No cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mi to było niemiłe. Kiedy po raz pierwszy...

Umilkła, kiedy przesunął palcami po jej szyi i piersiach i zaczął rozpinąć sukienkę. Uśmiech znikł z jego twarzy, ustępując miejsca skupieniu. Wesołość zamieniła się w mroczne pożądanie. Poczwała jego rękę pod spódnicą.

- Nie masz pończoch - wyszeptał zdumiony.

- Nigdy nie wkładam pończoch, kiedy idę do lasu. Lubię czuć ziemię pod stopami. Mój nauczyciel tańca mówił zawsze, że to wzmacnia mięśnie.

Nagle znów przymknęła oczy i uśmiechnęła się błogo. Connor zastanawiał się, czy robi to specjalnie, żeby go oczarować, czy jest to naturalne. Jej wargi były wilgotne i kuszące. Włosy spadały swobodnie na ramiona. Wydawało mu się, że za chwilę oszaleje. Musiał mieć tę dziewczynę.

- Powinien pan sam tego spróbować - powiedziała cicho, z przyjemnością przesuając gołą stopą po ziemi.

Potarł kciukiem zagłębienie pod jej kolanem.

- Maggie, jeśli moje mięśnie miałyby być jeszcze bardziej napięte w tej chwili, to aresztowano by mnie za nieprzyzwoite obnażanie się.

Otworzyła oczy i spojrzała na jego twarz. Connor przyprawiał ją o dreszcze.

- Co pan powiedział? - spytała, wciąż pod wrażeniem pieszczot.

- Nic. - Podniecało go każde drgnienie jej ciała. Ciche westchnienia, sposób, w jaki przymykała oczy. Jakies pół mili stąd jest myśliwska chatka - powiedział. - Możemy być tam sami, jak długo zechcemy. Maggie, nie każ mi czekać. Znęcasz się nade mną.

Napięcie w jego głosie wyrwało ją z błogiego transu. Leniwie otworzyła oczy. Mimo braku doświadczenia w sprawach seksualnych, doskonale wiedziała, o co Connor prosi. Jednak zanim zdążyła odpowiedzieć, po jej plecach przeszedł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z myślą o utracie cnoty.

Nagle stanęła jej przed oczami tapiseria, lew i księżniczka, tak wpatrzeni w siebie, że nie dostrzegają czającego się w pobliżu wroga.

Connor odetchnął głębiej i powiedział:

- Zrozumiem, jeśli odmówisz. Ale i tak będziesz moja, dzisiaj albo...

- Nie jesteśmy sami - powiedziała półgłosem.

Natychmiast spowaźniał.

- Gdzie?

Maggie patrzyła ponad jego ramieniem zbyt przerażona, żeby wymówić słowo. To nie była gra jej wyobraźni. Ktoś ich obserwował. Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej?

W zagajniku przesunął się jakiś cień. Cień człowieka.

Connor odwrócił się i oboje jednocześnie dostrzegli za drzewami postać ze szpadą błyszczącą u boku.

## Rozdział 27

Był to tylko Claude.

Connor później upierał się, że cały czas o tym wiedział, ale Maggie zauważyła, że strasznie zbladł i rzucił się, by osłonić ją ciałem. Jedno było pewne - nagłe pojawienie się Claude'a zniweczyło grzeszne plany Connora. Ku swojemu zawstydzeniu, Maggie czuła większe rozczarowanie niż ulgę. Jej ciało wciąż wibrowało z podniecenia.

- Kto, do diabła, spodziewałby się spotkać lokaja w środku lasu?  
- burknął pod nosem Connor.

Maggie zapięła sukienkę i wstała.

- Pewnie się zgubił. Niech pan go tylko nie urazi.

- Nie zgubiłem się, milady - oświadczył Claude, udając, że nie zauważył tego, co przed chwilą działo się na mchu. - Przyszedłem panią ostrzec.

- Przed czym? - spytał Connor, biorąc głęboki oddech. Maggie z niedowierzaniem przyglądała się lokajowi. Zawsze

nieskazitelnie schludny, Claude miał teraz na sobie rozdarty surdut, a rozwichrzone włosy sterczały na wszystkie strony.

- Co ci się, na Boga, stało? - wykrzyknęła. Uwagę Connora przykuła broń w dłoni staruszka.

- Odłóż te szpadę, Claude. W tych lasach nic nam nie grozi.

- Ależ tak - wtrąciła się Maggie. - Sam mi pan mówił o dzikich bestiach, czyhających za drzewami.

- Jestem żywym dowodem, że nie jest tu bezpiecznie. - Claude dramatycznym gestem machnął szpadą. - Niecałą godzinę temu stoczyłem walkę z jednym z porywaczy. Zostawiłem jego ciało nad strumieniem i natychmiast wróciłem do domu, gdzie mi powiedziano, że zabrał pan moją panią do lasu.

Connor starał się to ułożyć w jakąś logiczną całość. Był pod takim wrażeniem tego, co stało się między nimi przed chwilą, że nie mógł zebrać myśli.

- Ciało? Jakie ciało?

- Właśnie panu powiedział. - Maggie wzdrygnęła się lekko. - Zabił jednego z porywaczy. Och, co za ulga. Teraz musimy już tylko odnaleźć pańską siostrę.

Connor oparł się o drzewo. Z Maggie i swoją rodziną, będzie szczęściarzem, jeśli dożyje pięćdziesiątki.

- Skąd może pani wiedzieć, że to był porywacz? To niemożliwe. O mój Boże, pewnie zabił któregoś z moich sąsiadów.

- Czy dobrze się pan czuje, milordzie? - spytał Claude, zbliżając się i patrząc uważnie na twarz Connora. - Zrobił się pan zupełnie zielony.

- Wygląda, jakby miał zemdleć - stwierdziła z troską w głosie Maggie. - Jak na człowieka, który styka się z mordercami, wydaje się mieć bardzo wrażliwą naturę. Wystraszyłeś go.

Connor poczuł się urażony.

- Nigdy w życiu nie zemdlałem.

- Niech się pan rozluźni, milordzie. - Claude poklepał go po ramieniu. - Nie ma się czego wstydzić. Może pan usiądzie?

- Tak, niech pan usiądzie, milordzie.

Oboje zaczęli szarpać Connora, starając się zmusić go, by usiadł. Odepchnął ich ze złością.

- Zostawcie mnie. Nie mam zamiaru siadać.

- Czasem nie wie pan, co jest dla pana dobre. - Maggie wypowiedziała te słowa powoli i z naciskiem, jakby stracił zdolność rozumienia mowy ludzkiej. - Przeżył pan szok. Niech pan usiądzie, przestanie zachowywać się jak dziecko i spuści głowę między nogi.

Oczywiście, nie było żadnego ciała.

No cóż, ale czego Connor właściwie się spodziewał. Maggie uwierzyła w opowieść Claude'a, ponieważ wciąż była pod wrażeniem tragicznych wydarzeń związanych z porwaniem Sheeny. Lokaj wierzył we własną opowieść, bo był niedołąźny, ledwo widział i żył wciąż wspomnieniem dawno minionych czasów, kiedy staczano pojedynki na szpady. Connor podejrzewał, że staruszek prawdopodobnie zaatakował jakieś drzewo. W końcu sam pomylił niedawno stracha na wróble z żywym człowiekiem. Wyobraźnia płata nam czasem figle.

- Ależ zostawiłem tutaj jego zwłoki... Ugodziłem go w ramię, milordzie - tłumaczył zmieszany Claude.

- Może to się stało przy innym strumieniu? - spytała łagodnie Maggie.

- To było tutaj.

Claude z przekonaniem wskazywał końcem szpady miejsce, gdzie Connor przerzucał teraz na czworakach gałęzie i suche liście w poszukiwaniu zwłok.

- Odłóż tę szpadę, Claude, bo zrobisz komuś krzywdę - upomniął go oschle.

- Już kogoś zabił - przypomniała Maggie, patrząc przez palce ponad ramieniem Connora, jakby się bała, czy naprawdę czegoś tam nie znajdzie.

- A może tylko go zraniłem - po długim wahaniu powiedział Claude.

Connor wstał i otrzepał się.

- A może to wszystko sobie wyobraziłeś.

- Znał moje imię, milordzie - powiedział w zamyśleniu lokaj. - Pytał, gdzie jest lady Małgorzata, i wtedy właśnie stwierdziłem, że to już zbyt wiele, i się na niego rzuciłem.

Connor postanowił udawać, że wierzy w tę historię, jeśli nie dla przyjemności tego biednego staruszka, to dla Maggie.

- Stoczyliście walkę? Oczy Claude'a zabłyśły.

- Och, tak, milordzie. To był świetny szermierz. Walczyliśmy dość długo, a potem chyba go zmęczyłem. Ale bił się naprawdę w stylu godnym podziwu.

Connor wydał wargi, starając się wyobrazić sobie tę scenę.

- Rozdarł surdut Claude'a - przypomniała Maggie. - Nie może pan temu zaprzeczyć.

Staruszek uśmiechnął się słabo.

- Właściwie surdut rozdarłem, kiedy woźnica wjechał w żywopłot. Porywacz nic mi nie zrobił. Byłem zbyt zręczny. - Chwycił gałąź z ziemi, podrzucił ją i przeciął w powietrzu szpadą z okrzykiem: En garde!

Connor potrząsnął głową. Zrozumiał, że cokolwiek by powiedział, nie przekona Maggie i Claude'a. Może powinien po prostu udawać, że im wierzy. Najważniejsze, że Sheena żyje, a skoro zależało mu na względach Maggie, to musiał być miły dla Claude'a. Zresztą nie będzie go to wiele kosztowało.

- Świetna robota, Claude. - Z aprobatą pokiwał głową. - Dobrze wiedzieć, że umiesz chronić swoją panią, kiedy mnie nie ma.

- Dziękuję, milordzie - z powagą odparł staruszek. - Gdybym tylko to samo mógł powiedzieć o panu.

Connor patrzył przed siebie, jakby nie usłyszał tej ironii.

- Skoro tak sprawnie załatwiłeś tę sprawę, bez jednego zadraśnięcia, będziemy dziś mogli spokojnie spać.

Maggie i Claude wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Ale najwyraźniej go nie zabiłem, milordzie - powoli stwierdził Claude. - Chyba że go jednak zabiłem, a jego towarzysze zabrali ciało. Nie brałem pod uwagę tej możliwości.

- Jego towarzysze? - Connor zerknął na nich z cynicznym uśmiechem błędzącym w kącikach ust.

Maggie nie podzielała jego rozbawienia.

- Musi go pan odnaleźć. Ranny szaleniec może być strasznie niebezpieczny.

Connor pomyślał, że teraz to już przesadziła.

- Nie wiem nawet, jak on wygląda.

- Ja też nie - przyznał Claude. - Był ubrany na czarno i miał maskę. Oczywiście, jest w tej chwili śmiertelnie ranny. To może pomóc w identyfikacji.

Maggie popatrzyła na Connora z niezachwianym zaufaniem.

- Znajdź go, milordzie. Znajdź go, póki nie będzie za późno.

Connor wydał z siebie głośne westchnienie. Gdyby im nie przerwano, byłby teraz w siódmym niebie, nagi u jej boku w myśliwskiej chatce nad jeziorem. Na dziś to wszystko, jeśli chodzi o erotyczne fantazje. Oboje z Claude'em rozglądali się, jakby w każdej chwili spodziewali się ataku bandy uzbrojonych rzezimieszków. Miało to pewnie jakiś związek z przeszłością Maggie. Cały jej świat zawalił się w ciągu jednej tragicznej nocy. Miała powody, by być ostrożna. Straciła dom, rodzinę i poczucie bezpieczeństwa.

Rozumiał to. On również nosił w sobie taki ból, ale utrata rodziców zmusiła go, by skrył się pod pancierzem oddzielającym go od okrutnego świata. Siła Maggie tkwiła w niej, w uczuciach, którymi się kierowała. Szczerze jej zazdrościł. To dzięki temu udało jej się przeżyć. Była jednak tak wrażliwa. I potrzebowała czyjejś opieki.

Potrzebowali się nawzajem. Ta kobieta była tym, czego brakowało w jego życiu.

Bezradnym gestem wyrzucił w górę ramiona.

- Dobrze. Poszukam tego rannego człowieka - powiedział przekonany, że nikt taki nie istnieje, chociaż - niech Bóg broni - istniała możliwość, że Claude zaatakował jakiegoś kłusownika albo któregoś z sąsiadów. - Ale najpierw muszę zaprowadzić Maggie do domu.

Tak naprawdę nie miał ochoty jej nigdzie odprowadzać. Wciąż chodziły mu po głowie grzeszne myśli, mimo iż nie wyglądała teraz na usposobioną do miłosnych igraszek. A szkoda. Tylko kochanie się z nią mogło poprawić mu nastrój.

Zrezygnowany, ruszył przed siebie. Chyba zwariował, żeby ścigać nie istniejącego złoczyńcę dla przyjemności nawiedzonego staruszka i jego uroczej pani. Poczul się jak zwierzak złapany na smycz.

Pod domem Maggie zamyśliła się na chwilę, po czym spojrzała na Claude'a.

- Cała ta sprawa bardziej go wzburzyła, niż to okazuje. Jest zbyt dumny, by przyznać się do strachu.

- Rzeczywiście wyglądał na zmienionego - przytaknął lokaj.

- Może powinienesz za nim iść, żeby nie wpadł w jakąś zasadzkę.

- Albo żeby się nie potknął o leżące na ziemi zwłoki.

- Idź z nim, Claude. Jest silny jak tur, ale tak strasznie zbladł, kiedy wspomniał o pojedynku. Czasem myślę, że on żyje w jakimś nierealnym świecie. Tak wiele energii poświęca innym ludziom, a nie umie zadbać o siebie. Wydaje mu się, że jest taki twardy.

- Będę go osłaniał, milady.

- Wiem, że przy tobie będzie bezpieczny.



## Rozdział 28

Connor ledwie trzymał się na nogach, gdy w końcu wrócił do domu. Przetrzęsął każdy krzak na wzgórzach i nad strumieniami w obrębie całej swojej posiadłości, w okolicznych lasach i przy wszystkich drogach, którymi mógł uciekać zraniony mężczyzna. Był tak wycieńczony pod koniec poszukiwań, że pewnie nie miałby siły stawić mu czoła, gdyby go odnalazł. Jednak na widok Maggie biegnącej korytarzem poczuł nagły przypływ energii.

To z jej powodu spędził pięć godzin na pochlebianiu zgrzybiałemu staruszkowi i udawaniu, że szuka zwłok człowieka, który nigdy nie istniał. Ale zdążył jej już wybaczyć. Bezwiednie uśmiechnął się na myśl, jak mogłaby mu to wynagrodzić.

- Dzięki Bogu, jest pan nareszcie w domu cały i zdrowy, milordzie. - Uścisnęła go tak wylewnie, jakby wrócił z wyprawy krzyżowej. - Znalazł pan jakieś ślady?

Connor odwrócił się tak, że Maggie musiała prawie oprzeć się o ścianę. Stała przed nim mała i bezbronna. Czuł coraz większe podniecenie na wspomnienie jej słodkiego, ciepłego ciała, które tak chętnie odpowiadało na jego pieszczoty.

- Sądzi pan, że ten człowiek jest wciąż gdzieś w pobliżu? - szepnęła z niepokojem. - Myśli pan, że miałby śmiałość włamać się do domu?

- Nie wiadomo, ale na wszelki wypadek powinnaś trzymać się cały czas blisko mnie. Może byłoby nawet dobrym pomysłem, żebyś spała dziś w moim pokoju.

Maggie przywarła ramionami do ściany, starając się ukryć uśmiech.

- To rzeczywiście dobry pomysł.

Podobało mu się, jak jej oczy lśnią w blasku świecy. Zupełnie jakby słońce odbijało się w morzu. Podobały mu się jej luźno spadające na ramiona, splecione w pukle włosy. Wyobrażał sobie, że tak właśnie wyglądałaby po namiętnej nocy w jego ramionach. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie, żeby pocałować.

- Słyszę jakieś głosy w salonie - powiedział, gwałtownie podnosząc głowę. - Skąd wzięli się tu ci ludzie?

Maggie próbowała uwolnić się z jego ramion.

- Musiałam zawiadomić sąsiadów, że w okolicy jest niebezpieczny ranny mężczyzna.

- Dlaczego to zrobiłaś, Maggie?

- Ponieważ... Czy będziemy od tej pory po imieniu, milordzie?

- Tak. Dziś w lesie przekroczyliśmy granicę, od której nie ma odwrotu. Cały czas o tobie myślałem.

- Jestem wzruszona, Connorze, zwłaszcza że miałeś ważniejsze sprawy na głowie, jak poszukiwanie tego...

Zamknął jej usta długim zmysłowym pocałunkiem. Maggie przywarła do niego, kiedy wsunął język między jej wargi i całym ciałem przycisnął ją do ściany. Zawrót głowy spowodował, że pewnie osunęłaby się na ziemię, gdyby jej nie trzymał.

- Powiedz sąsiadom, żeby odjechali - odezwał się zachrypniętym szeptem. - Powiedz im, że lasy są już bezpieczne. Za kilka minut spotkamy się na górze w moim pokoju. Usiądziemy przy kominku z butelką... no cóż, nie mam szampana, ale w piwnicy jest wino.

Maggie zamknęła oczy, kiedy wtulił twarz w jej szyję.

- Bardzo bym chciała, milordzie... Connorze, ale to raczej niegrzeczne, wzięwszy pod uwagę, że zamierzali iść ci z pomocą.

- Sąsiedzi mnie nienawidzą. - Przesunął wargami po jej szyi, leciutko gryząc skórę. - Dlaczego mieliby mi pomagać?

- Przez prawie pięć godzin przekonywałam ich, że nie jesteś taki straszny, na jakiego wyglądasz. - Powstrzymała westchnienie i popchnęła go w stronę salonu. - Od ciebie zależy, czy wyjdę na kłamczuchę.

Connor unikał sąsiadów, jak tylko to było możliwe. Wiedział, że go nienawidzą. Nie podobało im się, że większość roku mieszka w Edynburgu, a kiedy przyjeżdża, to cały czas poluje albo zamyka się w domu z jakąś kobietą. Nie wiedzieli dokładnie, z czego właściwie żyje ani na czym polega waga jego stanowiska, lecz obawiali się, że któryś ze ściganych przez niego przestępców zjawi się w ich górskim rajku i zburzy spokój.

Wieść o obcym człowieku w pobliskich lasach potwierdziła ich najgorsze podejrzenia. Connor zawsze ciągnął za sobą jakieś nieszczęścia.

Wszedł do salonu, zdecydowany natychmiast się ich pozbyć; miał przyjemniejsze plany na dzisiejszy wieczór. Księżna i jej psy okupowali kanapę. Kapitan Balgonie, dawny żołnierz, grzał sobie plecy przy kominku, a Angus McGee, pękaty zamożny hodowca owiec, drzemał w fotelu, cicho pochrapując. Connor potrząsnął głową.

Zadziwiająco, że Maggie przez pięć godzin trzymała ich tak na wodzy, że nie rzucili się sobie do gardeł. Nie tylko jego nienawidzili. Nienawidzili się też nawzajem.

Zdjął płaszcz i przy bocznym stoliku nalał sobie whisky. Długie jasne włosy rozsypały się na ramionach. W świetle kominka wyglądał bardziej jak pogański wojownik niż cywilizowany szkocki właściciel ziemski. I nie czuł najmniejszej potrzeby okazywania gościnności sąsiadom.

- Przykro mi, że musieliście się fatygować. Najwidoczniej był to fałszywy alarm. - Wypił jednym haustem zawartość szklaneczki, zastanawiając się, które z win będzie najbardziej smakować Maggie. - Możecie już wracać do domu.

Księżna zepchnęła z kolan psa. Drugi natychmiast zajął jego miejsce.

- Nie mów mi, że nie odnalazłeś tego człowieka, Buchanan.

- Ranny mężczyzna jest wytworem wyobraźni Claude'a - powiedział cicho Connor, na wypadek, gdyby Maggie była gdzieś w pobliżu i słyszała ich rozmowę.

- Powinniśmy byli sami go odszukać - stwierdził kapitan Balgonie. - Teraz jest pewnie za późno.

Angus McGee z niechęcią otworzył oczy.

- Zdecydowaliśmy przecież, że nie przyłączymy się do poszukiwań. Pamiętałybyś, gdybyś tyle nie pił. Ustaliliśmy, że zostaniemy tu, by chronić lady Maggie.

Connor nalewał sobie drugą szklaneczkę whisky, kiedy dziewczyna wślizgnęła się do salonu. Ogarnęła go gorąca fala, kiedy otarła się o niego, przechodząc obok. Zaciśnął zęby, żeby nie chwycić jej w ramiona. Chciał, żeby ci ludzie wynieśli się z jego domu. A dokładniej, chciał zostać sam z Maggie i zaciągnąć ją do łóżka. Z trudem wykrztusił przez zaciśnięte gardło:

- Potrafię doskonale sam chronić pannę Saunders. Maggie posłała mu wdzięczne spojrzenie.

Angus McGee ponuro popatrzył na Connora, najwyraźniej nie przekonany tym oświadczeniem. Z roku na rok robił się coraz tęższy. Connora śmieszył ten niski, okrągły jak bańka człowieczek na chudych nogach.

- Jak możesz ją chronić, jeśli mdlejesz na samą myśl o przelewie krwi? Muszę przyznać, że byłem zdziwiony, gdy lady Maggie powiedziała nam, jaki jesteś wrażliwy.

Connor o mało nie zakrztusił się whisky. Spiorunował wzrokiem Maggie, która podbiegła, żeby poklepać go po plecach.

- Niektórzy z moich najlepszych ludzi mdleli na polu bitwy. To żaden wstyd - powiedział kapitan Balgonie.

Księżna parsknęła.

- Owszem. To hańba. Za moich czasów mężczyźni byli mężczyznami. Ojciec Maggie był człowiekiem wielkich zalet, prawda, kochanie?

- Tak, wasza łaskawość - przytaknęła z powagą Maggie. Connor odstawił szklanekę.

- Przykro mi, że straciliście tyle czasu, ale z pewnością spieszno wam do domów. Zadzwońię po Dougiego, żeby was odprowadził. Dobrej nocy.

Maggie spojrzała na niego znacząco.

- To niegrzeczne - szepnęła, przysłaniając ręką usta.

- Trudno. Przestań opowiadać ludziom, że mdleję. Cały dzisiejszy dzień w lesie Claude zanudzał mnie, że wróci do domu po sole trzeźwiące. - Podszedł do niej z roziskrzonym wzrokiem. - Chcesz, żebym zawstydził cię przy wszystkich?

Maggie nerwowo przełknęła ślinę i przesunęła się za pusty fotel, jakby mebel mógł ją uratować przed rozjuszonym górale, który, z rozpalonym spojrzeniem, powoli szedł za nią krok w krok.

- Przestań, Connor - szepnęła. - Tu są ludzie. Uśmiechnął się, zbliżając do fotela.

- Jeśli się ich nie pozbędziesz - powiedział ledwo słyszalnie - będę naprawdę niegrzeczny.

- Wy... wydaje mi się, że doszło do nieporozumienia - wybąkała Maggie, wystraszona, że Connor spełni groźbę. - Jego lordowska mość nie mdleje na myśl o przelewie krwi. Właściwie zasłabł tylko raz w mojej obecności, a było to wtedy, gdy zastrzelił stracha na wróble.

- Jeszcze lepiej! - wykrzyknęła księżna. - Jak by się zachował, gdyby musiał zastrzelić człowieka?

- Sądził z początku, że to człowiek - wyjaśniła Maggie, uśmiechając się mimo woli na wspomnienie tej sytuacji. - Zdarł z

siebie płaszcz, zaryczał jak wiking i rzucił się do walki w mojej obronie. Nigdy nie byłam świadkiem czegoś podobnego.

Nikt nie odezwał się słowem. Maggie pomyślała, że są pewnie pod tak wielkim wrażeniem jej opowieści. Connor wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

- Zbyt długo państwa zatrzymaliśmy - powiedziała w końcu Maggie. - Proszę wybaczyć.

Connor zrobił duży krok, chwycił ją za nadgarstek i pociągnął do drzwi.

- Służba z przyjemnością będzie państwu towarzyszyć, jeśli ktoś obawia się sam ruszyć w drogę. Proszę nam teraz wybaczyć.

Panna Saunders ofiarowała się pomóc mi dzisiejszego wieczoru jako sekretarz, muszę sporządzić masę zaległych dokumentów. Maggie podniosła na niego zdumione spojrzenie.

- Doprawdy?

- Ależ tak. - Potarł kciukiem wewnętrzną stronę jej nadgarstka. - Umówiliśmy się po kolacji, nieprawdaż? Bardzo liczę na pani pomoc.

- Obawiam się, że nie będzie żadnej kolacji - stwierdziła po chwili niezręcznego milczenia. - Służba nikogo nie odwiezie do domu. Widzi pan, pańscy domownicy są w stanie wojny. Mężczyźni nie chcą przynieść węgla z piwnicy, a więc kobiety nie chcą gotować. Kobiety nie chcą gotować, a więc mężczyźni twierdzą, iż nie mają sił, by przynieść węgiel.

- Dobry Boże... - odezwał się Connor.

- Pracuję nad tym problemem - ciągnęła Maggie - ale sądzę, że powinien pan zająć bardziej zdecydowane stanowisko. To pana się boją.

- Otóż moje stanowisko jest następujące. - Ściągnął brwi. - Wyrzucę całą tę gromadę nicponiów z mego domu.

- To raczej drastyczne rozwiązanie. Proszę się zdobyć na odrobinę zrozumienia wobec ludzkich słabości.

Mięśnie na twarzy Connora zadrgały.

- Moje zrozumienie dla ludzkich słabości przekroczyło granice wytrzymałości. Podobnie jak pragnienie bycia z tobą sam na sam. Przyjdiesz do mnie później czy mam użyć siły?

Maggie udała, że rozważa tę sprawę, wyobrażając sobie w duchu, w jaki sposób użyłby siły.

- Chyba powinnam najpierw przedyskutować to z Claude'em,

- Z Claude'em? Masz zamiar dyskutować o swoim prywatnym życiu z lokajem?

Maggie odwróciła się bez słowa wyjaśnienia, gdyż wśród gości wybuchło nagle zamieszanie. Księżna i kapitan pochylali się nad Angusem McGee, wydając z siebie jakieś nieartykułowane dźwięki. Ten miał minę, jakby był śmiertelnie ranny.

- A to co znowu? - mruknął Connor. Maggie odsunęła się od niego.

- To pewnie lumbago pana McGee. Doktor przestrzegwał go, że nie może robić zbyt gwałtownych ruchów. Nie powinien być pan tak natarczywie ich wypraszać, milordzie. Co się stało, panie McGee? - spytała, również pochylając się nad cierpiącym.

- Uraziłem się, kiedy chciałem wstać. - Angus McGee zrobił jeszcze rozpaczliwszą minę. - Te miękkie fotele są do niczego.

- To nie wina fotela - powiedziała cierpko księżna. - To twoja tusza, wyglądasz jak cholerne jajo.

- Pomogę ci - powiedział Connor, przepychając się w stronę cierpiącego gościa.

- Nie. Nie! - Angus McGee wydał z siebie jęk agonii i głębiej zapadł się w fotel. - Niech nikt mnie nie dotyka. Nie zniosę tego straszego bólu.

Connor, nie okazując specjalnego współczucia, zmarszczył brwi i powiedział:

- Nie możesz siedzieć w tym fotelu całą noc.

- Wiem, co trzeba zrobić - odezwała się Maggie. - Trzeba go uścisnąć.

Zaciekawiony Angus McGee podniósł głowę.

- Proszę tu podejść, milordzie. - Maggie skinęła na Connora, a sama stanęła za fotelem. - Niech go pan obejmie. Jakby pan chciał bardzo mocno go uścisnąć.

Twarz Connora jeszcze bardziej spochmurniała.

- Nie mam zamiaru go obejmować.

- Ja też nie chcę, żebyś mnie obejmował - oświadczył Angus McGee. - Sądziłem, że to lady Małgorzata mnie obejmie. Twoje wielkie łapska to zupełnie co innego.

- Ja to zrobię. - Księżna stanęła z drugiej strony fotela. - Jedno mocne szarpnięcie wyrwie to jajo z pułapki.

- A może w ogóle nie powinniśmy go ruszać - odezwał się z tyłu kapitan Balgonie. - Możemy mu zrobić krzywdę.

- Nonsens - skwitowała Maggie. - Niech pan tu podejdzie, milordzie. Podniesiemy go.

Kiedy McGee zawisł jak bezwładna lalka między księżną i Connorem, dodała:

- Teraz proszę go uścisnąć. - Zademonstrowała na osłupiałym kapitanie, jak powinien to zrobić. - Potem uniesie go pan w ten sposób i z całej siły uściśnie, jakbyście byli dwoma zaprzyjaźnionymi niedźwiedziami.

Balgonie wyszczerzył się od ucha do ucha, z przyjemnością poddając się roli pacjenta.

Connor jednak nie był do końca przekonany.

- Nie będę obejmował mężczyzny. Niech kapitan to zrobi.

- Kapitan nie ma pańskiej dzikiej siły - spokojnie stwierdziła Maggie. - W przeciwnym wypadku pan McGee może tu siedzieć jeszcze kilka tygodni.

Twarz nieszczęśnika pojaśniała.

- Nie mam nic przeciwko temu, mogę zostać. Córka przeprowadzi się tutaj, żeby się mną opiekować. Pamiętasz ją, Buchanan. Luiza ganiała cię kiedyś po lesie z batem. Wpadła wtedy na drzewo i wybiła sobie przedni ząb.

Connor zdecydował się go uścisnąć. W plecach Angusa McGee coś głośno przeskoczyło, a po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Wyprostował się i pomacał plecy.

- Niesamowite, jestem uleczony. Jesteś niezwykła, moja droga - powiedział do Maggie, zupełnie ignorując Connora. - Po raz pierwszy poczułem taką ulgę. Gdzie się tego nauczyłaś?

Kapitan z aprobatą pokiwał głową.

- Z wszystkich tych flam, które tu przywoziłeś, Buchanan, ta jedna warta jest pójścia do ołtarza.

Maggie powoli podniosła wzrok.

- Flamy...?

- Najwyższy czas, żebyś się ożenił - przytaknęła księżna. - To hańba, żeby człowiek w twoim wieku ciągle się uganiał po krzakach za dziewczynami.

- Nie uganiam się za żadnymi dziewczynami - odparował ostro Connor.

- Oczywiście - ciągnęła księżna - to, co mężczyzna robi z żoną po ślubie, nikogo nie obchodzi.

Maggie uniosła wysoko swoją arystokratyczną brew i stwierdziła ze spokojem:

- Obawiam się, wasza łaskawość, że małżeństwo między jego lordowską mością i mną nie wchodzi w grę. Moja rodzina nigdy by tego nie zaakceptowała.

To on. Już idzie, pani Urquhart - szepnęła Maggie. - Nie mówiłam pani? Postępowanie mężczyzn łatwo przewidzieć. Jego duma została urażona. Musi dojść do siebie. Niech się pani schowa, żeby pani nie zobaczył. Przekona się pani, jak trzeba z nimi postępować.

- Jego lordowską mość nigdy nie wydawał mi się skłonny ulegać kobietom, milady. - Gospodyni wyraźnie się zaniepokoiła na dźwięk ciężkich kroków w korytarzu. - Będzie wściekły, jeśli złapie mnie na podsłuchiwanie.

- Więc nie pozwolimy, żeby panią złapał. - Maggie podskoczyła od biurka i popchnęła kobietę za jedwabny parawan. - Ani słowa.

- O Boże... - Pani Urquhart dotknęła policzków. - Jestem cała rozpalona. To niebezpieczne.

- Nic podobnego. Jeśli chce pani odzyskać kontrolę nad swoim małżeństwem i nad całym domem, musi się pani nauczyć przywoływać mężczyzn do porządku. - Maggie wróciła do biurka i starannie zapięła szlafrok pod szyją. - Oprócz przeklinania nauczyłam się w Heaven's Court przywoływać mężczyzn do porządku. Nikt tak jak ja nie potrafił uspokoić Herszta, kiedy wpadał w szał.

Usiadła przy biurku. W ciepłym świetle świecy wyglądała jak postać ze starego płótna. Włosy luźno opadały jej po same biodra. Postukiwała w podłogę gołymi stopami. Znieruchomiała z piórem w ręce, słysząc, że Connor wchodzi do pokoju. Przez twarz przemknął jej uśmiech. Bestia chwyciła przynętę.

Nie musiała się odwracać, żeby sprawdzić, czy to on. Wyczuwała jego obecność. Mroczna, podniecająca energia, która od niego emanowała, sprawiała, że od razu mocniej biło jej serce.

- Wyszłaś bez wyjaśnienia - rzucił krótko. Przytknęła pióro do ust.

- Ach, rzeczywiście. Masz na myśli postępowanie z chorym na lumbago. Nauczyłam się tego od szwedzkiego lekarza, którego papa



zatrudnił, kiedy Robert miał kłopoty z kręgosłupem. Właściwie to Robert mnie tego nauczył. Ten łobuz lubił sobie na mnie eksperymentować i pewnego dnia...

Connor przerwał jej sucho:

- Nie wyjaśniłaś, dlaczego małżeństwo między nami nie wchodzi w grę. Doskonale wiesz, że o to mi chodzi.

Specjalnie stanął między nią a kinkietem, zasłaniając światło swoją potężną postacią. Maggie wpatrywała się w list na biurku, mimo że słowa były prawie niewidoczne.

- Odczułem to jako obrazę - powiedział, starając się, by w jego głosie słyhać było, że czuje się zraniony, a jednocześnie wściekły.

Zaczęła znów pisać.

- Nie chciałam urazić twoich uczuć. Nie da się jednak ukryć, że ja jestem córką księcia, a ty tylko publicznym oskarżycielem.

Czuła, że Connor z trudem powstrzymuje oburzenie.

- Nie jestem byle kim - powiedział. - Niedawno zostałem mianowany prokuratorem generalnym Szkocji, do cholery.

- Moje gratulacje, milordzie.

- Wiele kobiet uważa mnie za świetną partię.

- Te flamy? - spytała cicho Maggie z zupełnie obojętną miną.

- Nie odpowiadam za bezsensowne uwagi moich sąsiadów.

- Ale odpowiadasz za uganianie się po krzakach za jakimiś dziewczynami, prawda? - spytała rzeczowo Maggie, nie przerywając pisania.

Connor przysiadł na krawędzi biurka i nie ruszył się nawet o centymetr, kiedy szturchnęła łokciem w jego masywne udo.

- Nie ma żadnych flam. - Pochylił się nad nią z zadowolonym uśmiechem. - Nie ma powodu, żebyś była o nie zazdrosna.

- Zazdrosna? Ja? Cóż za pomysł! - Ostentacyjnie podniosła list do światła. - Czy musisz siedzieć na moim biurku jak czatujący jastrząb? - odezwała się zirytowana. - Nie mogę się skoncentrować w twojej obecności.

- To dobrze. Ja mam ten sam problem z tobą.

Maggie pochyliła się na bok, z uwagą studiując list, kiedy

Connor nagle po prostu wyrwał jej go z ręki i rzucił na podłogę.

- Niech pan nie traci nad sobą kontroli, milordzie.

- Jestem zmęczony ciągłym kontrolowaniem się - powiedział. - Kontroluję się, odkąd cię spotkałem.

- Dzisiaj w lesie straciłeś chyba jednak panowanie nad sobą.  
- Nie masz pojęcia, jak bardzo nad sobą panowałem. - Niebezpiecznie zbliżył głowę do jej twarzy. - Nie skończyliśmy tego, co zaczęliśmy.

- A ty znowu o zalotach - powiedziała Maggie, marszcząc czoło.  
- To wszystko jest takie zaskakujące.

- Jak to zaskakujące? Od samego początku nie byłem w stanie utrzymać rąk z daleka od ciebie.

- Zauważyłam - mruknęła pod nosem. Connor odgarnął kosmyk włosów z jej ramienia.

- Nie zauważyłem, żeby ci to przeszkadzało.

- Temu rzeczywiście nie mogę zaprzeczyć - powiedziała z uśmiechem.

Oparł się na łokciu i jeszcze bardziej się pochylił. Maggie powstrzymała drżenie, kiedy owiał ją jego zapach.

- Zależy ci na mnie - rzekł. - Wiem, że tak jest. A jesteś kobietą...

- Temu też nie mogę zaprzeczyć.

- ...i chcę, żebyś była moja.

Powoli wstała zza biurka i znów poczuła drżenie, kiedy otarła się piersiami o jego ramię. W jego oczach pobłyskiwała ironia. Maggie przypomniała sobie, że powinna teraz dawać przykład pani Urquhart, jak negocjować z mężczyznami.

- Jakie masz właściwie wobec mnie intencje? - spytała poważnie.

Jego białe zęby błysnęły w drapieżnym uśmiechu.

- Zwykle oddaję się instynktowi w tych sprawach. Ale jeśli już pytasz o plan ataku, to podejrzewam, że zacząłbym od całowania twych słodkich ust. A potem rozpiąłbym ci szlafrok...

Zerknęła w panice na parawan, modląc się, żeby bogobojna gospodyni nie padła trupem.

- Miałam na myśli przyszłość.

- Och... do diabła, nie wiem. Maggie westchnęła.

- Rozumiem.

- Tak mi zamąciłaś w głowie, że nie wiem, co się ze mną dzieje. - Kciukiem uniósł jej brodę. - Poddajmy się instynktowi, Maggie. To nie jest zwykła sytuacja, w której obowiązują jakieś zasady.

Dziewczyna zacisnęła dłonie, czując, że Connor zaraz ją pocałuje.

- Och, z pewnością nie...

- Będę się z tobą kochał całą noc - oświadczył niespodziewanie. Za parawanem rozległ się cichy pisk. Wydawało się, że Connor tego nie zauważył, ale Maggie na wszelki wypadek odłożyła pióro i odsunęła się od niego.

Chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie i mocno pocałował. Potem przesunął dłonie po jej ramionach i delikatnie pieścił piersi, aż bezwiednie zaczęła się poddawać rozkoszy.

Connor doskonale wiedział, co robi. Umiał obudzić w niej jakiś rodzaj tęsknoty, która była odpowiedzią na mroczne pożądanie w jego oczach. Maggie przywarła do niego, zapominając o całej strategii i o tym, że miała przywołać go do porządku. Sama zaczęła tracić panowanie nad sobą.

Connor przycisnął czoło do jej czoła.

- Jesteś cudowną kobietą o gorącym sercu. Przy tobie chce mi się żyć. Ten dom był ponury jak grób, dopóki się tu nie pojawiłaś.

Ciężko upadł na fotel i pociągnął ją na kolana.

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Maggie. Położyła głowę na jego ramieniu i szepnęła zalotnie:

- A te flamy?

Parsknął śmiechem, głaszcząc ją po pośladkach.

- Żadna z tych flam nie mogłaby się z tobą równać - powiedział z westchnieniem. - Zdaje mi się, że wpadłem w niezłe kłopoty.

Maggie spojrzała mu w oczy.

- A mnie się zdaje, że oboje wpadliśmy w kłopoty.

Próbował zachować zimną krew, ale pożądanie nie pozwalało mu rozsądnie myśleć. Przyrzekł przecież, że będzie ją chronił, a uwodzenie jej trudno byłoby traktować jako oficjalny obowiązek. Jednak gdzieś między Edynburgiem a górami ukradła mu serce.

Nie był w stanie opanować nagłego uczucia wobec kobiety, która przewróciła jego życie do góry nogami. Niewinna dziewczyna z tapiserii. Przesunął dłoń po jej biodrze, czując, jak drży pod jego dotykiem. Uwielbiał to, jak reagowała na jego pieszczoty. Miał wrażenie, że nie będzie jej musiał uczyć sztuki miłosnej. Miała w sobie coś z kuszącej Ewy, żarliwej i namiętnej.

- Chodźmy do łóżka - szepnął, ściągając szlafrok z jej ramienia. Natychmiast go podciągnęła, przerażona, że gospodyni jest tuż obok.

- Nie jestem wcale zmęczona.

- Ja też nie. - Dmuchnął lekko w jej ucho i zsunął szlafrok na biodra. - Pomasuję ci plecy.

- A może zagrałibyśmy... w szachy? - zasugerowała nerwowo.

- W szachy? W łóżku? Nadzy? - Zaczął rozpinąć koszulę, uśmiechając się błogo. - Jeszcze nigdy tego nie robiłem, ale pomysł mi się podoba. Bardzo oryginalny. Stymulujący intelektualnie i seksualnie zarazem. Ależ ty masz wyobraźnię, dziewczyno.

Maggie zaczerwieniła się i poderwała z jego kolan.

- Nigdy nie grałam w szachy nago.

- A w wista?

- Och, doprawdy, milordzie. Wolałabym, żeby nie mówił pan takich rzeczy przy ludziach.

- Przy ludziach... Maggie, co ty opowiadasz? - Jego oczy błyszczały z rozbawienia, kiedy rzucił koszulę na podłogę.

- Właściwie jest coś ważnego, o czym chciałam z tobą porozmawiać - powiedziała sztywno.

- Czy ma to jakiś związek z rozbieraniem się? Zapatrzyła się w jego muskularną pierś.

- Z pewnością nie.

- No cóż, trudno. Mów, słucham cię.

Odsunęła się od niego, zerkając w stronę parawanu. Connor pomyślał, że Maggie może nie chce się przy nim rozbierać. Zastanowiło go, że zachowuje się trochę dziwnie, ale była przecież dziewczicą, mimo że żyła wśród bandy przestępców. Nie chciał, by jego niecierpliwość uraziła ją podczas pierwszej nocy miłości.

- Tak? - Wzruszył szerokimi ramionami. - Zamieniam się w słuch.

Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- W ogrodzie naszego zamku był posąg, który wyglądał dokładnie tak jak ty. To był jakiś grecki bóg porywający młodą kobietę na swoim rydwanie.

Connor zerknął na parawan.

- To bardzo ciekawe - stwierdził uprzejmie.

- Były też inne posągi. - Twarz Maggie złagodniała jak zawsze, kiedy wspominała o rodzinie. - Pewnego dnia Robert wbił sobie do głowy, żeby zamalować ich intymne fragmenty złotą farbą.

- Przepraszam, czyje intymne fragmenty?

- Posągów. - Maggie zmarszczyła czoło, niezadowolona, że jej przerwał. - Robert uważał, że są nieprzyzwoite. Sądził, że podczas częstych wyjazdów papy, związanych z jego szpiegowską działalnością, powinien chronić rodzinę.

Connor rozparł się w fotelu.

- Robert... twój brat?

- Tak, to był straszny świętoszek. Ale najśmieszniejsze było to, że złota farba przyciągała wzrok właśnie do miejsc, które chciał ukryć. Posągi były nagie, rozumiesz?

- Tak, tyle zrozumiałem.

- No właśnie...

Connor nie mógł oderwać od niej oczu. Ale oprócz lubieżnych myśli ogarnęło go teraz wzruszenie na myśl o jej dzieciństwie i nieszczęściu, jakie ją spotkało. Wyobraził sobie małą dziewczynkę bawiącą się z rodzeństwem w ogrodach koło rodzinnego zanku. Niewinną. Bezpieczną. Aż do chwili, kiedy jej świat legł w gruzach. Przypomniały mu się jej koszmary nocne. Jakież to straszne wydarzenia wywarły na tej dziewczynie takie piętno?

- Co stało się z Robertem? - spytał po chwili.

- Nie wiem. - Na jej twarzy odmalował się strach. - O tym chciałam z tobą porozmawiać.

Connor odwrócił się w stronę parawanu. Był pewien, że coś się tam poruszyło.

- Parawan się rusza - powiedział cicho.

- Och... - Maggie przygryzła wargę. - Pewnie pies się tam chowa. Wiesz, jak Dafne lubi się bawić. Pomożesz mi?

Wydało mu się, że widzi w oczach Maggie łzy. Uwodzenie jej w takim nastroju nie było dobrym pomysłem. Poza tym intymność, która w tej chwili zaistniała między nimi, była ważniejsza.

- Co mam zrobić - spytał łagodnie.

- Użyj swoich kontaktów, by pomóc mi odnaleźć Roberta. Musisz znać wielu ludzi w całej Europie.

Nie mógł jej odmówić. Nie mógł znieść bólu w jej oczach.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Kiedy wyjechałaś?

- Dziesięć lat temu.

Dziesięć lat. Musiała mieć wtedy trzynaście lat. On w tym samym wieku stracił rodziców. Dziewczynka zagubiona w groźnym świecie.

Ale on miał przynajmniej siostry, mimo że dały mu się nieźle we znaki.

- Mam kilku przyjaciół we Francji.

- Jego nie ma we Francji - powiedziała cicho. - Tego zdołałam się dowiedzieć.

W zamyśleniu oparł się łokciami o kolana.

- Znajdziemy go. Zrobię wszystko...

Zanim skończył zdanie, Maggie rzuciła mu się na szyję.

- Nie jesteś wcale taką bestią, jak wszyscy myślą - szepnęła żarliwie.

- Nie bądź tego taka pewna.

Pocałował ją głęboko, rozkoszując się słodyczą jej ust i przytulając ją mocno.

- Naprawdę sądzisz, że go odnajdziesz?

Nie, nie był tego pewien, ale dla niej zrobi wszystko, co tylko możliwe.

- Dzisiejszej nocy nie mogę nic zrobić w tej sprawie. - Przesunął palce po jej piersi, zadowolony, że sprawiło jej to wyraźną przyjemność. - Zajmiemy się tym rano, dobrze?

Pragnął, żeby pozwoliła mu ciągnąć dalej tę miłosną grę. Gdyby na jej miejscu była jakakolwiek inna kobieta, już godzinę temu byłiby w łóżku. Maggie jednak zamrugowała tylko, jakby prysnął jej w twarz wodą. Zsunęła się z fotela i podeszła do drewnianej skrzyneczki na biurku.

Connor przytrzymał się fotela, żeby się na nią nie rzucić.

- Co ty robisz, Maggie? - Wciąż czuł ciepło jej ciała. Łagodne światło świecy podkreślało jej kształty. Potarł twarz.

Dziewczyna nie usłyszała jego pytania, zajęta szukaniem czegoś na biurku. Odrzuciła do tyłu spadające na twarz włosy.

- Nie chcę, żebyśmy pierwszy raz kochali się w tym pokoju - powiedział, rozglądając się, jakby był tu pierwszy raz. - Moje łóżko jest wygodniejsze. I większe. W tym się nie zmieszczę.

- Oczywiście, że nie... - powiedziała pod nosem, najwyraźniej go nie słuchając. - Ciotka Flora zachowała dla mnie wszystkie dokumenty rodzinne. Tajne dokumenty, jak je nazywała. Szpiegostwo i tajemnice, takie było życie mojego ojca. Może ty zrozumiesz coś z tych papierów. Jesteś inteligentnym człowiekiem, nawet jeśli nie zawsze zachowujesz się rozsądnie. Proszę.

Podawała mu plik poślizgniętych listów. Connor poczuł się w tej sytuacji głupio, półnagi, zajęty jedną myślą.

- Dziękuję - rzekł sucho.

- Mam nadzieję, że okażą się pomocne - powiedziała Maggie poważnie. - Daj mi znać, gdybyś miał kłopoty z tłumaczeniem.

Perspektywa samotnej nocy nie przyprawiła go o entuzjazm.

- Miałem trochę inne plany.

Podniosła z podłogi koszulę i przewiesiła mu przez ramię.

- Jestem pewna, że chcesz natychmiast zajrzeć do tych dokumentów. Czy pani Urquhart ma ci przynieść na górę dzbanek herbaty i coś do jedzenia? Praca umysłowa jest wyczerpująca, prawda? Nie siedź nad tym zbyt długo.

- Nie chcę herbaty - powiedział. - Chcę ciebie. Nagiej w moim łóżku. Nie sądzę, żeby udało mi się zasnąć po tym, jak prawie cię rozebrałem...

Parawan się zatrząsał. Connor podejrzliwie spojrzał w tamtą stronę, ale Maggie od razu ujęła go pod ramię i poprowadziła do drzwi.

- Nie wiem, jak ci się za to odwdzięczę. - Wciąż popychała go do wyjścia.

- Ale ja wiem. Chcę cię mieć w łóżku.

- Masz specyficzne poczucie humoru, milordzie. Spojrzał na parawan ponad jej głową.

- Jeszcze coś ukrywasz, prawda? Chowasz tam jakiegoś mężczyznę?

- Mężczyznę? Skąd wzięłabym tu mężczyznę? - Wypchnęła go na korytarz. - A gdybym tu kogoś miała, dlaczego miałabym ukrywać go za parawanem? Czuję się urażona.

- A ja się czuję oszukany. Posłuchaj...

Zamknęła drzwi i uśmiechnęła się na wspomnienie miny, jaką Connor zrobił na widok Dougiego i trzech innych służących, którzy przyglądali mu się w osłupieniu z korytarza. Nie był w nastroju tłumaczyć się, dlaczego stoi tu półnagi i mówi sam do siebie.

- Co wy tu robicie o tej godzinie? - spytał ostro.

Dougie wyciągnął chusteczkę do nosa i zaczął energicznie polerować poręcz. Pozostali rzucili się, żeby poprawiać portrety na ścianie.

- Odkurzam, milordzie - odezwał się zmaltretowanym głosem Dougie. - Nikt inny nie zrobi tego w tym domu. Kobiety nie kiwną nawet palcem.

Rządca polerujący poręczę o północy...

Connor z rezygnacją poszedł w stronę swojego pokoju, udając, że nie ma nic dziwnego w tym, że jest do pasa nagi. Nikt nie powiedział słowa. Nowe szaty cesarza. Najpotężniejszy człowiek w Szkocji. Boże, zmiłuj się, co za kompromitacja.

Maggie upadła na fotel z westchnieniem ulgi.

- Może już pani wyjść. Poszedł sobie.

Gospodyni, skradając się, wyszła zza parawanu, wciąż przejęta.

- To było mistrzowskie posunięcie, milady. Cały czas trzymała mnie pani w napięciu. Sama już nie wiedziałam, kto w końcu wygra.

- Ja też nie. - Maggie zamknęła oczy. - Ze wstydem przyznaję, że kilka razy prawie straciłam kontrolę nad sytuacją.

- Pewnie w tych momentach, kiedy zapadała cisza.

- Musiała się pani czuć straszliwie zażenowana.

- Nie bardzo - odparła pani Urquhart. - Przyzwyczailiśmy się do tego podczas pobytów jego lordowskiej mości.

Maggie podniosła głowę.

- Chyba znów mówi pani o tych flamach. Mam nadzieję, że takie sytuacje się już nie powtórzą.

- Och, na pewno nie - zgodziła się gospodyni. - Jego lordowska mość nigdy nie traktował tych dziewcząt tak jak panią. Pani Macmillan też była wyjątkiem pod tym względem.

Maggie znowu westchnęła.

- Ardath nie pozwoliłaby, żeby sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. I wracamy w tej chwili do pani problemu z mężem. Chciałam dziś pani pokazać, że kobieta musi nauczyć się osiągać swoje cele za pomocą subtelnej taktyki. Musi być jednocześnie kusząca i stanowcza. Nie może być zbyt łatwą zdobyczą.

Gospodyni uniosła brwi z powątpiewaniem.

- Ale ja już jestem żoną Dougiego od kilku miesięcy. Trudno mi udawać niedostępną.

- Więc musi pani stworzyć jakąś małą tajemnicę, coś podniecającego.

Gospodyni zniżyła głos.

- Czy pani ma właśnie taki plan?



- W moim życiu było dość tajemnic dla dziesięciu kobiet - ze smutkiem stwierdziła Maggie.

- Jeśli pani pozwoli, milady, czy mogę zadać pani osobiste pytanie?

- W tych okolicznościach nie będzie to chyba niestosowne.

- Czy jest pani zakochana w jego lordowskiej mości? Twarz Maggie rozjaśnił uśmiech.

- Niewątpliwie. Ale sprawy między nami są dość skomplikowane. Connor prowadzi poszukiwania swojej siostry, podjął się mojej ochrony i jednocześnie próbuje mnie uwieść. Nie wspominam już o dzielącej nas różnicy klas. Dla mojej rodziny to byłby mezalians.

- Ależ on jest prokuratorem generalnym Szkocji.

- Owszem, to punkt na jego korzyść.

- To bardzo uparty człowiek - powiedziała pani Urquhart z niepokojem w oczach. - Muszę panią ostrzec. Nie znam kobiety, która by mu odmówiła.

- Sądzi pani, że próbuję uniknąć tego, co nieuniknione? Gospodyni potrząsnęła głową.

- Muszę się przyznać, że kiedy zdjął koszulę, byłem pewna, że nie wyjdzie z tego pokoju, dopóki nie dostanie tego, co chce.

Maggie zadrżała na myśl o tym, w jaki sposób Connor „wzięłby sobie to, co chce” - i o tym, co straciła.

- Przez chwilę naprawdę się bałam - przyznała.

Przede wszystkim strasznie do niego tęskniła, ale gospodyni nie musiała tego wiedzieć.

- Trudno mi uwierzyć, że ktoś tak młody zdobył tak duże doświadczenie w obcowaniu z płcią przeciwną. Najwyraźniej wiele się pani nauczyła, żyjąc wśród przestępców.

- Żaden z przestępców, z którymi miałam do czynienia, w niczym nie przypominał jego lordowskiej mości - powiedziała Maggie, z niepokojem patrząc na drzwi. - Mam tylko nadzieję, że nie przeceniłam swoich możliwości.

## Rozdział 29

Rebeka odwróciła się od kominka i spojrzała przez otwarte drzwi swojego domku, czując, że cierpnie jej skóra. Odłożyła łyżkę, którą mieszała kleik owsiany, wieczorną strawę dla zaprzyjaźnionych jeży, które odwiedzały ją każdej nocy.

Na próg drzwi padł jakiś cień. Był zbyt duży jak na zwierzęta, które przychodziły się tutaj schronić. A o pierwszej w nocy trudno było spodziewać się kogoś znajomego.

Młody ogar, Ares, zawarczał niespokojnie i podniósł się z podłogi. Zając z poranioną łapą, którego Rebeka uwolniła z wnyków, wcisnął się głębiej do swojej kryjówki pod komodą. Kruk ze złamanym skrzydłem poruszył się w klatce.

- Kto tam? - spytała głosem, w którym nie słychać było strachu. - Jeśli jesteś ranny, proszę, wejdź do środka.

Nie byłyby to pierwszy raz, kiedy ktoś obcy znalazł u niej schronienie, nagle wyrzucona z dworu służąca, bezdomny góral albo po prostu samotny wędrowiec, który słyszał o niezwykłej gościnności i uzdrawiających umiejętnościach Rebeki.

Podeszła do drzwi. Bardziej bała się, że wystraszy jakąś zagubioną duszę, niż że jest to porywacz krążący po jej ukochanych lasach. Nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś porwał Sheenę. Ta dziewczyna miała tak wiele sprytu, że nawet ze starcia z bandą piratów wyszłaby cało.

- Nie traktujesz tego wszystkiego dość poważnie - zgromił Rebeke Connor, kiedy po pierwszym spotkaniu szli razem przez las. - Jesteś zbyt łatwym celem. Bezbronna, samotnie żyjąca kobieta.

Connor... Jej starszy brat, opiekun, przyjaciel i nieznośny zrzęda. W głębi duszy Rebeka była z niego dumna. Cieszyła się zawsze na widok tego przystojnego, ogromnego wikinga, który niezdarnie wprowadzał ją w wiek dojrzały i był przy niej podczas jej pierwszego nieszczęśliwego romansu. Wówczas nastolatek, dawał jej takie „mądre” życiowe rady, że do dziś dostawała na to wspomnienie ataku śmiechu. Zastanawiała się, jak udało się im wszystkim przeżyć.

„Jeśli chłopak wciska ci do ust język, kopnij go mocno między nogi”.

„Trzymaj się z daleka od syna plebana, Rebeko. Widziałem, że podczas kazania trzymał rękę w spodniach”.

Walczył o swoje siostry. Zrządził im nad głową i doprowadzał do łez swoimi nie kończącymi się morałami. Zmieniał Sheenie pieluchy, a teraz ta niewdzięczna dziewczyna odpłaciła mu, pozwalając się porwać. Rebeka nie miała wątpliwości, że siostra sama ściągnęła na siebie to nieszczęście. Albo przez własną głupotę, albo przez znajomości z niewłaściwymi ludźmi.

Miała ochotę ją udusić. Nie dość, że narobiła Connorowi wstydu przez to porwanie, to teraz i szczęście Rebeki było zagrożone. Oczywiście, w typowy dla siebie sposób Connor używał porwania jako pretekstu, żeby zmusić ją do powrotu do miasta.

Gdzie, jak leśny kwiat wyrwany ze swojego środowiska, po prostu by umarła.

- Nie umrzesz w mieście - mówił wzburzony Connor. - Co za niedorzeczny pomysł. Potrzebujesz męża.

- Nigdy nie wyjdę za męża, Connor. Nigdy. Masz władzę nad krajem, ale nie masz władzy nad moim życiem.

Nie mógł tego zrozumieć. Jej dziwne upodobanie do samotności i brak zainteresowania małżeństwem kłóciły się z pojęciem tradycyjnego porządku męskiej dominacji, jaki chciał reprezentować.

Ares rzucił się do drzwi, szczerząc zęby. Delikatnie poklepała go po grzbiecie.

- Przestań, wystraszysz naszego gościa. Siad! Nikt nam nie zrobi krzywdy.

Poczuła jednak lodowaty dreszcz strachu.

Przed drzwiami nie było nikogo.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i podrapała psa po głowie.

- Ależ to niemądre. Najwidoczniej zasłuchałam się w opowieści Claude'a o tym rannym mężczyźnie. Nie powiemy nic Connorowi, bo urządzi nagonkę w lesie i wystraszy wszystkie nasze zaprzyjaźnione zwierzaki.

## Rozdział 30

Connor odsunął stertę dokumentów i ze zdziwieniem spojrzął w okno, zastanawiając się, kiedy wstał dzień. Nawet tutaj, w górach, czuł ciężar swojej odpowiedzialnej pracy. Musiał się przygotowywać do sprawy o morderstwo, wysłać petycję do Parlamentu na temat usprawnienia pracy ławy przysięgłych, przeczytać dokładnie oficjalne listy, które otrzymał w związku z zaginięciem Sheeny. Musiał odnaleźć siostrę. Musiał pomóc Maggie w poszukiwaniu brata.

Musiał ją uwieść. Rozkochać ją w sobie.

Przeczytał raz jeszcze list od Sheeny. Jego ostry ton jakoś dziwnie go uspokajał. To tak dobrze pasowało do charakteru siostry. Czy to możliwe, żeby Rebeka miała rację? Czyżby Sheena zorganizowała własne porwanie, żeby go ukarać za przerwanie jej romansu z tym oszustem? Trudno było mu się pogodzić z tą myślą.

No cóż, bez względu na to, czy ją odnajdzie, czy nie, za dwa tygodnie musi wrócić do Edynburga. Zabierze ze sobą Maggie, nie jako świadka, ale jako żonę. Była jedynym promyczkiem światła w jego życiu i nie miał zamiaru jej stracić.

Podniósł wzrok, słysząc zdecydowane pukanie do drzwi.

- Proszę.

Chciał, żeby to była Maggie. Żeby przyszła tu w swoim kostiumie baletowym i rozweseliła go, kusząca i prowokująca. Uśmiech na jego twarzy zbladł, kiedy ujrzał Claude'a. Lokaj wyglądał sztywno jak figura woskowa.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał Connor, wyczuwając jakieś kłopoty.

Staruszek wciągnął powietrze przez ściągnięte nozdrza i się odezwał:

- Wiem, że to nie moja sprawa, milordzie, ale...

- Nie, to nie twoja sprawa. Ale obaj wiemy, że i tak to powiesz, więc miejmy to już za sobą.

- Chodzi o pańskie zaloty wobec mojej pani.

- A to dopiero... Ależ proszę, słucham.

- Zastanawiam się nad wspomnianą sprawą, milordzie. W odpowiednim czasie podejmę decyzję w tej sprawie.

- Udzielisz mi pozwolenia? - Connor wykrzywił się w ironicznym uśmiechu i z rozmachem wprawił w ruch globus stojący na biurku. - Chyba żartujesz.

- Nie, milordzie. Osobie z moją pozycją nie wypadałoby żartować.

- Daj spokój, Claude. Możesz mówić szczerze jak mężczyzna z mężczyzną. - Puścił do lokaja perskie oko. - Maggie cię do tego namówiła, prawda?

- Jeśli mówiąc „Maggie” ma pan na myśli lady Małgorzatę, to sądzę, iż dobrze się rozumiemy. - Claude wahał się przez chwilę, a potem dodał: - Czy coś się panu stało w oko, milordzie?

Connor zatrzymał gwałtownie globus.

- Boże wielki. Ty mówisz poważnie.

- Pańska reputacja nie działa na pana korzyść, milordzie, żeby tak to określić. Jednakże największą przeszkodą w mojej opinii jest pana pochodzenie społeczne.

- To jakiś absurd - stwierdził Connor. - Jesteś lokajem. Ja jestem prokuratorem generalnym Szkocji. Mógłbym cię... Czy zdajesz sobie sprawę z zasięgu mojej władzy?

- Groźby nic tu nie pomogą, milordzie. Nie można mnie zastraszyć ani kupić. Moja lojalność jest o wiele głębsza. - Z godnością zaczął wycofywać się do drzwi. - Lecz nie wszystko jeszcze stracone. Zauważyłem u pana pewne zalety.

- Co za ulga. Już się martwiłem. Claude zmarszczył czoło.

- Lekkie śniadanie będzie podane za kwadrans. Zaofiarowałem swoją pomoc, dopóki konflikt wśród pańskiej służby nie zostanie zażegnany. Lady Małgorzata oczekuje pana w zimowym saloniku. Jeśli wolno mi zasugerować, milordzie, może zmieniłby pan strój?

- A co jest nie tak z moim strojem? - ponuro spytał Connor.

- Buty do polowania, milordzie. - Claude leciutko potrząsnął głową. - To nie przystoi.

- Nie mam zamiaru zmieniać swoich zwyczajów - burknął ze złością Connor.

- Skoro nie zależy panu na mojej akceptacji... - powiedział cicho staruszek i złożony sztywny ukłon, wyszedł z pokoju, zostawiając Connora w zupełnym osłupieniu.

- Do diabła! Zdaje się, że jestem szantażowany przez lokaja.

Wyciągnął serwetkę zza kołnierzyka i sięgnął do bocznej kieszonki po zegarek.

- Ponad godzinę czekamy na śniadanie. Już prawie pora na kolację. Jak długo można przygotowywać prosty posiłek?

- To zajmuje trochę czasu, gdy Claude nad wszystkim czuwa - odpowiedziała cierpliwie Maggie. - Jest perfekcjonistą.

Connor przyjrzał jej się uważnie, myśląc, że słowo „perfekcja” najbardziej do niej pasuje. Wyglądała świeżo i promiennie jak różyczka po deszczu. Najwyraźniej świetnie spała przez całą noc. Westchnął i spytał:

- Dlaczego twój lokaj wtrąca się nie tylko w moje śniadanie, ale i w życie prywatne? Jak mogłem do tego dopuścić?

Wygładziła niewidoczną fałdkę złotego obrusa. Włosy miała upięte w luźny kok. Podtrzymywały go spinki ozdobione perełkami. Przesunął wzrok po jej wdzięcznej szyi, aż po wgłębienie dekoltu.

Maggie uśmiechnęła się.

- To był mój pomysł, żeby Claude, jako neutralna strona, zajął się domem, dopóki służba się nie pogodzi.

Pochylił się i zaborczym gestem chwycił ją z tyłu za włosy.

- Nie zauważyłaś, że w tym domu szykuje się jeszcze jedna awantura, Maggie? Za jakieś dwadzieścia sekund rzucę się na ciebie.

- Nie podczas śniadania.

- Nie widzę żadnego śniadania. - Kiedy dotknął jej dłoni pod stołem, iskry przeleciały między ich palcami. Connor poczuł ogarniającą go falę gorąca. Był w niej zakochany i wszystko mu jedno, kto o tym wie. - Chodźmy na spacer do lasu.

- Sądzisz, że to rozważne? Ranny mężczyzna wciąż może być w pobliżu.

Przesunął dłonią po wewnętrznej stronie jej ręki i przyciągnął ją bliżej. Rozchyliła bezwiednie wargi. Niestety, zanim zdążył ją pocałować, w drzwiach pojawił się Claude i zaanonsował:

- Śniadanie podane.

Maggie wyprostowała się natychmiast jak uczennica. Connor oparł się w krzesło z pomrukiem niezadowolenia. Gotów był przysiąc, że lokaj przerwał im specjalnie. Pewnie czekał za drzwiami na najlepszy moment, by zademonstrować, że objął rolę anioła stróża.

Connor nadal nie wiedział, jak z nim postępować. Lokaj był za stary, żeby użyć wobec niego argumentu siły, a zbyt uparty, by z nim rozsądnie dyskutować. Poza tym wchodziły tu w grę uczucia Maggie. Delikatna sytuacja.

Claude z taką miną podpłynął do stołu z dużym srebrnym dzbankiem herbaty, jakby prezentował klejnoty koronne. Poruszał się

tak powoli, a ręce tak mu drżały, że Connor nie mógł go sobie wyobrazić ze szpadą w dłoni.

- Widzę, że zmienił pan te okropne buty, milordzie - powiedział Claude tonem rodzicielskiej aprobaty. Connor zastanawiał się, czy następnym razem nie sprawdzi, czy pretendent do ręki Maggie ma czyste paznokcie. - Ma pan ochotę na herbatę?

Kiwnął głową, zdając sobie sprawę, że onieśmiela go człowiek zatrudniony do polerowania sreber. No cóż, czym skorupka za młodu... Wciąż zwalczał w sobie pewne przyzwyczajenia wyniesione z gór. Z trudem znosił wymagania etykiety. Ardath zawsze szturchała go pod stołem, że używa niewłaściwej łyżeczki.

- Nie. - Podniósł nagle głos. - Zmieniłem zdanie. Nie chcę herbaty.

Claude bez słowa zmierzył go karcącym wzrokiem.

- Sądzę, że powinienes napić się herbaty - szepnęła Maggie, zasłaniając usta serwetką.

- Nie chcę herbaty - prawie krzyknął Connor. Claude zacisnął lekko wargi.

- Jego lordowska mość nie życzy sobie herbaty. Czy to możliwe?  
- rzucił w przestrzeń, jakby nie zwracał się do nikogo. Trzymał drżącą ręką dzbanek nad stołem. - Czy jest pan pewien, milordzie, że nie życzy pan sobie herbaty?

- To chyba dla niego ważne - powiedziała Maggie.

- To nie jego sprawa. - Connor nie spuszczał wzroku z wiszącego mu prawie nad głową dzbanka. - A zresztą, do diabła, mogę się napić herbaty, jeśli to wszystkich uszczęśliwi.

- Tak jest, milordzie. - Dłoń starego lokaja zawahała się nad jego filiżanką. - Ale czy jest pan pewien, że nie wolałby pan kawy?

- Chcę herbaty! - wrzasnął Connor. Claude zrobił minę męczennika.

- Wiem, że to nie moja sprawa, milordzie, ale byłoby nam wszystkim łatwiej, gdyby określił pan jasno swoje preferencje.

Connor nie patrzył na zegarek, lecz przysięgłby, że nalanie mu herbaty zabrało lokajowi pięć minut. Poza tym połowa płynu znalazła się na spodeczku, a nie w filiżance. Oczywiście, kiedy w końcu się napił, herbata była lodowata.

- Gdzie reszta śniadania, Claude?

- Za chwileczkę, milordzie.

- Za chwileczkę. Rozumiem. Czy wolno zapytać, ile potrwa jeszcze ta chwileczka? Tydzień? Miesiąc? Do Bożego Narodzenia?

- Tylko tak długo, ile zajmie mi przyniesienie tacy z kuchni, milordzie.

- W takim razie będzie to chyba w okolicach Bożego Narodzenia - stwierdził Connor. - A co porabia reszta służby?

- Strajkują, milordzie. Maggie wypła łyżeczek herbaty.

- Konflikt nie zostanie rozwiązany, dopóki pani Urquhart i Dougie się nie pogodzą, milordzie. Myślałam, że pan to rozumie. Ze swojej strony udzieliłam pewnych rad damskiej stronie. Najwyższy czas, by zajął pan stanowisko z męskiego punktu widzenia.

Connora nie interesował w zasadzie spór wśród służby, ale stało się jasne, że umrą z głodu prawdopodobnie w ciągu tygodnia, jeśli posiłkami będzie zajmować się Claude.

- To niedopuszczalne - powiedział. - Claude, przyślij do mnie Dougiego zaraz po śniadaniu, zakładając, że dostanę coś do jedzenia przed końcem stulecia. Muszę chyba przypomnieć, kto jest panem w tym domu.

To, oczywiście, zabrzmiało jak żart.

Connor stracił kontrolę nad służbą tak samo jak nad požądaniem wobec delikatnej osóбки, siedzącej obok niego. Drżał przy niej jak chłopiec przeżywający pierwsze seksualne uniesienia.

Wpatrywał się w grzanekę i kiełbaski na swoim talerzu.

- Jak ja mam to jeść? - zastanawiał się głośno. - Czy wyglądam na jaskiniowca, który lata z maczugą za niedźwiedziami?

Maggie delikatnie nałożyła marmoladę na swoją grzanekę.

- Jeśli już pytasz, to muszę przyznać, że czasem masz w sobie coś z człowieka pierwotnego. A w sprawie śniadania - jej głos nabrał konspiracyjnego tonu - to nie sędzę, że krytykowanie kulinarnych zdolności Claude'a jest dobrym pomysłem. Oczywiście, jeśli zależy ci na jego zgodzie.

Connor wykrzywił się ironicznie.

- Chcesz powiedzieć, że mam jeść te skamieliny, żeby mi pozwolił się do ciebie zalecać?

- To byłby dobry początek.

- Maggie, to tylko służący.

- O nie. Jest kimś o wiele ważniejszym. Wiem, że jest staromodny, ale tak jak stara chińska waza, jest bezcenny i



niezastąpiony. - Ciepło spojrzała na Claude'a, który halsował w stronę stołu z kolejnym dzbankiem. Connor zauważył płamę herbaty na kosztownym perskim dywanie. - Jego rodzina służyła mojej od pokoleń. Zresztą przysiągł ciotce Florze na łożu śmierci, że będzie mnie chronił za cenę życia.

Connor parsknął, słysząc to sentymentalne wyznanie, i spróbował nabić kielbaskę na widelec. Była twarda jak kamień. Przeżuwając z wysiłkiem, zdał sobie sprawę, że gdyby miesiąc temu ktoś mu powiedział, że będzie połykał kamienie, żeby zdobyć kobietę, umarłby ze śmiechu.

Nagle Claude znów wyrósł tuż obok niego z dzbankiem herbaty w dłoni.

- Czy życzy pan sobie jeszcze herbaty, milordzie?

Connor z rezygnacją kiwnął głową. Kolejna filiżanka lodowatej herbaty była dokładnie tym, czego potrzebował, żeby przepchnąć sterczący w gardle kawałek kielbaski. Boże, czego mężczyzna nie zrobi, żeby zdobyć kobietę, której pragnie. A może było w tym coś więcej?

Zerknął na Maggie, ubraną w jasną, ozdobioną koronkami sukienkę. Przypomniawszy sobie, jak delikatna jest jej skóra. Nigdy dotąd nie był skazany na takie tortury. Jednak nie zależało mu tylko na jej ciele. Pragnął całkowicie zawładnąć tą kobietą. Chciał nawet, żeby jej lokaj go polubił.

Przełknął kamień. Z pewnością nie chodziło tu tylko o pożądanie. Był w niej zakochany po uszy.

Claude pochylił się sztywno i postawił dzbanek na krawędzi stołu. Potem, zupełnie niespodziewanie, ze zręcznością magika wyczarował skądś serwetkę i położył ją na kolanach Connora.

- Nie możemy zapominać o dobrych manierach, milordzie, prawda? Życzy pan sobie czegoś jeszcze?

Connor potrząsnął tylko głową, zastanawiając się, co nastąpi dalej. Może lokaj zacznie go karmić łyżeczką? Czy wyśle go za karę do pokoju, jeśli zostawi coś na talerzu?

Popatrzył przez stół i uniósł brew na widok Dougiego czającego się w drzwiach; ten stary głupek wyglądał jak przerośnięty gnom w starej wyświechtanej liberii, którą musiał wyciągnąć z jakiegoś kąta na strychu. Aksamitne pumpy i haftowany żakiet dopełniały komicznego stroju.

- Co ty wyprawiasz w tym idiotycznym kostiumie, Dougie? - spytał, patrząc na niego spod oka.

- Wypełniam swoje obowiązki, milordzie. - Broda Dougiego dyndała nad sztywno sterczącym kołnierzem. - To strój lokaja.

- Lokaja? - Connor spostrzegł, że Maggie uśmiecha się lekko, słodząc herbatę. - Jesteś moim rządcą, Dougie. Kenneth jest lokajem.

Dougie postawił tacę na podłodze i pochylił się, żeby niezdarnie podciągnąć opadające pończochy, po czym przemaszerował przez pokój i zamasyżycie postawił na stole talerz z przypaloną owsianką.

- Już nie. Kenneth poszedł na służbę do księżnej i w zasadzie mu się nie dziwię. Oto pana śniadanie. Niech pan nie narzeka. Bardzo się starałem, ale jestem rządcą, a nie cholernym lokajem.

Connor z niesmakiem utkwiał wzrok w talerzu.

- Co, na miłość boską, stało się z kucharką?

- Z tego, co słyszałem, ostatnio grała w karty z pomywaczkami - odparł Dougie. - Wszystkie kobiety strajkują o lepsze warunki pracy.

- Zaraz zrobię z tym porządek.

Wstał zza stołu, ale Maggie zatrzymała go gestem dłoni.

- To nie jest dobry pomysł, milordzie.

- Dlaczego?

- Mówiłam, żeby zareagował pan wcześniej. Trzeba było zdusić strajk w zarodku, teraz jest już za późno. Sugerowałabym jednak, żeby interweniował pan, zanim nastąpi wybuch.

- Wybuch?

- Tak, w tym pokoju, tuż pod pana nosem.

Connor popatrzył na Claude'a i Dougiego, którzy mierzyli się groźnym wzrokiem przez stół. Najwyraźniej podjęli otwartą walkę.

- Proszę jeść, milordzie. - Dougie sterczał nad nim jak kwoka. - Mężczyzna pana postury musi z rana porządnie zjeść.

Claude zbliżył się do Connora i protekcyjnym gestem wygładził klapy jego surduta.

- Jego lordowska mość je dziś na śniadanie des saucisses. Mężczyzna jego postury musi jeść dużo mięsa.

Dougie wykrzywił się ironicznie.

- De... so... co?

- Des saucisses - powtórzył uroczyście Claude. - Dla ignorantów: kiełbaski.

- To mają być kielbaski? - Dougie podniósł z talerza Connora kawałek wędliny i upuścił na stół. Kielbaska stuknęła głośno o blat. - A ja myślałem, że to resztki węgla z kominka.

Błądą twarz Claude'a rozjaśnił słaby uśmiech.

- Nie dopieczona wieprzowina może zabić. - Podał Connorowi widelec. - Smacznego, milordzie.

Dougie przysunął owsiankę do talerza z kielbaskami.

- Niech pan się posili najlepszą góralską strawą, sir. Wróć panu kolory na policzki, jak mawiała moja babcia.

Maggie kopnęła Connora pod stołem. Odwrócił się do niej i nagle znów poczuł niespodziewaną falę podniecenia.

- Najwyższy czas - szepnęła - żebyś pokazał, kto tu jest panem. Uśmiechnął się szelmowsko, patrząc jej w oczy.

- Chodź ze mną do pokoju, to ci pokażę, kto tu jest panem.

- Panem domu - dodała cicho, spuszczać wzrok.

- Co, według ciebie, powinienem zrobić? - zapytał po chwili.

- No cóż... - Maggie zamyśliła się. - Jeśli obrazisz Dougiego, zamienisz kryzys w otwartą wojnę domową, a to mogłoby być bardzo nieprzyjemne dla wszystkich. Z drugiej strony, jeśli obrazisz Claude'a, prawdopodobnie nie pozwoli ci zalecać się do mnie.

Connor zmarszczył czoło.

- To rzeczywiście nie brzmi zachęcająco.

- Sytuacja jest dość trudna - przyznała Maggie. - Sądzę, że gdybym była na twoim miejscu, spróbowałabym wydać wyrok, wzorując się na mądrości Salomona. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nie, nie rozumiem. - Pochylił się w jej stronę. - Cały czas myślę tylko o tym, żeby cię przytulić - powiedział półgłosem. - Twoje usta...

- Opanuj się, Claude nie spuszcza z ciebie oczu. Podejrzewam, że nauczył się czytać z ruchu warg, kiedy mieszkaliśmy w Heaven's Court.

Opadł znów na oparcie krzesła.

- Co, na miłość boską, ma z tym wszystkim wspólnego Salomon? Czy mam rozerwać się na pół, żeby dogodzić dwóm lokajom?

- Nie - powiedziała Maggie. - Masz zjeść obydwie śniadania. Connor nie miał szansy skomentować tej rady, ponieważ Claude odepchnął łokciem Dougiego i spytał:

- Czysta serwetka, milordzie? - Zdecydowanym gestem zamienił serwetkę na kolanach Connora, mimo że na poprzedniej nie było ani jednej plamki.

Dougie przepchnął się znów bliżej swego pracodawcy i mruknął:

- Ten żabojad działa mi na nerwy. - Chwycił serwetkę i zaczął wciskać ją Connorowi za kołnierzyk jak śliniak. - Po co panu ta pielucha na kolanach? Mężczyzna potrzebuje serwetki, żeby mu nie kapało po brodzie.

Connor poczerwieniał.

- Dostyc tego - stwierdził, wyszarpując serwetkę spod szyi. - Claude...

- Fular ci się przekrzywił - szepnęła Maggie. Connor rzucił jej ostre spojrzenie i powtórzył:

- Claude!

Lokaj wyprostował się, patrząc na niego z wyzwaniem w oczach.

- Życzy pan sobie czegoś, milordzie? - spytał, znacząco spoglądając na Maggie.

Connor chwycił się krawędzi stołu, niepewny, czego właściwie sobie życzy. Uciec z tego domu wariatów? Obudzić się i stwierdzić, że był to tylko zły sen? Czy miłość jego życia naprawdę musi zależeć od humorów nawiedzzonego lokaja? Niestety, tak właśnie było. Zdał sobie sprawę, że nic nie może na to poradzić, jeśli nie chce urazić uczuć Maggie.

- Pragnę podziękować za wyśmienite śniadanie.

Śniadanie, którego pewnie nigdy nie strawi. Wstał z ważną miną, mimo że czuł się trochę ogłupiały przez całe to towarzystwo.

- Dougie, chcę zamienić z tobą słowo w moim gabinecie. I podciągnij te pończochy, zanim wywalisz się jak długi na podłogę.

Dougie z rezygnacją potrząsnął głową.

- Straciłem kontrolę nad kobietami w tym domu, milordzie. Straciłem kontrolę nad własną żoną. Dlatego postanowiłem się rozwieść i chciałbym, żeby pan mnie reprezentował.

Connor przemierzał pokój tam i z powrotem.

- Nie mogę cię reprezentować w sprawie rozwodowej. Zajmuję się tylko sprawami kryminalnymi.

- Ale moje małżeństwo jest właśnie zbrodnią, milordzie. Connor zerknął przez okno i zobaczył, że Maggie idzie w stronę

lasu. Dokąd ona się wybiera? Patrzył na poruszającą się roztańczonym krokiem dziewczynę, z rozwianymi na wietrze włosami, dopóki nie zniknęła wśród drzew. Wyglądała jak leśny duszek. Nawet jej sposób poruszania się działał na niego ekscytująco.

Nie podobało mu się, że sama wyszła z domu. Mogła się zgubić, potknąć o korzeń i uderzyć w głowę albo wpaść w jakąś rozpadlinę. Mogła się potknąć o rannego mężczyznę...

Westchnął ciężko. Prawdę mówiąc, to on był najgroźniejszą bestią, jaka kiedykolwiek pojawiła się w tych lasach. Był dla niej równie groźny jak każdy inny zbir.

Głos Dougiego przerwał ciszę.

- Sądzi pan, że mam podstawy do rozwodu, milordzie? Connor podszedł do okna, prawie go nie słuchając.

- Czy żona była ci niewierna?

- Nic o tym nie wiem. Ale kto by ją chciał?

- Czy odmówiła wypełniania małżeńskich obowiązków? Dougie wahał się przez chwilę.

- Trochę dała mi się we znaki, kiedy w zeszłym miesiącu odwiedziła nas moja matka, jeśli o to panu chodzi.

- Nie, nie o to mi chodzi - powiedział z irytacją Connor. - Czy odrzuciła cię jako małżonka?

- No, a bo ja wiem... - Dougie podrapał się po głowie. - Może i tak. Ale właściwie to nie. Trudno powiedzieć.

Connor niechętnie odwrócił się od okna.

- To nie ma żadnego sensu. Do diabła, człowieku, sam nie wiesz, jakie są twoje relacje z żoną?

- To zależy, milordzie. - Dougie wpatrywał się w czubki swoich butów. - Co właściwie znaczy „relacje”, milordzie?

Connor przymknął oczy, zastanawiając się, którym skrótem mógłby pójść przez las, żeby spotkać Maggie.

- Współżycie małżeńskie.

Na myśl o tym przypomniał sobie zmysłowe i poddające się jego pieścizotom ciało dziewczyny. Skarb, który nie należał wcześniej do żadnego innego mężczyzny.

Otworzył oczy i rozejrzył się po pokoju.

- Do cholery, chodzi mi o łóżko. Dougie popatrzył na niego zaszokowany.

- To chyba nie jest pana sprawa, milordzie.

- Masz rację - skwitował Connor. - Właściwie nie chcę już wracać do tego przykrego tematu. Rób to, co do ciebie należy, i weź w garść swoje małżeństwo, dopóki jesteś w tym domu. Czy to jest jasne?

- Tak jest, milordzie - z nieszczęśliwą miną przytaknął Dougie. Connor kiwnął głową.

- A teraz wracaj do swoich zajęć. Kobietami zajmę się później. Mam coś ważnego do zrobienia.

Nagle na progu pojawiła się pani Urquhart z bardzo poważną miną. Skinieniem głowy odesłała męża i powiedziała:

- Ma pan gościa, milordzie.

Connor zaklął pod nosem. Czy to znowu ci cholerni sąsiedzi? Co zrobić, żeby mieć Maggie tylko dla siebie?

- Niech pani powie, że jestem dziś zajęty do wieczora. Gospodyni wahała się przez chwilę.

- Przyjechał aż z Edynburga, żeby się z panem zobaczyć. Mówi, że ma bardzo ważną wiadomość. Coś związanego ze sprawą morderstwa.

Connor był, oczywiście, ciekaw, co takiego wydarzyło się w sprawie, którą prowadzi, ale przyjazd tego człowieka był mu teraz bardzo nie na rękę. Zamiast spotkać się z Maggie w lesie, musiał posłać za nią Claude'a.

To było jedyne rozsądne rozwiązanie. Był zdumiony tym, co się z nim dzieje. Czuł się, jakby coś mu odebrano, a nie nawykł do poświęcania się w relacjach z kobietami. Zawsze brał to, co chciał, i zwykle dostawał to bez specjalnych zabiegów.

Nie odzyska równowagi, dopóki się nie dowie, co Maggie naprawdę o nim myśli. Albo chociaż do chwili, kiedy będzie ją miał w łóżku. Nad jej uczuciami zastanowi się później. Wierzył, że kiedy to się w końcu stanie, nic już nie zagrozi ich wspólnej przyszłości. Zdawał sobie sprawę, że jest mistrzem w sprawach seksu.

Zatrzymał się przed wejściem do salonu, żeby poukładać myśli. Na odgłos jego kroków gość siedzący przy kominku odwrócił się.

- Sebastian - powiedział zaskoczony Connor. - Jesteś ostatnią osobą, której bym się tu spodziewał. Sądziłem, że wyjeżdżasz z kraju.

- Owszem, wyjeżdżałem. - Elegancki w swoim nienagannym kaszmirowym płaszczu Sebastian lekko wzruszył ramionami. - Sprawa, nad którą pracowałem, okazała się bardziej skomplikowana, niż sądziłem.

Connor usiadł w fotelu obok. Zarówno rozsądek, jak intuicja podpowiadały mu, że coś się stało. Sebastian wyglądał nie najlepiej. Z poszarzałą twarzą wciąż zerkał na drzwi.

- O co chodzi? - spytał Connor. - Masz jakieś informacje o mojej siostrze?

- Nie. - Sebastian zsunął się na krawędź fotela, krzywiąc się lekko, jakby wysiłek sprawiał mu ból. - Ale mam pewne niepokojące wiadomości, które dotrą do ciebie za kilka godzin. Czy jesteśmy zupełnie sami? Wolałbym, żeby nikt mnie nie widział.

Connor nie odpowiedział na to dziwne pytanie. Rozumiał, że w profesji Sebastiana anonimowość jest konieczna. Lecz tak daleko idąca ostrożność wydała mu się zaskakująca w tym odludnym miejscu.

- Mam służbę - odpowiedział. - Ale nikt z nich nie ma bladego pojęcia o żadnych szpiegowskich spiskach.

- A dziewczyna? - W głosie Sebastiana zabrzmiało napięcie. - Czy nadal tu jest?

- Jaka dziewczyna? - Connor dopiero po chwili przypomniał sobie, że Sebastian wie o Maggie i że właściwie wie więcej o jej tajemniczej przeszłości niż on sam. Po raz pierwszy uderzyła go ta myśl. Poczł się jednocześnie zazdrosny i zaniepokojony. - Tak, jest tutaj - odpowiedział ostrożnie.

- Nie powinieneś jej chronić?

- Chronię ją - odparł z cieniem irytacji.

- Więc gdzie teraz jest? Kto jej pilnuje, kiedy ty siedzisz tu ze mną? Czy jest pod opieką kogoś zaufanego?

Zegar na obramowaniu kominka tykał miarowo. Connor zmarszczył czoło.

- Poszła na spacer. Na wszelki wypadek posłałem za nią lokaja. Ale dlaczego tak bardzo interesujesz się moim świadkiem? Jest tutaj zupełnie bezpieczna.

- Mam nadzieję - powiedział Sebastian.

Connor czuł się nieswojo, zdezorientowany zachowaniem gościa.

- Gospodyni mówiła coś o informacjach na temat morderstwa. Właściwie dlaczego tu przyjechałeś? Skąd nagle ta konspiracja, Sebastianie?

- Donaldson został brutalnie zaatakowany kilka dni po twoim wyjeździe - powoli wyjaśniał Sebastian. - Z tego, co wiem, chodził do

doków i zdobył tam jakieś ważne informacje na temat sprawy Balfour. Coś związanego z twoim podejrzanym. Podobno ma wyzdrowieć, ale obawiam się, że to długo potrwa. Artur Ogilvie, tak zwany Herszt, znalazł twojego kolegę w rysztołu i prawdopodobnie uratował mu życie.

Connor myślał przez chwilę. Pokój wydał mu się nagle ciemniejszy, poczuł jakiś chłód.

- W takim razie Sheena też nie jest bezpieczna - rzekł. - Dostałem od niej list, tak naturalny w tonie, iż prawie uwierzyłem, że porywacz nie ma zamiaru zrobić jej krzywdy.

- Nadal nie wiemy, czy te sprawy są powiązane. Szczerze mówiąc, nie sędzę. - Sebastian wpatrywał się w niego z denerwującą intensywnością. - Jednak w świetle tego obrotu sprawy nie jesteś może osobą, która zapewni najlepszą ochronę pannie Saunders.

- Dlaczego, do diabła?

- Bo wydaje się, że przyciągasz niebezpieczeństwo, Connor. Twoja siostra została porwana, a młody asystent poważnie pobity.

Connor nie chciał nawet myśleć o oddaniu Maggie w czyjeś ręce.

- Donaldson wiedział, jak niebezpieczne są samotne spacerunki w dzielnicy portowej. Ostrzegałem go. Głupi chłopak... Mam nadzieję, że szybko do siebie dojdzie.

Gość mocno wsparł się na poręczach fotela, żeby wstać. Tym razem uwadze Connora nie umknął stłumiony jęk bólu, ale był zbyt zaabsorbowany, żeby to skomentować.

- Nie miałem pojęcia, że tak się do niej przywiązałeś - powiedział Sebastian, patrząc mu w oczy.

- Nie planowałem tego - odparł Connor. - Zakochałem się po prostu.

- Rozumiem.

Connor odwrócił się do kominka, przeklinając pod nosem.

- Tylko przy mnie jest bezpieczna.

- Ale za dwa tygodnie musisz wrócić do miasta w sprawach służbowych. - Głos Sebastiana brzmiał teraz spokojniej. - Prokurator generalny Szkocji nie może oddawać się romantycznym uniesieniom, kiedy w stolicy bezkarnie grasuje morderca.

- Romantyczne uniesienia. Chciałbym bardzo... Powiem ci całkiem szczerze, że sprawy nie wyglądają zbyt wesoło.

Sebastian uniósł brew.



- Doprawdy?

Ze spuszczoną w zamyśleniu głową, Connor zaczął chodzić przed kominkiem.

- Jesteś pewien, że Donaldson wyzdrowieje?

- Tak słyszałem. Niestety, niewiele pamięta z wydarzeń poprzedzających napaść.

- Dobrze, że przyjechałeś. Sebastian wyjął z kieszeni rękawiczki.

- Tak się złożyło, że miałem jeszcze inną sprawę do załatwienia w okolicy.

- Tutaj?

Sebastian nie miał zamiaru wyjaśniać nic więcej.

- Nie zostaniesz przynajmniej na noc? - spytał po chwili Connor.

- Masz jakiś kłopot z ramieniem. Nie mów mi, że chorobą zawodową szpiegów jest zapalenie stawów.

Sebastian zmusił się do uśmiechu.

- Drobną sprzeczką ze starym przyjacielem. Poza tym ta druga sprawa, o której wspomniałem, jest poważniejsza, niż sądziłem.

- Ma więc jakiś związek ze szpiegostwem?

- W pewnym sensie. - Sebastian podszedł do drzwi i się zatrzymał. - Twój związek z panną Saunders... nie przekroczył żadnych poważnych granic, prawda?

Uśmiech zamarł na twarzy Connora.

- Nie mogę uwierzyć, że zadałeś to pytanie.

Przez moment w oczach gościa zabłysło coś mrocznego i groźnego. Connor zdał sobie sprawę, jak mało wie o tym człowieku.

- Bądź ostrożny, Connor - powiedział Sebastian z obojętnym znowu wyrazem twarzy. - Nie chciałbym, by cokolwiek przydarzyło się któremuś z was.

Connor był poruszony wizytą Sebastiana. Lubił Donaldsona i był wściekły, że ten głupek ryzykował życie, by zdobyć informacje. Sam też był takim wariatem, kiedy zaczynał pracę w sądzie. Może znaczyło to, że chłopak ma szansę daleko zajść.

Jeszcze bardziej martwił się teraz o Maggie i siostry.

Narzucił płaszcz i wyszedł z domu. Był zimny listopadowy dzień. Wiatr unosił spadające liście z drzew. Maggie nie mogła odejść nigdzie daleko w towarzystwie Claude'a. Nie będzie trudno ich odnaleźć. Connor znał w okolicy każdy kamień.

Minęła godzina.

Zaczął powtórnie sprawdzać ścieżki, którymi szedł już wcześniej. Zawrócił do skarpy przy wodospadzie na wypadek, gdyby któreś z nich się potknęło i zsunęło ze zbocza. Potem do drewnianego mostka nad strumieniem, gdyby przypadkiem stara konstrukcja się pod nimi zarwała.

Po kolejnej godzinie poszukiwań wrócił do domu i przebiegł wszystkie pokoje w nadziei, że tam ją znajdzie. Nie mógł uwierzyć, że zniknęła. W końcu, owładnięty przerażeniem, z rozwianymi włosami, w płaszczu oblepionym zeschniętymi liśćmi, wpadł jak bomba do kuchni.

- Wróciła? - wrzasnął.

Dziewczyna kuchenna upuściła z wrażenia rondel. Pani Urquhart i Dougie, najwidoczniej osiągnąwszy coś w rodzaju rozejmu, popatrzyli na niego zza dębowego stołu, przy którym popijali herbatę, jakby kompletnie stracił zmysły.

- Czy kto wrócił, milordzie? - spytał zdumiony Dougie.

- Lady Maggie! - wrzasnął znowu Connor. Odpowiedziała mu cisza. Nagle poczuł się jak obłąkaniec.

Wiedział, że zupełnie nad sobą nie panuje, ale nie mógł nic na to poradzić. A jeśli coś jej się stało?

- Poszła na spacer do lasu kilka godzin temu! Jest już prawie ciemno, a jej nie ma nigdzie w domu! Claude'a też nie.

Wciąż panowała cisza. Po chwili pani Urquhart zerknęła w stronę drobnej postaci na podłodze za stertą węgla. Ciężko dysząc, Connor podążył za jej rozbawionym spojrzeniem, lecz nie od razu zrozumiał, o co chodzi.

Drobna postać trzymała głowę w piecu. Nagle rozpoznał znajome okrągłe kształty. Między krzesłami pojawiła się delikatna buzia, zarumieniona od żaru bijącego z pieca i poirytowania. Maggie wstała z ziemi jak Wenus, z mąką zamiast morskiej piany na nosie.

- Kto, jeśli wolno wiedzieć, robi tyle hałasu? Trzy godziny zajęło mi przygotowanie tego sufletu, a teraz mi opadł.

- To ja - powiedział z ulgą Connor. - Szukam cię od kilku godzin.

- Martwił się pan o mnie? - Wyglądała na zachwyconą, że przez całe popołudnie się przez nią zadrećzał. - To miłe, milordzie. Bardzo miłe, ale niemądre. Księżna zabrała nas z Claude'em na przejażdżkę. Wie pan, że przy niej nic mi nie grozi.

- Mogłaś mnie powiadomić - stwierdził, podchodząc bliżej i przypierając ją do stołu. - Mogłaś przynajmniej napisać słówko. Straciłem przez ciebie cały dzień pracy.

Maggie przyglądała mu się uważnie. Najwyraźniej bardziej się o nią martwił, niż sądziła, a teraz okazywał troskę tym wybuchem złości. To dobry znak. Zależało mu na niej. Chętnie uczciłaby swoją radość szampanem.

- Ma pan ochotę na filiżankę herbaty i trochę oklapniętego sufletu z grzybami? - spytała łagodnie.

Oparł się o stół z westchnieniem rezygnacji, poddając się nagle fali emocji. Radość w jej błyszczących oczach odebrała mu na chwilę mowę. Nigdy więcej nie chciał doświadczyć tego koszmarne go lęku, że zniknęła. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, ile znaczy dla niego ta dziewczyna.

- Wyjdź do ogrodu - rozkazał ostro. - Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

Stali po dwóch stronach omszałego zegara słonecznego w błękitno - fioletowym górskim zmierzchu. W pobliskim lesie pohukiwała sowa. Jakiś borsuk z szelestem przedzierał się przez krzewy jeżyn.

Maggie otarła resztkę mąki z nosa i wpatrywała się w Connora. Zadrżała lekko, kiedy ich oczy się spotkały.

Było w nim coś tak intensywnego. Magnetycznego. Władczego. Była pod jego urokiem od pierwszego dnia, gdy ujrzała go na ulicy w otoczeniu tłumu wielbicieli. Teraz i ona była jedną z nich. Nawet więcej niż wielbicielek. Kochała tę bestię nad życie.

Pochylił głowę, groźnie patrząc na nią z drugiej strony zegara. Westchnęła, czując, że teraz wygłosi kazanie.

- Od dzisiaj nie będzie żadnych spacerów.

- Ale dlaczego, Connor? Przecież sam namawiałeś mnie do spacerowania po lesie.

- Tylko w mojej obecności - powiedział stanowczo. - To niebezpieczne. Donaldson został napadnięty i prawie stracił życie.

Maggie otworzyła szeroko oczy.

- W twoich lasach? Nie miałam pojęcia, że on jest w okolicy. Zastanawiam się... Wielkie nieba, nie sądzisz chyba, że Donaldson jest tym rannym mężczyzną, którego szukaliśmy? Tym, którego

Claude zranił szpadą w ramię? Może to wszystko jest tragicznym nieporozumieniem, jak Romeo i Julia. Och, Connor...

Przez dłuższą chwilę starał się podążyć za tokiem myślenia Maggie.

- Nie mówię o tutejszych lasach. Donaldsona napadnięto w Edynburgu i zrobił to przypuszczalnie ktoś, kto chce przeszkodzić w śledztwie w sprawie o morderstwo.

Dziewczyna zamruwała.

- Wiem, że jesteś świetnym mówcą, Connor, ale przyznaję, że chwilami nie nadążam za twoją logiką. Czy okoliczne lasy są w końcu bezpieczne, czy nie?

- Mogą być niebezpieczne.

- A wczoraj były bezpieczne?

- Tak. - O co jej, do diaska, chodziło? - Tak właśnie sądziłem.

- Tak więc wczoraj były bezpieczne, a dziś już nie są, ponieważ w Edynburgu kogoś napadnięto?

Connor nagle zamarzył o szklance whisky. Dyskusja z Maggie była równie trudna co występowanie przed Sądem Najwyższym.

- Lasy nie są bezpieczne, ponieważ ktoś, kto zaatakował Donaldsona, mógł tu za nami przyjechać.

- Nie musisz używać tego tonu. To samo próbowałam ci wytłumaczyć przez ostatnie dwa tygodnie.

W tym momencie wygrała.

- Tak... Poważnie przemyślałem pewne sprawy...

- Ja również - przerwała mu, okrążając zegar słoneczny z miną prawnika, podsumowującego wystąpienie przed ławą przysięgłych. - I zdaję sobie teraz sprawę, że prawdopodobnie zbyt emocjonalnie zareagowaliśmy z Claude'em. Nie czuję się tu w żaden sposób zagrożona. Gdyby cokolwiek mi groziło, z pewnością bym to wyczuła. Mam dobrą intuicję w takich sprawach.

- A co z tym rannym mężczyzną? - spytał ponuro Connor.

- Ach, tak... No cóż, albo wzrok, albo umysł Claude'a nie jest już taki jak dawniej. Możliwe, że wyimaginował sobie całe zdarzenie. Oczywiście, nigdy mu tego nie powiem.

- A postać w czerni na farmie? Mężczyzna, który pukał do twoich drzwi w zajeździe Pod Żłotym Suwerenem?

Ruszyła w stronę muru ogrodu.

- Nie umiem tego wytłumaczyć - zawołała przez ramię. - Wiem jedynie, że przestałam się bać.

- A ja nie... - powiedział cicho, spoglądając w stronę lasu. - Od siedmiu lat przyjeżdżam tu jesienią, a ja również mam dobrą intuicję. Ktoś nas obserwuje. Czuję to w tej chwili. W tych lasach czai się ktoś obcy.

## Rozdział 31

Connor wpatrywał się w ogień, rozkoszując się ciszą wieczoru. W Edynburgu rzadko miał czas na kontemplację. Kupił ten dom, by mieć gdzie uciec z miasta, ale nieczęsto korzystał z tego schronienia. Nie było tu żadnych problemów. Nie było też jednak szczęścia.

Brakowało dzieci, żony, krewnych. Ani komplikacji, ani radości. Łyknął whisky.

- O Boże - szepnął do siebie. - Daj, żeby mnie pokochała. Nie pozwól mi jej stracić. Nigdy tak bardzo na nikim mi nie zależało.

Odrzucił głowę do tyłu i przymknął oczy. Z ogrodu, gdzie Claude dawał lekcje fechtunku, dobiegały śmiechy służby.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, dom żył prawdziwym życiem. Maggie wniosła ze sobą ciepło i radość. Jak to się stało, że zaczął tak strasznie jej potrzebować?

Drzwi do pokoju zaskrzypiały. Za fotelem usłyszał lekkie kroki. Westchnął i uśmiechnął się do siebie w mroku. Czekał na nią.

- Usiądź tu obok - powiedział pozornie spokojny. - Należę ci wina.

- Chętnie się napiję, milordzie, jeśli nie będziesz mnie znowu beształ.

Maggie usiadła w fotelu naprzeciwko i wzięła od Connora kieliszek. Ku jego zaskoczeniu, miała na sobie tylko ciemnoczerwony aksamitny szlafrok, tak że widać było jedynie jej twarz, drobne dłonie i stopy. Niestety, było to i tak zbyt wiele.

Jej delikatna zmysłowość sprawiała, że czuł się jak barbarzyńca. Nie wiedział chwilami, jak to ukryć. Przyglądał się dziewczynie, udając opanowanie, i kalkulował następne posunięcie.

Maggie przesunęła gołymi stopami po dywanie i wypila łyk wina.

- Zupełnie jak kiedyś, prawda, Connor? - spytała, wzdychając słodko.

Miał ochotę przesunąć dłonią od jej stopy do uda. Nie byłaby tak rozluźniona, gdyby wiedziała, co chodzi mu po głowie.

- Kiedyś?

- Próbujesz mnie upić przed kominkiem. Przypomina mi to noc, kiedy się poznaliśmy.

- Znasz mężczyznę o imieniu Sebastian? - zapytał niespodziewanie.

Maggie opuściła kieliszek z winem i spojrzała na niego krytycznie.

- Mam nadzieję, że w sądzie uważniej słuchasz świadków niż teraz mnie. Czasem trudno się z tobą rozmawia.

- Znasz jakiegoś Sebastiana? - powtórzył.

- Znałam kilku Sebastianów - odparła. - Pierwszy był sekretarzem ojca. Zniknął tej nocy, gdy umarł papa. Podejrzewamy, że mógł zostać ścięty w Marsylii. Był też stary Sebastian, wuj ogrodnika. Złapano go w niedwuznacznej sytuacji ze szwaczką mamy. - Maggie sączyła z uśmiechem wino. - Najwidoczniej skłonność do lubieżnych uciech była rodzinną cechą, gdyż młody

Sebastian, syn ogrodnika, został złapany, jak...

- Znasz jakiegoś Sebastiana, który mieszka w Edynburgu? Może mieć powiązania z Hersztem.

Przez moment zastanawiała się.

- Nie. Dlaczego?

- Ponieważ on bardzo dużo wie o tobie - powiedział ponuro Connor.

- To mi schlebia.

- To nie jest komplement. Nie podoba mi się, że interesują się tobą inni mężczyźni. Nie myśl, że będę to tolerował.

Odstawiła kieliszek i ujęła go za rękę.

- Pociemniała ci twarz, milordzie. Nie martw się o mnie. Mówiłam ci, że czuję się bezpieczna.

- Nie jestem co do tego przekonany - rzekł, chwytając mocno jej dłoń. - Boję się też tego, co do ciebie czuję. Boję się, że ktoś skrzywdzi cię przeze mnie. Boję się o moje siostry.

Uniósł się z fotela, przyciągnął ją na kolana i przytulił do piersi.

- Tak bardzo cię potrzebuję, Maggie.

Wszelkie strategie obracały się w niwecz w jej obecności. Był lwem poskromionym przez księżniczkę. Bestią, gotową oddać życie za jej miłość.

Maggie pogłaskała go po twarzy. Jej dotyk go rozpalał. Wszyscy sądzili, że nie ma słabości, lecz to nie była prawda. Tęsknił za czułością. Pragnął być akceptowany zarówno ze swoimi słabościami, jak i z siłą.

- Niczego nie umiem przed tobą ukryć - powiedział zmieszany. - Kiedy to wszystko się skończy, wyjdiesz za mnie.

Odchyliła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- To miłe, Connor, ale musisz poprosić...

- Nie będę nikogo prosił - przerwał jej stanowczo. - Sprawa jest postanowiona. Szczególnie po dzisiejszym wieczorze.

Wyglądała na zaintrygowaną.

- A co się wydarzy dzisiejszego wieczoru? - szepnęła, bezwiednie wstrzymując oddech.

Szatańskie błyski tańczyły w jego oczach.

- Nie wyjdiesz z tego pokoju, dopóki nie będziesz moja.

Zanim zareagowała, rozsunął poły jej szlafroka, zręcznie rozwiązując szarfę wokół talii. Maggie wydała cichy okrzyk na tę zuchwałość.

Connor sam znieruchomiał z wrażenia. Pożądanie odjęło mu mowę. Pod szlafrokiem była naga. Zupełnie, cudownie naga. Napawał się widokiem jej pełnych piersi, gładkiego brzucha, ciemnego trójkąta włosów między nogami. Była drobna, ale doskonale zbudowana, miękka, słodka, jedyna. Serce waliło mu jak młot.

- Boże... - odezwał się w końcu, potrząsając z niedowierzaniem głową. - Gdzie jest twoje ubranie?

- Na górze - odpowiedziała poirytowanym tonem. - Po kąpieli zdałam sobie sprawę, że nie wypuściłam Dafne na wieczorny spacer. Wpadłam do ciebie, żeby powiedzieć dobranoc. Nie spodziewałam się, że będziesz mnie brał siłą. - Naciągnęła z powrotem szlafrok.

Uśmiechnął się i jednym szarpnięciem znów go zerwał z jej ramion.

- Siłą, tak? - Rozwiązał do końca szarfę, używając jej jednocześnie do przyciągnięcia Maggie bliżej. - Czyżbym miał dać ci dowód, że moja reputacja nie jest czczym wymysłem?

- Jestem niedoświadczona, milordzie - powiedziała i podciągnęła kolana do brzucha.

- Tak, wiem. - Jego głos brzmiał łagodnie, ale oczy płonęły namiętnością. - Mój słodki kwiatuszek...

Maggie przygryzła wargę. Włosy opadały jej na nagie ramiona i piersi. Wyglądała tak pociągająco, że Connor nie mógł się opanować. Ujął ją pod brodę i pocałował, a potem delikatnie przechylił do tyłu i położył na dywanie. Światło od kominka podkreślało wszystkie kształty jej wiotkiego ciała. Podniecony do nieprzytomności, Connor w skupieniu przesunął wargami po jej ustach.



- Jak ktoś tak drobny może robić na mnie takie piorunujące wrażenie? - zastanowił się na głos, odgarniając włosy z jej twarzy, a potem spytał lekko rozbawionym głosem: - Dlaczego zaciskasz powieki, Maggie? Naprawdę jestem taką bestią, że nie możesz znieść mojego widoku, kiedy się Kochamy?

Otworzyła powoli oczy.

- Wcale nie jesteś bestią. Jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie. No, może lubisz czasem nadużywać władzy... Ale to tylko dlatego, że jesteś w tych sprawach najlepszy. Wprawiasz mnie w zakłopotanie, to wszystko.

- W jakich sprawach? - spytał zalotnie, dmuchając jej w ucho.

- W uwodzeniu... no cóż, przynajmniej nie mogę się skarżyć, że chcesz odebrać mi cnotę, ponieważ jutro rozpoczynasz nowy proces.

- Co proces ma wspólnego z... Och, tak, dziewica w przeddzień bitwy. - Przez jego twarz przemknął uśmiech. - Zapomniałem o tej plotce.

Maggie uniosła się na łokciu i groźnie na niego popatrzyła.

- Zauważyłam, że temu nie zaprzeczasz. Czy to prawda? Przez dłuższą chwilę z przyjemnością trzymał ją w napięciu.

- Jak w większości plotek, pewnie i w tej jest jakieś ziarno prawdy.

Odsunęła jego dłoń ze swojego biodra.

- Ziarno prawdy?

- Podejrzewam, że w zamierzchłej przeszłości zdarzyło mi się uwieść w przeddzień otwarcia sprawy jakąś kobietę, która twierdziła potem, że była dziewicą.

- Nie pamiętasz? - spytała ostro.

- Nie pamiętam żadnej kobiety, która pojawiła się przed tobą - odparł, kładąc z powrotem rękę na jej biodrze. - Czy była jakaś inna?

Przesunął usta po jej szyi i piersiach. Wszystko go w niej podniecało. Westchnienia i to, jak się wyginała pod wpływem rozkoszy. Ręce mu drżały, kiedy ją pieścił.

- Zmieniłaś moje życie, Maggie - szepnął. - Nigdy przedtem nie strzelałem do strachów na wróble ani nie wyciągałem powozów z bagna.

Uśmiechnęła się.

- Właściwie niewiele cię znam. Herszt zawsze mówił, że charakter człowieka poznaje się dopiero wtedy, kiedy jest doprowadzony do granic wytrzymałości.

Connor głośno odetchnął.

- Właśnie teraz jestem doprowadzony do granic wytrzymałości.

- To znaczy...

Zaczął rozpinąć koszulę.

- Tak, dziewczyno. I nie próbuj uciekać. Chcę poczuć twoje ciało.

Ciepło jej skóry przeniknęło go całego, kiedy przywarł do niej nagą pierś. Powoli przesunął po niej dłonie, rozkoszując się każdą wypukłością i załamaniem.

- Maggie, mamy pewien problem. - Westchnął. - Poważny problem. Myślę o tym od rana.

- Wiem. - Przytuliła się mocniej do jego piersi. - Śniadanie mnie również prawie zabiło. Nie chciałam urazić Claude'a, ale przez kilka godzin bolał mnie żołądek.

- To prawda, że śniadanie było ciężkim doświadczeniem - nie przestawał gładzić jej po pośladkach - ale nie w tym leży problem.

- Masz rację. - Zadrżała, kiedy przesunął palcami wokół pępka. - Do tej pory czuję spalonego łososia, którego musieliśmy zjeść na kolację.

- Za dwa tygodnie muszę wrócić do Edynburga, żeby objąć urząd prokuratora generalnego. - Jego ręka przesunęła się niżej. - Zastanawiałem się, czy nie poprosić Donaldsona, by tu przyjechał i zaopiekował się tobą. Oczywiście, teraz to nie wchodzi w grę. Wszystko się zmieniło.

- Tak... - Maggie westchnęła zaskoczona. Co on jej robi? - Nie mogę wrócić do Heaven's Court.

- Na Boga, z pewnością nie. Żona prokuratora generalnego?

- Zakładając, że zgodzę się za ciebie wyjść. Mogłabym pozostać jedynie świadkiem.

Uśmiechnął się. Jego wzrok palił ją jak żywy ogień.

- W takim razie będę musiał cię aresztować. Sąd wnosi przeciw tobie oskarżenie za uwiedzenie w złym zamiarze nocą dwudziestego października. Oraz... - pieścił wewnętrzną stronę jej ud - ...za bezlitosne uwodzenie mnie każdego kolejnego dnia. Co masz na swoją obronę?

- Kto będzie moim sędzią? - szepnęła.

- Ja.

- A ława przysięgłych?

- Ja będę sędzią, ławą przysięgłych i strażnikiem więziennym. To jednoosobowy sąd.

- W takim wypadku pozostaje mi tylko oddać się na łaskę sądu. Roześmiał się cicho.

- Ten sąd nie zna litości.

Maggie zeszywniała, kiedy wsunął w nią palec i zaczął nim delikatnie poruszać. Nie mógł oderwać oczu od jej twarzy, na której malowało się zaskoczenie i instynktowna namiętność. Bezwiednie zaciskała mięśnie wokół jego palca. Była wilgotna i ciepła.

- Jesteś... - Zaczerpnęła powietrza. - Jesteś pewien, że to zgodne z prawem?

- To się nazywa badanie szczegółów - szepnął, uśmiechając się z zadowoleniem. - Sąd wykorzystuje swoje prawo, by się upewnić, czy niczego nie ukrywasz.

- Jakże bym śmiała.

- Czy ja widzę uśmiech na pani twarzy, panno Saunders? Zapewniam panią, że oskarżenie jest bardzo poważne... A moje dochodzenie może trwać dniami i nocami.

- Dniami i nocami? - spytała, drżąc z rozkoszy.

- Bardzo długo... Och, Maggie, nie mogę już czekać. Cienie wyolbrzymiały jego sylwetkę. Czowała, jak wielka siła drzemie w tym potężnym ciele.

Odsunął się, żeby zdjąć spodnie. Maggie odwróciła oczy do kominka.

- Mam nadzieję, że Claude nie zapomni wpuścić Dafne na noc do domu. Sądzisz, że powinnam mu przypomnieć?

- Teraz? - spytał przerażony.

- To zajmie tylko chwileczkę.

Z westchnieniem rzucił spodnie na podłogę.

- Próbuję cię uwieść, Maggie.

- Wiem - szepnęła. - Świetnie ci to idzie.

- Gdyby świetnie mi szło, nie martwiłabyś się o swojego pudła.

- Trudno mi to przyznać - głos jej się łamał - ale mam wrażenie, że opuszcza mnie słynna zimna krew de Saint - Evremondów.

- To naturalne - powiedział łagodnie. - To twój pierwszy raz. Prawdę mówiąc, ledwie nad sobą panuję.

- Nie widać tego po tobie. - Maggie była zaskoczona.

- Ależ widać - powiedział z uśmiechem. - Jeśli się wie, gdzie spojrzeć. Ale ty w swojej niewinności tego nie wiesz.

Odruchowo zerknęła w dół i szeroko otworzyła oczy.

- Tak, wiem, o co ci chodzi. Jak do tego doszło?

- To było nieuniknione. Pragnąłem cię i cię mam. Ja nigdy nie przegrywam, dziewczyno. Nigdy.

- Słyszałam, że pomaga ci w tym szatan.

Roześmiał się cicho i położył na niej, zdecydowany wykorzystać do końca swoją przewagę. Całując delikatnie jej piersi i brzuch, dotarł do słodkiego zagłębienia między udami. Jej zapach i smak działały na niego jak narkotyk. Czuł się jak pijany. Kiedy szarpnęła się lekko, żeby mu umknąć, przygniótł ją silnymi ramionami do podłogi.

Rozkosz ogarnęła ją zupełnie niespodziewanie. Drżała na całym ciele.

- Nieuniknione... - szepnął, wdychając jej zapach. - Na twoim miejscu oszczędzałbym siły na później. Nie wypuszczę cię, dopóki nie skończę.

- Potwór - powiedziała, ledwie łapiąc oddech. - Bestia...

- I piękna... - Objął ją mocniej za pośladki nie przestając pieścić językiem. - Cała jesteś moja.

- Żadna dyskusja z tobą nie ma chyba sensu...

- Absolutnie nie.

- Ani udawane opieranie się.

- Maggie, bądź cicho... - szepnął, podnosząc głowę i uśmiechając się do niej. - Rozpraszasz mnie w tak cudownym momencie.

Wpatrywała się w zachwycie w jego twarz. Wybrał ją na swoją kobietę, pragnął jej i gotów był zabić w jej obronie. Biło od niego takie namiętne pragnienie, że odbierało jej dech w piersiach.

- Jesteś gotowa, dziewczyno?

Pochylił głowę, kiedy westchnęła ulegle, i Maggie poczuła, że nie kłamał, kiedy ją uprzedzał, że nie zna litości. Rozkosz, jaką jej dawał, niweczyła wszelkie bariery. Nie było już między nimi żadnej granicy, żadnych zahamowań.

- Poddaj się - szepnął. - Kochaj mnie.

- Tak... - jęknęła cicho.

Uniósł się nad nią i powiedział rozkazującym tonem:

- Dotknij mnie.

Posłuchała i zaczęła pieścić jego plecy, a potem nagle poczuł jej palce na nabrzmiętym członku. Zafascynowany, zamknął oczy. Nagle poczuł pustkę w głowie. Był zgubiony. Jej czułe pieszczoty odbierały mu rozum. Ujarzmiła go.

- Z nikim nigdy się tak nie czułem. Umrę, jeśli w ciebie nie wejdę...

Jego ciało przykryło Maggie całą i znów ją pocałował. Pachniał whisky i grzechem.

- Nie wytrzymam dłużej - szepnął, wsuwając palce w jej włosy. - Nie bój się.

- Nie bałam się, dopóki tego nie powiedziałeś. Dlaczego miałabym się ciebie bać?

Jednak przez chwilę się bała. Przez tę jedną chwilę, zanim ją wziął.

- Connor - odezwała się z wahaniem - może jeszcze się nad tym zastanowię...

Wyraz determinacji na jego twarzy odebrał jej głos. Jego długie włosy spadły do przodu, kiedy rozsunał jej nogi. Gdy poczuła, że w nią wchodzi, zadrżała i przywarła plecami do podłogi, jakby szukała oparcia, spadając w przepaść. Wygięła się instynktownie, czując, że pochłania ją rozszalała burza.

Connor kochał ją, aż poczuł, że posiadał nie tylko jej ciało, ale i duszę, aż nie zostało w niej już nic, czego by mu nie oddała.

- Teraz należymy do siebie - powiedział, kiedy rozkosz zbliżała się do zenitu. - Na zawsze.

## Rozdział 32

Chciał przemycić ją do swego pokoju, kiedy posłaniec przerwał ciszę nocną.

Connor doszedł już do połowy schodów i pewnie już dawno byłby na górze, gdyby nie zatrzymywał się co dziesięć sekund, żeby ją pocałować. Dom tonął w ciemnościach, wszyscy dawno już spali.

Cieszył się na myśl, że będzie ją miał tylko dla siebie aż do świtu. Czuł się nienasycony, po głowie chodziły mu coraz bardziej kosmate pomysły.

Z erotycznych marzeń wyrwał go nagle Dougie, który niespodziewanie pojawił się za nimi na schodach i z wdziękiem słonia zepsuł całą atmosferę.

- Właśnie nadszedł list do milady - zaanonsował tak głośno, że umarłego podniosłoby z grobu. - Pomyślałem, że może to coś ważnego.

- Nie teraz - rzucił przez zaciśnięte zęby Connor. - Przecież widzisz, że niosę lady Maggie na górę.

Dougie przysunął świecę do jej twarzy.

- Chyba nic jej nie jest - powiedział z troską. - Najlepiej niech ją pan położy w jej łóżku, milordzie. Moja babcia zawsze mówiła, że wskakiwanie do cudzych łóżek nikomu nie wychodzi na dobre...

Podtrzymując Maggie w ramionach, Connor wyrwał Dougiemu elegancką welinową kopertę.

- Kiedy to przyniesiono?

- Kilka minut po północy - z niechęcią stwierdził Dougie. - Wygląda jak zaproszenie. Piekielna pora na przysyłanie listów.

Connor postawił Maggie na podłodze.

- Co to jest? - spytała, otwierając półprzytomnie oczy. Twarz Connora pociemniała, kiedy otworzył list.

- „Droga Panno Saunders - przeczytał powoli. - Mam zaszczyt zaprosić Panią jutro o godzinie dziewiątej do zamku Glanhurst w sprawie najwyższej wagi. Proszę, żeby przybyła Pani sama. Z poważaniem, lord Anonim”.

Maggie oparła się o ramię Connora i spytała:

- Lord jaki?

- Anonim. - Connor wpatrywał się w list z lodowatą furią w oczach.

- Zamek Glanhurst jest opuszczony od dwudziestu lat - wtrącił cicho Dougie.

Maggie spojrzała Connorowi w oczy.

- Księżna wspomniała, że ktoś wprowadził się tam kilka dni temu - powiedziała. - Mężczyzna, którego nikt tu nie zna. Według niej, to może być jakiś bogaty Amerykanin. Przywiózł ze sobą całą świtę. Obawiała się, że będzie polował w tutejszych lasach.

- Śmieszne nazwisko... Anonim... - rzekł Dougie. - Nie miałbym do niego zaufania.

Głos Connora rozległ się w ciemności za brokatowymi kotarami łóżka.

- Nie pójdziesz tam, Maggie.

- Oczywiście, że nie. Myślisz, że straciłam rozum? - Oparła się o rzeźbione wezłowie łóżka, a potem nagle pochyliła się nad Connorem. - Nie masz chyba zamiaru tam iść? Przynajmniej nie sam.

- Nie. - Unikał jej wzroku. Przyciągnął ją do piersi i mocno przytulił.

Maggie wydawała się szczęśliwa i rozluźniona, w nim natomiast wrzała wściekłość.

- Sądysz, że to od człowieka, który porwał Sheenę? - spytała szeptem.

Pogładził ją po ramieniu, wpatrzony nieobecny wzrokiem w drzwi.

- Nie wiem, kochanie.

- Nie działałby tak otwarcie, gdyby chciał mnie skrzywdzić - myślała na głos Maggie. - Czy śmiałby mnie zaatakować wiedząc, że jestem pod twoją opieką?

- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, do czego są zdolni niektórzy ludzie. - Popatrzył na nią czule. - A może nie byłabyś wcale zdziwiona. Napatrzyłaś się na wiele nieszczęść w swoim życiu, prawda?

O świcie wyruszył do zamku. Kiedy wychodził z pokoju, Maggie spała jak kamień, zwinięta w kłębek pod kołdrą. Ledwie poruszyła powiekami, gdy się pochylił, żeby ją pocałować.

- Koniec z koszmarnymi snami - powiedział do siebie półgłosem.

- Dzisiaj położę temu kres. Już nikt nie zrobi ci krzywdy.

Ubrał się w wełniany strój na polowanie i wyjął pistolet z szuflady biurka. Kiedy wkładał go do kieszeni płaszcza, nagle przypomniał sobie spotkanie z Sebastianem.

„Masz jakiś kłopot z ramieniem, Sebastianie. Nie mów mi, że chorobą zawodową szpiegów jest zapalenie stawów.

Drobna sprzeczką ze starym przyjacielem”.

„Ugodziłem go w ramię, milordzie...”

Co właściwie wiedział o Sebastianie? Listy polecające mogły być sfałszowane, nawet te od premiera i członków parlamentu. Pieczęcie mogły być kradzione. Connor nigdy nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić wiarygodność Sebastiana. Dlaczego miałby to robić? Człowiek ten obracał się w najlepszym towarzystwie. Zawsze gotów był pomóc Connorowi i aż do dzisiaj nie było żadnych powodów, żeby go o cokolwiek podejrzewać.

W końcu nawet superszpieg musi wcześniej czy później wycofać się z zawodu, a Sebastian z pewnością nie był pierwszym Francuzem, który osiedlił się w Szkocji. Oba kraje były od wieków politycznymi sojusznikami.

Lecz nagle zdał sobie sprawę, że Sebastian wiedział o wiele za dużo o jego życiu i że okazywał dziwne zainteresowanie osobą Maggie. Może miał na jej temat jakąś obsesję. Inaczej nie jechałby przecież przez całą Szkocję, żeby ją tutaj odnaleźć. Na tym górskim pustkowiu od stu lat nie pokazał się żaden szpieg. Prawda uderzyła go jak grom.

To Sebastian był tym rannym mężczyzną i bez względu na to, czy był zamieszany w sprawę morderstwa Balfour, postradał chyba zmysły, jeśli sądził, że Connor pozwoli mu zbliżyć się do Maggie.

Obudziła się, z trudem łapiąc oddech. Łzy spływały jej po policzkach. Tym razem była tak blisko. Dotarła już do drzwi pokoju w zamku i je otworzyła. Widziała sylwetkę siostry zarysowaną na tle jaskrawego światła. Odpowiedź na wszystkie jej pytania była tuż, tuż...

Connora nie było w pokoju.

Usiadła na łóżku i rozejrzała się. Szuflada biurka była na wpół wysunięta. Maggie przypomniała sobie nagle, że w środku nocy obudziła się na moment i słyszała, jak Connor ładuje broń.

- Rano idę na polowanie - odpowiedział, kiedy sennie spytała, co robi.



Przeszył ją dreszcz strachu.

Polowanie na wroga. Był gotów przekroczyć prawo, które reprezentował, żeby załatwić sprawę tak, jak załatwiają to szkoccy górale. Powinna była zauważyć, jaki był spięty, czytając list. Taki mężczyzna jak Connor zawsze wychodzi naprzeciw niebezpieczeństwu.

Kiedy szybko się ubrała i zbiegła na dół, zorientowała się, że Claude'a i Dafne, podobnie jak Connora, od kilku godzin nie ma w domu.

Jedna ze służących widziała całą trójkę na drodze do zamku Glanhurst niedługo po wschodzie słońca.

Mężczyzna, którego kochała, jej wierny lokaj i ulubiony zwierzak... Wszyscy jej najbliżsi wyruszyli w jej obronie na spotkanie z szaleńcem. Ogarnęło ją przerażenie. A jeśli było za późno, by coś jeszcze zrobić? Dlaczego nie wyczuła furii pod maską pozornego spokoju Connora?

Był to dzień targowy i Dougie z panią Urquhart mieli wrócić dopiero późnym popołudniem. Większość służby pojechała razem z nimi, żeby przywieźć do domu zapasy żywności. Najbliższe miasteczko było o dwie godziny jazdy konno. Nie wiedziała, co ma robić. Musiała pomóc Connorowi, inaczej oszalałaby ze strachu i bezradności.

Szła do stajni osiodłać konia, żeby pojechać do chaty Rebeki, kiedy przed dom zajechał powóz księżnej. Maggie rzuciła się do niej poblądła ze strachu.

- Dzień dobry, Maggie - powiedziała, jak zwykle, ostrym tonem księżna. - Claude obiecał mi lekcje fechtunku. Chcę podszlifować pewne pchnięcia. Przywiozłam Rebekę, na wypadek gdybym sobie coś przetrąciła i potrzebowała pomocy medyka.

- Claude zniknął. - Maggie wyciągnęła tajemniczy list z kieszeni płaszcza. - Connor też. Pojechali na spotkanie z lordem Anonimem w zamku.

Rebeka wychyliła się przez otwarte drzwi powozu.

- Lordem jakim, moja droga?

Księżna przebiegła wzrokiem list i z powagą potrząsnęła głową.

- Wziąwszy pod uwagę to, co działo się tutaj ostatnio, nie podoba mi się to zaproszenie.

- Mnie też nie - wykrztusiła bez tchu Maggie.

Już wcześniej obawiała się, że narazi Connora na niebezpieczeństwo, on sam wyczuwał też jakieś zagrożenie.

- Dziwna pieczęć. Dość niezwykła. - Księżna przesunęła palcem po wosku.

- To chyba nie jest czarna róża? - spytała zaniepokojona Rebeka.

- Raczej nie - powiedziała Maggie. - Z początku pieczęć wydała mi się znajoma, ale jest rozmazana, trudno powiedzieć, co to jest.

- Arogancki łajdak z tego lorda Anonima - mruknęła księżna. Maggie zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Nie pomożemy Connorowi stercząc tu i snując domysły. Jego życie może być w tej chwili w niebezpieczeństwie.

- Wątpię - stwierdziła Rebeka. - Rozszarpałby na kawałki każdego głupca, który odważyłby się wejść mu w drogę. Poza tym, Maggie, list był zaadresowany do ciebie. Ta osoba nie jest chyba zainteresowana moim bratem.

- Ale to może być podstęp - powiedziała księżna. - A jeśli ten szaleniec wrzucił już Connora do lochu?

Maggie zaczęła drżeć na całym ciele.

- Razem z Claude'em i Dafne. Zniknęli kilka godzin temu. Rebeka i księżna wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

- Piesek też zniknął? - spytała Rebeka. - Morna, dlaczego wciąż tu tkwimy? Plan działania obmyślimy w drodze.

Księżna popchnęła Maggie do powozu.

- Frances nas zawiezie, ale w pewnym miejscu droga do zamku zamienia się w wąską ścieżkę. Dobrze, że wzięłam ze sobą pistolety. Wygląda na to, że czeka nas bitwa, dziewczęta.

Maggie wsiadła do powozu, zastanawiając się wciąż, jak najlepiej pomóc Connorowi.

- A może powinniśmy zawiadomić władzę, może poprosić o pomoc kapitana Balgonie albo pana McGee?

- To nie ma sensu - uznała księżna, sadowiac się obok niej. - McGee marudziłby, że musi się ruszyć z domu, a Balgonie bałby się, że pobrudzi sobie spodnie, i straciłybyśmy co najmniej godzinę. Co ty na to, Rebeko? Mamy zwrócić się o pomoc do mężczyzn czy nie?

- Chyba nie. W końcu ty masz strzelby, a ja Aresa. To wystarczy. Już nieraz dawałyśmy sobie radę.

- To prawda - zgodziła się księżna. - Pamiętasz, jak uratowałyśmy te lisy podczas polowania u lady Rosyth dwa lata temu?

- Albo jak zeszłego lata pogoniłyśmy sforą psów kłusowników z twojej posiadłości - dodała Rebeka, odrzucając warkocz na plecy.
- W takim razie wszystko jest ustalone. - Księżna zastukała w dach powozu. - Mężczyźni tylko by nam przeszkadzali.

### Rozdział 33

Co tu się dzieje? - Księżna wychyliła się z okna powozu, kiedy nagle się zatrzymał. - Jakiś inny powóz blokuje nam drogę. Czy ci idioci nie wiedzą, że to teren prywatny? Frances! - krzyknęła. - Zajmij się tym natychmiast.

Frances, atletycznej postury kobieta koło pięćdziesiątki, posłusznie zeskoczyła z kozła i poszła w stronę drugiego powozu. Po chwili rozległy się podniesione głosy, przerywane łagodnymi argumentami jakiejś innej kobiety.

- Znam ten głos. - Maggie przechyliła się przez Rebekę i Aresa, żeby wyrzeć za skórzaną zasłonkę przy oknie. - To pani Macmillan.

- Kto? - spytała księżna, wyciągając z płaszcza butelkę whisky.

- Kochanka Connora - wyjaśniła Maggie i przesunęła się w stronę drzwiczek.

Księżna o mało się nie zakrztusiła.

- Jego co?

- Pamiętasz przecież Ardath - z uśmiechem powiedziała Rebeka.

- Connor przywiózł ją tutaj ostatniej wiosny. Zrobiła straszliwą awanturę temu ohydnemu człowiekowi na targu, który chciał sprzedać wdzięki własnej córki. Postarała się, żeby go aresztowano, a dziewczynę umieściła w jakimś porządnym domu.

- Ach... - Morna pokiwała głową, przypominając sobie Ardath. - Cudowna kobieta. Ale sądziłam, że da Buchananowi kosza po powrocie do domu.

- I tak się stało. - Maggie ostrożnie przeszła nad strzelbami Morny, by wydostać się z powozu. Ta kobieta była chodzącym arsenałem. - Jednak mimo zerwania postanowili zostać przyjaciółmi. Co ona tu robi?

Przywożę wieści o Sheenie - tłumaczyła kilka minut potem Ardath.

Siedziały na poboczu w miejscu, gdzie droga urywała się nagle i zamieniała w zarośniętą leśną ścieżkę. Zbuntowani jakobici, do których należał zamek, zrobili wszystko, by utrudnić brytyjskim żołnierzom dostęp do swojej twierdzy. Zwalono tu ogromne kamienie, które praktycznie uniemożliwiały przejście.

- Sheena żyje, prawda? - spytała Maggie.

Zmęczona podróżą Ardath odruchowo poprawiła rudy kosmyk włosów przy kapeluszu.

- Żyje, ale nie jestem pewna, czy ujdzie cało, kiedy Connor się dowie, co zrobiła. Boję się nawet o tym myśleć.

- Co ta diablica znowu przeskrobała? - spytała przysłuchująca się im Rebeka.

Ardath odwróciła się do niej.

- Zaplanowała swoje porwanie i w Gretna Green poślubiła potajemnie mężczyznę, z którym Connor zabronił jej się widywać. Oszust, którego próbowałam bronić, okazał się podłym człowiekiem. Do pewnego stopnia podłym, bo był na tyle przyzwoity, żeby się z nią ożenić.

Maggie była oburzona.

- I pomyśleć, że wciągnęli mnie w ten nędzny spisek, a ja tak bardzo się o nią martwiłam.

- Ta niemądra dziewczyna ma wyrzuty sumienia, że cię w to wplątała - powiedziała z westchnieniem Ardath. - Podobno myślała, że jesteś Filomeną Elliot. Sądziła, że będziesz doskonałym świadkiem porwania, ponieważ Filomena nigdy wcześniej nie widziała Henryka, obecnego męża Sheeny, a poza tym, szczerze mówiąc, nie jest zbyt rozgarnięta. Posłużyli się tobą, byś przekonała Connora, że została porwana.

- Nie mogę uwierzyć, że o mało nie skęciłam sobie karku w obronie takiej podstępnej istoty! - wykrzyknęła z oburzeniem Maggie.

Ardath zgodnie pokiwała głową.

- Woźnica też był bardzo przejęty, czy doszłaś do siebie po upadku na dziedzińcu.

- To istny kryminał - powiedziała ze złością Rebeka. - Connor z pewnością unieważni to małżeństwo. Jeśli ma jeszcze odrobinę rozsądku, spuści Sheenie porządne lanie za to wszystko, przez co przeszliśmy.

- Nie zrobi ani jednego, ani drugiego - rzekła Ardath - mimo że Sheena bez wątpienia na to zasłużyła. Jest mężatką, spodziewa się dziecka i umiera ze strachu na myśl o reakcji brata. Jej mąż również. Poprosili, żebym była mediatorem, co nie sprawia mi najmniejszej przyjemności, ale zgodziłam się, żeby chronić imię Connora. Niepotrzebne mu są teraz dodatkowe kłopoty. Będzie ich miał dość w pracy po tej nominacji.

Księżna z powagą popatrzyła Maggie w oczy.

- Nie rozpowiadajmy lepiej tej historii o strachu na wróble. Nie zabrzmiałoby to właściwie w kontekście kompetencji prokuratora generalnego.

- Jaki strach na wróble? Nie, nic nie mówcie. Już więcej nie zniosę. - Ardath oparła się o pień sosny i łyknęła whisky z butelki Morny. Potem popatrzyła na strzelbę pod pachą Rebeki i psa gończego u jej stóp. - Stało się coś jeszcze, prawda?

Maggie podniosła wzrok na bryłę potężnego zamku osnutą szarofioletową mgłą. Wyglądał jak średniowieczna twierdza nie do zdobycia.

- Connor poszedł tam, żeby się spotkać, jak sądził, z porywaczem Sheeny - powiedziała powoli. - Chciał załatwić to jak mężczyzna z mężczyzną.

Na twarzy Rebeki nagle odmalowało się przerażenie.

- Ale przecież nie ma żadnego porywacza. Nigdy nie istniał i nie mógł wysłać tego listu.

- Co oznacza, że ktoś inny chciał zwabić do zamku mnie albo jego. - Maggie otrząsnęła się z głębokiego zamyślenia. - Ktoś, kto zadał sobie wielki trud i wydał fortunę, by zorganizować pułapkę. Ale kto?

- Morderca z Edynburga. - Ardath podniosła się z trawy z twarzą białą jak kreda. - Connor mówił, że jego podejrzany jest zamożnym dżentelmenem z towarzystwa. Tylko bogatego człowieka stać na wynajęcie zamku. Musiał wiedzieć, że przez ciebie najłatwiej trafi do Connora.

## Rozdział 34

Okrażyły zamek.

Rebeka i Ares zajęli pozycje na tyłach. Maggie, księżna i Ardath ustawiły się przy wschodnim skrzydle, gdzie w gotyckich oknach z potrzaskanymi słupkami widać było światło świec. Kobiety przytaszczyły kilka pustych beczek po winie pod okno, które należało prawdopodobnie do salonu. Była to zresztą jedna z niewielu zamieszkałych komnat w zamku.

Dziedziniec prawie całkiem porosły osty i paprocie. Na parapetach okien, z których szkoccy rebelianci wypatrywali swojego księcia z rodu Stuartów, gnieździły się kobuzy i kawki. Wiatr poruszał okiennicami opustoszałego gołębnika. Na murach zachodniej wieży strzelniczej widniały czarne ślady po jakiejś dawno zapomnianej bitwie. Wschodnia baszta nie wyglądała lepiej. Nawet duch dawnej chwały zamku Glanhurst odszedł w niepamięć.

Księżna, pomagając sobie zębami, ściągnęła skórzane rękawice.

- Maggie wdrapie się na górę, żeby zajrzeć do środka. Ja ją podsadzę, a ty, Ardath, przytrzymasz te beczki jedną na drugiej.

- Może powinniśmy zapukać do drzwi - zasugerowała Ardath. - Mogłabym udać Cygankę sprzedającą jabłka.

Księżna spojrzała na nią z politowaniem.

- A masz jakieś jabłka? Ardath przygryzła wargi.

- No, właściwie nie.

- No więc daj spokój. Pomóż mi podsadzić Maggie. Tam w środku dzieje się coś dziwnego. Ta podejrzana cisza... Mam nadzieję, że nie zabili jeszcze Buchanana. To łajdak bez serca i kilka razy miałam ochotę go zastrzelić, ale ma też pewne dobre strony.

Splotły ręce i podrzuciły Maggie do góry, a potem złapały z dwóch stron beczki.

- No i co?! - zawołała do Maggie zaniepokojona Ardath. - Widzisz coś?

Maggie odgarnęła włosy z twarzy.

- Są tu trzej mężczyźni, nie, jest ich czterech. Boże, te okna są tak brudne, że prawie nic nie widać.

Księżna zadarła głowę do góry.

- Widzisz Buchanana? Jest żywy?

Po chwili ciszy Maggie odezwała się z ulgą, ale i pewnym zdumieniem.

- Siedzi na kanapie i nogi ma oparte na podnóżku.
- Nie żyje? - szepnęła Ardath, zaciskając powieki.
- Chyba że to jego duch pakuje sobie do ust kawałek sera i popija

winem...

- Popija sobie wino? - Księżna najwidoczniej nic nie rozumiała z tej sytuacji. - To rzeczywiście szczególny sposób rozwiązywania gardłowych spraw. Co to za fajtłapa z tego mordercy?

Maggie nagle mocniej chwyciła się parapetu i zacisnęła zęby, jakby chciała powstrzymać łzy, które zaczęły spływać jej po policzkach. Minęła wieczność, zanim była w stanie wydusić z siebie słowo.

- To dopiero... świętoszek i... tyran. Snob pierwszej wody. Mężczyzna, który więzi Connora, to mój brat. Robert Filip... księżę de Saint - Evremond.

- Twój brat? - Ardath nie wierzyła własnym uszom. - Ten, którego szukasz od lat? Co, na miłość boską, robi z Connorem w tym zamku?

Maggie powoli ześlizgnęła się na ziemię.

- Właśnie mam zamiar się tego dowiedzieć. Zostańcie tutaj. Idę do środka.



## Rozdział 35

Robercie... Robercie... - powtarzała z niedowierzaniem imię brata, nie zauważywszy nawet, że Connor chciał ją podtrzymać, ale trzej pozostali mężczyźni brutalnie go odepchnęli.

Claude, Robert i trzeci mężczyzna, którego od razu nie rozpoznała. Wysoki, elegancko ubrany i z ręką na temblaku, podprowadził ją do fotela.

- Assiedes - toi Małgorzato - powiedział łagodnie. - Usiądź, chérie. Ostrzegałem twojego brata, że to będzie trudne, ale nie mógł się wprost doczekać spotkania z tobą. Mieliśmy wielkie trudności, poza tym Robert musiał być absolutnie pewny.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jego twarz, po czym powiedziała cicho:

- Sebastian... Sekretarz papy. Ten Sebastian. Mon Dieu... Sądziłam, że nie żyjesz. Och... ranny mężczyzna. To byłeś ty. To ty przyjechałeś tu za mną z Edynburga.

- Tak - przyznał Sebastian. - Claude pogonił mnie po lesie, zanim zdążyłem zdjąć maskę. Od miesięcy jestem w Szkocji, czekając na właściwy moment, żeby się do ciebie zbliżyć. Muszę powiedzieć, że masz talent do wplątywania się w kłopoty.

- Od miesięcy?

Connor przykucnął przy niej i objął jej zimne dłonie.

- To musi być dla ciebie wielki szok, Maggie. Dla mnie również. Znałem Sebastiana jako szpiega w spoczynku, przyjaciela Brytyjczyków. Nie miałem pojęcia, że był tak blisko związany z twoim życiem.

- Och, Connor...

- Napij się łyk wina. Wszystko będzie dobrze.

Wypiła cały kieliszek podany przez Claude'a; przemknęło jej przez myśl, że Connora czeka jeszcze jeden szok, kiedy się dowie o samolubnym podstępie Sheeny. Ale wszystkie inne myśli umknęły, gdy spojrzała na milczącego mężczyznę w drugim krańcu salonu. Ukrywał twarz w cieniu.

To jej brat. Żył. Dzięki ci, Boże...

- Wiem, że to ty, Robercie. Dlaczego ukrywasz się w tym starym zamku? Czy to konieczne po wszystkich tych latach? To ty śledziłeś nas na bagnach, prawda? Robercie, odpowiedz mi. Och, jaka byłam na ciebie wściekła. Ty i Sebastian w tych przerażających maskach.

- Ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, to cię przestraszyć - powiedział łagodnie.

Podalała pusty kieliszek Sebastianowi i wstała z fotela.

- Nigdy nie straciłam nadziei. Dlaczego tak długo się ukrywałeś?  
- Chwyliła go za rękę, starając się odwrócić do siebie. - Dlaczego? - szepnęła. - Dlaczego nie patrzysz mi w twarz.

- Żołnierze podpalili nasz dom, Małgorzato - zaczął powoli, wciąż odwrócony do okna. - Dobrze zapamiętałaś, że biegłaś wtedy po schodach, żeby ostrzec Jeanette. Niestety, żołnierze dotarli do niej wcześniej. A ty wpadłaś do pokoju, zanim zdążyłem cokolwiek zrobić.

Była wdzięczna, że dali jej wina, kiedy brat zaczął opowiadać. Powracały prześladowające ją od lat wspomnienia ostatniej nocy w zamku. Connor objął ją mocno.

- W pokoju wybuchł pożar - ciągnął Robert tak cichym głosem, że ledwie go słyszała. - Jeanette paliła dokumenty papy, gdy pojawiła się milicja. Mogły skompromitować kilku naszych przyjaciół.

Maggie zamknęła oczy.

- Zabili ją.

- Zgwałcili ją - powiedział cicho Sebastian. - Wypytywali, a potem zostawili ją w palącym się pokoju i zaczęli przeszukiwać resztę zamku.

Zapłakana Maggie potrząsnęła głową.

- Ciągłe nie mogę sobie nic przypomnieć. Dlaczego?

- Zbyt mocno to przeżyłaś. - Robert w końcu się do niej odwrócił. - Nigdy nie zapomnę wyrazu twojej twarzy, kiedy cię znalazłem. Klęczałaś przy ciele Jeanette, ściskając w rączce starą szpadę, jakbyś chciała jej bronić. Razem z Claude'em wyciągnęliśmy cię stamtąd, żeby gdzieś ukryć.

Wytała policzki wierzchem dłoni.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś, Claude? Stary sługa spuścił głowę i odparł:

- Twoja matka kazała mi przysiąc, że będę cię chronił od wszelkich cierpień. Nie wiedziałem, co stało się z Robertem i Jeanette po tej nocy. Modliłem się, żebyś nigdy nie przypomniła sobie tego, co widziałaś. Miałem nadzieję, że wyrzucisz to z pamięci. Zależało mi jedynie na twoim bezpieczeństwie.

Znowu bezradnie potrząsnęła głową.

- Gdzieś w głębi duszy zawsze o tym pamiętałam. Rany nigdy się nie zabiłiły.

- Moje też nie. - Robert spojrział jej prosto w oczy.

W świetle świec zobaczyła ślady ran tamtej nocy. Kiedy nie odsunęła się z odrazą, lecz czułym gestem podniosła dłoń do jego zniekształconego policzka, uśmiechnął się smutno.

- Lekarze nie wierzyli, że przeżyję - powiedział. - Miałem też oparzenia na plecach i nogach. Sebastian wysłał mnie do Indii, gdzie papa miał skromną posiadłość ziemską. Przez całe lata nie miałem odwagi cię szukać. Byłem chory na ciele i duszy. Miałem nadzieję, że u ciotki Flory rozpoczniesz nowe życie i zapomnisz o strachu.

- Mogłeś przysłać chociaż wiadomość, że żyjesz.

- Sporo czasu minęło, zanim odnalazłem twój ślad - odparł. - Miałem znów cię wciągać w świat podstępów i ciągłego zagrożenia?

- Twój ojciec zostawił dokumenty kompromitujące wielu wysoko postawionych ludzi - dodał Sebastian. - Moim zadaniem było zbadać, czy nie żyje jeszcze ktoś z wrogów waszej rodziny.

- Włączając w to członków brytyjskiej śmietanki towarzyskiej - domyślił się Connor.

- Tak. - Robert westchnął głęboko. - Musiałem być pewien, że ujawniając swoją tożsamość, nie ściągnę nieszczęścia na Maggie. Musiałem też, oczywiście, sprawdzić, czy nie jest oszustką podającą się za moją siostrę.

Maggie parsknęła z niedowierzaniem.

- Dlaczego ktoś miałby się za mnie podawać? Zdumiony uniósł brew.

- By zagarnąć majątek rodziny, oczywiście. Odzyskaliśmy wszystkie posiadłości, Małgorzato. Czas wrócić do dawnego życia. Przyjechałem zabrać cię do domu.

Connor widział, jak wielkie wrażenie zrobiło to na Maggie. Miał ochotę złapać ją za rękę i uciec stąd jak najszybciej.

„Przyjechałem zabrać cię do domu”.

Popatrzył na nią w napięciu, oczekując protestu. Chciał, żeby odmówiła, by powiedziała bratu, że już znalazła swój dom.

Ona jednak wpatrywała się w okaleczoną twarz Roberta, jakby zaoferował jej właśnie największe szczęście. Jej oczy były pełne miłości i oddania. Connor chciał ją chwycić w ramiona i przypomnieć, jak wiele ich łączy. Wiedział, jak bardzo Maggie kocha i potrzebuje

swojej rodziny. Mógł ją ochronić przed niebezpieczeństwami, ale czy był w stanie ją zatrzymać?

- Co stało się z Jeanette? - spytała złamanym głosem Maggie. Robert odwrócił głowę. Claude zaczął rękawem polerować blat bocznego stolika. Sebastian zapatrzył się w jakąś plamę na podłodze.

Ból w głosie Maggie sprawił, że Connor miał ochotę z całej siły potrząsnąć Robertem. Do diabła, jeśli stało się coś złego, to po co przeciągać to straszne oczekiwanie?

- Czy ona... nie żyje? - spytała Maggie i osunęła się na fotel.

- Żyje - sztywno odparł Robert - ale po tym, jak zhańbiła nazwisko naszej rodziny, mogłaby równie dobrze umrzeć. Poważnie myślę o wydziedziczeniu jej.

Maggie zerwała się na równe nogi.

- To niedopuszczalne, żebyś karał naszą biedną siostrę, ponieważ padła ofiarą brutalnej zbrodni.

Connor zacisnął usta, a potem odezwał się do Roberta:

- Powiem wprost jak mężczyzna mężczyźnie, że, według mnie to ohydne. Najchętniej chwyciłbym pana za kłapy tego eleganckiego surduta i wywalił przez okno.

- Nie miałem na myśli tamtych wydarzeń - z przerażeniem sprostował Robert. - Nigdy nie winiłbym Jeanette za to, co się wtedy stało. Chodzi mi o to, co z siebie zrobiła później.

Maggie szeroko otwartymi oczami popatrzyła na Sebastiana.

- Nie powiesz chyba, że moja siostra została prostytutką.

- Niezupełnie - powiedział Robert. - Ale sędzę, że niewiele jej do tego brakuje. Zaręczyła się z pewnym kupcem, lecz najgorsze jest to, w jaki sposób zarabia na życie. - Wziął głęboki oddech jak smok, który zaraz wyrzuci z nozdrzy słupy ognia. - Z największym zażenowaniem informuję cię, że Jeanette została zawodową tancerką.

- Jestem dogłębnie zaszokowany - powiedział z kamienną twarzą Connor.

Maggie odrzuciła głowę do tyłu i przymknęła oczy.

- Niech ktoś przyniesie mi szklanek wody, zanim zemdleję. Robert uśmiechnął się nieznacznie, wyczuwając ironię w ich komentarzach.

- Bardzo zabawne... Ty, Małgorzato, też nie jesteś lepsza, włamujesz się do cudzych domów i dajesz lekcje etykiety, żeby

zarobić na życie. Widzę, że będę musiał popracować nad twoim morale przed ślubem.

- Przed jakim ślubem? - Maggie podniosła głowę i pytająco spojrzała na Connora, który zamarł z kolejnym kawałkiem sera w ręce. Robert rzucił mu protekcyjnalne spojrzenie.

- Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby twój znajomy nas teraz opuścił, Małgorzato. Zajmuje się podobno jakimś procesem w sprawie morderstwa i prawdopodobnie ucieszy go, że nie musi się tobą opiekować.

Connor spojrzał na niego ponuro.

- Chodzi tu o mój ślub. Wierzę, że jest pan cenioną osobą w swoim kraju, lecz ja również piastuję poważne stanowisko i nie mogę lekceważyć opinii publicznej. Chcę uczestniczyć w planowaniu ceremonii.

Kiedy Robert odwrócił wzrok, Connor jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Jestem prokuratorem generalnym Szkocji. Czy ma to dla pana jakieś znaczenie?

- Trudno powiedzieć. - Robert odwrócił się do siostry. - Czy już go gdzieś spotkałem? Wydaje mi się dziwnie znajomy.

- Jest podobny do posągu w ogrodzie, który malowałaś złotą farbą. O czym ty mówisz, Robercie? Naprawdę mam dość kłopotów.

Jej brat wyciągnął chusteczkę z kieszeni kamizelki i przycisnął ją do nosa.

- Kłopoty... - powiedział z lekkim parsknięciem. - Czy ktoś mógłby mieć większy talent do wpadania w kłopoty niż ty? - Wskazał stertę dokumentów na bocznym stoliku. - Czy Herszt to twój znajomy, Małgorzato? A co możesz powiedzieć o Heaven's Court? I to nazwisko... - syknął z niesmakiem.

- Nazwisko? - spytała oschle.

- Maggie Saunders? - Dezaprobata coraz silniej brzmiała w jego tonie. - Słyszałaś kiedykolwiek coś równie pospolitego? Będę musiał wysłać cię do Marsylii na dobre sześć tygodni, żebyś się oczyściła z tego bagna moralnego. Jeśli nam się poszczęści, Bernard nie dowie się o twojej skandalicznej przeszłości. Jest przekonany, że wszystkie te lata bezpiecznie spędziłaś w klasztorze.

- Bernard... - Maggie zbladła. - On żyje?

Connor gwałtownie poderwał głowę, zastanawiając się, czy w jej głosie słyszy nadzieję, czy niechęć.

- Kto to jest Bernard? - spytał.

- Bernard żyje i czuje się świetnie - odpowiedział Robert na pytanie siostry. - Odziedziczył po ojcu tytuł i majątek w Normandii.

Pozostał ci wierny, Małgorzato. Nie ożenił się. Nie tracił nadziei, że kiedyś się połączycie.

- Więc w końcu został księciem de la Tourette. - Tajemniczy uśmiech przemknął po jej twarzy. - Nie mogę w to uwierzyć. Pamiętasz te czasy, kiedy zbudował piracki statek i popłynął w dół strumienia, planując oblężenie zamku?

Claude zakasłał, zasłaniając ręką usta, żeby nie parsknąć śmiechem i dodał:

- Zaatakowała go pani wtedy gradem strzał. To była wielka bitwa.

- Miałaś dobre oko, Małgorzato - wtrącił z uśmiechem Sebastian.

- Jeśli dobrze sobie przypominam, przez tydzień nie mógł siedzieć.

Robert też uśmiechał się od ucha do ucha.

- A pamiętacie, jak zamknął naszego nauczyciela niemieckiego w lochu? Był najdzielniejszym chłopakiem, jakiego znałem.

Connor rozejrzał się po pokoju, nie dowierzając temu, co słyszy.

- Przepraszam, czy ktoś mógłby mi powiedzieć, kim, do jasnej cholery, jest Bernard?

Zgorszony Claude wznosił oczy do nieba. Sebastian skrzywił się zażenowany.

Robert mruknął coś o „szkockich barbarzyńcach” i ciągnął rozmowę z Maggie:

- Zaślubiny odbędą się, oczywiście, w Paryżu. Najstarszy brat Bernarda został księdzem.

- Zaślubiny? - Connor uśmiechnął się sarkastycznie. - Mam dziwne wrażenie, że jestem ignorowany. Czy zdaje pan sobie sprawę, co dla siebie znaczymy z Maggie?

Dziewczyna zerwała się z fotela, ujęła go za ramię i powiedziała półgłosem:

- Sama się tym zajmę, Connor. Daj nam tylko jeden wieczór na wyjaśnienie wszystkich spraw.

Wyrwał ramię z jej dłoni.

- Wyjaśnimy to teraz. Chcę, żeby twój brat zrozumiał, co do siebie czujemy.

- Powiem mu o tym jutro - szepnęła Maggie.

- Teraz mu to powiesz.

- Tak, powiedz mi teraz - spokojnie odezwał się Robert. Maggie podniosła na niego oczy.

- Kochamy się, Robercie. Sądziłam, że to oczywiste.

Jej brat z trudem przełknął ślinę, jakby to już było dla niego zbyt wiele.

- W trudnych sytuacjach ludzie poddają się czasem uczuciom, którym normalnie nigdy by nie ulegli. Wasze życie było w niebezpieczeństwie. Związek między wami nie był normalny.

- To najbardziej normalny związek, jaki mi się kiedykolwiek przydarzył - powiedziała Maggie, potrząsając głową. - Kocham go, Robercie, i pokochałabym tak samo, gdybyśmy jako dwoje obcych ludzi spotkali się na jakimś balu.

Brat wpatrywał się w nią zdumiony.

- Ale jego zadaniem było jedynie dbać o twoje bezpieczeństwo...

- Nie zrezygnuję z niej - powiedział Connor. - Nie mogę.

- Chce pan powiedzieć, że zhańbił pan moją siostrę? - spytał ledwo słyszalnie Robert.

Sebastian wysilił się na uśmiech i wtrącił:

- Cóż za pytanie... Czy nie możemy po prostu cieszyć się z tego spotkania?

Connor wyprężył pierś, czując, że wściekłość wrze pod pozorami spokoju Roberta. Nie mógł przyznać, że między nim a Maggie doszło do zbliżenia. Nie jej bratu. Nigdy nie upokorzyłby jej w ten sposób.

- Powiedz mu prawdę - powiedziała Maggie. - Niech mój brat się dowie, co zrobiliśmy ostatniej nocy.

- Piliśmy wino i graliśmy w karty - sztywno stwierdził Connor. - Pańska siostra jest tak czysta jak w dniu, kiedy ją spotkałem.

- Nie... - szepnęła Maggie.

Sebastian rzucił Connorowi pełne wdzięczności spojrzenie.

- A nie mówiłem ci, Robercie? Lord Buchanan ma nienaganną reputację. To człowiek honoru.

Robert zreflektował się i z bladym uśmiechem zwrócił do Connora:

- Proszę wybaczyć to pytanie. Widzi pan, tak bardzo kocham

Małgorzate, że gdyby pan ją zhańbił, obawiam się, iż nie miałbym innego wyjścia, jak wyzwać pana na pojedynek. Jednego z nas musiałaby stracić.

Connor w zdumieniu zamrugął.

- Mówi pan poważnie?

- Jak najbardziej - odparł Robert, spoglądając na Maggie ze łzami w oczach. - Już jedna moja siostra została zhańbiona, a ja byłem wtedy bezradny. Wolałbym umrzeć niż przeżyć to jeszcze raz.

Connor poczuł znowu dłoń Maggie na swoim ramieniu.

- Proszę cię, nie walcz z nim. Och, Connor, bardzo cię proszę - szepnęła. - Załatwię to swoimi metodami. Daj mi tylko jeden wieczór, żebym mogła mu wytłumaczyć, co czuję.

Odrętwiała, potrząsnął tylko głową.

- Nie.

- Tak. - Wbiła palce w jego ramię. - On mówi serio. Nie znasz go.

Spojrzał na nią z góry.

- Nie pozwolę ci odejść.

- Nie odejdę. Przyrzekam.

Connor czuł, że ma kompletnie ściśnięte gardło. Kochała go, ale kochała również brata. A jeśli Robert przekona ją, by wróciła do Francji na pewien czas? A jeśli po powrocie do domu o nim zapomni?

- Nie opuszczaj mnie, Maggie - powiedział.

- Niech pan nas zostawi samych - odezwał się Robert. - Mamy wiele rzeczy do omówienia.

- Pańskie okrycie, milordzie? - Claude, spoglądając w bok, podał Connorowi jego ulubioną kurtkę na polowanie.

- Miło mi było cię spotkać, Connor! - zawołał od okna Sebastian. - Mam nadzieję, że będziemy w kontakcie.

Do salonu weszła służąca z tacą ciasteczek.

Za nią pojawiło się czterech postawnych lokai, żeby wyrzucić Connora. Odepchnął ich i wyszedł do hallu, nie spuszczając wzroku z twarzy Maggie.

- Kim jest Bernard? - krzyknął.

- Był moim narzeczonym - odpowiedziała z wahaniem. - Wiesz, jakie są te stare rodziny, Connor. Tradycja, zaręczyny ustalane w dzieciństwie... Nie martw się. Wszystko wyjaśnię.



Connor stał osłupiały w ciemnym hallu. Zza zamkniętych drzwi salonu dobiegał głos Roberta:

- Co za bestia z tego człowieka, Małgorzato. Wplątał cię w porwanie i w sprawę o morderstwo. Obawiałem się, że za chwilę zaczniesz nam machać nad głowami bojowym toporem. Lecz Szkocja nigdy nie była cywilizowanym krajem, prawda? Ale może dobrze, że jesteśmy na takim dzikim odludziu. Nasz wyjazd jutro rano nie zwróci niczyjej uwagi. Będziemy musieli, oczywiście, wymyślić ci jakąś przyzwoitą przeszłość. Sądzę, że wersja z klasztorem jest bezpieczna i Bernard niczego się nie domyśli.

Connor czuł, że wszystko się w nim gotuje, kiedy czekał za drzwiami, by usłyszeć odmowę Maggie. Nie nastąpiło to jednak. Stał wciąż jak skamieniały jeszcze dwadzieścia minut później, słuchając wesołych odgłosów rodzinnej uroczystości, kiedy znalazła go tu księżna.

Uśmiechnął się ponuro.

- Ten człowiek w jednej sprawie ma rację. My, Szkoci, hołdujemy prymitywnym zwyczajom. Według prawa, wystarczyłoby, byśmy z Maggie złożyli sobie wzajemne ślubowanie i małżeństwo nabrałoby wagi prawnej.

- Więc złożcie sobie to ślubowanie i weź ją do łóżka, jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś, w co szczerze wątpię - powiedziała księżna, a gdy Connor milczał, dodała: - Tak myślałam.

- Niech to wszyscy diabli! - Kopnął z całej siły w kamienny mur, przetrącając sobie prawie stopę.

Księżna przeciągnęła dłonią po zmierzwionych siwych włosach.

- Przestań się rzucać jak wariat. Jesteś prokuratorem generalnym. Wprowadź jakieś prawo dotyczące Francuzów panoszących się w szkockich zamkach.

- Co by to, do cholery, zmieniło? - Connor chodził wściekle od ściany do ściany. - Albo Robert zabierze ją jutro rano i wyda za tego księcia de Toilette, albo będę musiał go zastrzelić. Nie słyszałem, żeby mu się sprzeciwiała. Ona mnie zostawi, Morno.

- Kocha cię, Connor.

- Wiem, ale jeśli brat odwiedzi ją od małżeństwa ze mną, nie zniosę tego. Potrzebuję jej teraz. Jeśli ją przekona, żeby wyjechała do Francji, będę musiał o nią walczyć.

- Więzy rodzinne są bardzo silne. Ale może ci się poszczęści. Spojrzał na nią ponuro.

- Nie mam zamiaru zdawać się na szczęście w tak ważnej sprawie.

- Więc bądź mężczyzną i porwij ją - stwierdziła praktycznie księżna. - Tak właśnie zrobił mój mąż, kiedy ojciec chciał mnie wydać za księcia Hartzburg. Wdrapał się po drabinie do mojej sypialni i byliśmy już małżeństwem, gdy ojciec zorientował się, że zniknęłam.

- Też o tym myślałem.

Księżna zachęcająco grzmotnęła go w plecy.

- Zrób to, chłopcze. Możesz użyć mojego powozu. Będziemy cię osłaniały z Rebeką, a Ardath może przygotować wszystko do ceremonii w domu.

Connor zmarszczył czoło.

- Ardath? Ona jest tutaj?

- Później ci wytłumaczę - odpowiedziała krótko. - Najpierw wykradnij swoją pannę młodą. Chodź, musimy dokładnie wszystko obmyślić. Znajdę jakiś sposób, żeby uprzedzić Maggie.

Księżna miała rację. Nie miał innego wyjścia, jak natychmiast poślubić Maggie i odebrać bratu prawo do opieki nad nią. Kiedy Connor stanie się już członkiem rodziny, Robert będzie musiał go zaakceptować.

Pomyślał, że dobrze byłoby zaplanować, jaką drogą uciekną, skoro miał porwać Maggie w nocy. Z pewnością będzie spała we wschodnim skrzydle, reszta zamku była bowiem kompletnie zrujnowana. Musiał uderzyć tej nocy, jeżeli chciał uniknąć pogoni za nią na kontynent, a potem pewnie po całej Francji. Nie będzie przecież czekał, aż wepchną ją w szeroko otwarte ramiona Bernarda.

Znał historię zamku i wiedział, że poprzedni właściciele zamienili pomieszczenie w baszcie na sypialnię. To odizolowane miejsce było wprost doskonałe do ukrycia księżniczki. Mimo wszystko cieszył się, że odnalazła zaginionego brata. Nie mógł jednak znieść myśli, że miałyby należeć do mężczyzny, któremu obiecano ją w dzieciństwie.

Przecucie Connora okazało się słuszne. Pokój był sprzątnięty i wywietrzony, podłoga zamieciona. Wielkie łóżce przykrywała świeża koronkowa pościel. Na nocnym stoliku stała patera z orzechami i owocami. Nieskazitelnie biała koszula nocna wisiała na krześle.

Dafne drzemała przy wesoło trzaskającym ogniu na kominku. Machnęła ogonkiem, widząc Connora, ale rozleniwiona nie ruszyła się nawet z miejsca. Pokój był przygotowany dla odzyskanej dziedziczki rodu de Saint - Evremond. Poczł się intruzem.

Z ponurą twarzą otworzył wąskie drzwi małej klatki schodowej prowadzącej na mury i wbiegł na górę. Wiatr uderzył go prosto w twarz, kiedy podszedł do krawędzi oblanowanego muru.

Wychylił się i popatrzył na wąwóz na dole. Dość trudno byłoby uciekać tą drogą nie ryzykując życia. Chociaż może za pomocą porządnej liny i drabiny...

- Sacre - bleu! - rozległo się tuż za nim. - Dzięki Bogu, nie zjawilem się za późno!

Connor podskoczył jak oparzony, kiedy odwrócił się gwałtownie i zobaczył Claude'a szarżującego na niego jak rozjuszony byk. Zanim zdążył zareagować, starszek chwycił go za kurtkę na karku, odwrócił do siebie i odciągnął od krawędzi muru.

- Co ty wyprawiasz, szaleńcze? - wrzasnął Connor.

- To nie jest rozwiązanie, milordzie. Musi pan być silny! Wykonali coś w rodzaju dzikiego tańca, kiedy Claude próbował wepchnąć Connora za jeden z występów w murze, a ten bronił się, próbując nie zrobić krzywdy starszemu. Wiatr był niemiłosiernie, podkreślając melodramatyczny charakter sceny.

W końcu wylądowali na zardzewiałej armacie jakobitów.

- Czy możesz mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy? - odezwał się bez tchu Connor, gapiąc się w osłupieniu na niebo ponad nimi.

- Żadna kobieta nie jest warta takiego strasznego końca, milordzie - wycharczał słabo Claude, przyciskając rękę do serca. - Nawet moja pani.

Na dachu pojawiła się Dafne i natychmiast wskoczyła Connorowi na pierś, obsypując go pocałunkami. Przycisnął psa do siebie i usiadł zirytowany.

- Ile kieliszków szampana wypileś, Claude? O czym ty gadasz? Lokaj podniósł się z trudem i odpowiedział:

- O samobójstwie, milordzie. Niech pan pomyśli o tych, których by pan zostawił. Niech pan pomyśli o mojej biednej pani.

- Zostawił? - zawołała z głębi korytarzyka Maggie. - Zgubiłeś się, wychodząc z zamku, Connor? Dlaczego siedzicie na armacie?

Lokaj smutno pokiwał głową.

- Jego lordowska mość chciał popełnić dla pani samobójstwo. Nie sądziłem, że tak bardzo mu zależy. Źle pana oceniłem, milordzie. Okazuje się, że ma pan jednak gorące serce. Ogromnie mi przykro.

Maggie rzuciła się do Connora błada z przerażenia.

- Dobry Boże, nawet ja nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak wrażliwy. Connor, ty bestio. Nie pomyślałeś, jak bym się czuła, kiedy kazaliby mi zidentyfikować twoje ciało?

- Claude? Małgorzato? - Robert przyszedł widocznie za siostrą do jej pokoju. - Dlaczego wszyscy tłoczycie się tu, na tym potwornym wietrze? Dlaczego ten Szkot siedzi na armacie?

Claude zbliżył się do niego sztywno.

- Proszę okazać zrozumienie, wasza łaskawość. Lord Buchanan jest zrozpaczony. - Jego głos załamał się ze współczuciem. - Miał właśnie zamiar... - pokazał ręką na krawędź muru - wie pan.

Robert zacisnął wargi.

- Nie, Claude, nie wiem.

Maggie również zrobiła gest w stronę oblankowania.

- Wieża... - Widząc, że brat nadal nic nie rozumie, podskoczyła kilka razy na palcach. - Na drugą stronę...

- Robił jakieś akrobatyczne sztuki na murze? - spytał zdumiony Robert. - Skakał na linie?

Connor oparł się o armatę, trzymając Dafne cały czas na kolanach, i przyglądał się ze stoickim spokojem temu przedstawieniu. Nie widział powodu, żeby im przerywać. Nie przyzna się przecież, że planował porwanie. A do diabła, niech sobie myślą, że jest lady Makbet.

- Chciał odebrać sobie życie - w końcu odgadł Robert. Popatrzył na Connora z pewnym szacunkiem. - Nie przypuszczałbym, że stać go na coś takiego. Ale, niestety, Małgorzato, to jedynie dowód mojej racji. Nigdy nie powierzyłbym cię mężczyźnie tak nie zrównoważonemu emocjonalnie.

## Rozdział 36

Connor siedział w oświetlonym blaskiem księżyca ogrodzie zamku i w napięciu słuchał Ardath. Czuł się zdradzony, upokorzony i wściekły. Przez Sheenę ostatni miesiąc był dla niego piekłem. Przeciwstawiła mu się i zawiodła, podczas gdy on pragnął jedynie jej szczęścia. Mogła wymyślić coś lepszego, by go zranić i publicznie poniżyć.

- Ona się ciebie boi, Connor - z powagą tłumaczyła Ardath. - Zaszła w ciążę i bała ci się o tym powiedzieć. Ożenił się z nią. Są teraz rodziną. Naprawdę musisz to zaakceptować.

Rebeka, stojąca za ławką, dotknęła jego ramienia.

- Biedny braciszku... Zawsze ci się wydaje, że wiesz, co jest dla wszystkich najlepsze.

- Bo wiem. - Podniósł na nią płonące ze złości piwne oczy. - Więcej widziałem w życiu niż wy wszystkie, uparte kobiety, razem wzięte. Jak myślisz, do kogo przyjdzie skruszona, jeśli jej mąż oszust nie zapłaci za mieszkanie? A tobą, Rebeko, kto się zaopiekuje na starość? Twoje bezradne zwierzaki?

- Dam sobie radę - odpowiedziała. - Och, Connor. Przestań się o nas zamartwiać. Czy nie mogę być po prostu ekscentryczną starą ciotką, która zajmie się waszymi dziećmi, kiedy wyjedziecie z Maggie na wakacje?

Na myśl o Maggie podniósł wzrok do okna baszty, gdzie stała w świetle świecy, uwięziona w okowach rodzinnych zobowiązań. Nieśmiało machnęła do niego dłonią. Pragnął znów mieć ją w ramionach i zdobędzie ją, nawet gdyby miał rozebrać ten zamek kamień po kamieniu.

Odwrócił się, słysząc kroki księżnej. Bóg wie, skąd przytargała drabinę.

- Droga wolna, Connor. Na co czekasz? - spytała. Popatrzył na rozklekotaną drabinę, którą oparła o mur ogrodu.

- Na co ma mi się to przydać? - rzucił, wzruszając ramionami. - Przecież ta drabina nie sięgnie nawet do połowy muru baszty.

- Właśnie dlatego wślizgnęłam się do pokoju Maggie i dałam jej linę. Przywiąże ją do nogi łóżka - wyjaśniła Morna. - Maggie zgadza się, że porwanie jest jedynym wyjściem, by uniknąć pojedynku. Boże miłosierny, gdzie podziała się twoja energia?

- Morno, kocham Maggie nad życie, ale nie będę wlaził na tę drabinę. Ani spuszczał się po żadnej linie.

Księżna wyprostowała pierś.

- Tego się właśnie obawiałam. Mimo to przygotowałam ci mapę z zaznaczoną drogą ucieczki.

Connor rzucił okiem na pognieciony kawałek papieru, który wyjęła z za pasa i rozłożyła przed nim na ławce.

- Co oznaczają te krzyżyki? - spytał podejrzliwie.

- To droga z pokoju Maggie do nie zamieszkanego zachodniego skrzydła. Niezły kawałek do przejścia, ale dasz sobie radę.

- A te bazgroły tutaj? Nici. Sól. Maść. Czy to jakiś tajny kod? Księżna przytknęła nos do mapy.

- Nie. To lista zakupów dla Frances. Nie zwracaj na to uwagi. Twarz Connora zrobiła się jeszcze bardziej ponura.

- Coś mi się tu nie podoba. Zachodnie skrzydło jest zupełnie zrujnowane. A wschodnie...

- Na Boga ojca, Buchanan, nie bądź takim fajtłapą. Przestań kręcić nosem, tylko działaj.

Wstał z westchnieniem. Nad ich głowami rozległ się grzmot.

Zupełnie go to nie zdziwiło. Już nic nie było w stanie go zdziwić. Przynajmniej pogoda pasowała do sytuacji.

Burzliwa szkocka noc była doskonałym tłem dla porwania.

Maggie była spakowana i czekała na swojego porywacza. Okazało się, że musi zabrać więcej rzeczy, niż przypuszczała, a mianowicie wyprawę panny młodej i pamiątki rodzinne, które Robert zostawił w jej pokoju.

Brat zaplanował wszystko do ostatnich szczegółów, tak samo jak Connor planował przyszłość sióstr. Problem polegał na tym, że obaj mieli najlepsze intencje, ale zwykle, wtrącając się, stwarzali tylko dodatkowe kłopoty.

Nawet jeśli Sheena do końca życia szczęśliwie żyłaby u boku swego męża malwersanta, Connor nigdy by się nie przyznał, że się mylił. A Robert prawdopodobnie do końca swoich dni zachowa urazę, że Maggie sprzeciwiła się tradycji dla mężczyzny, którego kocha.

Tak bardzo kochała Connora, że bała się, iż pęknie jej serce. Gotów był nawet stoczyć pojedynkę z jej bratem. Nie miała wątpliwości, że konfrontacja doprowadziłaby do poważnego zranienia albo śmierci jednego z nich. Robert nie pozostawił jej wyboru.

Wyrzała przez okno baszty. Miała nadzieję, że ukochany wie, co robi.

Westchnęła, kiedy pojawił się w wąwozie na dole. Wyglądał potężnie, jak szkocki góral zdecydowany na wszystko, by zdobyć swoją pannę młodą. Ta tutejsza tradycja bardzo jej się podobała, mimo że wolałaby dostać błogosławieństwo od brata. Teraz myślała tylko o tym, żeby Connor zdążył, zanim Robert zorientuje się, co się dzieje. Ukochany robił tyle hałasu, że za chwilę ktoś mógł go usłyszeć.

Była taka szczęśliwa.

Robert i Jeanette żyli, a Connor - choć jeszcze o tym nie wiedział - zaraz po zakończeniu sprawy o morderstwo zabierze ją na miesiąc miodowy do Paryża.

Podejrzewała, że będzie musiał odpocząć po zwycięstwie stulecia. Może przez ten czas Robert uspokoi się na tyle, by pozwolić im zamieszkać w zamku. Tak bardzo pragnęła, żeby Connor poznał jej siostrę i zobaczył ich dom.

Przez okno wpadł kamyk, umówiony sygnał, że porywacz nadchodzi.

Maggie podbiegła do łóżka, żeby sprawdzić, czy dobrze zawiązała przyniesioną przez księżną linę. Potem wróciła do okna i wyrzuciła sznur. Na dole rozległy się przekleństwa Connora, kiedy dostał nim w głowę.

Zaczęła wchodzić na parapet, ale nagle zatrzymała się i zdumiona zawołała:

- Gdzie jest drabina?!

- Jest pewna zmiana w planie - odkrzyknął. - Będziemy musieli uciec przez zachodnie skrzydło.

- Przez ścieki? - powiedziała pod nosem Maggie, cofając się do pokoju. - Jak sobie życzysz, Connor. Ale nie wydaje mi się to zbyt romantyczne.

Pojawił się w jej drzwiach trzy minuty później. Zaparło jej dech na widok ukochanego dzielnego górala.

Wydało jej się ironią, że jeszcze niedawno wspinała się po linie, żeby włamać się do jego domu, a teraz on ją wykraadał - ciało, serce i duszę.

Adwokat Diabła porywał kobietę.

Wiedziała, że to tylko doda mu blasku.

Nie mogła się doczekać, jakie jeszcze skandale wywołają jako mąż i żona.



## Rozdział 37

## Rozdział 37

Kufer pęknie, jeśli będziesz go tak zrzucał ze schodów, Connor.

- Maggie, obawiam się raczej, że polecimy na złamanie karku, jeśli nie będziesz się mocno trzymała. Proszę, nie zasłaniaj mi oczu, bo nic nie widzę w tych cholernych ciemnościach. - Kopniakiem zrzucił kufer o stopień niżej. - Co ty tam masz, na miłość boską? Zapas kul armatnich?

- Moje wiano. Robert przygotował je dla mnie. Same cudowności wyszywane perłami i weneckie koronki.

- Jakoś mnie to nie zachwyca. Morduję się, ciągnąc kufer z ubraniami, które brat przygotował ci na ślub z tym księciem de Toilette. Kiedy wreszcie skończą się te schody?

- Takie klatki schodowe budowano, żeby odstreczyć napastników - powiedziała Maggie tonem towarzyskiej konwersacji. - Specjalnie są takie wąskie, żeby trudno było wspinać się na górę z mieczem u boku.

- Tak, z kufrem, kobietą i psem na głowie też niełatwo się tu poruszać. Czy naprawdę musieliśmy zabrać Dafne?

- Ależ ona cię uwielbia. - Maggie otarła się o jego policzek, szepcząc słodko. - Ja też cię uwielbiam. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo?

Zamruczał pod nosem, wysuwając prawą stopę za kufer, żeby wyczuć następny stopień.

- Później mi o tym opowiesz.

- Kocham cię bardziej niż wszystkich de Saint - Evremondów, bardziej niż ptysie czekoladowe i szampan, bardziej niż...

- Czy to jakieś światło błyska u podnóża schodów? - zapytał z niepokojem. - A może to woda?

- ...perły i brylanty, bardziej niż jedwabną pościel i...

- Przestań lizać mnie w ucho, dziewczyno. Nie czas teraz na pieszczoty.

- To nie ja, to Dafne. Porywasz mnie, a nie powiesz choć raz, że mnie kochasz?

Connor oparł ramię o mur, żeby chwilę odpocząć. Dotarli już do połowy schodów, ale coś go niepokoiło. Coś związanego z historią zamku.

- Maggie, ryzykuję życie, żeby cię poślubić. Tak, do diabła, kocham cię. Kocham cię! - krzyknął na cały głos.

Dudniące echo przstraszyło Dafne. Rzuciła się, żeby schronić się w ramionach Maggie, która, niestety, ręce miała zajęte, bo trzymała za szyję Connora, i nie była w stanie złapać przestraszonego psa.

- Connor, ona się zabije! - zapiszczała przenikliwie.

Lewą ręką chwycił pudła za zadek, ale w tym momencie puścił Maggie. Kiedy znowu ją złapał, kufer z hukiem zaczął spadać w dół. Connor wyciągnął nogę, żeby go zatrzymać, i nagle zdał sobie sprawę, że dalej nie ma schodów. Kufer poleciał w mroczną otchłań, a oni za nim.

Odzyskał przytomność i zobaczył zapłakaną twarz Maggie nad sobą. Leżeli na zimnej kamiennej podłodze.

- Connor, powiedz coś. Powiedz, że żyjesz. Powoli zaczął rozpoznawać jej rysy.

- Prawo jest pod tym względem jasne - powiedział cicho. - Porwanie nie jest bezprawne, jeśli kobieta się na nie zgadza. Nie mogą mnie postawić pod sąd. Prasa brukowa to inna sprawa.

- Możesz poruszyć stopą?

Uniósł odrobinę głowę i ruszył palcami u stopy.

- Wygląda na to, że tak. Tylko nie każ mi tańczyć. Dafne, przestań, do cholery, lizać mi twarz.

- Nie poraniłeś się?

- Moja duma na zawsze pozostanie zraniona, jednak podejrzewam, że przeżyję.

- To dobrze. - Z ulgą upadła na rozrzucone wokół ubrania. - W takim razie nie będziesz zły, jeśli serdecznie się z ciebie uśmieję? Och, Connor, to naprawdę było zabawne. Stałeś na schodach, a potem nagle...

Kiedy zaczęła chichotać, pomieszczenie rozświetlił płomień pochodni. Connor usiadł na widok Roberta, wbiegającego przez drzwi w koszuli nocnej i jedwabnych kapciach.

- Co tu się dzieje? - zawołał przerażony. - Małgorzato, to ty? Czy włamywacze?

Nagle zatrzymał się i przesunął pochodnię nad głowę Connora, ze zdumieniem spostrzegając rozrzucone wokół ubrania.

- Powiniennem był się domyślić. To jest porwanie.

- Tak... nie... och, do diabła. Co to ma za znaczenie? - Connor westchnął głęboko. - Musiałem się dać złapać. Prawnicy w całej Europie będą pękać ze śmiechu, kiedy o tym usłyszą.

- No cóż, Małgorzato - powiedział Robert - jeśli nie byłaś zhańbiona wcześniej, to już teraz na pewno jesteś. Jaki wstyd i skandal ściągnęłaś na ród de Saint - Evremondów.

Maggie wstała, przyciskając do piersi ślubny welon. - . Możemy uniknąć skandalu, jeśli dochowamy tajemnicy, Robercie. Proszę cię, opanuj się. Naprawdę kocham tego człowieka.

- Doprawdy?

Connor chwiejnie podniósł się z ziemi.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan odsunął tę pochodnię od mojej twarzy. Głowa mi pęka.

Robert bezwiednie cofnął się o krok, kiedy ogromny Szkot wyprostował się i spojrzał na niego z góry.

- No cóż, sądzę, że będziemy musieli poradzić sobie jakoś z tą sytuacją - rzekł cicho. - Podejrzewam, że Bernard odwołałby ślub, gdyby się dowiedział o jej przestępczej przeszłości. Maggie rzuciła się bratu na szyję.

- Och, Robercie, mój kochany. Czy dasz nam błogosławieństwo?

- Jeszcze nie wiem - odparł. - Jesteś równie nieznośna jak twoja siostra. Ale jeśli musisz już wyjść za Szkota, to dobrze, że jest to mężczyzna z jakąś pozycją. - Podniósł wzrok na Connora. - A jeśli chodzi o porwania...

Connor skrzywił się.

- Wiem, nie jestem w tym najlepszy. Przypomniałem sobie, co chodziło mi po głowie, kiedy myślałem o zachodnim skrzydle zamku. Poprzedni właściciele woleli spalić schody niż poddać się Brytyjczykom.

Od strony drzwi rozległ się tupot kroków. Trzy zaciekawione kobiece twarze pojawiły się w świetle pochodni.

- Zapomniałam powiedzieć ci o schodach w zachodnim skrzydle, Buchanan - bąknęła zmieszana księżna. - Ale poza tym wszystko szło wspaniale.

Connor przyciągnął Maggie do piersi, śmiejąc się serdecznie.

- Wszystko w porządku, Morno. Proszę, nie strzelaj do nikogo.

Ślubu udzielił o północy miejscowy sędzia pokoju. Zaspany urzędnik mrugał w świetle świec i ziewał podczas całej ceremonii. Tradycyjną szkocką spódnicę miał włożoną na koszulę nocną i cały czas przepraszał, że zapomniał okularów.

Robert wystąpił jako drużba i zaprzyjaźnił się nawet z księżną, która zgodziła się na wiosnę odwiedzić Normandię.

Claude podał szkocką whisky i oklapnięty suflet Maggie.

Ardath była druhną panny młodej i prawdziwą ozdobą uroczystości.

Connor, w swojej kurtce na polowanie i z licznymi zadrapaniami na twarzy, czuł się właściwie wdzięczny losowi, że uszedł z życiem. Podczas zaimprovizowanego przyjęcia po ceremonii nie odrywał oczu od żony. Po raz pierwszy zawiódł go jego słynny dar wymowy. Zawsze sądził, że takie szczęście jest niemożliwe, że ludzie wciąż go poszukują, ale nigdy nie znajdują.

Nie mógł wyobrazić sobie przyszłości bez Maggie. Z nią u boku podbije cały świat. A będzie potrzebował dużo energii, gdyż wkrótce czekał go proces w sprawie morderstwa i opanowanie chaosu wywołanego przez Sheenę. Z przyjemnością postawiłby w stan oskarżenia jej męża, ale, jak powiedział wcześniej Maggie, nie można skarżyć kogoś o porwanie, jeśli kobieta z własnej woli z nim odchodzi. Wciąż czuł się zraniony. Nie był pewien, czy kiedykolwiek wybaczy siostrze.

Przepisy prawne nie miały dla niego żadnych tajemnic, jednak o miłości musiał się jeszcze trochę nauczyć. Po tych wszystkich latach relacje z kobietami nadal wydawały mu się bardzo skomplikowane.

- Mam dla ciebie urodzinowy prezent, Connor - powiedziała Ardath, kiedy skromne przyjęcie zbliżało się ku końcowi.

Objął Maggie w talii, niecierpliwie marząc o chwili, kiedy zabierze do łóżka nowo poślubioną żonę. Teraz już nikt mu tego nie zabroni.

- Moje urodziny są w sierpniu.

- W takim razie będzie to prezent ślubny.

Skinęła na Mornę i Rebekę, a te wyciągnęły zza kanapy duży prostokątny przedmiot.

Prezent okazał się piękną tapiserią, na której lew tańczy ze swoją księżniczką na ich weselu; była to trzecia tapiserią z serii, ostatni brakujący element legendy. Robert wyciągnął z kieszeni monokl i po dokładnych oględzinach stwierdził, że tkanina jest autentyczna. Jego poraniona twarz wyglądała łagodnie i trochę smutno w świetle świec.

- Życzę wam szczęścia do końca życia i szczerze wam zazdroszczę, że się odnaleźliście. - Delikatnie pocałował Maggie w

czoło. - Masz moje błogosławieństwo z całego serca. Bądź szczęśliwa, ma petite.

Tapiseria zawisła na honorowym miejscu w sypialni domu Connora w Edynburgu.

Postacie z legendy spoglądały na dwa splecione ciała na łóżku, jakby były wsłuchane w dzikie pomruki mężczyzny i rozkoszne westchnienia kobiety. Prokurator generalny Szkocji tak namiętnie kochał się ze swoją porwaną panną młodą, że byli już spóźnieni na odbywające się na dole przyjęcie.

Nie dbał o to. Przy żonie zatracił zupełnie poczucie czasu.

Upadł na łóżko z głośnym jękiem rozkoszy. Maggie uśmiechnęła się, przesuając stopę po jego nodze.

- Mam nadzieję, że nikt tego nie słyszał. Nie zasypiaj znowu, milordzie. Musimy się ubierać. Cały Edynburg jest tutaj.

- Daj mi pięć minut.

- Connor, powtarzasz to przez cały dzień.

- Miej litość. - Uśmiechnął się, przyciągając ją znowu do siebie. -

Proces w sprawie morderstwa zaczyna się jutro rano. Zgodnie z pogłoskami moje „rozrywki” w noc poprzedzającą rozpoczęcie procesu decydują o tym, czy odniosę sukces.

Maggie przyglądała mu się przez chwilę.

- Biorąc pod uwagę twoją aktywność w kwestii „rozrywek”, powinieneś wygrać wszystkie procesy przez następne siedem lat.

Puścił do niej oko.

- A może dołożymy coś na ósmy rok?

Przez chwilę milczeli. Oboje wiedzieli, że w najbliższym okresie Connor nie będzie miał czasu na przyjemności.

- Dwóch wiarygodnych świadków zgodziło się w końcu zeznawać przeciwko lordowi Montgomery - powiedział cicho.

Maggie westchnęła.

- Kto?

- Dawny sekretarz Montgomery'ego i znany aptekarz, który pamięta, że widział go niedaleko swojego sklepu tuż po morderstwie.

- A ci, którzy zaatakowali Donaldsona? Connor roześmiał się.

- Herszt ich znalazł. Powiedzmy, że Artur użył swoich własnych, nie do końca legalnych, metod. No i przyznali się do współpracy z Montgomerym.

- Myślę, że Tomasz za dużo pracuje - powiedziała Maggie.

Connor tylko się uśmiechnął. Gdy tylko Donaldson odzyskał siły, zaczął pracować nad listami udowadniającymi, że Montgomery był szantażowany za grzechy przeszłości. W nagrodę za oddanie dla pracy Connor zgłosił swojego protegowanego na członka prestiżowej Rady Adwokackiej.

Sam Connor nie mógł się doczekać konfrontacji z Montgomerym w sądzie. Gazety rozpisywały się już, że prokurator generalny jak burza rozpocznie działalność na swoim nowym stanowisku.

To była prawda. Myśl o walce i perspektywie zwycięstwa rozpiekała go energią. Wygra tę sprawę, a swoje zwycięstwo dedykuje żonie.

Znowu zaczął ją całować, kiedy Ardath cicho zapukała do drzwi.

- Wiem, że tam jesteście - powiedziała. - Nikt już nie uwierzy w tę starą bajkę o krawacie, Connor. Oderwij się od swojej słodkiej żony i zejźcie na dół, bo nie wiem już, jak tłumaczyć się gościom. Nawet mój wdzięk ma swoje granice. - Po chwili dodała: — Przyszedł Donaldson z matką, wygląda całkiem dobrze. Jest też Sheena, okrągła jak piłka i zalana łzami. Bądź dla niej miły, dobrze?

Connor oparł się na łokciu.

- Na pewno...

Maggie wyslizgnęła się z łóżka, zanim zdążył ją powstrzymać.

- Będziesz musiał jej wybaczyć. W końcu będziesz wujem jej dziecka. Chcesz pozbawić nasze maleństwo towarzysza zabaw?

Ich oczy spotkały się w lustrze.

- Nasze maleństwo? - spytał z nieśmiałą nadzieją Connor.

- Tak. Pod koniec lata. Uśmiechnął się arogancko.

- To znaczy, że musiałaś zająć...

- Za pierwszym razem, kiedy się kochaliśmy. - Wydęła wargi na widok jego samczej satysfakcji, ale w głębi ducha była zachwycona jego reakcją.

- Nie rób takiej ważnej miny. Mężczyznom zdarza się płodzić dzieci.

Porwał ją znowu w ramiona.

- Ale nie z moją żoną. Ubierzesz się, czy mam powiedzieć naszym gościom, że lady Buchanan jest niedysponowana?

- A kto uratuje cię przed Filomeną Elliot, jeśli nie ja? Ta biedna kobieta prawie ogłosiła już w gazetach, że jesteście zaręczeni.

- Powiniennem wnieść sprawę o zniesławienie. - Sięgnął po bieliznę żony, z trudem powstrzymując się, żeby oderwać od niej rękę.  
- Przestań się nade mną znęcać i ubierz się. Jeśli natychmiast tego nie zrobisz, odwołam przyjęcie. Mówię poważnie.

Wzdychając, Maggie włożyła jasnozieloną jedwabną suknię i przeszła przez pokój, sprawdzając, czy dobrze wygląda. Od strony drzwi balkonu rozległo się głośnie pukanie.

- Connor... - powiedziała cicho.

- Co się stało?

- Ktoś puka do drzwi balkonu.

- Słyszę, Maggie, ale miałem nadzieję, że możemy to zignorować.

- Sądzę, że powinieneś zobaczyć, kto to jest. To może być coś ważnego.

Z pochmurną miną podszedł do balkonu i otworzył drzwi. Mroźne powietrze powiało do pokoju. Connor nie był zdziwiony na widok gościa.

- Czego chcesz, Arturze?

Herszt wykrzywił się w uśmiechu i wychylił zza Connora, żeby pomachać do Maggie.

- Przyniosłem ci ślubny prezent, chłopie. Przepraszam, że tak późno, ale musiałem się postarać, żeby go zdobyć.

- To miłe z twojej strony - powiedziała Maggie, kiwając mu ręką.

Connor wciągnął Artura do pokoju.

- Na miłość boską, mam nadzieję, że nikt cię nie widział. Nie mógłbyś zapukać do drzwi jak normalny człowiek?

- Och, nie, nie bardzo - odparł Artur z głębokim westchnieniem. - Tak samo jak ty muszę dbać o swój wizerunek.

Maggie podeszła bliżej.

- Uwielbiam prezenty. Co nam przyniosłeś?

- Drobną podarunek, żeby powitać cię w domu. - Artur odchylił połę swojego ciężkiego płaszcza. Z wewnętrznych kieszeni sterczał cały komplet srebrnych sztućców. - To może się przydać, Maggie, teraz, kiedy jesteś żoną prokuratora generalnego i będziesz urządzać eleganckie przyjęcia.

- Arturze, jesteś kochany.

- Chwileczkę. - Connor w osłupieniu przyglądał się sztućcom, które Artur rozkładał właśnie na łóżku. - To moje inicjały. To serwis,



który zamówiłem w zeszłym miesiącu u złotnika. Został skradziony z jego sklepu.

- To zdumiewające, jak sprawy dziwnie się toczą, prawda? - z uśmiechem powiedziała Maggie.

Artur odwzajemnił jej uśmiech.

- Muszę już lecieć, zanim zaprzyjaźnię się z wrogiem. Pamiętaj, Buchanan, co ci mówiłem o Maggie. Opiekuj się nią, bo będziesz miał ze mną do czynienia.

Już go nie było.

Connor szybko zamknął drzwi balkonu i pociągnął żonę przez pokój.

- To już szczyt wszystkiego. Dawać mi skradzione srebra w prezencie ślubnym...

- Connor...

- Co się stało, Maggie?

- To dziwne. - Pociągnęła go w stronę łóżka i popatrzyła na tkaninę. - Ta tapiseria. Zauważyłeś, że lew się teraz śmieje? Wcześniej miał strasznie ponurą minę.

- Z pewnością masz rację, kochana żono. Chodź już, jesteśmy spóźnieni.

Poprowadził ją przez korytarz. Kiedy byli u szczytu schodów, napotkał wzrok siostry.

Sheena wpatrywała się w niego z nadzieją, zawstydzona jak mała dziewczynka. Tuż za nią stał jej mąż, Henryk. Connor poczuł dziwną mieszaninę złości i podziwu na myśl, że ich miłość okazała się silniejsza od niego.

- Dobry wieczór, milordzie - przywitał go Henryk, uśmiechając się niepewnie.

Maggie spojrzała na męża z prośbą w oczach.

- Zrób to dla mnie - szepnęła. Connor westchnął i podszedł do nich.

- Dobry wieczór, Sheeno. Henryku... Cieszę się, że was widzę. - Zerknął na Maggie. - Zastanawiałem się, czy nie zachcielibyście zamieszkać w Kilcurrie, dopóki nie staniecie na nogi.

Za Sheeną pojawił się Donaldson z matką. Maggie z radością do nich podeszła, rzucając mężowi pełne wdzięczności spojrzenie.

Connor odwrócił się i spojrzał na drzwi sypialni. Tak wiele wydarzyło się od tej pierwszej nocy.

Za podszeptem jakiegoś impulsu wrócił do pokoju. Ze ściągniętymi brwiami przeszedł koło łóżka i uważnie spojrzął na tapiserię.

Lew naprawdę się uśmiechał.

Mieli wspólny sekret. Ujarzmiła ich niewinna dama. Zdobyli miłość kobiety, na którą z pewnością nie zasługiwali.

Ale żaden z nich nie miał zamiaru rezygnować z tego szczęścia.

Połykujące w półmroku złote niteczki tkaniny obiecywały równie radosne zakończenie ich prywatnej legendy. Ich miłość została utkana kilka wieków wcześniej. A teraz nadszedł moment, by się spełniła.